

**CAMERON DEANNA**

*TANCERKA Z KAIRU*



*Książkę tę dedykuję kobietom,  
które kochają taniec brzucha -  
na scenie, na szkoleniowym parkiecie  
w pustym pokoju przy zaciągniętych zasłonach*

## ROZDZIAŁ 1

*Chicago 1893*

Dora Chambers weszła do teatru egipskiego wraz z falą ponurych robotników i bladych urzędników, spośród których nawet starsi mieli jeszcze mleko pod nosem. Płynął od nich męski zapach pomady do włosów i szorowanej mydłem skóry, mieszając się z wonią smużek dymu wijących się nad mosiężnymi palnikami ustawionymi wzdłuż sceny. Dora przyłożyła do nosa chusteczkę.

- Na pewno sobie poradzisz, kochanie? - spytała Agnes Richmond, nachylając się, by przekrzyczeć przenikliwe wycie rogu i kładąc dłoń w troskliwym babcinym geście na ramieniu dziewczyny.

- Oczywiście, że sobie poradzi - wymamrotała Geraldine Forrest, gdy za plecami wypełniających wszystkie rzędy widzów we trzy przeciskały się przez część sali z miejscami stojącymi. Strzepnęła pyłek z rękawa wełnianego żakietu szytego na miarę i po raz trzeci od przyjazdu poprawiła kapelusz o szerokim rondzie na jej złotowłosej głowie. - Zrobiłaby wszystko, aby uszczęśliwić świeżo poślubionego małżonka.

- Naturalnie - przytaknęła starsza kobieta. - Pani z pewnością czuła to samo do świętej pamięci pana Forresta. - Ujęła okrytą rękawiczką dłoń Dory. - Jednak nie zanosi się, aby te kobiety miały wypełnić swoją groźbę. W rzeczy samej, to spora ulga. Rozumiem ich zmartwienie, ale szczerze mówiąc, Wystawie Kolumbijskiej nie potrzeba już więcej kłopotów.

Przerwało jej zamieszanie, które nagle wybuchło przy wejściu. Ciasno wypełniający ogromną salę tłum cofnął się, napierając na Dorę i omal jej nie przewracając. Gdy już pewnie stanęła na nogach, ujrzała, że głównym przejściem ku scenie przesuwa się szereg pań w czarnych wełnianych sukienkach i prostych kapeluszach. Wszystkie dzierżyły tabliczki z wymalowanymi hasłami, na których jeszcze nie zdążyła wyschnąć farba: „Precz z obcym ścierwem”, „Przyzwoitość nad przychody”, „Zamknąć teatr tańca brzucha”. Podniosły taką wrzawę, że przerwano muzykę, gdyż i tak zatonęła w ich krzykach.

- Z drogi, kochanie, cofnij się troszkę. - Pani Richmond pokierowała Dorę ku tyłom galerii, choć wszyscy wokół pchali się do drzwi.

Dziewczyna usłuchała i wraz z towarzyszkami zbiły się w gromadkę pod ścianą pustoszejącego teatru. Pot wystąpił Dorze na czoło i poczuła, jak dwie kropelki zsuwają się wzdłuż kręgosłupa, w miejsce, gdzie gorset zawiązany był najciaśniej. Spróbowała dosięgnąć strużki, lecz jej starania skutecznie zniweczyły warstwy bielizny, fiszbinu, wełny i bawełny.

Ujrzała stojącą na scenie grupkę tancerek.

- Dość już, wystarczy, proszę opuścić salę. - Umundurowany mężczyzna przepchnął się ku centrum zgromadzenia i machał rękami nad głową w celu zaprowadzenia porządku. Za nim ustawił się kolejny tuzin gotowych do działania funkcjonariuszy.

- Nie wyjdziemy, dopóki ktoś nie zamknie tego gniazda rozpusty! - krzyknęła sroga matrona, występując przed stadko i mierząc mężczyznę wzrokiem. - Nie pozwolimy, by kalało nasze miasto choć chwilę dłużej!

- Ostrzegam panią! Aresztujemy każdego, kto zakłóci legalne działanie tego teatru.

- Czy to zgodne z prawem, aby kobiety wykonywały tak wulgarne popisy? Czy prawo pozwala na to, by mężczyźni oglądali tak gorszący pokaz? - Kobieta poprawiła okulary na nosie w sposób, który umożliwił jej patrzenie na funkcjonariusza z góry, mimo że przewyższał ją wzrostem.

- To już nie moja rzecz, proszę pani. Skargi i zażalenia składa się u kierownictwa Wystawy. A teraz pani i siostrzyczki macie dwie minuty, aby się rozejść. - Ostentacyjnie wyjął kieszonkowy zegarek i sprawdził jego tarczę.

Kobieta zwróciła ponurą twarz ku scenie, gdzie przy tylnej ścianie skupiły się tancerki.

- To jeszcze nie koniec! - wykrzyknęła. - Oczyszczymy Wystawę z tej waszej ohydy. - Z tymi słowami odwróciła się na pięcie i jednym machnięciem ręki dała znak towarzyszkom, by podążyły za nią ku wyjściu.

Funkcjonariusze ruszyli za nimi, zostawiając w sali jedynie artystki oraz Dorę, panią Richmond i panią Forrest.

- Czy to Towarzystwo Walki z Nierządem? - spytała Dora, zakładając niesforny czarny kosmyk za ucho i wsuwając go pod słomkowy kapelusz. Mocno zacisnęła dłonie na parasolce, do której wciąż nie mogła się przyzwyczaić. - To tylko grupka pań. Jaką szkodę mogłyby wyrządzić?

- Nie doceniasz kobiecej potęgi, kochanie - pouczyła ją pani Richmond. - Na przykład nasza Komisja Pań Zarządzających. Sami kierownicy powierzyli nam uporanie się z tym zamieszaniem i z dumą mogą powiedzieć, że to zaszczyt dla nas przyczynić się do sukcesu Wystawy. Nie

zapominajcie, że powodzenie targów oznacza korzyści dla Chicago, niekończące się szanse i możliwości...

- Chicago ma ogromny potencjał, prawda? - Dorze podobało się brzmienie dumnego hasła. Usłyszała je dwa miesiące wcześniej od Charlesa, w dniu ich ślubu w Nowym Orleanie, gdy pakowała sukienki i dwie dekady wspomnień do podróżnego kufra, szykując się do wstąpienia na nową drogę życia ponad tysiąc kilometrów drogi na północ.

- W Chicago przeszłość nie ma znaczenia - szepnął jej do ucha, gdy stali na dziobie parowca, machając nieznanym. Czowała, jak silnik dudni, wypluwając kłęby dymu w niebo nad statkiem, który miał ją zabrać z jedyne go domu, jaki znała.

Pani Forrest wyciągnęła szyję, by wyjrzeć przez otwarte drzwi.

- Zdaje mi się, że właśnie widziałam panie Sheffield i Loomis!

- Gdzie, kochana? - Pani Richmond spojrzała w tym samym kierunku.

- Powinnam się przywitać.

- Jestem przekonana, że nie ma takiej potrzeby. - Pani Forrest posłała jej niezbyt szczery uśmiech. - Przekażę im twoje pozdrowienia. Chyba nie będę wam już tutaj potrzebna?

- Skądże. Z pewnością poradzimy sobie we dwie z panią Chambers. Nie widzę przyczyny, dla której wszystkie trzy miałybyśmy znosić to okropieństwo.

- Wiedziała, że mogę liczyć na twoją wyrozumiałość. - Kobieta ucałowała powietrze w okolicy uszu pani Richmond i kompletnie lekceważąc Dorę, ruszyła zatłoczonym przejściem.

Afront nie uszedł uwagi młodej mężatki. Wiodąc wzrokiem za oddalającą się panią Forrest, nachyliła się do pani Richmond.

- Czy w jakiś sposób ją uraziłam?

- Nie przejmuj się Geraldine Forrest. Trochę to trwa, zanim przekona się do nowej osoby. Zaskoczyła mnie propozycją, byś nam towarzyszyła. To do niej niepodobne. - Wyjęła zegarek zawieszony na łańcuszku wokół szyi. - Lada chwila zacznie się kolejne przedstawienie, ale chciałabym przedtem zamienić słówko z tymi Egipcjankami. - Rozejrzała się wokół. - To pewnie kierownik - zauważyła, wskazując mężczyznę, który wyłonił się zza drzwi.

Był postawny, o szerokich barach i wąskiej talii. Włosy tak czarne, że aż mieniające się granatem, opadały ciężkimi falami do ramion, otulając ostre kości policzkowe niczym miękki całun. Dora odgadła, że pochodzi z Egiptu, widząc jego tradycyjną białą tunikę i wąskie spodnie oraz brązowy odcień skóry, taki sam jak u tancerek na scenie. Spojrzał na nią czarnymi oczami przypominającymi wypolerowany obsydian.

- Pan Hossam Farouk, prawda? Pan jest tu szefem? - Pani Richmond wyciągnęła sztywno rękę w geście powitania, po czym przedstawiła się, podkreślając swój tytuł wiceprzewodniczącej Komisji Pań Zarządzających.

- Nazywam się Hossam Farouk - odparł, unosząc do ust podaną mu dłoń. - Wahałbym się jednak, jeśli chodzi o „bycie szefem”. - Jego akcent brzmiał jak muzyka.

- Niech pan nie będzie taki skromny. Przecież sam Sol Bloom polecił mi zwrócić się właśnie do pana. Znają się panowie?

- Ze słyszenia. - Skrzyżował umięśnione ramiona na piersi i wyprostował się, górując nad rozmówczyniami niemal dwumetrowym ciałem.

Któż w Chicago nie słyszał o Solu Bloomie? Nawet Dora czytała historie o młodym przedsiębiorcy z San Francisco. Został rekrutowany przez kierownictwo Wystawy, by

zmienić oblicze powstałej jako zbiór eksponatów antropologicznych sekcji Midway Plaisance w karnawał przynoszących zyski rozrywek, tak aby zwróciła się choć część bajońskich sum pochłoniętych przez organizację targów. Gry, przejażdżki, zwierzęta, stoiska z napojami, a nawet tancerki wprowadzono na jego komendę. Byli tacy, którzy twierdzili, że to on ukuł nazwę „tancerki brzucha”, żeby rozpalic wyobraźnię ludzi i zwiększyć sprzedaż biletów.

- W świetle dzisiejszych wydarzeń miałyśmy nadzieję zamienić słowo z tancerkami, jeśli istnieje taka możliwość - wyjaśniła pani Richmond.

Farouk skłonił się.

- Zawsze do usług Pań Zarządzających. - Uniósł dumnie podbródek. - Niech panie raczą zaczekać, to sprawdzę, co uda mi się załatwić.

Wspiął się na scenę i podszedł do obserwujących rozmowę tancerek, które natychmiast skupiły się wokół niego. Po krótkiej wymianie zdań kilka z nich rzuciło gniewne spojrzenia w stronę Dory i pani Richmond. Kobieta, która wykonywała pokaz tuż przed wtargnięciem protestujących, cofnęła się o krok i założyła ręce na piersi. Była najdrobniejsza z całej grupy, lecz na przekór niskiemu wzrostowi nosiła się niezwykle pewnie i zdecydowanie. Potrząsnęła głową, a w jej ślad poszły pozostałe artystki. Mężczyzna przetarł twarz dłonią, zerknął na Dorę i panią Richmond i kontynuował negocjacje.

- Może jednak pan Farouk ma rację. Wygląda na to, że ta mała tu rządzi - szepnęła pani Richmond pod nosem. - Widać, że ma charakterek.

Nieduża tancerka pochyliła głowę i rozluźniła się. Odwróciła się do towarzyszek, powiedziała coś, a one przytaknęły. Następnie wszystkie pary ciemnych oczu zwróciły się na Dorę i panią Richmond.



Gdy grupa zbliżyła się do nich, pierwsza zabrała głos mała tancerka.

- Macie nam coś do powiedzenia?

Artystki były znane pod wieloma nazwami - tancerki brzucha, tancerki mięśni, tancerki ciała czy po prostu tańczące dziewczęta. Dora widywała ich zdjęcia w gazetach, ukazane na rycinach zdobiących notki poświęcone pokazom, ale obrazki bynajmniej nie oddawały egzotyki stojących przed nią kobiet. Ta, która przemówiła, nie była starsza od Dory i miała na sobie szkarłatną kamizelkę ciasno opinającą biust. Brzuch przysłaniała jedynie dopasowana ciasno jak pończocha bluzeczka, która w dodatku odsłaniała obojczyki i zbyt dużą część ramion. Zdecydowanie artystka nie miała na sobie gorsetu, co samo w sobie zakrawało na skandal. Co więcej, spódnica nie była dość długa, by przyzwoicie zasłonić przystrojone kokardkami pantofle. Jej ciało niezbyt skutecznie zakrywały też ozdoby - pasek z sięgającymi kolan frędzlami, mnóstwo koralików i nawleczonych na sznureczki monet, połyskujących na klatce piersiowej, metalowe bransoletki wijące się wokół nadgarstków. Ciemne włosy spływały jej po plecach. Pozostałe tancerki odziane były w podobne stroje, mieniające się różnymi kolorami - kobaltowym, nagietkowo złotym, krwistoczerwonym i śliwkowym.

Podobnie jak pan Farouk, tancerka posługiwała się językiem angielskim z akcentem sprawiającym, że jej mowa niemal dorównywała egzotyką pustynnej muzyce.

Pani Richmond wysunęła podbródek.

- Jeśli to możliwe. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Dora szeroko otworzyła usta z osłupienia. Te tancerki z pewnością nie zdawały sobie sprawy z rangi Pań Zarządzających.

- Nic zajmujemy pani dużo czasu, panno... - urwała pani Richmond. Tętno na jej skroni pulsowało złowieszczo.

- Nazywam się Amina Mahomet - uzupełniła artystka. -Może usiądziemy?

Pani Richmond rozejrzała się po rzędach nierówno ustawionych drewnianych krzesł. Widzowie, opuszczając w pośpiechu salę, pozostawili na podłodze porzrzucone bilety, pomięte programy i ziarna kukurydzy prażonej w melasie. Nikomu nie spieszyło się do sprzątnięcia.

- Zajmiemy tylko chwilę.

Tancerka podeszła do krzesła, odwróciła je w stronę pani Richmond, po czym usiadła, zsuwając z nóg pantofelki na płaskiej podeszwie. Część koleżanek poszła w jej ślady, pozostałe stanęły za ich plecami. Pan Farouk skrył się w cieniu, przypatrując się paniom, lecz porzucając czynny udział w zajściu. Wyglądał bardziej na stróża niż kierownika.

Dora nie mogła oderwać od niego oczu, lecz kiedy spostrzegła, że i on jej się przygląda, szybko odwróciła wzrok i zmusiła się, by nie zerkać więcej w jego stronę.

Pani Richmond natomiast nie zwracała na niego najmniejszej uwagi - była zbyt pochłonięta rażącym brakiem wytworności prezentowanym przez rozmówczynie. Niektóre siedziały zgarbione, inne powyciągały nogi, rozkładając je na sąsiednich krzesłach. Te, które stały, wyginały biodra lub podpierały się o oparcia.

- Przykro mi, że przynoszę złe wieści - odezwała się wreszcie pani Richmond, gdy stało się jasne, że nikt inny nie zainicjuje rozmowy - ale kierownictwo Wystawy zwróciło się do Pań Zarządzających o wsparcie w kwestii grup protestujących, stanowiących niemały problem.

Amina położyła stopę na kolanach i zaczęła masować sobie podbicie.

- Gdy zjawiłyście się tutaj - ciągnęła pani Richmond - omawialiśmy sprawę oczekiwania. Czy przypominacie sobie tę dyskusję?

Twarze tancerek wyglądały tak, jakby wytarto z nich wszelkie uczucia.

- Którakolwiek z was? - Napięcie w głosie pani Richmond sprawiło, że jej głos skoczył o oktawę, a nawet dwie.

- Dziewczęta nie znają angielskiego - powiedziała Amina. - Może pani kierować pytania do mnie.

- A zatem czy pani pamięta tamtą rozmowę? Amina przytaknęła lekkim uniesieniem ramion.

Pani Richmond przyłożyła palce do pulsującej skroni. Usta jej drżały.

- Dokonałyśmy ustaleń co do stosownego postępowania oraz ubioru. Jestem zawiedziona, słysząc, że nasze wytyczne zostały zlekceważone.

- Spojrzała Aminie prosto w oczy. - Tak dalej być nie może. Poproszono nas, abyśmy rozwiązały ten problem, jako że jesteśmy najlepiej przystosowane do radzenia sobie z tak delikatnymi, kobiecymi sprawami.

- A inne tancerki? - Amina odpięła od paska wstążkę i rozprostowywała ją palcem. - Jest ich tu w Midway wiele: tancerki z chustkami w teatrze algierskim, kobieta z Jerozolimy, która występuje ze sztyletem w pałacu mauretańskim, wykonawczynie tańca Ouled Nail spowite w welony i srebrną biżuterię, stojące i drżące na scenie wioski tureckiej.

Rumieniec gniewu wykwitł na twarzy pani Richmond.

- Protestujący wskazują na tancerki egipskie jako źródło problemu.

Amina skrzyżowała ręce na piersi.

- Mam nadzieję - nie przerywała pani Richmond - i ufam, że i pani ma taką, iż same uporamy się z tą sytuacją. W razie gdyby nam się to nie udało, będę zmuszona

poinformować kierownictwo o braku chęci współpracy z waszej strony.

Wzrok Aminy prześliznął się z twarzy pani Richmond na Dorę, sprawiając, że dziewczyna nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

- Nie ośmielę się twierdzić, że znane mi są myśli kierowników - dodała starsza kobieta - ale przypuszczam, że potencjalne konsekwencje mogą być bardzo nieprzyjemne. Najpewniej będzie to grzywna, ale i zupełne wstrzymanie wypłaty dla całej grupy tanecznej nie jest wykluczone.

Aminie drgnęła szczeka. Wbiła wzrok w podłogę, jak gdyby czytała tajemne znaki wypisane w zawijasach i słojach drewna.

- Przy okazji ostatniego spotkania zalecała pani, byśmy nie narażały naszej cnoty. Zapewniam, że tego nie czynimy.

Pani Richmond zacisnęła w pięści opuszczone po bokach dłonie. Dora z zajęciem wpatrywała się w gołą ścianę.

- A zatem przeczyście istnieniu jakiegokolwiek niemoralności? - głos damy zabrzmiał ostro i przenikliwie.

- O jakiej niemoralności może tu być mowa? To tylko taniec.

- To sprawa zwykłej przyzwoitości - wydukała pani Richmond.

- Chodzi o pani przyzwoitość czy moją?

Pani Richmond puściła prowokację mimo uszu.

- Skoro nie dbacie nawet o noszenie stosownej bielizny, będę nalegała, abyście chociaż staranniej dobierały odzież wierzchnią.

Amina spojrzała w dół na swój brzuch i fałdy szkarłatnej spódnicy.

- Teraz chcecie nas karać za to, że nie nosimy gorsetów? Pani Richmond ponownie przycisnęła palce do skroni.

- Młoda damo, proszę potraktować moje słowa jak ostrzeżenie. Odtąd ty oraz twoje towarzyszkę musicie rozsądniej się okrywać. Woale oraz coś poważniejszego niż to, w co odziane jesteście dzisiaj, byłyby wskazane na początek. Wulgarne, prowokujące ruchy również potraktujemy jako naruszenie warunków. Aby upewnić się, że zasady zostaną wprowadzone w życie, pani Chambers - zerknęła na Dorę - będzie od tej chwili łączniczką pomiędzy komisją a waszą trupą. Jeśli zaobserwuje jakiegokolwiek nieprawidłowości, natychmiast zgłosi je do mnie.

Dora patrzyła z przerażeniem na Aminę i pozostałe tancerki. Łączniczka? Nie mogła wrócić do tego nieszczęsnego teatru - nie było to miejsce dla szanującej się damy, a już na pewno nie dla takiej, która walczy o pozycję w Komisji Pań Zarządzających. Jej policzki zapłonęły, a serce omal nie wyskoczyło z piersi.

- Pani Chambers? - starsza dama zwróciła na nią błagalne spojrzenie.  
- Czy może pani bezzwłocznie rozpocząć wykonywanie swoich obowiązków?

Dora z trudem wykrztusiła:

- Tak, oczywiście.

Pani Richmond skierowała na Aminę stalowe spojrzenie.

- Proszę koniecznie podzielić się z koleżankami treścią tego, co omówiliśmy, i ustaleniami, których dokonaliśmy. I żebyśmy miały jasność, Komisja Pań Zarządzających zapewniła kierownictwo Wystawy, że te niedorzeczne problemy wreszcie ustaną. I dotrzymamy słowa! - Szeleszcząc suknią i halkami, odwróciła się i pomaszerowała do drzwi.

Dora stała jak skamieniała. To na pewno zły sen. Musi być ktoś odpowiedniejszy do tego zadania. I dlaczego ta mała tancerka tak bacznie jej się przygląda?

Amina wstała, gdy pani Richmond wyszła, i wpatrywała się teraz w Dorę. Przekrzywiła głowę i powiedziała:

- Nie jesteś taka jak inne Panie Zarządzające, prawda? - Jej głos tchnął spokojem, zupełnie jakby przed chwilą nie kłóciła się z jedną z najpotężniejszych kobiet w Chicago.

Dora zacisnęła koronkowy kołnierzyk.

- Jestem Panią Zarządzającą - wykrztusiła i pospieszyła ku drzwiom.

Na zewnątrz Dorę oślepiło popołudniowe słońce. Otworzyła parasolkę, by osłonić się przed palącymi promieniami, i rozejrzała się po brukowanym placu w poszukiwaniu pani Richmond. Przeglądała korowód twarzy przechodniów - turystów w melonikach, słomianych kapelusikach i kapeluszach z piórami oraz Egipcjan o skórze koloru umbry w turbanach i szalach na głowach. Przybyli, by zamieszkać tu, w dzielnicy Middle Eastem, jak gdyby była prawdziwą, tętniącą życiem wioską, a nie atrapą stworzoną dla celów Wystawy.

- Halo, pani Chambers! Ju-huu, tutaj!

Dora ruszyła w kierunku, z którego dobiegał głos, i wkrótce znalazła panią Richmond stojącą w cieniu zachodniej ściany teatru, kilka kroków od mężczyzn ustawiających się w kolejce do wejścia na pokaz.

- Co za udręka! - rzuciła dama, gdy Dora stanęła przy niej. Wygładziła szerokie, zebrane w mankiet rękawy i poprawiła falbany spódnicy. - Przykro mi, że byłaś świadkiem mojego poirytowania, ale ta dziewczucha, och, ta dziewczucha była naprawdę nieznośna! - Zerknęła na Dorę przelotnie. - Mam nadzieję, że nie martwisz się rolą łączniczki, moja droga. Nie przypuszczałam, że taka funkcja w ogóle będzie konieczna, ale na własne oczy widziałas, jak odporne są do rozmowy.

Dora trzymała parasolkę przed sobą, opierając ją na czubku. Teraz miała szansę.

- Czuję się zaszczycona, że powierzyła mi pani tak ważną misję, nie jestem jednak pewna...

- Wiem, co zamierzasz powiedzieć. - Pani Richmond posłała jej uśmiech lekkiego zakłopotania. - Jesteś nową członkinią naszej komisji i wydaje ci się, że nie zasłużyłaś jeszcze na otrzymanie tak znaczącego zadania? Bzdury, powiadam! To znakomita okazja, żeby udowodnić wszystkim to, o czym ja już jestem przekonana: że jesteś bez wątpienia urodzoną Panią Zarządzającą.

Dalsze argumenty wyparowały Dorze z głowy.

- Nie przejmuj się niczym, kochanie. Zadbam o to, abyś miała pomocniczkę. Ustalimy wszystko na następnym spotkaniu komisji. Już mam pomysł na odpowiednią kandydatkę.

Przed oczami Dory stanął obraz pani Forrest. Pracować w parze z kimś takim, być traktowaną na równi? Na tę myśl przebiegł ją dreszcz.

Pani Richmond przeciągnęła palcem po rondzie kapelusza i wyprostowała się.

- Cóż, powinnam już wracać do domu, dopilnować obiadu, zanim wróci Archibald. Jedziemy? - Wzięła Dorę pod rękę i ruszyła ku bramie.

Za nimi żaloszny ton dziwnego rogu wzbił się nad gwar głosów i stukot kopyt na placu, oznajmiając rozpoczęcie kolejnego pokazu tańca brzucha. Dora założyła parasolkę na ramię i zrównała krok z panią Richmond.

Znalazły powóz tam, gdzie go zostawiły, przy wejściu na Ulicę Kairu. Koń czekał spokojnie przywiązany do palika.

Wkrótce dotarły do posiadłości w stylu Tudorów, która stała się nowym domem Dory. Gdy wyjechały z rogu, oczom dziewczyny ukazały się falbany zielonych trawników odgradzające od ulicy rezydencję w stylu edwardiańskim i wznoszący się obok budynek z czerwonej cegły.

Dora nadal jeszcze czuła, że musi się uszczypnąć, gdy widziała te wspaniałości. Charles zdradził jej, że ich dzielnica nazywa się Złote Wybrzeże, więc dziewczyna spodziewała się przyzwoitej, przyjemnej okolicy. Rzeczywistość przerosła jej oczekiwania. Osiedle zawdzięczało nazwę miejscowemu potentatowi w handlu nieruchomościami Potterowi Palmerowi, który wybudował dla swoich bliskich istny pałac na brzegu jeziora. Inne zamożne rodziny, odstraszone brudem i hałasem kolei oraz rozrastającą się dzielnicą przestępczą naruszającą spokój bogatych posiadłości wzdłuż alei Prairie, wkrótce poszły w jego ślady.

Ojciec Charlesa miał na tyle rozsądku, by jako jeden z pierwszych wziąć udział w migracji. Wybudował dom, który nie szczycił się może największymi gabarytami ani świetnością, lecz nie był też najskromniejszy. I był to w pełnym tego słowa znaczeniu dom. Dora już nigdy nie będzie musiała skradać się na paluszkach przez korytarze, tak jak robiła to w Nowym Orleanie, by nie przeszkadzać lokatorom wynajmującym pokoje. Już nie będzie ustępować miejsca w salonie, gdy wszystkie fotele zostaną zajęte.

Pani Richmond ściągnęła wodze, zatrzymując konia przed ścieżką wiodącą do drzwi frontowych.

- Całą drogę byłaś taka cichutka, kochanie. Mam nadzieję, że nie martwisz się sprawą teatru egipskiego.

Tancerki brzucha. Zupełnie wyleciały jej z pamięci.

- Świetnie sobie poradzisz. Wkrótce powrócimy do tego tematu.

- Na pewno się pani nie myli - odparła, wysiadając. - Cieszę się, że mogę w jakikolwiek sposób okazać się pomocna. - Starła się, by zabrzmiało to wiarygodnie.

Pani Richmond strzeliła lejcami. Koń zarżał i szarpnął do przodu.



- Do zobaczenia! Przekaż, proszę, pozdrowienia panu Chambersowi. Dora pomachała jej na pożegnanie i odprowadziła powóz wzrokiem, aż zniknął na końcu ulicy.

Pierwszy dzień w roli Pani Zarządzającej i spisała się całkiem dobrze! Poszła koleinami wyżłobionymi w trawie przez koła powozu i przystanęła przy bugenwilli, którą posadziła pod zachodnią ścianą domu. Takie same krzewy o fioletowych kwiatach otaczały podwórko przed hotelem mamy. Kiedy przyszło jej wyjeżdżać, zawięła nasiona w ściereczkę i ukryła w bagażu. Gdy tylko ujrzała smutny, pusty ceglany mur, wiedziała, że będzie on doskonałym tłem dla wesołych, jasnych płatków. Cały miesiąc zajęło kielkom przebicie się przez glebę, ale dwa z nich urosły już prawie na dziesięć centymetrów i zaczynały wypuszczać maleńkie listeczki. Zebrała spódnicę i schyliła się, by sprawdzić, jak silne są roślinki.

- O, bratnia dusza, miłośniczka roślin!

Dora wyprostowała się tak gwałtownie, że omal nie upadła.

Mężczyzna chwycił jej ramię, by odzyskała równowagę.

- Nie chciałem pani przestraszyć, pani Chambers. Pomyślałem, że może przyda się pani pomocna dłoń.

- Doktorze Bostwick, jak miło pana widzieć. - Odgarnęła z policzka kosmyk włosów.

- To bardzo uprzejme z pani strony, biorąc pod uwagę, że panią nastraszyłem - odparł. - Oglądałem właśnie swoje róże - odwrócił się ku szeregowi obsypanych białym kwieciem krzaczków posadzonych wzdłuż domu - i pomyślałem, że zagadam po sąsiedzku.

- Ja też doglądam roślin. Dwa śliczne kielki bugenwilli, widzi pan?

Poprawił na nosie okulary w drucianej oprawce.

- Bugenwilla? Nie spotkałem się z tym gatunkiem. Coś z zagranicy?  
- Nie sądzę. Rośnie w Nowym Orleanie - wyjaśniła, wpatrując się w listeczki.

- Na pewno sobie poradzą - dorzucił pośpiesznie. -Gdyby czegoś pani potrzebowała, jestem zawsze chętny do pomocy. Proszę mnie wzywać bez wahania.

Dora podziękowała mu, życzyła miłego popołudnia, a potem przyklepała jeszcze ziemię wokół kiełków, zanim udała się do tylnych drzwi prowadzących do kuchni. Wiedziała, że zastanie tam Bonmarie. Wciągnęła w nozdrza przytulny zapach cebuli i czosnku unoszący się znad garnka z gotującą się kurą. Bonmarie stała przy blacie, krojąc marchewkę w talarki.

- Patrzcie państwo, toż to nasza mała Panienska Zarządzająca. Wytworne paniusie nie pouczyły cię jeszcze, że tylne drzwi są dla służby? - niski, głośny śmiech Bonmarie sprawił, że Dora poczuła się jak w kuchni u mamy. Służącą nieustannie coś bawiło i śmiała się, aż na jej czekoladowej skórze pojawiały się fałdki, nadając jej wygląd wzburzonego morza.

- Drzwi to drzwi, co za różnica, przez które wchodzę? -Dora podkradła plasterek marchewki z rosnącego stosu i włożyła go do ust.

- No, to prawda, *ma chère*. A czy te bogaczki miały coś... -Jej wzrok spoczął nagle na twarzy Dory. - Isadoro Bernice, coś ty wyprawiała? Podejdź no tu.

Dora zbliżyła się z ociąganiem. Cóż takiego zrobiła? Bonmarie chwyciła ją i przyciągnęła do siebie, po czym pośliniła rąbek ściereczki i przetrzała Dorze policzek.

- Cała w czarnych smugach! - Ujęła dłonie dziewczyny i pokręciła głową. - Patrzcie no tylko. Na litość boską, ściągnij te rękawiczki i zostaw mi je do prania.

Dora wzdrygnęła się. Zapomniała zdjąć rękawiczki, zanim zajęła się kwiatami. Jak śmiesznie wypadła przed doktorem Bostwickiem!

- Ten twój chłop wpadnie w szal, jak zobaczy cię w tym stanie. Lepiej dobrze się wyszoruj.

Dora zsunęła rękawiczki i umyła ręce, po czym zbadła spódnicę i bluzkę. Dostrzegła jedną plamkę w okolicy kolan.

- Charles niczego nie zauważy, nawet jeszcze nie wrócił.

- Wrócił, wrócił. Prawie godzinę temu. Dorze serce podeszło do gardła.

- Jest w gabinecie - poinformowała Bonmarie. - Na mój rozum, niedobrze, że kisi się w tym swoim pokoju. Brak świeżego powietrza to jego problem. - Urwała i zacisnęła usta jak zawsze, kiedy miała ochotę wygłosić opinię, której Dora wolałaby nie słyszeć.

- Powinnam do niego pójść - zdecydowała dziewczyna, nim Bonmarie zdążyła się odezwać. Nachyliła się nad blatem, porwała jeszcze jeden talarek marchewki i ruszyła do drzwi.

- Wiesz, że musisz bardziej uważać, kiedy tu wychodzisz -zawołała za nią Bonmarie. - To nie Nowy Orlean.

Dora wyszła, udając, że nie słyszy.

Ach, ta dziewczyna. Co tu począć? Bonmarie wybrała jeszcze trzy marchewki z pęczka, oderwała liście i ułożyła warzywa równo na desce do krojenia. Były proste i wąziutkie, jak trzej chudzi żołnierze. Kiedy Dora wreszcie zauważy, że żyje teraz w innym świecie? Wszystko tu się różni, a ona nadal włóczy się beztrosko, jak gdyby chroniły ją mury hotelu mamy. Nigdy nie doceniała, jak miała dobrze. Zawsze uważała, że jest kimś ponad interesy, nawet gdy była

mała. Ale to wina jej matki. Charlotte Devereaux powinna była wykazać się większym rozsądkiem, zamiast pakować dziecku do głowy jakieś dyrdymały.

Z tego jej męża to też nic dobrego. Czuła to od chwili, kiedy jej wzrok po raz pierwszy spoczął na Panu Wielkim--i-Wspaniałym Charlesie Chambersie. Już pierwszego wieczoru odmówił zjedzenia przygotowanego przez nią posiłku. Za ostre, jak twierdził. Zamiast tego obżerał się zwykłym chlebem z masłem. Pani Devereaux ubłagała go, by dał im jeszcze jedną szansę, a na Bonmarie wymusiła, by jego porcje przygotowywała oddzielnie, bez żadnych przypraw - soli, pieprzu, papryki, ech... Poddała się jednak i na tym poległa jej błąd. Powinna była wsypać mu do obiadu tyle przypraw, ile tylko miała w szafce. Chambersa już dawno by nie było.

Dręczyło ją nadal, że nie przewidziała tych oświadczeń. Przez trzy lata ważniak gościł w Hotelu Devereaux i nigdy nie zwracał na Dorę najmniejszej uwagi. Na początku biegła jeszcze w krótkich sukienkach, ale na jego oczach wyrosła na olśniewającą młodą damę. Niemniej jednak, nawet kiedy pani Devereaux robiła, co mogła, żeby pchnąć ich ku sobie, unikał jej swatów, jakby myśl o ślubie nigdy nie powstała mu głowie. Dawno już przekroczył wiek, w którym mężczyźni zazwyczaj zakładali rodziny, ale nie zachowywał się jak inni starzy kawalerowie wynajmujący kwatery.

Może była zbyt podejrzliwa, ale wydawało jej się dziwne, że doznał nagłego objawienia, gdy ostatnim razem przybył do hotelu. Nie mógł oderwać oczu od Dory, nie odstępował jej ani na minutę. Dwa dni zalotów, a ten już prosi matkę o rękę córki, jak gdyby tych trzech wcześniejszych lat w ogóle nie było.

Pani Devereaux oznajmiła, że to odpowiedź na jej modły. Może i tak. W Nowym Orleanie nie ma ucieczki od przeszłości i nikt nigdy nie zapomina. Tak bardzo

zależało jej na wyprawieniu Dory z tego miasta i wysłaniu jej w miejsce, gdzie nie miałyby znaczenia, co dziewczyna usłyszy na ulicy i wyczyta w twarzach sąsiadów. A Dora już zaczęła zadawać pytania.

Wtedy pojawiła się wizja Chicago wraz ze wszystkimi jego obietnicami. Teraz Dorze wydawało się, że jej mężulek to odpowiedź na całe zło, on i te wytworne panie z ich wyszukanymi tytułami i zarozumiałymi minami. Bonmarie jedną ręką przytrzymywała jarzyny, drugą prowadziła nóż.

Po co dziewczynie takie aspiracje? Ci ludzie są inni. Szanują tylko siebie nawzajem. Widziała z wątpienie, jakie malowało się w ich oczach, kiedy patrzyli na Dorę. Lepiej dla nich, żeby dobrze traktowali jej dziewczynkę.

Wrzuciła talarki do miski i sięgnęła po kolejne warzywa z pećzka.

Dotarłszy do korytarza, Dora się zawahała. Dlaczego Bonmarie musiała ją strofować? To tylko troszkę ziemi. Nosila sukienki, w których Charles chciał ją widzieć, i układała włosy tak, jak sobie tego życzył. Zajmowała się tym, czym wypadało zajmować się eleganckiej damie, zgodnie z tym, czego mąż od niej oczekiwał.

Ale może Bonmarie miała rację. Charlesa zdenerwowałyby jej stan. „Dama powinna zawsze wyglądać jak dama”, powtarzał. Upewniła się, że spódnica zagina się tak, by zakryć plamę, ale na wszelki wypadek zdecydowała się pobiec na górę i zmienić suknię.

- Doro, jesteś tam? - głos Charlesa zabrzmiał głucho pośród ścian. - Pozwól, proszę.

Westchnęła. Już nie mogła odwlec wizyty w gabinecie. Jeszcze raz ułożyła fałdy spódnicy i podeszła do zamkniętych drzwi. Otworzyła je i zajrzała do środka.

- Nie spodziewałam się, że wrócisz tak wcześnie.

- Wejdz, proszę, i zamknij drzwi.

Siedział za mahoniowym biurkiem wypełniającym niemal całą przestrzeń wyłożonego boazerią pokoju odchylony w bordowym skórzanym fotelu, z wieczorną gazetą rozłożoną przed oczami. Był nadal ubrany w marynarkę, w której wyszedł rano do banku, i sztywno wykrochmaloną białą koszulę z wysokim kołnierzykiem. Ciemna broda poprzetykana srebrnymi nitkami zwisała w dół szczęki jak dwa kudłate kotlety. Czarne końce rozwiązanej muszki spoczywały luźno wokół szyi.

Dora wsunęła się do pokoju tylko na tyle, by zamknąć za sobą drzwi.

Spojrzenie jego orzechowych oczu było tak przenikliwe, że przygwoździło ją w miejscu jak szpilka żuka.

- Gdzie byłaś? - odezwał się niskim, wyważonym głosem, którego używał w chwilach najwyższego zdenerwowania, gdy jednak zależało mu, by służba nie dosłyszała. Wziął w palce cygaro tłące się w kryształowej popielniczce przy jego łokciu i włożył je do ust.

Szumiało jej w uszach. Czym zawiniła tym razem?

- Pani Richmond przysłała posłańca dziś rano, po twoim wyjściu. Prosiła, abym towarzyszyła jej w czasie wizyty na Wystawie.

Mars na czole męża pogłębił się jeszcze. Szybko przeszła do wieści, które musiały go rozchmurzyć.

- Panie Zarządzające powierzyły mi pewne zadanie. Nie cieszysz się?

- Czy to zbyt wiele prosić, byś była w domu, gdy wracam wieczorami? - Strzepnął popiół. - Czyż to nie obowiązek żon?

- Zamierzałam tu być, ale nie wiedziałam, że pojawisz się dziś wcześniej. Trzeba było mnie ostrzec.

Spojrzał na nią ostro.

- A więc wina leży po mojej stronie?

Dlaczego się gniewa, skoro powinien być zadowolony? Komisja Pań Zarządzających była jego pomysłem - chciał, żeby Dora zawierała właściwe znajomości. Ileż razy powtarzał, że pozycja społeczna kobiety powinna równać się ze stanowiskiem, jakie jej mąż zajmuje w interesach? Pragnęła mu o tym przypomnieć, lecz zamiast tego zmusiła się do uśmiechu i podeszła do Charlesa, obchodząc wkoło fotel. Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wiem, że chcesz, żebym czekała na ciebie, gdy wracasz z pracy, kochany. Myślałam jednak, że spełnię twoje oczekiwania, jeśli przypodobam się pani Richmond.

Czuła, jak rozluźnia się pod jej dotykiem. Patrząc na jego rzednące włosy, powiedziała:

- Jak mam być żoną przyszłego prezesa banku, jeśli nie będę ze wszystkich sił starała się wpaść w towarzystwo?

Położył dłoń na jej ręce, spoczywającej na jego ramieniu.

- Prezes banku, cóż, może to zbyt wiele powiedziane. Wiceprezes, tak, to dość przyzwoita pozycja. - Jego głos przybrał łagodniejszy ton. - Ale chcę też, abyś była w domu, kiedy powinnaś w nim przebywać. W przeciwnym razie ludziom może się zdawać, że już zdążyłaś się znudzić starym mężem. - Przywołał na twarz uśmiech zażenowania, który na chwilę nadał mu niemal chłopięcy wygląd.

- Czterdzieści lat to nie starość. - Leciutko pogładziła zaczesane w tył włosy męża i pocałowała go w policzek. - Mężczyzna jest wówczas w kwiecie wieku.

Widziała, jak wyparowuje z niego gniew.

- Na pewno jesteś głodny. Sprawdzę, co z obiadem, dobrze?

Wzrok Charlesa przez chwilę błędził po jej twarzy, po czym wrócił do stron gazety.

- Tak, zobacz, co znowu knuje twoja kucharka, i ostrzeż ją, że mam nie czuć smaku tych jej papryk. Chcę być w stanie strawić dzisiejszy posiłek. Jeśli jeszcze raz zepsuje mi danie, odeślę ją z powrotem do twojej matki.

Dora ścisnęła jego ramię i oddaliła się.

- Oczywiście, kochany, powiem jej.

Wyszła z gabinetu, lecz wcale nie zamierzała udać się do kuchni. Nie przekaże jego groźby, bo nigdy nie odeśle Bonmarie do Nowego Orleanu. Dora myślała, że serce jej pęknie, gdy kobieta oznajmiła, że nie będzie towarzyszyć jej w Chicago. To był jedyny element opuszczenia domu, który wywołał u niej łzy. Dzięki Bogu, służąca zmieniła zdanie. W dzień wyjazdu, kilka godzin po ceremonii ślubnej w ogrodzie hotelu, gdy wszystkich już z Charlesem żegnali, Bonmarie pojawiła się z tkaną torbą podróżną i w swym jedynym kapeluszu, niewielkim, czarnym, z woalką, spoczywającym na bakier na głowie. Nigdy nie przyznała się Dorze, co wpłynęło na zmianę jej decyzji, a dziewczyna była zbyt wdzięczna, by pytać.

Wchodząc po schodach do swojego pokoju, Dora po raz kolejny rozważała potencjalne przyczyny, dla których Bonmarie tak diametralnie zmieniła wówczas zdanie. Szybko jednak odgoniła myśli o przeszłości. Nie miała ona już przecież znaczenia. Teraz wszystko było lepsze. Po raz pierwszy w życiu była szczęśliwa, zbyt szczęśliwa, by zaprzętać sobie głowę tancerkami brzucha czy skandalami, a nawet Paniami Zarządzającymi.



## ROZDZIAŁ 2

Charles odsunął talerz z nietkniętym udźcem jagnięcym, duszoną marchewką i ziemniakami i złożył serwetkę w idealną kostkę.

- Nie obrazisz się, jeśli nie będę towarzyszył ci dziś w salonie, prawda? Muszę jeszcze popracować w gabinecie.

Podniósł się z miejsca i mijając Dorę, poklepał ją po ramieniu. Gdy zatrzymał się, by zasunąć jedno z tuzina krzeseł o wysokim oparciu, chciała zaprotestować. Posiłek upłynął w milczeniu, a teraz miała przed sobą samotny wieczór z haftem i prasą kobiecą. Ugryzła się jednak w język. Gdyby się odezwała, sprowokowałyby tylko kolejny wykład o tym, jak ciężko mężczyzna musi pracować, żeby zapewnić kobiecie luksusy, które ona przyjmuje za z góry jej przynależne.

- Naturalnie, kochany - powiedziała więc.

Podłubała jeszcze w ostatnich kąskach na talerzu, pocieszając się myślą, że wkrótce niewątpliwie posypią się zaproszenia. Charles zapewnił ją, że Panie Zarządzające bywają na najbardziej wyszukanych przyjęciach, recitalach i balach, musi tylko cierpliwie zaczekać.

Gdyby tylko bycie cierpliwą łatwiej jej przychodziło. Była znużona wizytą na targach i zajściem w teatrze egipskim. Wczuwanie się w rolę Pani Zarządzającej było takie wyczerpujące - bezustanne skupienie na prawidłowym wysławianiu się (dbanie o wyraźne „tak” i „nie” żadnych „mhm”) i zachowaniu (kategoryczny zakaz drapania się pod gorsetem, niezależnie od tego, jak strasznie swędzi). Obowiązywał konkretny sposób trzymania rąk (dłonie zawsze w dół) i kiwania głową (powoli, tak aby nie poluzował się kapelusz lub upięte wysoko loki). Każdy szczegół był wycieńczający.

Odgrywała jednak dobrze swoją rolę. Nikt nie zgadł-by, że nie wywoziliła się z takiego świata. W Chicago nie będzie musiała słuchać szeptów, które podążały za nią w Dzielnicy Francuskiej: „Biedna ta mała Devereaux. Co za wstyd. Nic dziwnego, że matka ją ukrywa”.

Mama mówiła, żeby nie zwracać uwagi na słowa ludzi i że pobiera nauki w domu, by nie narażać się na żółtą febrę. Zaraza zabrała mamie rodziców i siostry, a także pozbawiła życia wielu innych mieszkańców Nowego Orleanu tamtego parnego lata roku 1878.

Mama tłumaczyła, że to dlatego Dorze nie wolno wychodzić z domu, z wyjątkiem sporadycznych wizyt na targu w towarzystwie Bonmarie. Lecz nawet przy okazji tych rzadkich wycieczek do Dory docierało dość szeptów, by dowiedzieć się kilku rzeczy, o których mama nigdy nie wspominała. Usłyszała o tym, jak dziadek stracił majątek, gdy jego statek handlowy zatonął w Morzu Śródziemnym. I o tym, dlaczego Dora nie ma ojca. John Devereaux był kapitanem na niefortunnym okręcie i wraz z nim poszedł na dno. Mama jednak nigdy, przenigdy o nim nie mówiła.

Dora dowiedziała się również, że mama uciekła z domu, by wbrew woli rodziców zamieszkać z ukochanym w Baton

Rouge w Luizjanie. Gdy rodzina wreszcie się pogodziła, a młody małżonek wyruszył w podróż jako kapitan statku jej ojca, Charlotte Benoit wróciła do rodzinnego domu jako Charlotte Devereaux z maleńką córeczką na rękach.

Gdy mąż nie powrócił, a rodzice i siostry odeszli, ludzie zastanawiali się, czy Charlotte da sobie radę. Twierdzili jednak, że w dniu kiedy stała na werandzie, patrząc, jak komornicy pakują na wozy wszystko, co nadawało się na sprzedaż, nastąpił w niej jakiś przełom. Charlotte została z córeczką w pustym domu o lakierowanych na czarno okiennicach i żłobkowanych kolumnach na esplanadzie. Nikt nie wiedział, skąd czerpie siłę, by patrzeć na opustoszałe pokoje i widzieć jeszcze nadzieję.

Wkrótce po odejściu komorników, opowiadała Dorze Bonmarie, mama zawiązała sojusz ze służącymi w domu. Nie było jej stać na wypłaty dla nich, ale obiecała, że jeśli zostaną i pomogą jej prowadzić pensjonat, podzieli się zyskami. Wszyscy przystali na jej propozycję i hotel rozkwitł.

Zresztą był niezmiennie w fazie rozkwitu. Zamożni podróżni z północy zachwycali się okazałą fasadą i duchem dawnej świetności rodziny i polecali pensjonat znajomym.

Dora nie mogła sobie przypomnieć czasów, w których dom nie był pełen przyjezdnych lub mama nie traktowała go jak prywatnej szkoły przygotowującej Dorę do życia w wielkim świecie. Od chwili gdy dziewczynka postawiła pierwsze kroki, matka kazała jej zwracać uwagę na to, jak noszą się eleganckie panie, jak prowadzą konwersacje, jak wymieniają komentarze na temat pogody i mody, oraz na to, że zawsze zachowują się zgodnie z przekonaniem, iż należy im się to, co najlepsze.

- Do takiego życia dąż, Isadoro - mama szeptała jej na ucho, gdy mijały je damy. - Nie będziesz musiała płacić za moje błędy, zapewniam.

Mama dotrzymywała słowa, dbając o to, by Dora była w pobliżu, ilekroć w hotelu zatrzymywali się bogaci kawalerowie. Tak było też w przypadku Charlesa. Gdy przyjeżdżał w interesach, mama wysyłała Dorę, by zносиła mu posiłki lub odbierała od niego płaszcz przy drzwiach.

I mama się nie pomyliła. Dora rozejrzała się po pokoju, napawając się widokiem misternie rzeźbionych mebli, kryształowego żyrandola, aksamitnej zielonej tapety i srebrnego serwisu do herbaty. Jej życie było tu o wiele lepsze, zupełnie tak, jak zapewniała mama. Dora wstała od stołu, zostawiając dokładnie opróżniony talerz. Zwalczyła chęć zebrania obu nakryć i odniesienia ich do kuchni. Potrząsnęła głową. Ile jeszcze minie czasu, zanim wyrobi w sobie odruchy godne pani tego domu?

Z okien swojego pokoju patrzyła, jak chodnikiem powoli idzie latarnik, zapalając światła osadzonym na długim palu ognikiem. Gdy zniknął z pola widzenia, zaciągnęła okna niebieską kotarą z wytłaczanym wzorem i usiadła przy toalecie. Wyjęła wsuwki z włosów i pozwoliła, by gęste, ciemne pukle spłynęły po ramionach.

Szkoda, że Charles był taki podenerwowany przez ostatnich kilka dni. Rozumiała, że muszą przystosować się do życia w związku małżeńskim, w dodatku on był jeszcze w żałobie po śmierci rodziców. Ale jeśli chodziło o coś jeszcze?

- Przestań - powiedziała swojemu odbiciu w lustrze. Ze zwątpienia nigdy nie bierze się nic dobrego. Ściągnęła włosy lawendową wstążką, by nie spadały jej na twarz, i podeszła do umywalki stojącej w rogu pokoju. Nalała do niej ciepłego mleka z dzbanka zostawionego przez Bonmarie i zanurzyła w nim ręce aż po łokcie, pozwalając, by skóra sączyła biel cieczy. Powtarzany każdego wieczora rytuał zmywał po trosze tropikalną szkodę Nowego Orleanu, czuła to wyraźnie. Nabrała mleka w złączone dłonie i uniosła je

do twarzy, płuczając powieki, policzki, usta, wlewając w skórę kolor alabastru, czyniąc go jej częścią. Pewnego dnia jej cera stanie się bielsza niż skóra którejkolwiek z Pań Zarządzających.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Doro, nie śpisz? - spytał Charles, niemal szepcząc.

- Nie. - Nie słyszała, jak podszedł do jej sypialni. Starła mleko z twarzy i rąk wilgotnym ręczniczkiem i osuszyła skórę, po czym usiadła na krześle przy toalecie.

Charles wszedł do środka jak ktoś, kto bada temperaturę wody w kąpielni. Potoczył wzrokiem po pokoju, na krótko zatrzymując spojrzenie na łóżku z baldachimem, kanapie i obitym tapicerką krześle ustawionym przy pojemniku na żar, w którym migotały tłące się węgle.

- Nie mogę się nadziwić, jak bardzo się tu zmieniło. Matka, niech spoczywa w pokoju, byłaby zdumiona, widząc, jak nowocześnie urządziłaś jej starą sypialnię.

- Mam nadzieję, że podoba ci się tapeta. Jeden z robotników zrobił dziurę w ścianie, gdy instalował lampę, ale materiał skutecznie zakrywa ślad, prawda?

Charles przesunął dłoń po tureckim wzorze pod kinkietem i wyczuł pod palcem delikatne pęknięcie.

- Miałaś rację co do elektrycznego oświetlenia. Rzeczywiście rozjaśnia pomieszczenie lepiej niż lampy gazowe. Może i w gabinecie zainstaluję sobie takie.

Stanął za nią i położył dłonie na jej ramionach.

- Wiedziałam, że spodoba ci się lampy. - Widziała w lustrze, że jego wzrok bada blat toaletki, oceniając szklane flakoniki perfum i szczotki o cynowych rączkach, drewnianą szkatułkę na biżuterię i pojemniczek na wsuwki, jakby sprawdzał, czy wszystko jest na właściwym miejscu.

- Zastanawiałaś się może nad rowerami? - spytała, mając nadzieję, że odciągnie jego uwagę, zanim znajdzie coś

do skorygowania. Podeszła do stosu czasopism leżących na szafce nocnej i przyniosła mu je.

Ostatnie noce spędziła na wertowaniu zabranych z salonu tygodników. Pozakładała reklamy i ryciny przedstawiające panie - stylowe, szacowne - dosiadające nowych, „bezpiecznych” bicykli. Wracanie do tematu było ryzykowne, ale przecież mąż musiał wreszcie zobaczyć, że w jeździe nie było nic złego. Wskazała na stronę, którą akurat studiował.

- Spójrz, nawet Lillian Russell ma taki. Jeden z jej wielbicieli kazał wykonać dla niej model z masy perłowej. Rzecz jasna, nie prosiłabym o nic aż tak wyszukanego.

- Mam nadzieję! - rzekł, przewracając strony do następnego zaznaczonego miejsca. Odłożył czasopismo na bok i sięgnął po następne, potem po jeszcze jedno.

Dora przygryzła wargę, żeby się nie odezwać. Sam musi się przekonać.

Przejrzał cztery gazety, zanim położył stos magazynów na toaletce.

- Pomyślę jeszcze o tym. Ale chciałbym usłyszeć o twoim dniu z panią Richmond.

Rzucił to jakby od niechcienia, po czym Dora od razu poznała, że to właściwa przyczyna, dla której zjawił się u niej.

- Było cudnie. - Wzięła szczotkę i zaczęła rozczesywać włosy.

- Na czym dokładnie polega zadanie, o którym wspomniałaś?

Streściła mu wydane przez panią Richmond instrukcje.

- Spoczywa na mnie obowiązek dopilnowania, aby tancerki brzucha nie robiły z siebie widowiska.

Ściągnął brwi.

- Nie jestem pewny, czy popieram ideę, by moja żona wałęsała się w takim miejscu. Może zamienię słówko z panem Richmondem w tej sprawie.

Dora zamarła ze szczotką w ręku.

- Proszę, nie rób tego. Na pewno wszystko będzie w porządku. Pani Richmond wybrała już dla mnie partnerkę. Proszę, nie rób zamieszania.

Nie miała najmniejszej ochoty wracać do teatru, ale jeszcze bardziej przerażała ją myśl, że mąż uda się na skargę do pana Richmonda, który i tak wykazał się uprzejmością, wprowadzając ją do komisji.

Charles podrapał się po brodzie.

- Nawet jeśli będziesz miała kogoś do pomocy, ten teatr i tak nie jest miejscem dla damy.

- Ale przecież jesteśmy Paniami Zarządzającymi, to zupełnie co innego!

- Ostrożności nigdy za wiele. - Jego oczy nabrały nieco łagodniejszego wyrazu. Powiódł palcem wokół jej twarzy.

- Wyglądasz tak pięknie z rozpuszczonymi włosami. Daj mi je wyszczotkować.

Zaskoczył ją - nigdy dotąd nie prosił o nic podobnego. Podała mu szczotkę i czuła, jak delikatnie przesuwa nią po długich kosmykach.

- Jak traktowała cię pani Richmond?

Ledwo zwróciła uwagę na jego słowa - jej myśli płynęły na fali dotyku. Łaskotanie włosów na czole, niespieszne pociągnięcia w dół jej długich loków, niecierpliwe wyczekiwanie, aż wszystko powtórzy się od początku.

- Doro?

Tak szybko tracił cierpliwość, jak gdyby gniew czaił się zawsze tuż pod powierzchnią.

- Dobrze się rozumiałyśmy. Była całkiem sympatyczna. Jego ruchy stały się teraz szybsze.

- Na pewno już cię polubiła. Wiedziałem, że tak będzie. - Zamyślił się.

- Pamiętasz, jak zastałem cię w saloniku twojej matki, gdy przy popołudniowej herbatce omawiałaś kwestie

paryskiej mody z baronową de Roquefort? Była przekonana, że jesteś angielską księżną w podróży.

Zachichotał na wspomnienie tamtej chwili, ale Dora aż się wzdrygnęła. Baronowa zapadła jej w pamięć. Dora wcale nie zamierzała jej zwodzić, chciała tylko przeciwżyć zasłyszane gdzieś urywki konwersacji, wypróbować takie wyrażenia jak „suknia z lekkiego jedwabiu”. Dialog popłynął tak wartko, że kiedy Dora zdała sobie sprawę z dokonanego przez starszą panią błędnego założenia, było już za późno. Uwaga takiej damy przeszywała ją dreszczem emocji, lecz gdy baronowa poznała prawdziwą pozycję dziewczyny, raz na zawsze przestała się do niej odzywać.

Charles zdawał się czytać w jej myślach.

- Czyż nie wspaniała jest świadomość, że to wszystko już za tobą? Tu możesz być kobietą, którą, oboje to wiemy, potrafisz być.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało. W lustrze widziała, że po ustach Charlesa błądzi uśmiech, jak gdyby przez głowę przemykały mu przyjemne myśli, którymi nie chciał się dzielić. Pragnęła spełniać wszystkie jego oczekiwania. Marzyła, by do dowolnej sali wkraczać z dumnie podniesioną głową, nie wstydząc się tego, co ludzie mówią za jej plecami. Gdy oświadczył się jej, ten sen wydawał się zupełnie rzeczywisty. Lecz teraz, gdy już w nim żyła, straciła uprzednią pewność. Może naśladować Panie Zarządzające, ale czy to wystarczy? Kobiety z północy są takie jasne. Co sądzą o kruczoczarnych włosach spływających jej na ramiona, brązowych oczach i skórze o oliwkowym odcieniu, która natychmiast łapie słońce? Taki wygląd był na porządku dziennym nawet w najświetniejszych salonach Nowego Orleanu, ale tu należał do rzadkości. Nie mogła opędzić się od wątpliwości.



- Charles? - Złapała jego spojrzenie w tafli lustra. - Mogę o coś spytać? - Słowa wymknęły się z jej ust, zanim zdążyła je przemyśleć. Chciała natychmiast je cofnąć.

- Naturalnie, słucham. Pytanie nie dawało jej spokoju.

Charles przyglądał się jej z wyczekującym wyrazem twarzy. Odłożył szcztokę i oparł obie dłonie na nagich ramionach żony, tuż przy miękkiej krągłości barków. Dora czuła gładkość jego skóry.

- O co chodzi?

Odwaga wyparowała z niej pod jego spojrzeniem. Nie potrafiła wykrztusić właściwych słów.

- Czy uważasz, że jestem piękna? - rzuciła w zamian z nadzieją, że wypadnie to szczerze.

- Jak w ogóle możesz pytać? - Padł na kolana. Zbliżył usta do jej szyi, łaskocząc ją gorącym oddechem i rozbudzając emocje. - Jesteś cudnym, egzotycznym kwiatem. Każdy to widzi!

Przyjemne ciepło rozeszło się od czubków jej palców poprzez ramiona, aż zalało całe jej ciało. To oczywiste, że ją kocha, lecz wspaniale było słyszeć jego zapewnienia i czuć delikatny dotyk jego ust na skórze. Gdy zbliżyli się do siebie, nie pozostawał cień wątpliwości. Bliskość męża wystarczała, by ją przekonać.

Odwróciła się do Charlesa i bijące od niego ciepło objęło ją jak palce chwytające szklankę. Ujęła jego dłoń i złożyła na niej lekki pocałunek. Nie ma powodu do obaw. Kocha ją -nic więcej się nie liczy. Byli małżonkami, nie trzeba się już opierać. Nie należy już zważać na słowa mamy.

Pozwoliła, by matczyne ostrzeżenia zepsuły jej noc poślubną. Tak gorąco pragnęła go zadowolić, że gdy nadeszła właściwa chwila, kiedy położyła się pierwszy raz u boku męża, nie potrafiła uwolnić się od upomnień matki: „Kobieta

tylko raz w życiu zdradza sekrety alkowy. Chowaj swoje skrzętnie dla małżonka, Isadoro".

Skrzętne chowanie nie sprawiło jej najmniejszych trudności, ale gdy wreszcie chciała podzielić się owymi sekretami, nie wiedziała jak. Kiedy Charles zjawił się w noc poślubną w jej ciasnej kajucie na parowcu, pogasiła wszystkie światła i zagrzebała się pod pościelą. Starał się być delikatny, koił ją słowami i dotykiem, ale nie była w stanie się odprężyć. Stosunek był krótki i bolesny i cieszyła się, gdy po zakończeniu mąż wrócił do swojej kabiny. Nie ponawiał już później prób zbliżenia.

Wiedziała, że czeka, by to ona wyszła z inicjatywą. Przyłożyła wargi do zagłębienia w jego szyi i wyszeptała:

- Może dzisiejszą noc spędzę w łóżku męża? Odnalazł jej usta i pocałował mocno. Oddychał szybko, czuła przyspieszone bicie jego serca. Błądził rekami po jej plecach i udach w poszukiwaniu rąbka halki.

Chciała odwzajemnić jego zapał, ale nieznane mrowienie, które czuła w środku, budziło w niej lęk. Jej ciało przytulało się do niego jak gdyby z własnej woli, a jej ruchy wyrwały się spod kontroli. Pragnęła, by wsunął rękę pod halkę, a jednocześnie paraliżował ją strach. Gdy koniuszkami palców musnął jej biodro, poczuła w lędźwiach taki żar, że z krótkim okrzykiem szarpnęła się w tył. Dźwięk rozdzieranego szwu zmroził ich oboje.

Odsunął się od niej.

- Wybacz, zbyt mocno naciskałem. - Wbił wzrok w dywan, a w jego głosie dało się wyczuć rozczarowanie.

- Nie, w porządku, wszystko w porządku. - Sama słyszała, jak fałszywie brzmią te słowa.

Na jego twarzy zamajaczyła niepewność, ustępując natychmiast grymasowi.

- Może innej nocy.

Czuła się okropnie. Znów wszystko zepsuła. Dlaczego tak sobie nie radzi w sypialni?

- Poza tym to i tak niedobry wieczór dla mnie - dodał. - Muszę jutro bardzo wczesnie wstać, a jeśli nie wyśpię się porządnie, marny będzie ze mnie pożytek w biurze. To ważny okres dla mnie. Dla nas.

Dora przyłożyła wargi do jego ust i pocałowała go, lecz tylko raz, delikatnie, w usta i w policzek.

- Oczywiście, innej nocy.

Buzujące w nim pożądanie wygasło, widziała to wyraźnie po sposobie, w jaki przysiadł na krawędzi łóżka, przeczesując palcami włosy.

- Pan Richmond poprosił mnie, bym odwołał umówione na jutro spotkania. Opowiedziałem mu o moim pomysle współpracy z zagranicznymi wystawcami z targów, polegającym na imporcie ich towarów po zamknięciu Wystawy. Wydawał się zainteresowany. - Jego oczy nabrały odległego wyrazu, jak zawsze, kiedy mówił o pracy. - Myślę, że jest szansa, by Richmond przedyskutował tę sprawę z zarządem banku. Musi mieć świadomość, że jeśli my nie podejmiemy działań w tym kierunku, zrobi to ktoś inny. Ludzie szaleją na punkcie wystawianych rzeczy: francuskich perfum, szwajcarskich zegarów, japońskich czajniczków, wszystkiego! Z pewnością znajdzie się na to rynek zbytu. Podobno obecna Wystawa jest poświęcona odkryciu Ameryki przez Kolumba, ale prawda jest taka, że to Stany wreszcie odkrywają resztę świata.

Dora uśmiechała się, kiwając głową, i starała się nadać twarzy wyraz zainteresowania, jakby nie słyszała tego refrenu już tyle razy.

- To dlatego ostatnio pracujesz tak ciężko?

Zamilkł na chwilę i widać było, jak ponownie budzi się w nim napiętność, lecz zgoła innego rodzaju.

- Z poparciem pana Richmonda i twoją pozycją w Komisji Pań członkowie zarządu nie może pominąć mojej kandydatury na wiceprezesa. Byliby głupcami! - Pokiwał palcem w jej kierunku, ale jego spojrzenie stawało się coraz bardziej szklane. Po chwili zmusił się jednak, by skupić uwagę na Dorze. - Wiem, że nie jest ci łatwo. - Położył dłoń na jej kolanie. - Nowe miasto, ludzie, oczekiwania. Zobaczysz jednak, że wszystkie trudy nam się opłacą. Żałuję tylko, że ojciec nie dożył tej chwili, by cieszyć się ze mną sukcesem.

Dora ścisnęła go za rękę. Byle nie żałował niczego więcej.

Charles zanurzył drewnianą szczoteczkę do zębów w stojącej przy łóżku porcelanowej umywalce i nabrał porcję proszku z puszki na półeczce. Przechylił metalowy pojemnik nad włosiem i postukał w ściankę, przygotowując szczotkę do wieczornego rytuału, ostatniej czynności, którą musiał wykonać przed wśliznięciem się pod kołdrę i wymazaniem z pamięci kolejnego przygnębiającego dnia.

Co było nie tak z tą dziewczyną? Frustracja kłuła go w żołądku, dokuczliwa jak niestrawność. Jest jego żoną, a traktuje go jak niegodnego jej zalotnika. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest bardzo młoda, ale przecież od ślubu minęły już dwa miesiące, a ona nadal go odtrącała. Wina nie leżała po jego stronie, był tego pewien. Geraldine Forrest mogła mieć każdego mężczyznę, a jednak jej piękne, czułe niebieskie oczy patrzyły właśnie na niego.

Energicznie przesuwiał szczotką po zębach. Nie wolno mu myśleć o Geraldine. To przeszłość. Dopilnowali tego prezesi banku. Był dłużnikiem pana Richmonda, gdyż to właśnie on zdradził Chambersowi, że kiedy wspomniano jego nazwisko w kontekście zastąpienia w zarządzie

zmarłego pana Forresta, kilku prezesów zawetowało kandydaturę Charlesa ze względu na plotki o jego romansie z wdową po świętej pamięci koledze.

Chambers wyraził zaszokowanie, co pan Richmond szczęśliwie zinterpretował jako zaprzeczenie pogłoskom.

Charles nabrał wody, przepłukał nią usta i wypluł do umywalki, po czym osuszył ręcznikiem twarz. Przeczesał grzebieniem włosy. Niefortunny incydent uświadomił mu przynajmniej drogę do osiągnięcia celu. Zerwał stosunki z Geraldine, udał się do Nowego Orleanu i stanął na ślubnym kobiercu, zanim zarząd banku zwołał następne zebranie. Przekonanie współpracowników o oddaniu Dorze nie stanowiło problemu. Była idealna - piękna, świetnie wychowana i nic w jej wyglądzie nie przypominało mu kochanki. Pewne braki w jej rodowodzie? Wszystko udało się ukryć pod jego nazwiskiem. Była teraz panią Charlesową Chambers, nic dodać, nic ująć.

Dziewczyna była też na tyle bystra, by wiedzieć, że ocalił ją od nędznego życia właścicielki pensjonatu, i nie posiadała się z radości, gdy umożliwił jej wstąpienie w szeregi Pań Zarządzających. Widział, jak stara się go zadowolić na wiele sposobów, ale kiedy wreszcie spełni jeden z podstawowych obowiązków żony wobec męża?

Czekanie było uciążliwe, a Geraldine ani trochę mu go nie ułatwiała. Gdyby tylko zaprzestała wizyt w banku przy byle okazji! Pewnej liczby spotkań należało się spodziewać, gdyż była jednym z głównych inwestorów. Niemniej jednak podejrzewał, że co jakiś czas zjawiała się tylko po to, by mu się pokazać i przypomnieć, co odrzucił. Dziś zdarzyła się jedna z takich sytuacji. Geraldine zapragnęła nagle, bez wyraźnej przyczyny, sprawdzić stan swojego konta. Rzecz jasna, ona tak tego nie ujęła. Powiedziała, że chce się upewnić, czy inwestycje zasugerowane przez bankowych doradców

przynoszą zapowiadane zyski. Nie rozmawiała bezpośrednio z Charlesem, ale specjalnie kręciła się przy drzwiach do jego gabinetu podczas konwersacji z panem Richmondem. Zerknęła w stronę byłego kochanka raz i drugi, a w dodatku włożyła wełniany płaszcz w kolorze bursztynu, który miała na sobie tamtego wieczora, gdy po kolacji u Richmondów spacerowali po mieście i całowali się na japońskim mostku. Nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Podszedł do szafy, by wyjąć z niej pościel. Nie mógł się powstrzymać przed pokusą wsunięcia ręki do wewnętrznej kieszeni marynarki zawieszanej między innymi sztukami odzieży. Pomacał chwilę, aż wyczuł pod palcami szukany przedmiot. Wyjął ukryty tam zamykany owalny medalion, tak mały, że bez trudu mieścił się w dłoni. Rozwarł palce i jego oczom ukazał się misternie namalowany portret Geraldine Forrest, który podarowała mu pewnej nocy po tym, jak się kochali. Wiedziała, że będzie to dla niego skarb. Nawet teraz nie mógł zdobyć się na to, żeby pozbyć się obrazka. Powiódł palcem po zaczesanych w górę blond włosach, dotknął delikatnego różu jej ust. Jakaż była piękna i, och, jaką wspaniałą była kochanką. Pomyślał o jej dłoniach. Nie zawarto ich na miniaturze, ale ich obraz był żywy w jego pamięci. Miała palce miękkie i gładkie, lecz poznał ich siłę, gdy łapały go za szyję lub wpijały się w jego plecy. Jęczał z rozkoszy pod jej dotykiem i nawet teraz z jego ust wyrwał się cichy jęk. Zatrzasnął wieczko medalionu i odłożył go z powrotem do kryjówki. Pewnego dnia znów odczuje spełnienie w ramionach kobiety. Kiedyś.

### ROZDZIAŁ 3

Dora nasunęła kołdrę na półeczki, by skryć się przed bladym szarawym światłem sączącym się przez zasłony do pokoju. W oddali słychać było trzaskanie szafek, tak silne, że aż drżały ściany. Co, u licha, Bonmarie wyprawia na dole?

Dziewczynie przyszło na myśl, by ruszyć na zwiady, ale było jeszcze za wcześnie. Hazel z pewnością czaiła się gdzieś w domu. Siwa kobieta o szponiastych palcach dopiero wczesnym przedpołudniem wymyślała przyczynę, dla której musiała udać się do miasta - a to kupić środki czystości, a to zatrudnić nową praczkę czy cokolwiek innego przyszło jej do głowy. Dorę cieszyła nieobecność służącej, więc nigdy nie kwestionowała jej słów.

Jeżeli nie było to absolutnie konieczne, Hazel nie odzywała się do Dory. Tak było od czasu, gdy Charles pozwolił, by Bonmarie przejęła władzę nad gotowaniem. Hazel nie zaaprobowała zmiany, uważała bowiem inne domowe obowiązki za niegodne jej osoby. Jeśli Dorze zdarzyło się mijać kobietę, gdy polerowała poręcz czy składała prześcieradła, Hazel mruczała pod nosem, że matka Charlesa prowadziła

dom o niebo lepiej. Dziewczyna uznała, że najlepiej unikać służącej. Owinęła się kołdrą jeszcze ciaśniej, napawając się uczuciem miękkiego ciepła na nagiej skórze. Tyle razy narzekała na poranne prace w hotelu - obieranie ziemniaków dla Bonmarie czy rozwieszanie prania - i nigdy nie przyszło jej do głowy, że może za nimi zatęsknić. Czym poza myciem i ubieraniem się powinny zajmować się damy o tej porze dnia?

Nauczyła się już nie jadać zbyt wcześnie śniadania. Po sprzątnięciu stołu przez służbę następowały długie godziny, gdy było jeszcze za wcześnie na przejażdżkę nad jezioro czy do miasta - dla Dory była to niewypowiedziana męczarnia. Przez pierwszych kilka dni przechadzała się po korytarzach, zaglądała do pokoi, badała zawartość szaf i szuflad, oglądała kryształowe zastawy i pościelenia, zwiedzała każdy kąt nowego domu. Z czasem emocje jednak opadły. Bezcelowe snucie się po posiadłości sprawiało, że czuła się pusta jak zjawa, która błąka się po świecie, lecz nie jest naprawdę jego częścią. Może to dlatego duchy straszyły - z nudów!

Wolała więc zostać w swoim kokonie z pościeli i śnić. Sny różniły się od rzeczywistości. Mogła stać się, kimkolwiek chciała, i robić to, na co miała ochotę - być królową balu albo czymś jeszcze fantastyczniejszym, na przykład ptakiem szybującym nad łąką czy falującym morzem, gdzie słona bryza pieściłaby jej policzki. Czasami we śnie odwiedzał ją ojciec.

Od dnia ślubu coraz częściej o nim myślała. Ceremonia odbyła się z zachowaniem wszelkich tradycji, z wyjątkiem tego, że to matka poprowadziła ją do ołtarza. Mówiła, że to bez znaczenia, ale fala pytań znów zalała Dorę, a mama odmawiała udzielania nowych wyjaśnień.



- John Devereaux był Francuzem - mówiła. Był wysoki, silny i miał gęste czarne włosy, jakie odziedziczyła po nim córka. Oczy miał ciemne jak Missisipi w bezgwiezdną noc.

Więcej nie dało się z mamy wyciągnąć - ani tego, co tata lubił robić, jakie jedzenie mu smakowało czy kim byli jego przyjaciele. Mimo braku informacji Dora wymalowała sobie w wyobraźni obraz ojca. Śniła czasem, że zjawia się on na progu hotelu, żeby zrobić jej i mamie niespodziankę, albo że stoi wraz z nim na dziobie statku, pomagając mu przeprowadzić okręt przez wzburzone sztormem morze. Sny sprawiały, że dla niej tata nadal żył. Teraz też spróbowała wśliznąć się w jedną z tych wizji. Widziała go, ale obraz pozostawał nieruchomy. Nie potrafiła go ożywić. Nie potrafiła obrócić snu w rzeczywistość.

- *Ma chere?* - zza drzwi dobiegł jej uszu chropowaty szept Bonmarie.

Dora nakryła się kołdrą.

Służąca weszła do środka w białym fartuszkusie spryskanym konfiturą truskawkową.

- Lepiej wstawaj, jeśli chcesz, żebym pomogła ci się wystroić na to spotkanie Pań Zarządzających.

Bonmarie odsłoniła okna i światło poranka wdarło się do pokoju. Dora zakryła twarz poduszką, ale i tak zapach francuskich tostów, topiącego się masła i kawy z cykorią sprowadzanej specjalnie z Nowego Orleanu zdążył połaskotać jej nozdrza.

Aż ślinka jej ciekła, ale nie była gotowa pożegnać się ze swoim kokonem, jeszcze nie.

- Jeśli nie wstaniesz, zanim wrócę, wyleję ci tę kawę na głowę - zagroziła Bonmarie.

Dora odrzuciła poduszkę.

- Dobrze, już dobrze.

Służąca wyszła, a Dora podniosła się z łóżka, wciąż otulając gołą skórę kołdrą. Nie mogła przywyknąć do spania w ubraniu, nawet tu, gdzie noce wcale nie były ciepłe. Przez pierwsze dni w nowym domu próbowała wkładać do snu koszulę, ale za każdym razem budziła się tak ciasno zaplątana w muślin, aż obawiała się, że nigdy się nie wyswobodzi. Dodatkowa kołdra okazała się o wiele lepszym rozwiązaniem.

Dziś Dora nie zważała na chłód, gdyż był to dzień jej pierwszego zebrania Pań Zarządzających. Podeszła do pozostawionej przy ogniu tacy. Zapadła się w miękkie aksamitne poduszki kanapy i wzięła w obie dłonie filiżankę ze złotą otoczką. Okrywająca ją kołdra zsunęła jej się do pasa. Mogła włożyć bladoniebieską sukienkę z turniurą albo grafitową z węższą, modniejszą spódnicą. Chyba jednak wybierze grafitową, by panie widziały, że nadaża za najświeższymi paryskimi trendami.

Para unosząca się z filiżanki wypełniła jej nozdrza zapachem kawy i ogrzała policzki. Nic nie smakowało rano lepiej niż napar Bonmarie. Dora przytuliła naczynie do piersi, by trochę się rozgrzać, ale przechyliła je niechcący i ochlapała sobie brzuch. Wykonała gwałtowny ruch filiżanką, przez co kolejna porcja napoju wylała się na białą pościel i dywan.

Dora odstawiła filiżankę i pospieszyła do szafy w holu, gdzie przechowywano bieliznę pościelową. Grzebała wśród poszewek w poszukiwaniu ręcznika. Nagle na schodach zabrzmiały ciężkie kroki Bonmarie.

- Wstydu nie masz - zagrzmiała.

Dziewczyna odwróciła się. Nie zwróciła uwagi na to, że jej okrycie zostało na podłodze.

- Mama lepiej cię chyba wychowała! Wracaj do pokoju i ubierz się, zanim ktoś cię zobaczy w tym stanie!

Dora wyszarpnęła z szafy poszewkę i owinąwszy się nią, poszła do sypialni z ręcznikiem pod pachą. Gotując się ze złości, uklękła przy płamie i zaczęła czyścić dywan. Bonmarie nie miała prawa odzywać się do niej w ten sposób. Nie jest dzieckiem. To nie dom mamy, a Charles ma rację -Bonmarie musi nauczyć się swego miejsca w hierarchii. Patrzyła, jak kobieta nalewa ciepłej wody do umywalki.

- I co z tego, że ktoś mnie zobaczy? To tylko skóra. -Proszę, niech to sobie przegryzie.

Sama niekoniecznie wierzyła w podany argument, ale nie mogła pozwolić, żeby Bonmarie dyktowała jej, jak ma się zachowywać. A może jednak wierzyła w swoje słowa?

- W Pałacu Sztuk Pięknych na targach są setki albo i tysiące ilustracji nagich kobiet. Nikogo to nie oburza. Nikt nie nazywa ich nierządnicami.

Bonmarie przechyliła dzbanek i wytarła palcem dzióbek. Miała usta, które wcinały się daleko w policzki.

- Jeśli jakiejś ladacznicy przyjdzie ochota ściągać majtki, żeby jakiś stary zboczeniec poślinił się na widok jej nie powiem czego, niech sobie to ludzie nazywają sztuką. Dla mnie to hańba, ohyda i obraza dzieła Bożego. Jeśli dziecku, które sama wychowałam, wydaje się, że będzie paradowało na golasa po domu, jakby było szatańskim pomiotem, to się myli. Grubo się myli.

Odwaga Dory stopniała. Gdy Bonmarie wrzucała do jednej wypowiedzi siły niebieskie i piekielne, nie było szans na wygraną. Nie było dla niej nic ważniejszego na świecie niż bycie dobrą katoliczką. Treść Biblii i kazanie księdza były słowem Bożym i nic nie mogło ich podważyć. Grzech pierworodny, główny, śmiertelny - wierzyła w nie wszystkie.

Dora inaczej patrzyła na świat. Bóg był zbyt potężny, by zmieścić się w kościele czy na kartach książki. Ale nie był to odpowiedni czas na spory.

- Może masz rację. Może nagie ciała są sztuką, a może nie. Jestem gotowa rozważyć obie możliwości. - Dora podeszła do szafy i wydobyła z niej czyściutką halkę, którą włożyła przez głowę.

Bonmarie posłała dziewczynie gniewne spojrzenie, po czym jej rysy nieco złagodniały.

- Możliwości? - Potrząsnęła głową. - W końcu przekonasz się, że ten świat oferuje o wiele mniej możliwości, niż kiedykolwiek się spodziewałaś.

Zbliżyła się do Dory. Podniosła rzucony przez nią na łóżko ręcznik i schyliła się. Polała plamę z kawy resztką wody z dzbanka i potarła mocno. Gdy na dywanie pozostał już tylko mokry ślad, Bonmarie wstała, by wyjść.

Dora zastąpiła jej drogę. Zarzuciła ramiona na szerokie barki kobiety i przytuliła ją mocno.

- Rozumiem, że bardzo się o mnie troszczysz, i kocham cię, wiesz? - Gdy wypuściła ją z objęć, oczy Bonmarie lśniły.

Poklepała Dorę po ramieniu, pogładziła jej włosy i ruszyła do drzwi.

- Bądź grzeczna. Umyj się i wybierz, w co chciałabyś ubrać się na spotkanie. Uczeszę cię, gdy skończę z przetworami. - Wyszła, a po chwili schody zaskrzypiały pod ciężarem jej kroków.

Wypolerowane dębowe drzwi rezydencji państwa Richmondów stanęły otworem, zanim Dora zdążyła zapukać. Powitał ją lokaj w sztywnym czarnym fraku. Przyjął ją chłodno - z uniesionym podbródkiem, ale spuszczonej oczami.

Weszła do środka i omiotła wzrokiem oszłamiający przepych holu. Lustro w pozłacanej ramie wznosiło się niemal do sufitu pierwszego piętra, a przed nią kręte schody

wspinały się na posadzkę z białego marmuru przetykanego szarymi żyłkami. Nad głową miała żyrandol z tuzinem maleńkich mosiężnych uchwytów na świece i mnóstwem kryształowych kropelek, które podzwaniały, kołysząc się od chłodnego powiewu płynącego z otwartych na jej przybycie drzwi. Dora przełknęła ślinę i poczuła, że dłonie pocą jej się pod białymi koronkowymi rękawiczkami.

Lokaj pomógł jej zdjąć pelerynkę, a wówczas w cieniu schodów po drugiej stronie korytarza rozsunięły się drzwi. Dało się słyszeć gwar rozmów i tony skrzypiec. Następnie drzwi zasunięto, a w holu rozległ się ostry stukot obcasów.

- Pani Charlesowa Chambers, proszę pani. - Słowa popłynęły z ust mężczyzny jak melasa.

Na widok pani Richmond ubranej w jaskrawożółtą suknię z białą falbaną zdobiącą turniurę szyfonowej spódnicy Dora poczuła, jak własna grafitowa wełenka pali jej skórę. Zatęskniła do zwiewnej bladoniebieskiej kreacji, która została na wieszaku w szafie.

- Witam, pani Chambers. - Pani Richmond wskazała na podwójne drzwi w odległym końcu korytarza. - Nasza komisja zebrała się już w galerii.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi i pani Richmond się zatrzymała. Lokaj poszedł otworzyć. Gospodyni stała bez ruchu, nasłuchując.

- Dzień dobry, pani Forrest - wyrecytował lokaj nieco głośniej, niż było to konieczne.

Pani Richmond popatrzyła na Dorę, a na jej obliczu malowała się panika. Poklepała dziewczynę po ramieniu, jak gdyby chciała ją pocieszyć, i zostawiła ją samą.

- Pani Forrest, witaj, moja droga. Jak miło z twojej strony, że przyszedłaś. Pozwól, że ci pomogę z tym zachwycającym szalem.

Pani Forrest przekroczyła próg i zsunęła z ramion biały dziany szal ozdobiony długimi pierzastymi frędzlami. Pod spodem kryła się śnieżnobiała suknia z turniurą jeszcze większą niż przy stroju pani Richmond. Czarna tasiemka z kameą stanowiła ozdobę szyi, a także przetykała białe pióra przy kapeluszu. Kobieta przypominała łabędzia sunącego bez wysiłku po tafli stawu, tyle było w niej gracji i pewności siebie.

- Pani Sheffield, panią również miło widzieć. - Pani Richmond zwróciła się do towarzyszki pani Forrest, kobiety niewiele wyższej niż szerszej. Miała na sobie liliową wełnianą sukienkę z dopasowaną fioletową lamówką, lecz uwagę Dory przyciągnęła ozdoba w kształcie sójki na jej kapeluszu. Ptak wyglądał jak żywy, jak gdyby właśnie przysiadł na gnieździe z kwiatów i piór, spoczywającym na głowie kobiety, i jakby w każdej chwili mógł zerwać się i odlecieć.

- Dziękuję, Agnes - odparła pani Forrest, oddając okrycie pani Richmond. - Jesteś taka uprzejma... - Uśmiech zniknął z jej ust, gdy jej wzrok spoczął na stojącej w holu Dorze.

Pani Richmond stanęła przed Geraldine, by zasłonić jej widok.

- Cecil, odprowadź panią Chambers do galerii. Ja z radością potowarzyszę pani Forrest.

- Jak pani sobie życzy. - Stuknął obcasami na marmurowej posadzce, odwrócił się tyłem do drzwi i przemaszerował przez hol, w którym powietrze było aż gęste od panującego napięcia. Skinieniem głowy dał znać Dorze, by szła za nim.

Uśluchała z ociąganiem. Już w teatrze egipskim czuła chłód bijący od pani Forrest, tu kobieta była wręcz niegrzeczna. Dora uniosła podbródek i ściągnęła łopatkę.

Będzie emanowała dumą, nawet jeśli w tej chwili wcale jej nie odczuwała.

Kroczyła w ślad za lokajem i wytężała słuch, by wyłowić szepty za swoimi plecami. Była świadoma niezadowolonego tonu, ale nie potrafiła rozróżnić wypowiedzianych słów. Gdy dotarli do podwójnych drzwi, mężczyzna otworzył jedno skrzydło, stanął z boku i gestem zaprosił ją do środka.

Scena, jaka ukazała się oczom dziewczyny, odsunęła na dalszy plan wszelkie poirytowanie. Galeria była większa niż jakikolwiek salon, który Dora dotąd widziała, jak gdyby należała do muzeum, nie do domu mieszkalnego. Najpierw zauważyła obrazy wiszące w złotych ramach po trzy lub cztery, jeden nad drugim. A potem jej wzrok objął kobiety - zebrały się tak licznie! Stały w grupkach, siedziały na sofach, rozmawiały przy stole zastawionym podgrzewanymi naczyniami, półmiskami i czajniczkami. W tle skrzypek w kawowej kamizelce trzymał pod brodą instrument. Smyczek tańczył po strunach, wypełniając pokój radosną muzyką.

Żadna suknia nie uszła uwagi Dory, a był tam cały wachlarz przepięknych pastelowych odcieni - lawenda, blady róż, błękit jaja drozda. Objęła się ramionami, coraz mocniej żalując ponurego koloru własnej sukienki. Zlustrowała pokój. Wszyscy byli pogrążeni w rozmowie i nikt nie patrzył w jej stronę. Każda z pań była tu na swoim miejscu, każda przynależała do towarzystwa.

Podeszła do długiego stołu zastawionego porcelanowymi talerzami pełnymi bułeczek i ciastek, biszkoptów i puddingu. Minęła je i zatrzymała się dopiero przy srebrnych czajniczkach, wzięła filiżankę ze spodeczkiem i naląła sobie herbaty Darjeeling.

Gdy dmuchała na napar, by go ostudzić, do sali wkroczyły pani Richmond z panią Forrest i panią Sheffield. Pani

domu zbliżyła się do Dory, podczas gdy jej towarzyszki dołączyły do grupki kobiet stojącej po przeciwnej stronie pokoju.

- Zaraz zaczynamy - oznajmiła pani Richmond, obejmując Dorę w pasie i kierując ku środkowi pokoju. - Dobrze się bawisz?

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, znalazły się w mniej zatłoczonej części sali, na widoku wszystkich, i zgromadzenie zamilkło. Oczy zaczęły zwracać się w ich stronę, a spojrzenia ciążyły na Dorze jak ołowiane odważniki. Wyprostowała się i powiodła wokół wzrokiem tak pewnym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć.

Pani Richmond dała znać skrzyppkowi, żeby odłożył smyczek.

- Drogie panie, pozwólcie, że przedstawię panią Charlesową Chambers. - Dała zebrany czas na powściągliwy aplauz. - Pani Chambers od niedawna zamieszkuje Chicago, a pochodzi z Nowego Orleanu, prawda, kochanie?

Dora pokiwała głową i nie mogąc powstrzymać drżenia rąk, odstawiła filiżankę wraz ze spodkiem na najbliższy stół. Tuż przed nią dama z ogromną brzoskwinową kokardą na kapeluszu nachyliła się do sąsiadki, by szepnąć jej coś na ucho.

- A jako najświeższa członkini komisji już zyskała sobie naszą wdzięczność zgłoszeniem się na ochotnika do bycia łączniczką z teatrem egipskim. Niestety, funkcja ta jest niezbędna, szczególnie teraz, gdy do sprawy włączyło się Towarzystwo Walki z Nierządem. Przynajmniej zgodziło się zakończyć swoje śmieszne protesty, w zamian przenosząc wysiłki do miejscowych gazet.

Tu i ówdzie dało się słyszeć pomruki i szepty.

- Panie, bardzo proszę - pani Richmond zamachała ręką, by uzyskać ciszę. - Przy odpowiedniej dozie nadzoru teatr z pewnością uda się poskromić. Ach, to mi przypomniało... -



Zaczęła przeglądać twarze w poszukiwaniu konkretnej osoby. - Pani Tillday?

Morze spojrzeń zwróciło się ku tyłowi sali i spoczęło na kobiecie siedzącej samotnie w kąciku, wbijającej wzrok w kolana. Wyglądała na zupełnie wyłączoną z biegu wydarzeń, jakby znajdowała się sama w parku, a nie na bordowej sofie z filizanką i spodeczkiem w dłoni. Na dźwięk swojego nazwiska energicznie podniosła głowę, ukazując spod rudej grzywki duże, jasne oczy. Na jej twarzy błąkał się wyraz zmieszania i strachu.

- Mam nadzieję, że pani, pani Tillday, weźmie panią Chambers pod swoje skrzydła i wesprze ją w działaniach. -Kolejny szmer rozszedł się po sali. - Chyba że ma pani coś przeciwko?

Biedna kobieta poruszyła się niepewnie pod ciężarem licznych spojrzeń.

- Tak, oczywiście. To znaczy nie, nie mam nic przeciwko.

Potulny głos doskonale do niej pasował. W prostej bluzce z wysokim kołnierzem i czarnej wełnianej spódnicy pani Tillday wyglądała wśród pastelowych kryz i pękatek tur-niur tak nie na miejscu, jak Dora się czuła.

Dziewczyna przełknęła ślinę, aby ukryć rozczarowanie. Którakolwiek inna pani byłaby milej widzianą partnerką.

Dora spróbowała skupić się na tym, co pani Richmond miała do powiedzenia.

- Pani Palmer przesyła pozdrowienia. Kierownictwo Wystawy zażyczyło sobie jej obecności, więc nie mogła do nas dołączyć. Prosiła jednak, bym powiadomiła was o obiedzie, jaki zostanie wydany na cześć panny Susan B. Anthony, która odegrała tak ważną rolę we wspieraniu kobiecego działu targów.

Zebrane panie wymruczały zgodę. Pani Richmond mówiła dalej:

- Stworzymy komitet ochotniczek, ale pozwólcie, że dodam, iż pani Palmer będzie zwracać baczność uwagę na staranne wykonywanie obowiązków. Sumienna praca z pewnością zyska wam uznanie w jej oczach. Czy zobaczę las rąk?

Dłonie w rękawiczkach wystrzeliły w powietrze. Ale nie każda z pań podniosła rękę - z rogu, w którym zasiadła pani Forrest, nie zgłosiła się żadna.

Pani Richmond wywoływała nazwiska.

- Pani Loomis, pani Charleston, pani Rupert i, o tak, pani Gilmore.

Dora oddaliła się ku bibelotom ustawionym na olbrzymim kominku, marząc o staniu się niewidzialną na czas selekcji. Przyglądała się chińskim wazom i figurkom z nefrytu, starając się nie zwracać uwagi na rozgrywający się właśnie konkurs popularności.

Wtem poczuła delikatne klepięcie w ramię. To pani Tillday stała za nią z nieśmiałym uśmiechem na ustach.

- Pani Tillday, miło mi panią poznać - powiedziała Dora. Może kobieta nie była jej wymarzoną partnerką, ale jednak miały razem pracować. - Jestem Charleso-wa Chambers.

Wzrok pani Tillday nie opuszczał podłogi.

- Tak, wiem.

Dora nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

- Ach tak, wstęp pani Richmond. Spojrzenie pani Tillday powędrowało w górę.

- Nie, jeszcze długo przed tym. Wszyscy wiedzą, kim pani jest. - Zakryła sobie usta dłonią. - O, nie! Znów strzeliłam gafę, prawda? Ja zawsze mówię nie to, co trzeba. Proszę mi wybaczyć... Chcę powiedzieć, że naprawdę...

- Niech pani nie będzie niemądra - wyjąkała Dora. Chciała zapytać, jakie fakty z jej życia wszyscy znali, ale

ugryzła się w język. Nie wolno jej dociekać. Rozmówczyni nie może zobaczyć, że na myśl o byciu tematem plotek Dorę przeszedł dreszcz.

- Czuje się pani przeze mnie nieswojo, to widać. - Pani Tillday zgarbiła się, jak gdyby chciała zwinąć się w kłębek i całkiem zniknąć.

Dora się uspokoiła. To nieporozumienie, nic więcej.

- Proszę, dajmy już temu spokój. Nie wiedziałam po prostu... nie zdawałam sobie sprawy... - Dlaczego tak ciężko ubrać uczucia w słowa?

Na szczęście pani Richmond zmierzała w ich stronę.

- Pani Chambers, czy mogę na chwilę panią porwać? -Dama wyglądała na uradowaną. - Pani Forrest prosi panią na słówko, dobrze? Myślę, że ma ochotę powitać panią na pokładzie. Wybacz pani, pani Tillday?

Pani Richmond pociągnęła Dorę za łokieć, nie czekając na odpowiedź. Przez ramię dziewczyna widziała jeszcze, że jej nowa partnerka siada z powrotem na sofie, by wrócić do mierzenia się wzrokiem z filizanką i spodkiem.

Przeszło jej przez myśl, że ulga, którą odczuła, jest pewnie złą emocją, ale wyrzuty sumienia ulotniły się, gdy stanęła przed panią Forrest. Wyglądała oszałamiająco w lśniącej białej sukni i z wysoko upiętymi blond lokami - aż bił od niej blask.

- Jak to miło, że się pani do nas przyłączyła, pani Chambers - powitała Dorę. - Wiem, że jesteśmy dla siebie obcymi osobami, ale mam wrażenie, że już świetnie panią poznałam. Charles tyle mi o pani opowiadał.

Czy pani Sheffield, wtulona w grupkę przyjaciółek za plecami pani Forrest, właśnie stłumiła chichot?

Dora starała się na gwałt wymyślić jakąś uprzejmą odpowiedź, ale jej wysiłek był zbyteczny, bo piękna wdowa nie przerywała monologu.

- Agnes, kochana, jakaś służąca szukała cię chwilę temu. Biedactwo, wyglądała na okropnie przejętą.

Pani Richmond podrapała się w czoło.

- Nowa pomoc domowa. Teraz je wszystkie trzeba prowadzić za rękę.

- Przeprosiła gości i pospiesznie opuściła salę.

Pani Forrest zwróciła się do stojących za nią kobiet.

- Idźcie, wmieszajcie się trochę w tłum. Nie chcecie chyba, by uważano was za snobki.

Panie zaśmiały się, jak gdyby był to utarty żarcik, i odeszły o kilka kroków, choć nie na tyle daleko, by znaleźć się poza zasięgiem słuchu.

- Charles wspominał, że poznaliście się w Nowym Orleanie.

Znowu „Charles”? Czy „pan Chambers” nie byłoby odpowiedniejszą formą wyrażania się o czyimś mężu?

- Czyli to pewnie jego interesy w banku was zbliżyły? Dora przestąpiła z nogi na nogę, czując, jak nowe buty cisną ją w palce.

- Chyba można tak to ująć.

- Nie mogę powiedzieć, żebym dobrze znała Nowy Orlean. Czym zajmuje się pani rodzina?

- Głównie importem przypraw i tkanin, ale muszę przyznać, że interesy nigdy szczególnie mnie nie ciekawiły. - To była jej wyćwiczona kwestia. A rodzina naprawdę zajmowała się handlem. Kiedyś. Dora napotkała spojrzenie pani Forrest i przywołała na twarz coś na kształt uśmiechu.

- Importowanie towarów może być takie intratne. Pani rodzina posiada pewnie własne statki. Słyszałam, że trzeba mieć swoją flotę, żeby zarobić przyzwoite pieniądze.

Dora odwróciła się, by wyrazić podziw dla stojącego na stole wazonu pełnego czerwonych róż.

- Jakie piękne! Ciekawe, czy pochodzą z ogrodu pani Richmond. Proszę spojrzeć, są większe niż moja pięść. -Przysunęła zaciśnięte palce do główki jednego z kwiatów. Było to zupełnie absurdalne zachowanie, ale nie przychodziło jej do głowy nic innego, co mogłoby zepchnąć rozmowę na inny tor.

Pani Forrest nie zwróciła najmniejszej uwagi na róże.

- Znajomi opowiadali mi, że trzeba mieć przynajmniej trzy okręty, by przedsięwzięcie w ogóle się kalkulowało. Jakie jest pani zdanie?

Dora nie odrywała oczu od czerwonych płatków. Czowała, jak poca się jej dłonie.

- Naprawdę nie przywiązuję wagi do tego typu spraw. -Z trudem wymówiła ostatnie słowa, tak bardzo zaschło jej w gardle.

- Rozumiem. - Pani Forrest skrzyżowała ręce i stuknęła palcem w łokieć. - Jak długo pani rodzina prowadzi interesy w tej branży?

- Naprawdę nie potrafię powiedzieć - broniła się Dora, uparcie wbijając wzrok w kwiaty.

- Nawet ktoś, kto nie ma głowy do interesów, powinien choć trochę orientować się w rodzinnym przedsiębiorstwie. To doprawdy niesłychane, że tak skutecznie trzymano panią pod kloszem, z dala od wszelkich spraw.

Dora ośmieliła się zerknąć na panią Forrest. Kobieta mrużyła oczy z podejrzliwością. Domyślała się prawdy, dziewczyna nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. To jasne, że Dora powinna znać informacje o rodzinnym majątku - chodziło przecież o jej pochodzenie. Grała na zwłokę, wodząc palcem po płatkach róż, jak gdyby pochłonięta ich pięknem, wpatrzona tylko w ich czerwień, ignorując spojrzenie rozmówczynie i udając, że nie zdaje sobie sprawy, iż coś jest nie w porządku.

- Skąd pani zna mojego męża, pani Forrest?

- Wielkie nieba, nie wspominał o mnie? Ciekawe dlaczego. - Ostatnie słowa wypowiedziała ciszej, jak gdyby dobrze znała przyczynę, lecz celowo nie chciała jej wyjawić. -Wszyscy wiedzą, że od wieków jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. - Sposób, w jaki zaakcentowała „bliskimi”, spowodował u Dory ucisk w żołądku.

- Jestem przekonana, że nigdy o pani nie mówił.

- Znali się dobrze z moim świętej pamięci mężem, byli niemal jak bracia. Charles był dla mnie wielkim oparciem w zeszłym roku, kiedy Randolph zmarł. Rzadko zdarza się spotkać mężczyznę z tak ogromną dozą empatii. Był taki współczujący. Ale cóż, on dopiero co stracił oboje rodziców. Rozumieliśmy nawzajem swój żal. - Westchnęła. - Zupełnie dobra partia z tego pani Charlesa. Wiedziała pani, że był jednym z naszych najpopularniejszych kawalerów?

- Nie, nie byłam tego świadoma. - Charles oparciem? Współczujący? Dora zmusiła się do kolejnego sztucznego uśmiechu.

- Niektórzy z jego przyjaciół dziwili się, że zapuszcza się tak daleko w poszukiwaniu żony. Wiele tutejszych pań go uwielbia. Naprawdę miał z czego wybierać. Szczerze powiedziawszy, niejedna była zdruzgotana na wieść o jego pospiesznym ślubie. Cóż, czasem trudno zrozumieć zachcianki mężczyzny.

Patrząc w te lodowate niebieskie oczy, Dora zdała sobie sprawę, że słowa kobiety nieprzypadkowo ociekają jadem. Poznała to po uniesionej jasnej brwi i drzeniu ust Geraldine po każdym kąśliwym zdaniu. Nie pozwoli jednak, by tamta dostrzegła zadany ból. Tej satysfakcji jej pozbawi.

Pani Forrest zerknęła w bok, z trudem kryjąc uśmieшек zadowolenia. Czowała, że sprawiła Dorze przykrość. W jej oczach migotał triumf.

Dora uśmiechnęła się, by ukryć rosnące oburzenie. Wiedziała, że powinna odpowiedzieć spokojnie, pochlebnie, tak by sprowadzić rozmowę z powrotem na tor cywilizowanej konwersacji. Pani Forrest jednak tak otwarcie szczyrzyła złośliwe zęby, że dziewczyna mogła je wszystkie policzyć. Wyobraziła sobie, jak wypadają jej z ust, jeden po drugim, uderzając o wypolerowaną podłogę z cichym brzękiem.

Tymczasem piękna wdowa szykowała się do kolejnego natarcia.

- Damy w naszych kręgach starannie dbają o to, by nie wystawiać się na działanie promieni słonecznych, ale widzę, że pani nie zaprzęta sobie głowy podobnymi sprawami. A może pani położenie materialne nie pozostawiło pani wyboru?

Zniewaga odjęła Dorze mowę. Wytworna dama odpłaciłaby doskonale wyważoną, beznamietną ripostą, ale ona miała tylko ochotę kopnąć przeciwniczkę w kostkę. Gotowała się ze złości. Spojrzała pani Forrest prosto w oczy i opanowawszy się, przemówiła:

- Jeśli wszystkie kobiety w Chicago są tak nienawistne jak pani, nie dziwi mnie wcale, że pan Chambers szukał żony wszędzie, byle nie tu. A jeśli naprawdę myśli pani, że Charles jest pani przyjacielem, to powiem pani tyle: nigdy przez lata, tak, pani Forrest, lata, nasze zaręczyny nie były niczym niespodziewanym, nie wspomniał o pani. Ani razu. - Rzeczywiście znała go od lat. Może nie przez cały ten czas zmierzali do małżeństwa, ale pani Forrest nie musiała tego wiedzieć. - Sądzę, że nie ma o pani tak wysokiego mniemania, jak pani się wydaje. Będzie natomiast na pewno ciekaw, jaka to z pani wspaniała przyjaciółka.

Pani Forrest wykrzywiła usta w pobłażliwym uśmiechu i pochyliła się ku Dorze.

- Na pani miejscu byłabym ostrożna, jeśli chodzi o wszczynanie awantur, szczególnie ze względu na męża, który nie może sobie pozwolić na zniechęcenie do siebie niektórych osób.

Nacisk, który położyła na słowie „niektórych”, nie pozostawiał wątpliwości, że miała na myśli „potężnych”, nie wyłączając siebie z tej kategorii.

Przez ułamek sekundy w szyderczym uśmiešku pani Forrest Dora ujrzała wszystkie złośliwe grymasy, którymi kiedykolwiek ją obdarzono. Dzieci dokuczające jej na ulicy, młodzi mężczyźni, którzy mierzyli ją wzrokiem, a potem odwracali oczy, każdy gość hotelowy, który pomiałał nią, jak gdyby była wynajętą służącą - wszystko to zlało się w jej głowie w całość, znajdując odbicie w nieskazitelnym, porcelanowym obliczu Geraldine Forrest.

- Jest pani nikczemną kobietą. To ja jestem żoną Char-lesa, i jak długo pozostaję panią jego domu, tak długo pani noga w nim nie postanie. - Miała nadzieję, że paląca ją nienawiść jest odczuwalna w jej słowach. Chyba była, gdyż przeciwniczka zerknęła nerwowo na boki, by sprawdzić, czy ktoś mógł je podsłuchać.

Dora spostrzegła, że kilka osób odwróciło się w ich stronę, łącznie z przyjaciółkami damy. Stojąc tak twarzą w twarz z oniemiałą Geraldine Forrest, Dora poczuła przypływ skruchy. Dała się ponieść emocjom i co konkretnie zyskała? Satysfakcję dla swojej dumy? Wroga?

Pani Forrest zbliżyła się do niej i wyszeptwała:

- Może i jesteś ładniutka, ale jeszcze wiele musisz się nauczyć o właściwym zachowaniu. - Na jej twarzy malował się tak głęboki spokój, że nawet najbliższy stojący słuchacz nie uwierzyłby, ile okrucieństwa kryje się w jej złotym pięknie. - Ach, i nie będę zaprzętać sobie głowy skreślaniami Charlesa z listy osób do odwiedzenia. Z tego, co



zdążyłam zaobserwować, nie na długo pozostaniesz panią jego domu. Uśmiechając się krzywo i potykając lekko po drodze, podeszła do nich pani Sheffield.

- Pozwól na chwilę, musisz posłuchać opowieści pani Loomis. - Było jasne, że zaproszenie obejmowało jedynie panią Forrest. - Jej przyjaciółka wstąpiła na targi zobaczyć występ tancerek brzucha, tak dla hecy. Mówi, że prawie rozebrały się na scenie! - Zgorszenie w jej głosie nie było w stanie zatuszować zachwyty plotką. - Chodź, sama posłuchaj.

Pani Forrest milczała, ale Dora wiedziała, że kobiety porozumiały się bez słów. Cień uśmiešku, przechylenie głowy - to język migowy spiskowców.

Geraldine wykrzywiła usta w ironicznym grymasie.

- Tak, chętnie posłucham. Dora i ja skończyłyśmy już pogawędkę, prawda? Poznanie pani bliżej sprawiło mi prawdziwą przyjemność. Jestem przekonana, że będziemy się częściej widywać. - Pani Forrest zrobiła ruch, jak gdyby już miała podążyć za przyjaciółką, ale odwróciła się jeszcze do dziewczyny. - Ach, proszę przekazać Charlesowi serdeczne pozdrowienia ode mnie.

Dora patrzyła, jak kobieta sunie przez salę, poruszając się tak, że na jej spódnicy i rękawach nie powstawała najmniejsza nawet fałdka. Dziewczyna starała się oddychać przez ściśnięte gardło, ale czuła, że pokój zamyka się wokół niej - ściany zdawały się do niej zbliżać, blokując dostęp powietrza. Dwie damy dołączyły do rosnącej grupki pań, przyciąganych nowinkami o tancerkach brzucha.

Wyjść. Powinna stąd wyjść i już nigdy nie wracać. Winić należało jej gwałtowny charakter. Wiedziała, że będzie żałować swoich pochopnych słów. Starła się uspokoić i myśleć racjonalnie. Czy wyrządzona szkoda jest bardzo

poważna? Przebiegła wzrokiem po zebranych kobietach, by znaleźć panią Richmond, ale nigdzie jej nie było. Etykieta wymagała złożenia podziękowania na ręce gospodyni przed wyjściem.

Jakie jednak znaczenie miały teraz dobre maniery? Została poddana próbie, a werdykt był z góry przesądzony. Mogła mieć co do tego pewność, gdyż ani jedna para oczu nie była zwrócona na nią. Była tu nikim i nikt też nie zauważył, jak wymyka się z sali.

Odebrała powóz, wspięła się na kozła z pomocą służącego i poprowadziła Delilę w dół ulicy. Dopiero skręciwszy za róg, pozwoliła łzom potoczyć się po policzkach. Najpierw pociekły wąskimi strużkami, potem runęły strumieniami. Wytarła je kilkoma szybkimi ruchami odzianych w rękawiczki dłoni.

Krew pulsowała jej w uszach, gdy łkała, a własny szloch był jedynym dźwiękiem, jaki słyszała poza stukotem kopyt Delili i chrzęstem metalowych kół.

Gdy dotarła do domu, burza uczuć minęła. Dora oddychała spokojnie, obeschły łzy. Nie mogła się jednak otrząsnąć z odrętwienia. Zapuchnięte powieki same się zamykały, przez co budynek widziała jak przez mgłę.

Było za wcześnie, aby Charles był w domu. Jeszcze przez kilka godzin będzie wolna od przesłuchania. Miała dość czasu, żeby odpocząć, wyciszyć się i ucharakteryzować z powrotem do roli dobrej żony. Potrzebowała drzemki, odrobiny snu, żeby zregenerować siły.

Zaprowadziła Delilę do stajni i przekazała lejce Haroldowi, ogrodnikowi, który również karmił klacz i dbał o nią. Na powitanie skinął dziewczynie głową i wyjął z ust fajkę. Na chwilę zawiesił na niej spojrzenie zielonych irlandzkich oczu. Nigdy nie krył niechęci do kobiet, które radziły sobie bez pomocy stangreta.

- Nie spodziewałem się pani tak wcześnie, pani Chambers.  
- Spotkanie skończyło się prędzej, niż przypuszczałam. -Dlaczego mu się tłumaczy?

- Rozumiem. - Harold nie patrzył już na nią, ale i tak dostrzegła, jak pobłażliwy uśmiezek wykrzywiał jej policzki.

Minęła go szybko, starając się opuścić stajnię przed nawrotem łez. Nogi ciążyły Dorze jak worki z mąką i dotarcie do tylnych drzwi wymagało od niej całego zapasu silnej woli. Jeszcze tylko kilka kroków, pocieszała się. Tylko parę metrów dzieliło ją od łóżka, jej świątyni. W domu panowała idealna cisza. Nie było odgłosów gotowania ani sprzątanania, nigdzie nie rozbrzmiewał głos Hazel ani Bonmarie. Schody. Dora pokonała stopnie i dotarła na górę.

Padła na łóżko, słysząc, jak echem odbija się w jej głowie mantra mamy: „Jesteś na równi z nimi wszystkimi”. Co za farsa. Dora podciągnęła kołdrę pod samą brodę. Nie знаła miłszego uczucia niż dotyk świeżej pościeli. Gruba, miękka, nowa. W niczym nie przypominała wytartych, przekazywanych od gościa do gościa koców, z których musiała korzystać w hotelu. Prześpi się chwilę, tylko tyle, żeby stanąć z powrotem na nogi. Krótka ucieczka od świata, póki ma jeszcze czas.

Sypialnia zalana była światłem poranka, gdy Dora otworzyła oczy. Na czole czuła ciepłą dłoń Bonmarie.

- No, jesteś wreszcie. Nieźle nastraszyłaś pana Cham-bersa. - Bonmarie pomacała jej głowę. - Gorączki raczej nie masz. Pokaż język.

- Po co? - Przetarła ręką twarz, próbując odgonić resztki snu.

Bonmarie popatrzyła na nią z ukosa. Dora usłuchała.

Podczas gdy służąca ją badała, dziewczyna zdała sobie sprawę, że wcale nie jest rano. Światło nie sączyło się z okien, lecz z lamp. A u stóp łóżka stał Charles. Było późno.

- Czuję się dobrze - wyjąkała. - Położyłam się tylko na przedobiednią drzemkę. Która godzina?

- Ósma. Pan Chambers próbował zbudzić cię, żebyś coś zjadła, ale...

- Doro, na pewno nic ci nie jest? - Mąż zbliżył się do niej. Zwisające po bokach dłonie zwinął w pięści, jak gdyby nie miał pomysłu, co z nimi zrobić.

- Siedziałem tam, gdzie teraz Bonmarie. Chciałem cię obudzić, ale ani drgnęłaś, nawet odrobinę. Bałem się, że może... - urwał.

Nie mogła sobie przypomnieć ostatniego razu, kiedy Charles wykazywał taką troskę. Współczuciem. Wsparciem. Słowa Geraldine Forrest rozbrzmiały z powrotem w jej uszach, aż zadrżała.

- Wszystko w porządku, jestem tylko zmęczona... - Nie mogła dokończyć zdania. Przypomniało jej się, o czym śniła. Pamiętała, że we śnie tańczyła na scenie teatru egipskiego, mając na sobie strój tancerki brzucha. Czuła, jak rusza się całe jej ciało, czuła, że żyje. Ależ dziwny był ten sen.

- Według mnie, nie masz gorączki - zawyrokowała Bonmarie. - Mówiłam mu, że zawsze twardo spałaś. - Rzuciła poirytowane spojrzenie w stronę Charlesa, poklepała Dorę po ręce i wstała.

- Chciałem się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku - wtrącił. - Na pewno nie potrzebujesz lekarza?

Wróciło do niej wspomnienie popołudnia.

- Nie bądź niemądry. Bonmarie ma rację. Rzeczywiście śpioch ze mnie. Przynajmniej w tej jednej dziedzinie jestem dobra. - Zdała sobie sprawę, że prowokuje go, by zaprzeczył,

ale nie uczynił tego. Zrobiło jej się przykro. - Mogłabyś mi przynieść obiad na górę? - poprosiła służącą.

Kobieta skinęła głową i wyszła. Charles wygładził kamizelkę dłońmi, jak gdyby i on zbierał się do opuszczenia pokoju.

- Zaczekaj, Charles. Nie dotrzymałbyś mi towarzystwa? - wymruczała.

Rysy jego twarzy zrobiły się naraz jakby mniej surowe. Przysiadł na skraju łóżka.

- Naturalnie. - Ujął jej dłoń. - Zebranie musiało być pełne wrażeń, skoro tak cię wyczerpało.

Stało się - amnestii nie będzie. Padnie teraz grad pytań, a ona będzie musiała przyznać się, jaka była głupia. Chociaż... nie, wcale mu nie powie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie pozwoli, by Geraldine Forrest odebrała jej tę chwilę. Wczuła się w rolę.

- Wiesz, jakie są kobiety. Przede wszystkim plotki, ploteczki. Jestem pewna, że twój dzień był bardziej ekscytujący.

Nie trzeba było namawiać Charlesa, by rzucił się w wir opowieści o entuzjazmie, z jakim pan Richmond przyjął szkic planu zawiązania spółek handlowych z zagranicznymi kupcami z targów. Mówił z zapałem, gdy wróciła Bonmarie. Położyła Dorze tacę na kolanach i przerwała mu w pół zdania.

- Zawołaj, jakbyś chciała repetę. Wszystko jeszcze jest, grzeje się na piecu.

Dora podziękowała. Bonmarie poklepała ją po ramieniu i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Dziewczyna dostrzegła grymas na twarzy męża.

- Nie gniewaj się - poprosiła. - Taka już jest.

- Celowo robi mi na złość. Jest służącą, na litość boską, niech zachowuje się jak służba.

Czy Bonmarie kiedykolwiek się tak zachowywała?

- Porozmawiam z nią, kochany. Nie martw się tym. Mówiłeś akurat o panu Richmondzie... - Wzięła nóż i widelec i zabrała się do krojenia steku.

Charles dotknął jej dłoni.

- Nie czujesz się najlepiej. Pozwól, że cię wyręczone. - Ujął sztucce i pokroił mięso. - Na czym to skończyłem? - Zanim zdołała wziąć pierwszy kęs, Charles był z powrotem pogrążony w swojej historii, a zmarszczki zdenerwowania zniknęły z jego czoła. Kiedy powiedział żonie, że pan Richmond zaprosił ich na kolację, wyglądał na szczerze uradowanego.

Dora śmiała się razem z nim, kiwała głową we właściwych momentach, lecz w istocie jego słowa wpadały jej jednym uchem, a wypadały drugim. Przyglądała się jego gładkim palcom oplatającym sztucce. Patrzyła, jak mruży oczy, gdy nabiera na widelec kawałek mięsa, trzy zielone groszki i porcję puree. Za każdym razem zawartość widelca była dokładnie taka sama. Precyzja i przewidywalność. Cały on.

Pomimo pedanterii potrafił być ujmujący. Nie był przystojny w klasycznym tego słowa znaczeniu, ale wyglądał dobrze. Nie był szczególnie wysoki czy umięśniony, może nawet odrobinę zbyt szczupły, ale miał miłą twarz, a kiedy się uśmiechał, widać było przebłyski beztroskiego młodzieńca, którym był przed laty. Był też zawsze nienagannym dżentelmenem.

Wciąż fascynowało ją, że należał do niej, że to wszystko - dom, służba, pozycja społeczna - było jej. Tak długo jego stosunek do niej pozostawał ambiwalentny - przyjazny, ale bez zbytniego zainteresowania. Wtrącanie się mamy bywało żenujące. Twierdziła, że właśnie tego trzeba mężczyznom, pchnięcia we właściwą stronę, a już szczególnie dotyczyło to kawalerów takich jak Charles. Godził się na

wspólne wieczory w hotelowym ogrodzie i spacery nad rzeką, lecz jego myśli zawsze zdawały się błądzić gdzieś indziej. Może rzeczywiście ukrywał tylko uczucia, które kiełkowały w nim od początku ich znajomości - tak twierdził, gdy na poważnie przystąpił do zalotów. Chciała w to wierzyć. A kiedy zjawił się w kwietniu i oznajmił, że zamierza wziąć ją za żonę, zmienił się nie do poznania. Na miejscu łagodnego flegmatyka stanął mężczyzna bezpośredni, zdecydowany, a nawet nieco niecierpliwy. Wyglądało to tak, jakby podjąwszy decyzję, nie mógł się doczekać ślubu.

Była przekonana, że wynikało to z faktu utraty rodziców. Mówił jej, że oczekiwali, iż syn pójdzie w ślady ojca, i wyrażali jawne rozczarowanie, kiedy oddawał się niewdzięcznemu zajęciu badania zabezpieczenia finansowego zgłaszanego przez żądnych kredytu przedsiębiorców, tylko po to by podróżować od portu do portu. Ich zdaniem lepiej byłoby spędzać czas na lobbowaniu o miejsce w zarządzie banku.

Ojciec zmarł w ubiegłym roku przeświadczony, że jednak zmarnował obiecującą karierę. Czuwając przy jego łóżku, syn przysiągł, że zrobi wszystko, by zapewnić matce jak najbardziej godziwy byt. Żyła tylko pół roku dłużej niż mąż, ale dane słowo ustawiło Charlesa na nowy kurs. Zjawił się w Hotelu Devereaux ledwie kilka tygodni po śmierci matki i to wtedy Dora zauważyła zachodzące w nim zmiany. Zadano wszystkie niezbędne pytania, omówiono oczekiwania i oferta małżeństwa została złożona. Nie były to romantyczne oświadczenia, ale dziewczyna i tak czuła się wybranką losu.

Zastanawiała się, ile kobiet odrzucił, by ożenić się właśnie z nią. Pani Forrest mówiła, że było ich wiele. Dora nie zrobiła dla niego podobnych wyrzeczeń. Patrzyła, jak w jego oczach błyska uśmiech, kiedy brała od niego kolejne kęsy. Surowe zasady mamy nie dawały Dorze szans na częste

opuszczanie hotelu, tym samym ograniczając kontakt z potencjalnymi konkurentami. Miała jedynie styczność ze służącymi lub hotelowymi gośćmi. Przez pewien czas jej myśli zaprzętał przystojny, młody dostawca warzyw, ale nie był to typ mężczyzny, którego należało zachęcać do zalotów. Brak ambicji, żadnej przyszłości. Z pewnością nie miałyby możliwości zapewnienia jej życia, o jakim marzyła.

Charles Chambers był darem niebios. Nie wolno jej o tym zapominać. Kochał ją, widziała to nawet teraz, patrząc w jego twarz. Pani Forrest była kłamczuchą, a on z pewnością wybaczy Dorze jej dzisiejszy wybuch. Musi tylko być żoną doskonałą, która uśmiecha się, gdy uśmiech gości na ustach męża, idzie tam, gdzie on sobie życzy, i czeka w domu, gdy on spodziewa się ją zastać.

Nie mogła cofnąć wydarzeń, ale może im dwojgu udałoby się przeprowadzić i zacząć wszystko od nowa? Nowy Jork, San Francisco... gdziekolwiek. Będzie idealna, już nigdy nie straci panowania nad sobą. Ludzie będą mogli mówić, co im tylko ślina na język przyniesie, a Dora zachowa dystans. Przecież wszędzie są banki. Charles mógłby znaleźć sobie inny, może taki, w którym od razu zajęłby stanowisko wiceprezesa. Zrobiłby to dla niej, czyż nie?

Ale czy to by coś zmieniło? Może jednak w słowach pani Forrest kryło się ziarnko prawdy?

To okropne, bolesne pytanie powróciło, ściskając Dorze żołądek i kradnąc powietrze z płuc. I wtem wyrwało się na zewnątrz, jak ostatnie tchnienie, jak gdyby zadał je ktoś inny. Usłyszała, jak z jej ust wydobywają się słowa:

- Kochany, czy nie wydaje ci się, że jestem zbyt ciemna?

Chciała cofnąć pytanie, ale było już za późno. Obserwowała jego minę, wiedząc, że może dopatrzeć się odpowiedzi w drgnieniu mięśnia lub przedłużonym milczeniu.

Brwi podjechały my wysoko ponad nos.



- Co masz na myśli? Ciemna i tajemnicza? Mroczna i ponura?  
Czy w jego głosie nie było wahania? Czy na ułamek sekundy nie odwrócił wzroku?

- Chodzi o moją skórę. - Proszę, to wszystko. Ta najstraszniejsza myśl. Mięśnie spięły się jej tak mocno, że aż sprawiały jej ból.

Charles roześmiał się.

- Żartujesz, prawda? Co ci przyszło do tej ślicznej główki? Już nie mogła się wycofać. Chciała mieć pewność.

- Tutejsze kobiety mają taką bladą cerę, prawie białą. Ja mam inną. - Uniosła rękę, której kremowy, lekko kawowy odcień był w jej oczach tak wyraźny jak lazur zasłon czy ciemny róż koca. - W Nowym Orleanie to nic niezwykłego, ale tu, owszem. Czy ludzie nie pomyślą, że wyglądam na prostaczkę? - Nie odważyła się wyjawić drugiego lęku, innego wyjaśnienia. Tego, którego nigdy, przenigdy nie wolno wypowiedzieć na głos.

Charles odłożył widelec na tacę. Ujął dłonie dziewczyny.

- Jesteś piękna, moja kochana. Nie mógłbym znieść, gdybyś wyglądała jak kobiety stąd. - Powiódł palcem po łuku jej brwi. - Czy ktoś powiedział ci coś przykrego?

Starła się nie myśleć o pani Forrest.

- Nie, ale tak się zastanawiałam...

- Jesteś egzotycznym, tajemniczym, wspaniałym kwiatem Nowego Orleanu. Jesteś doskonała taka, jaka jesteś, i nie zmieniałbym w tobie niczego, moja słodka. - Zabrał tacę z jej kolan i postawił ją na podłodze, po czym znów ujął dłonie żony i pocałował delikatnie koniuszki palców. Przyłożył jej dłonie do swojej piersi i zajrzał Dorze głęboko w oczy, wytrzymując jej spojrzenie, obserwując ją. Nachylił się ku niej i odnalazł ustami jej wargi. Nie było to cmoknięcie, którym zwykle ją obdarzał. Ten pocałunek był długi,

namiętny, pełen pasji. Przywarła do niego. Charles przysunął się, wyciągając się na łóżku obok niej i obejmując ją ramionami. Przeraziło ją jego podniecenie. Nie mogła się poruszyć. Błądził rękami po jej plecach, ustami badał jej szyję, a ona nie mogła nawet drgnąć. Brakowało jej tchu. Nie miała pojęcia, co robić.

Raptem donośne pukanie do drzwi wejściowych poniosło się echem po domu. Dora odsunęła się, z ulgą przyjmując odwrócenie uwagi męża.

- Kto to może być? Charles przymknął oczy.

W panującej ciszy słyszeli, jak Bonmarie otwiera drzwi i wita przybysza. Potem ich uszu dotarło niewyraźne mamrotanie, zamknięcie drzwi i jęk schodów pod ciężarem kroków służącej.

- Idzie tu - szepnęła Dora, odsuwając się jeszcze dalej. Charles nie wstał, tylko odwrócił się na plecy i leżał, więc podniosła się z łóżka i usiadła przy toaletce.

Rozległo się ciche pukanie.

- Tak, Bonmarie? O co chodzi? - głos Charlesa zabrzmiał jeszcze bardziej szorstko niż zwykle.

Drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich głowa służącej.

- Jest list do pana.

- Od kogo?

- Powiedzieli tylko, że to pilne. - Weszła do pokoju i podała mu białą kopertę.

Wstał i odebrał ją. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoje nazwisko widniejące na papierze, po czym odwrócił list, jak gdyby szukał jakichś wskazówek. Wreszcie otworzył kopertę i przeczytał znajdującą się w niej krótką notatkę. Gdy skończył, złożył kartkę i postukał nią w otwartą dłoń.

- Od kogo? - spytała Dora. Kto wysyłałby listy o takiej porze?

- Niestety, interesy - Ruszył do drzwi.
- Nie mogą zaczekać do rana? Zdawał się rozważać tę możliwość.
- Nie sądzę. - Zacisnął palce na liście, mnąc go w kulkę.
- Czy coś się stało?

Charles był już za progiem, ale zatrzymał się i zawrócił.

- Nie, wszystko będzie dobrze. Odpocznij. Masz jakieś plany na jutro?

- Nic szczególnego. Może napiszę do mamy. - Tak naprawdę zamierzała się dąsać, spać i opracować intrygę, która przekonałaby go do opuszczenia miasta i rozpoczęcia życia gdzieś indziej.

- To dobrze. Powinnaś wypocząć, żebyś była w formie na niedzielną kolację u Richmondów. Niedługo wrócę. -Klepnął dwa razy framugę i zniknął w głębi korytarza.

Dora podeszła do drzwi i słuchała, jak mąż schodzi po schodach, zdejmując z wieszaka kapelusz i płaszcz i wychodzi. Zamknęła drzwi sypialni i stanęła przy oknie, skąd patrzyła, jak Charles wyprowadza z domu zaprzężoną Delilę. Nie spuszczała z niego wzorku, aż zniknął w mroku ulicy.

Zdjęła pomiętą suknię i przewiesiła ją przez oparcie krzesła przy toalecie, po czym wśliznęła się pod kołdrę. Mimo nieobecności Charlesa jego rozczarowanie nadal wisiało w powietrzu. Źle zrobiła, że się odsunęła. Był jej małżonkiem, miał prawo do takich czułości. Tylko dlaczego tak ją to krępowało? Następnym razem będzie lepsza. Zmusi się, żeby być lepszą.

Liścik był pełnym zaskoczeniem. Może niesłusznie, ale Charles wcale się go nie spodziewał. Co Geraldine sobie wyobrażała? Zuchwale sobie poczyniała. Przeszedł go dreszcz, choć noc nie była szczególnie chłodna. Złapał lejce

jedną ręką, a drugą postawił kołnierz tweedowego płaszcza, tak by zasłonić uszy. Powiedział Geraldine, że wszystko skończone, przed wyjazdem do Nowego Orleanu, a teraz był żonatym mężczyzną. Gdyby był rozsądny, wyrzuciłby list i spróbował o nim zapomnieć. Ale czy w kontaktach z Geraldine kiedykolwiek kierował się rozsądkiem?

Notatka zawierała jedynie informację o tym, że przyjaciółka potrzebuje porady finansowej w sprawie spadkowej. Prowadziła nadal negocjacje z wierzycielami Randolpha, więc prośba o wsparcie nie była zaskoczeniem. Dziwna była tylko pora wysłania wiadomości.

Lekkim szarpnięciem skierował klacz za róg, wjeżdżając w ulicę, na której posesje ustępowały miejsca skromniejszym domom, a wreszcie sklepom. Było już późno, ale mijało go sporo powozów, a chodnikami spacerowały pary. Noc była doskonała na przechadzkę. Chmury, które zebrały się po południu, rozeszły się i sierp księżyca świecił jasno na czystym niebie. Jutro weźmie Dorę do miasta -może to pomoże jej się rozluźnić. Dziewczyna była strasznie spięta, przynajmniej ilekroć próbował się do niej zbliżyć. I o co chodziło z tą ciemną cerą? Wyglądała, jakby była bliska łez. Może to nic dziwnego, że czuje, iż się wyróżnia. Ale to właśnie jej inność sprawiła, że ją wybrał. Jak miałby patrzeć na porcelanową twarz i nie szukać w niej Geraldine? Jak wsuwałby palce w jasne włosy, nie marząc, by należały do niej? Dora różniła się od kochanki pod każdym względem, ale dorównywała jej urodą, i to stanowiło dla niego jedyną szansę. Nigdy nie przywodziła mu na myśl Geraldine.

Niemniej jednak było coś, w czym Dora mogłaby choć trochę przypominać rywalkę. Mężczyzna oczekuje, że jego żona będzie czysta i cnotliwa, ale ma też swoje potrzeby. Nie chciał jej naciskać, mając na uwadze męki, które przeżyli

w noc poślubną, kiedy wśród szlochów upierała się, by wyszorować prześcieradło, żeby pokojówki nie znalazły plamy krwi. Był cierpliwy, tydzień za tygodniem, ale istnieją granice męskiej wytrzymałości.

A teraz list od Geraldine. Jaka potrafiła być okrutna! Czy nie zdawała sobie sprawy, jak mocno pragnął dotknąć jej miękkiej, przejrzystej skóry? Jak bardzo tęsknił za słodyczą jej ust?

Spiął się cały na myśl o niej, jakby jego ciało kierowało się własnymi intencjami. Lecz nie to było przyczyną, dla której opuścił tej nocy łóżko żony i gnał klacz w kierunku ceglanej rezydencji za zakrętem. Nie ulegnie Geraldine. Wzniesie się ponad swoje popędy, bo taka jest jego powinność. Spełnianie się w roli dobrego męża dla Dory przekona prezesów banku, że w plotkach o jego rzekomym romansie z Geraldine Forrest nie ma ani źdźbła prawdy. Dowiedzie przed nimi, że jest nie tylko logicznym, ale i jedynym właściwym wyborem na stanowisko wiceprezesa.

Wystarczyło ostatecznie zakończyć sprawę z Geraldine.

## ROZDZIAŁ 4

Dora usłyszała skrzypnięcie drzwi do salonu. Odwróciła się od okna, skąd patrzyła, jak liście rosnących wzdłuż drogi wiązów migoczą w przedpołudniowym słońcu.

Bonmarie stanęła w progu, polerując ściereczką srebrną łyżkę do nakładania potraw.

- Będiesz się tak snuć z kąta w kąt przez cały dzień czy znajdziesz sobie jakieś produktywne zajęcie?

Dora znów wyjrzała przez szybę. Nie miała ochoty na rozmowę z Bonmarie. W ogóle nie chciało jej się odzywać.

- Takie dąsy nie są w twoim stylu - rzuciła służąca.

- Chyba coś mnie bierze. - Patrzyła wciąż w okno.

Trzech chłopców w krótkich spodenkach przebiegło ulicą, krzycząc wniebogłosy i uderzając miotłami piłkę. Słońce rozświetlało czubki ich głów, tak że wyglądały, jak gdyby zdobiły je aureole.

- Wiem, kiedy jesteś chora, a kiedy nie.

- Nie jesteś wszechwiedząca.

- Nie, ale ciebie znam od podszewki.

Dora dostrzegła ruch w odbiciu w szybie. Kobieta zbliżyła się i stanęła za jej plecami.

- Co tam takiego ciekawego?

Brązowy drozdek podleciał do szyby, przysiadł na parapecie i zaświergotał. Po chwili jednak wrócił na gałąź drzewa. Nawet taka ptaszyna nie chciała z nią mieć nic wspólnego.

- Myślę.

- Nikt nie obiecywał, że tutaj wszystko będzie proste, *ma chere*.

Dora wbiła wzrok w odbicie białej chusty na głowie Bonmarie.

- Co się stało z dziewczyną, która nie mogła się doczekać, żeby wybiec z domu mamy, bo taka była pewna, że za rogiem czeka na nią coś lepszego?

Dora wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że znalazła to, czego szukała.

Dora obróciła fotel przodem do Bonmarie, która wciąż ścierała nalot z łyżki.

- Tylko że to wszystko jest inne, niż miało być.

- Masz porządnego męża. Siedzisz w porządnym domu. Masz na sobie porządną sukienkę i jest sporo porządných miejsc, które mogłabyś odwiedzić, gdybyś tylko podniosła się z tego stołka. - Bonmarie chuchnęła na łyżkę i potarła ją ze zdwojoną siłą. - Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek było stracone. Może patrzysz na to ze złej strony.

- Sama wszystko zepsułam. - Już nigdy nie spojrzę w oczy żadnej z Pań Zarządzających, a już na pewno nie pani Richmond. Zeszłej nocy oszukiwała samą siebie, wierząc, że uda jej się przekonać Charlesa do wyjazdu z Chicago i rozpoczęcia nowego życia. Teraz, w świetle dnia, widziała jasno, że mąż nigdy nie opuści miasta. Nie dla niej, nie dla kogośkolwiek. Tu był jego dom. Już łatwiej byłoby odesłać ją z powrotem do Nowego Orleanu, tak jak groził, że uczyni z Bonmarie. Ta gorzka prawda zaprzętała jej głowę od świtu.

- Umiesz spadać na cztery łapy.
- Nie tym razem.
- Tego nie wiem. Ale pamiętam, jak zwiłaś ze szkółki niedzielnej. - Pierś Bonmarie podskakiwała, gdy kobieta śmiała się, nisko i gromko.
- Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś wykaraskał się z takich opałów.
- Wcale nie wagarowałam. Klasa szła nad rzekę, a ja się zgubiłam.
- I tak znalazłaś się na placu Kongo, dokładnie po drugiej stronie miasta? Na mój gust, pognała cię tam ciekawość.

Był czwarty maja i miasto ogarnęła pierwsza fala lepkiego upału. Poranek wstał niespokojny, jak zwykle po nocy zbyt gorącej, by spać, za wilgotnej, żeby się ruszyć, ale i zbyt irytującej, by usiedzieć w miejscu. Dora przeczekiwała godzinę za godziną, leżąc w łóżku rozkopana, z piżamą rzuconą gdzieś w kąt, wpatrując się w sufit i wypełniając czas ulubionym zajęciem: wyobrażaniem sobie życia uprzywilejowanych rodzin wynajmujących pokoje u mamy. Miała dopiero sześć lat, ale już wiedziała, że właśnie takiego życia pragnie i że pewnego dnia też będzie tak żyć. Czuła, że marzenie się spełni, tak wyraźnie, jak czuła dotyk swoich paluszków u nóg i rąk. Mama nazywała to przeznaczeniem.

Dora wstała wraz z pierwszymi promykami słońca, zbyt podenerwowana, by wytrzymać w łóżku. W wilgotnym upale potrzebowała całych zapasów energii, żeby się ubrać i zejść na dół na przedkościelne śniadanie Bonmarie, złożone z bułeczek, kiełbasy, białego sosu i kleiku kukurydzianego. Śniła na jawie, siedząc przy kuchennym stole, za co matka skarciła ją dwa razy, upominając głośno, że jeśli się nie pospieszy, to spóźnią się na mszę.



Gdy szły z mamą Rue Royale w kierunku katedry Świętego Ludwika, powietrze było gęste jak zupa i ociekało zapachem kwitnących magnolii. Uszu Dory dobiegł znajomy odgłos bębna. Co niedzielę słyszała, jak dudni z otwartej przestrzeni rozciągającej się za Dzielnicą Francuską, noszącej nazwę placu Kongo. Czarni ludzie gromadzili się tam, by grać afrykańską muzykę. Ludzie mówili, że były też tańce, ale Dorze nigdy nie udało się ich zobaczyć. Pytała Bonmarie, czy to prawda, ale służąca nie chciała jej powiedzieć. Ciągle o czymś opowiadała, ale nigdy o placu Kongo.

Dotarły z mamą do Rue Dumaine, a dudnienie wzmogło się jeszcze, tocząc się poprzez sklepiki i bujne paprocie zwieszające gałązki spomiędzy barierek balkonów kreolskich posiadłości, poprzez skromne prostokątne domki i otoczone murami posesje i powozownie. Im bliżej katedry, tym głośniej było je słycać.

Kiedy stanęły z mamą przed bramą z kutego żelaza prowadzącą do świątyni, Dora ledwo dostrzegła drogę pod nogami zatopiona w wizji tańczących ludzi. Nie zwracała uwagi na kręcące się wokół dzieci ani parafian wlewających się do wnętrza kościoła, dopóki do mamy nie podeszła siostra Bernadette.

- Na czas dzisiejszej lekcji zabieram dzieci nad rzekę -oznajmiła młoda zakonnica po przywitaniu się z panią De-vereaux. - Byłoby okrucieństwem trzymać je w czterech ścianach. Czy Isadora może przejść się z nami?

Mama wyraziła zgodę, nie bacząc na zaniepokojone spojrzenia posyłane jej przez córkę. Dora już od tygodni nie była na lekcji katechizmu, od czasu kiedy dziewczęta z plantacji zaczęły wytykać niedociągnięcia w jej ubiorze. Potem zdarzyło się jeszcze, że mijała trzy z nich na korytarzu, a one stuliły się razem, chichocząc. Dora usłyszała

tylko, jak jedna z nich mówi „jej ojciec”, i wszystkie trzy wybuchają śmiechem.

Pani Devereaux nie wiedziała o zajściu z dziewczynkami i nie uratowała córki przed siostrą Bernadettę. Zmuszona do udziału w przechadzce Dora trzymała się z tyłu, jak najdalej od dziewcząt z plantacji, kroczących dumnie w nowych sukienkach, błyszczących bucikach i perfekcyjnie zakręconych lokach. Szła jako ostatnia w maszerującym za zakonnicą szeregu. Gdy skręcili w Rue Chartres, do buta Dory wsunął się przez dziurkę kamyk, więc przysiadła, żeby go wydostać. Kiedy wstała, zobaczyła, że jej klasa mija sąsiadujący z katedrą budynek sądu i znika za rogiem.

Nikt nie zauważył, że jej nie ma. A wtedy zaświtała jej w głowie zuchwała myśl: może wcale nie musi iść nad rzekę i spędzać czasu z dziewczętami. Nie trzeba uczestniczyć w kolejnej nudnej mszy. Może pójść wszędzie, gdzie tylko zechce.

Dokądkolwiek.

Ponad pieśń kościelnych dzwonów wzbilo się dudnienie bębnów z placu Kongo. Było dla niej jak zew.

Obeszła wkoło sąd i skręciła w Rue Saint Anne, trzymając się blisko ścian budynków, żeby nie dostrzegła jej siostra Bernadettę lub któreś z dzieci. Minęła Rue Bourbon, Dau-phine, Burgundy. Dźwięk bębnów stawał się wyraźniejszy z każdym jej krokiem. Gdy wyłoniła się z wąskiej uliczki i jej oczom ukazało się otwarte pole, stanęła jak wryta. Słońce było jeszcze nisko na niebie, ale już setki czarnych twarzy wypełniały przestrzeń. Większość obecnych skupiła się pod wiekową magnolią obsypaną dorodnym białym kwieciem. Kobiety miały na sobie sukienki - jedne potargane, inne perkalowe i jedwabne, prosto spod igły krawca. Niektóre zawinęły włosy w chusty zawiązane wysoko na głowie, inne miały koki ciasno spięte nad karkiem.

Mężczyźni

ubrani byli w spodnie do kolan lub z długimi nogawkami. Niektórzy nosili koszule, inni odsłaniali hebanowe torsy. A jakie mieli ozdoby! Długie frędzle i wstążki wisiały im u nóg i ramion, podskakując i łopocząc jak chorągiewki, gdy tancerze kołysali się i przytupywali w takt muzyki. Niektórzy udekorowani byli dodatkowo piórami, muszelkami czy ogonami szopów.

Droga dzieląca dziewczynkę od placu była pusta. Z daleka nadjeżdżał jakiś powóz, ale skręcił, zanim dotarł w pobliże odbywającej się zabawy.

Dora przeszła przez ulicę i zatoneła w<sup>t</sup> muzyce. Melodia była ogłuszająca, a tworzyły ją nie tylko bębny. Ludzie grali też na bandžo, piszczałkach, skrzypkach i tamburynach. Jakaś kobieta uderzała pałeczką w metalowy trójkąt. Dora podeszła bliżej, chcąc się lepiej przyjrzeć.

- Przepuście dziewczuszkę - zawołała do sąsiadki kobieta stojąca obok Dory. Obie ubrane były w niebieskie muślinowe sukienki, noszone tradycyjnie przez pomoc w zamożnych domach. Ta, która krzyknęła, uśmiechnęła się do małej.

- Podejdź sobie, jak masz ochotę. - Odwróciła się do koleżanki. - Żałuj, że nie widziałaś, jak przed chwilą podrygiwała! Kręciła głową na wszystkie strony i gibała się w przód i w tył. Jeszcze nie spotkałam białej, co by tak tańczyła. -Roześmiała się serdecznie.

Dora udawała, że nie słyszy. Wcale nie podrygiwała ani się nie gibała. Przesunęła się w głąb kręgu widzów, aby móc przyjrzeć się otoczonym przez nich tancerzom. Wyginali się i wyrzucali w górę ręce. Kobiety podciągały z jednej strony spódnicę albo wiązały je w supeł, żeby nie przeszkadzały w wytupywaniu rytmu. Tańczyły całe ich ciała, wirując, falując i kręcąc się wkoło.

Dziewczynka nie mogła oprzeć się pokusie przyłączenia się do nich. Zaczęło się od samego tupania. Naśladowała

ruchy kobiety, która sprawiała wrażenie, jakby była w transie. Dora poruszyła głową w przód i w tył, z początku ostrożnie, ale potem porwała ją muzyka. Zabrała ją gdzieś, gdzie czuła, że żyje, i dziewczynka pragnęła nigdy stamtąd nie wracać. Unosiła ją, coraz wyżej i wyżej, aż dziecku zdawało się, że szybuje. Nagle dosłownie poszybowała, nie dotykała już stopami ziemi. Była wolna!

Choć jednak nie, nie była. Znalazła się w ramionach Bonmarie, która trzymała ją mocno i wymachiwała jej przed nosem grubym jak kiełbaska palcem. Wrzeszczała. Dora nie wiedziała, czy spędziła w kręgu minutę czy godzinę. Kręciło jej się w głowie. Nie rozumiała, co mówi do niej Bonmarie, ale doskonale rozpoznała grymas jej twarzy - była wściekła.

Opiekunka niosła ją na rękach połowę drogi do domu, dopóki siły pozwalały jej udźwignąć ciężar dziecka. Potem postawiła Dorę na ziemi i ciągnęła za łokieć, dopóki nie stanęły przed drzwiami domu.

Mama już na nie czekała, z czołem pomarszczonym ze zmartwienia.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało - powitała je, gdy weszły tylnymi drzwiami. Jej ton zmienił się jednak, gdy Bonmarie doniosła, gdzie znalazła małą uciekinierkę.

Dora sądziła, że służąca wyjawi mamie wszystkie szczegóły, ale opiekunka je przemilczała. Dziewczynka zwróciła się do matki:

- Zgubiłam się - wyjąkała. Mars na czole mamy jeszcze się pogłębił. Dora wiedziała, że takie wyjaśnienie nie wystarczy. Zerknęła na Bonmarie, ale ta odwróciła się i wyszła do kuchni. - To te dziewczyny - wyrwało się Dorze. - Żartują sobie ze mnie, a teraz jeszcze śmieją się z mojego taty.

Wyraz twarzy mamy zmienił się w minę, której córka dotąd nie znała. Gniew? Zdumienie? Lęk? Po długiej chwili milczenia matka spytała:

- Z twojego taty? Dora pokiwała główką.

- Idź na górę się umyć - poleciła mama.

Zostawiła dziewczynkę samą i podeszła do kuchennego okna. Przytrzymała się blatu, jak gdyby chciała w ten sposób złapać równowagę. Dora nie poruszyła się, więc matka odwróciła się z powrotem do niej.

- Natychmiast, Isadoro. Proszę iść na górę.

Dora usłuchała, ale zakłopotano ją dziwne zachowanie matki. Udała się do swojego pokoju i była w połowie zdejmowania niedzielnej sukienki, kiedy mama pojawiła się w progu.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Dora spodziewała się, że będzie się nadal gniewała, ale matka podeszła do niej, pogładziła ją po policzku i zapewniła:

- Te okropne dziewczęta już nigdy nie będą ci dokuczać, kochanie.

Miała rację. Mama już nigdy nie zmuszała Dory do chodzenia do kościoła ani do szkoły niedzielnej. Następnego dnia złożyła wizytę dyrektorze szkoły i oznajmiła, że ze względu na zły stan zdrowia jej córka będzie pobierać nauki w domu. W ten sposób Dora zakończyła lekcje, a mama zdecydowała, że córeczka nie będzie oddalać się od domu. Na ulicach czaiło się niebezpieczeństwo i choroby, przed którymi dziewczynkę należało bezwzględnie chronić. Nigdy więcej nie wspomniała ani o ucieczce Dory z lekcji katechizmu, ani o placu Kongo.

Dora bawiła się szydełkową serwetą zdobiącą poręcz fotela.

- Naprawdę się wtedy zgubiłam. - Zerknęła na Bonmarie. - Tylko nie starałam się odnaleźć.

- Przekonałaś matkę do tej wersji. Nie wydawało mi się to możliwe, ale tobie się udało.

- Już nigdzie nie pozwoliła mi potem wychodzić.

- Dla twojego własnego dobra. Żółta febra, tyfus, że o różnych draniach nie wspomnę.

Dora wzruszyła ramionami. To prawda. Upiekło jej się wtedy.

- Może weźmiesz powóz i pojedziesz nad jezioro? Łykniesz świeżego powietrza. - Bonmarie podniosła łyżkę na wysokość oczu, by po raz ostatni sprawdzić jej nieskazitelną czystość, po czym wetknęła ją za pasek fartucha.

- Chyba tak zrobię. A może zapytam panią Tillday, czy zechciałaby się udać na Wystawę.

- Weź szal - rzuciła Bonmarie, podchodząc do drzwi. - Jak coś cię bierze, lepiej, żebyś nie zmarzła.

- Daj spokój, czuję się świetnie.

- Tak myślałam. - Wyszła, zostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi.

Dora usiadła przy biurku w pokoju dziennym, wyjęła dwie kartki papieru listowego i zanurzyła w atramencie czubek wiecznego pióra. Pierwszą wiadomość skreśliła szybko. Było to zaproszenie dla pani Tillday, aby towarzyszyła jej na Midway Plaisance, tak by zaczęły działać w sprawie teatru egipskiego. Nie był to wymarzony sposób na spędzanie sobotniego popołudnia, ale musiała coś zrobić, jeśli miała nadzieję pozostać w szeregach Pań Zarządzających. Gdy liścik był gotowy, zakleiła kopertę i zawołała Bonmarie, żeby wysłała Harolda z przesyłką i prośbą, aby od razu przywiózł odpowiedź. Czekać na jego powrót, zajęła się istotniejszym tekstem - listem z przeprosinami do pani Richmond. Co myśli o niej starsza dama? W nagłówku napisała „Droga Pani Richmond” i zawahała się. Jak ma się wytłumaczyć? Pomyślała o pani Forrest

i jej bolesnych słowach. Nie mogła o tym wspomnieć. Nawet gdyby pani Richmond jej uwierzyła, przyniosłoby to o wiele więcej złego niż dobrego. Postukała piórem w papier. I nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie. Zanurzyła stalówkę w kałamarzu i napisała:

*Ufam, że list ten znajdzie Panią w dobrym zdrowiu. Piszę do Pani, aby wyjaśnić, dlaczego tak tajemniczo wymknęłam się wczoraj ze spotkania, i rozwiać wszelkie obawy, jakie mogłaby Pani żywić w związku z moim nagłym wyjściem. Widzi Pani, zachowałam się niezwykle niezdarnie. Miałam na sobie nowe buty i zahaczyłam obcasem o krawędź dywanu, gdy sięgałam po jedną z przepysznych bułeczek. Omal nie urwałam prawego obcasa! Ból był nie do opisania i bałam się ogromnie, że nie powstrzymam się od płaczu i będę utrapieniem dla zebranych. Najlepszym rozwiązaniem wydało mi się więc wyjście po angielsku. Mam nadzieję, że przyjmie Pani najszczerze przeprosiny za moje zachowanie.*

Ponownie przeczytała całość. Kłamstwo przyprawiało ją o mdłości, ale nie miała innego wyjścia. Podpisała list, za-kleiła kopertę i zaniosiła ją do holu, gdzie na srebrnej tacy miała czekać na powrót Harolda.

Wróciła na górę i przebrała się w inną sukienkę. Wtykała właśnie ostatnie wsuwki we włosy, kiedy usłyszała, jak powóz zajeżdża pod dom, a za nim drugi staje na podjeździe. Zaciekawiona, wyrzała zza zasłony i ujrzała panią Tillday zsiadającą z kozła oraz Harolda, który spieszy jej z pomocą. Dora sprawdziła jeszcze swoje odbicie w lustrze i była już na schodach, kiedy służący wprowadził gościa.

- Nawet pani nie wie, jak się ucieszyłam wiadomością od pani - zapewniła pani Tillday. - Postanowiłam przyjechać niezwłocznie. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

- Jak najbardziej - odparła Dora. Do Harolda, stojącego przy drzwiach z kapeluszem w ręce, zwróciła się z prośbą: - Mam kolejny list do dostarczenia. - Wręczyła mu kopertę spoczywającą na srebrnej tacy. - Do pani Richmond. Znasz adres?

Skinął głową, wsunął list do kieszeni kurtki i wymknął się za drzwi.

- Była już pani na pokazie teatru egipskiego, pani Tillday? - spytała Dora, ściągając z wieszaka parasolkę.

- Henry mi nie pozwolił. - Kobieta uśmiechnęła się wstydliwie. - Mówi, że to straszne miejsce. Ale cieszy się, że wykonuję jakieś zadanie dla Pań Zarządzających.

- Ciekawe, pan Chambers widzi tę kwestię dokładnie w ten sam sposób.

- Pewnie ma mnie pani za kompletną idiotkę, przez moje zachowanie na zebraniu - wyraziła obawę pani Tillday, prowadząc powóz pomiędzy wykwintnymi rezydencjami Złotego Wybrzeża.

Nikogo dotąd nie obchodziło, co myśli.

- Wcale tak nie uważam, nic podobnego! - odpowiedziała Dora.

- Naprawdę? - Pani Tillday uśmiechnęła się nieśmiało. - Chciałam zaprosić panią dziś na spacer, ale wyszła pani wczoraj w takim pośpiechu, że byłam pewna, iż panią uraziłam.

- Ależ skąd! - zmieszała się Dora. - Po prostu nie mogłam zostać dłużej, musiałam wracać do domu.

- Oczywiście - odpowiedziała tylko partnerka.

Pani Tillday poprowadziła srebrzystosiwego konia za zakręt, gdzie rozciągała się nowsza ulica pełna okazałych rezydencji z szerokimi pasami wypielegnowanych trawników. W Dzielnicy Francuskiej najlepsze posiadłości kryły ogrody za okalającymi podwórza murami, ale nie tutaj.



Bujna, soczyście zielona trawa i krzewy otaczały domy, a im większy budynek, tym bardziej rozległy ogród. Przed jedną z rezydencji w stylu federalnym, lśniąca od frontu białymi okiennicami, rosły starannie dogładane tulipany i mieczyki.

- Proszę spojrzeć na ten - zwróciła uwagę Dora. - To chyba najwspanialszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Pani Forrest by się ucieszyła - rzuciła towarzyszka.

- Mieszka tu? - wykrztusiła z trudem. Pani Tillday przytaknęła.

Dorze zrobiło się niedobrze. Stukot kopyt, parskanie konia i chrzęst kół o podłoże rozbrzmiewały głośno w jej uszach.

- Nie ma jej w domu, jeśli martwi się pani, że przypadkiem ją spotka - pocieszyła ją towarzyszka.

- Skąd ten pomysł? - Dora próbowała zatuszować zdenerwowanie w głosie.

Pani Tillday patrzyła wprost przed siebie.

- Tak tylko zgaduję. Wiem natomiast, że z całą pewnością jest teraz na dworcu kolejowym. Słyszałam po spotkaniu, jak umawiała się tam z panią Sheffield.

- Wyjeżdża? - Dorze natychmiast zrobiło się lżej na sercu.

- Nie ona, lecz pani Sheffield. Pani Forrest obiecała, że odprowadzi ją w południe, więc na pewno są tam teraz. A dworzec jest po drugiej stronie miasta.

Dora bawiła się fałdą spódnicy.

- Szkoda, że pani Sheffield nie będzie na Wystawie. Są chyba z panią Forrest najbliższymi przyjaciółkami.

- Papużki nierozłączki, tak - potwierdziła pani Tillday ze znaczącym uśmiechem. - Ale nie powiedziałabym, żeby pani Forrest miała zbyt liczne grono przyjaciół.

- Na zebraniu wyglądało to inaczej.

- Większość osób ma ją za jędzę.  
- To dlaczego ją tolerują?  
- Ze względu na jej majątek, to proste. Ma mnóstwo pieniędzy. - Pani Tillday strzeliła lejcami. - Nikt nie ośmieli się powiedzieć choć słówka przeciwko niej z obawy przed skreśleniem z listy gości na przyjęcia i podwieczorki. Ludzie się jej boją.

Dora milczała,, więc pani Tillday ciągnęła dalej.

- Wie pani, przedstawiano mnie jej chyba przy tuzinie różnych okazji, a ona za każdym razem udaje, że nie ma pojęcia, kim jestem.

- Powinna się pani cieszyć - wymamrotała Dora i ustawiła parasolkę tak, by zasłaniała promienie ogrzewające jej policzek.

- Nie patrzyłam na to nigdy z tej perspektywy, a może powinnam - przyznała pani Tillday, po czym się roześmiała.

Dora jej zawtórowała. Przez resztę czasu poruszały już tylko lekkie tematy - pogodę, krawcowe, mężów. Dora zastanawiała się, jak to możliwe, że siedząca obok niej radośnie rozgadana kobieta jest tą samą osobą, która w salonie pani Richmond z trudem podnosiła wbity w podłogę wzrok.

Im bardziej zbliżały się do terenu targów, tym trudniej było przeciskać się między powozami i tłumem pieszych zmierzających w kierunku Wystawy. Wkrótce ujrzały diabelski młyn i trzymane na uwięzi balony napełnione ciepłym powietrzem, kołyszące się na wysokości koron drzew. Widać też było dziesiątki flag, iglic i kopuł wznoszących się nad szczytami budynków, tworzących architektoniczną krainę z bajki zwaną Białym Miastem, które zachwycało alabastrowymi pałacami pełnymi okazałymi kolumnami i rzeźbami.

- Widziała już pani Sąd Honorowy? - chciała wiedzieć Dora.
- Henry zabrał mnie na otwarcie, ale panował taki ścisk, że trudno było cokolwiek zobaczyć.

Charles odmówił przyjazdu na pierwszomajowe otwarcie właśnie z powodu tłoku. Gazety zapowiadały tłumy na przemówieniu prezydenta Grovera Clevelanda w gmachu administracji, a późniejsze relacje mówiły o morzu osób, jakie wlały się do Sądu Honorowego, by być świadkami uroczystości. Gdy prezydent włączył światła Wystawy i uruchomił urządzenia, podniosła się wrzawa. Tłum wezbrał i w powstałym ścisku kilka pań zemdlło, dzieci pogubiły się rodzicom, a złodzieje kradli torebki i opróżniali kieszenie. Charles stwierdził, że przesunięciem zwiedzania o jeden dzień oszczędzili sobie mnóstwo kłopotu, i Dora musiała przyznać mu rację.

- Jak odważnie z waszej strony, że wytrzymałicie - powiedziała Dora. - W gazetach pisali, że było strasznie.

- Prasa przesadziła. Nie było wcale tak źle, jak czytałam następnego dnia. Chyba nie można wierzyć we wszystko, co wydrukują.

Pani Tillday zatrzymała powóz przy innych zaparkowanych pojazdach, pomiędzy linią kolejową Illinois Central i jednym z przystrojonych flagami budynków Wystawy. Gdy wysiadały, powietrze rozdarł dźwięk strzałów z broni palnej. Dora kucnęła za powozem w przestraszu.

Pani Tillday podeszła do niej z uśmiechem.

- Proszę nie zwracać na to uwagi. To pokaz Dzikiego Zachodu Buffalo Billa. - Wskazała ręką rozłożony po drugiej stronie ulicy olbrzymi namiot, w którym można było zobaczyć przedstawienie objazdowe z udziałem kowbojów, członków straży ochotniczej, Indian, a także strzelca wyborowego Annie Oakley, która, jak wieść niosła, potrafiła

jedną kulą przepołowić rzuconą kartę do gry, a potem zrobić z niej sito, zanim opadła na ziemię.

Dora poprawiła spódnicę i wygładziła rękawy.

- No tak, co też mi przyszło do głowy! - Chcąc ukryć zażenowanie, pospieszyła ku wejściu, przy którym ustawiała się kolejka do biletera pobierającego pięćdziesiąt centów za wstęp.

Dora i pani Tillday poszły prosto na początek kolejki, gdzie oznajmiły młodzieńcowi, że są Paniami Zarządzającymi. Chłopak natychmiast je przepuścił i wrócił do obsługi klientów.

Dora poprowadziła partnerkę do Sądu Honorowego Wystawy, kręgu olśniewających białych pałaców - gmachu rolnictwa, parku maszyn, budynku górnictwa, elektryczności, administracji, rękodzieła i sztuk wyzwolonych. Delektowała się widokiem iglic i kopuł, filarów, linii arkad i żłobionych kolumn, podziwiała panteon bogów i bogini, których wizerunki ujęte były w płaskorzeźbach, a pełne postacie zdobiły dachy. Zdawali się wołać do przechodzących poniżej ludzi, aby rozbudzić w nich ambicje i pchnąć na drogę ku wielkości. Budowle Białego Miasta stworzono ze zwykłego gipsu udającego marmur. Promienie słońca sprawiały, że białe fasady lśniły jak najprawdziwsze brylanty. Całe to miejsce było niczym olbrzymi tygiel, w którym dało się zamienić coś zwyczajnego w coś niezwykłego, i Dora znów słyszała w głowie szept kuszący ją czekającymi możliwościami.

Wzięła głęboki oddech. Rozpoznałaby swoje położenie, nawet gdyby Białe Miasto nie roztaczało się przed jej oczami. Słodka woń kukurydzy prażonej w melasie, smakowitego chili con carne, opiekanych kolb kukurydzianych, piwa -zapachy jadalni, budek z zakąskami i kupieckich wózków, wszystkie zmieszane w jeden, który nieomylnie kojarzył się z Wystawą.

Dorze zaburczało w brzuchu - od śniadania nie miała nic w ustach. Dostrzegła wózek sprzedawcy lodów w gałkach po pięć centów.

- Próbowała ich pani?

Pani Tillday pokręciła głową.

- Poproszę dwa. Waniliowe.

Mężczyzna podał jej dwa wafle z lodami. Wręczyła jeden pani Tillday.

- Są słodkie, kremowe, zimne i pyszne, wszystko naraz. Towarzyszka przyjęła słodycz, ale wyglądała, jak gdyby nie była pewna, co z nią zrobić.

- O, tak. - Dora przyłożyła usta do lodu i odgryzła maleńki kąsek.

Pani Tillday spróbowała, najpierw niepewnie, ale szybko nabrała wprawy.

Z rożkami w dłoniach przyłączyły się do tłumu ludzi paradującego przez Sąd Honorowy, krąg neoklasycznych budynków stanowiących najznamienitsze symbole rozwoju i postępu Zachodu. Pośrodku znajdował się staw, stworzona ręką ludzką laguna w kształcie kadłuba statku, ku czci sławnych okrętów Krzysztofa Kolumba: Pinty, Nini i Santa Marii. Na krawędzi zbiornika znajdowała się fontanna Kolumba z ubranymi w historyczne stroje figurami zastygłymi w akcie wiosłowania statkiem wielkiego odkrywcy ku horyzontowi jeziora Michigan.

Wzrok Dory przyciągnęła jednak stojąca na drugim krańcu stawu złota figura zwana Statuą Republiki, wznosząca się na dwadzieścia metrów, z wieńcem laurowym na głowie, włócznią w jednej ręce i kulą, na której przysiadł orzeł, w drugiej. Klasycystyczna rzeźba ucieleśniała spełnienie obietnicy Nowego Świata - zapierającą dech w piersiach wizję tętniącej życiem Ameryki śmiało patrzącej w pomyślną, napawającą optymizmem przyszłość.

- Czy to nie wspaniale, że Statua Republiki to postać kobieca?  
~ Nie zastanawiałam się nad tym - przyznała pani Tillday, przełknąwszy kawałek lodów.

- Może więcej sensu byłoby postawić mężczyznę. Mężczyzna odkrył Amerykę, mężczyźni ją zbudowali, a teraz oni nią rządzą. Ale świat się zmienia.

- Zapewne ma pani rację.

- Uważam, że nawet nasza Komisja Pań Zarządzających jest tego dowodem. Charles twierdzi, że kierownictwo Wystawy nie zdawało sobie sprawy, jakiego potwora kreuje, gdy tworzyło komisję, ale proszę spojrzeć, jak wiele te kobiety już zdołały.

W zamyśle organizatorów zadaniem Pań Zarządzających było dekorowanie gmachu kobiet i wybór jurorów na konkursy wykonywanych przez płęć piękną sztuk. Jednakże pod przywództwem Berthy Honore Palmer, podziwianej za inteligencję i osiągnięcia na długo przed tym, nim poślubiła Pottera Palmera, damy zyskiwały władzę. Niewiele czasu upłynęło, zanim Panie Zarządzające zaczęły doradzać kierownictwu niemalże w każdej kwestii. Bez skutku walczyły o zakaz sprzedaży alkoholu i zamknięcie imprezy w niedzielę, ale i tak wszyscy wiedzieli, że w większości przypadków radzono się komisji i stosowano do jej zaleceń.

- Powinniśmy chyba zmierzać do teatru egipskiego -zauważyła pani Tillday.

Dora dokończyła swoją porcję lodów i wytarła palce chusteczką. Towarzyszka poszła w jej ślady, po czym ruszyły w kierunku Midway Plaisance. Minęły Transportation Building, gdzie codziennie przyjeżdżały koleją tysiące odwiedzających. Szły wzdłuż laguny z zalesioną wysepką, skąd znad baldachimu liści wystawał czubek dachu japońskiej pijalni herbaty, minęły gmach ogrodnictwa i budynek kobiet.

Długa na półtora kilometra sekcja Midway Plaisance skręcała za budynkiem kobiet w stronę parku Waszyngtona, związana z terenami targów jak umorusana młodsza siostrzyczka trzymająca się kolan wyrafinowanej damy. Oficjalnie strefa ta nie stanowiła części Wystawy, ale tutejsze eksponaty i pokazy - dostępne za dodatkową opłatą - pomagały pokryć koszty budowy Wystawy.

Choć Wystawa i Midway sąsiadowały ze sobą, nie łączyło ich nic poza odwiedzającymi. W budynkach i terenach Wystawy widoczny był geniusz najlepszych architektów w kraju, luminarzy takich jak Daniel Hudson Burnham, Richard Morris Hunt czy Charles McKim, z którymi współpracowali artyści krajobrazu, na przykład Frederick Law Olmsted, projektant nowojorskiego Central Parku. To jego talent pozwolił wyczarować siatkę stawów, kanałów, wysepek i przestrzeń parkową odwiedzaną przez ponad sto tysięcy osób dziennie z przylegających do jeziora Michigan moczarów.

Midway Plaisance wyglądała natomiast dokładnie na to, czym była - zbiorem koncesji zjednoczonych w imię jednego celu: wyciągnięcia od ludzi jak największej ilości pieniędzy. Tu potęga zieleni, srebra czy miedzi, zależnie od tego, czym miało się wypchane kieszenie, przebijała wyniosłe ideały Białego Miasta. Znajdowały się tu ogródki piwne, sale tańca, sklepiki z przekąskami i budki z pamiątkami. Jeżeli ludzie byli gotowi za coś zapłacić, z pewnością można to było znaleźć na którymś ze stoisk w Midway.

Kiedy Dora i pani Tillday przechodziły pod wiaduktem kolejowym Illinois Central, dzielącym Midway Plaisance od terenów Wystawy, dziewczyna nie mogła oderwać oczu od diabelskiego młyna, który kręcił się pomału, przypominając gigantyczne koło od roweru.

Naprawdę był obiektem zbudowanym w jednym celu - przewyższenia świetnością wieży Eiffla, koronnego

klejnotu architektury, którym paryżanie zadebiutowali na swojej Wystawie Powszechnej cztery lata wcześniej. Wielkie koło nie olśniewało rozmiarem, tak jak było to w przypadku paryskiej wieży. Wznosiło się na niespełna dziewięćdziesiąt metrów, co stanowiło jedną czwartą wysokości wieży. Górowało jednak nad Ulicą Kairu i mauretańskimi minaretami, iglicą wioski niemieckiej, a nawet flagami łopoczącymi na szczytach najwyższych budynków Białego Miasta. Było czymś, czego ludzkie oczy jeszcze nie widziały, czymś zupełnie wyjątkowym - poruszało się.

Amerykańska inżynieria umożliwiała pasażerom, którzy kupili bilet za pięćdziesiąt centów, zajęcie miejsca w jednej z trzydziestu sześciu wykładanych drewnem kabin, z których każda mieściła sześćdziesiąt osób. Przejazdka obejmowała dwa obroty koła i można było zobaczyć nie tylko dachy hal Midway i Wystawy, ale kilometry krajobrazu Chicago - kominy fabryczne i okoliczne kamienice czynszowe, tory kolejowe i zagrody, banki, kościoły, a nawet błękitną taflę jeziora Michigan, rozciągającą się po horyzont.

Dla osób patrzących z ziemi diabelski młyn służył też za punkt odniesienia. Stał dokładnie u wylotu Ulicy Kairu, ku uciesze Dory, która posłużyła się nim jak latarnią morską.

Gdy dotarły na wysokość wioski irlandzkiej, z prowizorycznym zamkiem wyglądającym jak przeniesiona z bajki forteca, Dora zwalczyła pokusę zatrzymania się na dłużej, by posłuchać trio wykonującego pieśń w swym ojczystym języku gaelickim. W budynku pokazów ze zwierzętami Hagenbecka musiała ciągnąć panią Tillday za rękaw, gdyż towarzyszka przystanąła, aby przyjrzeć się niskiemu, pulchnemu mężczyźnie, który krzyczał po niemiecku i kulejąc, wyganiał za drzwi różowego pudła.

- Nie mogłybyśmy obejrzeć zwierząt? - poprosiła partnerka, prowadząc Dorę do czerwonych dwuskrzydłowych



drzwi. - Mają nawet tygrysa, który utrzymuje równowagę na piłce, i papugi! Nigdy nie widziałam papugi. Dora stawiała opór.

- I tak z trudem zdążymy na następny pokaz. Pani Tillday zwiesiła głowę.

- Nie wiem, do czego tak się pani spieszy. Słyszałam, że to okropne widowisko.

- Pani Richmond na nas liczy - argumentowała Dora. - Nie możemy jej zawieść.

Chcąc nie chcąc, pani Tillday uległa i ruszyły główną arterią, mijając osadę jawajską z długimi domami osadzonymi na palach, kryte strzechą chatki samoańskich wyspiarzy, drewniane konstrukcje wioski niemieckiej i koronowane kopułami budynki u Turków. Przed każdą z siedzib stali zachwalacze, domagając się uwagi, wrzeszcząc wniebogłosy na temat kramów z pamiątkami, pokazów lub innych niezapomnianych i niespotykanych nigdzie indziej atrakcji. Przyprawiająca o zawrót głowy mieszanina zapachów unosiła się znad wózków z jedzeniem. Słone i pikantne aromaty wabiły wygłodniałe, żądne wrażeń smakowych tłumy.

Wreszcie dotarli do Ulicy Kairu, nazywanej czasem Ulicą w Kairze lub po prostu Ulicą. Kilku mężczyzn wśliznęło się do środka przez łukowatą bramę.

Dora i pani Tillday podeszły do kasjera, przedstawiły się jako Panie Zarządzające i weszły bez biletu.

Wewnątrz Dora przepchnęła się obok stojących w tyle sali mężczyzn. Widownia była bardziej zatłoczona niż podczas jej poprzedniej wizyty. Kobieta z trudem łapała oddech, zaś zobaczenie sceny graniczyło z niemożliwością. Pani Tillday rozglądała się wokół, jak gdyby się zgubiła.

- Staniemy tu z tyłu czy postaramy się przedostać bliżej sceny? - spytała Dora.

Pani Tillday się skrzywiła.

- To nasze jedyne opcje?

Dora wspięła się na palce, próbując wypatrzeć miejsca siedzące, ale żadnych nie było. Muzyk rozpoczął odgrywanie spokojnej melodii. W kącie sali dostrzegła siedzącego na ławie mężczyznę w turbanie na głowie, zgarbionego nad długim, wąskim rogiem. Jego brązowe palce przemykały po grzbiecie instrumentu. Po chwili inny grajek oplótł ramionami pękatą mandolinę i przyłączył się do gry. Zaraz też trzeci zaczął wybijać rytm na bębnie w kształcie kielicha. Sądząc po gwizdach, na scenę wyszły też tancerki. Dora po-stukała panią Tillday w ramię i pokazała, by poszła za nią.

Parła przez tłum mężczyzn, aż nagle widok jednego z nich spowodował, że zamarła. Pan Farouk. Stał pod ścianą oparty o nią plecami. Długa czarna tunika wypuszczona na wąskie spodnie i krucz włosy do ramion nadawały mu wygląd ducha. Ręce trzymał założone na piersi. Zawróciłaby, ale już ją zobaczył. Widziała, jak obserwuje ją spod opadającego na brew kosmyka.

Uniosła dłoń w niepewnym pozdrowieniu i spróbowała przywołać na twarz uśmiech. Czuła się tu bardzo nie na miejscu. Mina mężczyzny nie zmieniła się, ale ruszył ku niej.

- Kolejna wizyta Pań Zarządzających - okraślił powitanie uśmiechem, dopiero gdy znalazł się przy niej.

- Tak, dzień dobry - wyjąkała Dora, mając nadzieję, że jej głos przebija się przez coraz głośniejszą muzykę. - Ufam, że pamięta pan nasze ustalenia. - Poczowała lekkie klepnięcie w ramię. - Ach, tak, pani Tillday, pozwoli pani, że przedstawię pana Farouka. Jest tu kierownikiem.

Egipcjanin z powagą skinął głową.

- Witam w naszym teatrze, pani Tillday.

- Nie wiem, czy pan mnie pamięta, jestem pani Chambers. Pani Richmond...

Uniósł dłoń i przymknął powieki. Dora zwróciła uwagę na jego rzęsy - długie, dłuższe od jej własnych. Najdłuższe chyba, jakie widziała w życiu.

- Pamiętam - rzekł, otwierając oczy. - Pani Chambers, miło mi panią znów gościć, oczekiwaliśmy pani powrotu. Żałuję, że nie mogę zaoferować paniom lepszej widoczności, ale nasz teatr jest całkiem wypełniony. Chociaż, jeśli panie pozwolą, może uda mi się jakoś paniom przysłużyć.

Nie czekając na odpowiedź, postukał w ramię stojącego przed nim mężczyznę. Gdy dzentelmen się odwrócił, pan Farouk nachylił się i szepnął mu coś na ucho. Ten wysłuchał i rzucił damom krótkie spojrzenie, po czym pochylił się, by powiedzieć coś do widza przed sobą, a potem przesunął się na bok. Zaczepiony zrobił to samo i wkrótce wśród stojących pojawiło się wąskie przejście. Pan Farouk prześliznął się nim, schylił się, by szepnąć coś panom siedzącym w ostatnim rzędzie, po czym wyjął z kieszeni coś przypominającego banknoty. Wręczył po jednym każdemu z mężczyzn, a oni wstali, uścisnęli mu dłoń i zajęli miejsca stojące. Pan Farouk gestem wezwał Dorę i panią Tillday.

- Dziękuję - powiedziała Dora, rumieniąc się. - Naprawdę nie było potrzeby.

Pan Farouk uśmiechnął się do niej.

- Damy nie powinny stać. Następnym razem proszę rozważyć przybycie nieco wcześniej lub wysłać nam wiadomość, żebyśmy mogli zarezerwować miejsca siedzące.

Pani Tillday również mu podziękowała, po czym zostawił je same i zniknął w tłumie. Nachylając się do Dory, towarzyszka wyszeptwała:

- Kto to był?

- Pan Hossam Farouk - powtórzyła Dora, czując na języku ciężar każdej sylaby.

Skupiła uwagę na scenie. Teraz już wyraźnie widziała trzech muzyków siedzących na jednej długiej ławie na tyłach podwyższenia. Kilka tancerek zajęło miejsca na drugiej. Pomiędzy ławkami stał fikus w donicy, a na ścianie wisiały dwa oprawione lustra, portret mężczyzny, który, sądząc po oficjalnej minie, był pewnie jakimś egipskim przywódcą, a także rama zawierająca pismo w języku arabskim. Pośrodku sceny występowała kobieta. Zarówno ona, jak i siedzące za jej plecami koleżanki miały na sobie te same stroje, w których widziała je pani Richmond. Nie było woali ani żadnych elementów, które wskazywałyby na dokonanie jakiegokolwiek zmiany. Dora potarła skronie.

- Co mamy teraz zrobić? - szepnęła pani Tillyday.

Dora spojrzała na twarze mężczyzn stojących za nimi oraz na dziesiątki głów widzów siedzących z przodu.

W tej chwili tancerka, przypuszczalnie w wieku matki Dory, podeszła do muzyków, ponętnie kręcąc biodrami. Dwaj z nich zaprzestali grania. Jedynie bębniarz nie oderwał się od instrumentu. Używając podstaw obu dłoni i wszystkich palców, tworzył swoistą symfonię perkusji. Każde uderzenie w bęben zdawało się wypychać biodra tancerki w inną stronę. Skakały na boki, podrygiwały, wiły się. Ruszała nimi tak, jakby szła, ale w istocie nie zrobiła ani kroku. Potem całe jej ciało zaczęło się poruszać. Ręce przesuwwały się w powietrzu zamaszystymi ruchami nadgarstków. Następnie kobieta zatupała, sprawiając, że każdy centymetr jej ciała trząsł się i drżał. Widownia wybuchła wiwatami i gromkim aplauzem.

Dora widziała, jak siedzący przed nią mężczyzna trąca łokciem sąsiada. Gdy tancerka zrobiła wykop, ukazując prawie do kolana nogę opiętą pończochą w kolorze skóry, Dorze niepotrzebne były gwizdy, by zorientować się, że nie było to właściwe. Z pomocą reakcji widzów dziewczyna

ułożyła w głowie listę zmian, które tancerki koniecznie musiały wprowadzić.

Po kilku minutach swojego występu tancerka zaczęła przemieszczać się po scenie - najpierw ku środkowi, potem do muzyków, aż wreszcie zbliżyła się do siedzących na ławie koleżanek, wpatrzonych w nią lub zagubionych w myślach. Gdy znalazła się tuż przy nich, jedna z oczekujących podniosła się, naśladując ruchy tańczącej. Przez chwilę występowały razem, zwrócone twarzami ku sobie, ale potem rozeszły się - nowa tancerka przesunęła się na środek sceny, a poprzednia zajęła jej miejsce na ławie. Rotacja trwała dopóty, dopóki każda z kobiet nie zaprezentowała swoich umiejętności.

Gdy ostatnia z nich podniosła się do tańca, Dora rozpoznała Aminę Mahomet. Dziś ubrana była w niebieską spódnicę i kamizelkę nałożoną na zwiewną białą bluzkę. Miała też na sobie ten sam pas z frędzlami i sznury koralików i monet, które Dora zapamiętała z poprzedniej wizyty.

Tempo muzyki osłabło, a ruchy kobiety zdawały się wyciągnięte, spowolnione. W jej tańcu widoczna była subtelność, której brakowało innym, jak gdyby każde zakręcenie biodrami czy wymach ramienia opowiadały własną historię, ruch po ruchu. Dźwięk bębna ustał. Akompaniowała jej cicha, pełna żalu melodia płynąca z rogu i instrumentu przypominającego mandolinę. Tancerka odchyliła się w tył, wyginając się tak daleko, że jej ciało było niemal równoległe do podłogi, po czym zerwała się w górę jednym płynnym ruchem.

Dora obserwowała, jak ramiona kobiety falują, a potem ruch ten spływa w dół, obejmując biodra, które kręciły się i wirowały, hipnotyzując widzów. Gdy kobieta wygięła ciało w mostek, unosząc pierś i zataczając nią kręgi, Dora zdała sobie sprawę, co taniec przywodzi jej na myśl. Policzki

dziewczyny zalał rumieniec. Przeniosła wzrok ze sceny na zebranych mężczyzn.

Wszyscy byli wpatrzeni przed siebie, pochłonięci widowiskiem, spijali każdy ruch tancerki, jak gdyby była wodą podaną ich spieczonym wargom. Dżentelmen na sąsiednim krześle położył dłonie na kolanach, ale Dora widziała, jak bardzo je zaciska, jak mocno jego palce chwytają wełniane spodnie i ukryte pod nimi ciało. Oddech mężczyzny przyspieszył. Tancerka ujawniała więcej sekretów kobiecego ciała, niż którakolwiek szanująca się dama pokazałaby nawet w łóżku męża.

Taka kobieta nigdy nie rozczarowałaby mężczyzn, tak jak Dora sprawiała zawód Charlesowi. Wiedziała, że jej poczynania w tej sferze to porażka. Gryzła się tym, ale czego się po niej spodziewał? Żądał, żeby była układną damą, ale kiedy zachowywała się stosownie w czasie jego awansów, odwracał się z frustracją. Tak czy inaczej, była dla niego źródłem rozczarowania.

Dora przenosiła wzrok z tancerki na mężczyzn i z powrotem, wychwytyjąc wrażenie, jakie kobieta wywierała każdym skłonem, obrotem, najlżejszym ruchem bioder. Podczas gdy podniecenie patrzących rosło, artystka zachowywała spokój. Z łatwością ich demoralizowała, wodziła za nos.

- Nic dziwnego, że tylu ludzi żąda zamknięcia tego miejsca - podsumowała pani Tillday, patrząc przymrużonymi oczami na scenę. - To gorzej niż niemoralne.

Muzyka przyspieszyła i Amina Mahomet zakończyła występ, wyrzucając rękę wysoko nad głowę i zamierając w bezruchu. Mężczyźni skoczyli na równe nogi, wiwatując z zapalem.

- I co teraz? - pani Tillday rozejrzała się wokół niemal z lękiem.

Podczas gdy mężczyźni wychodzili z sali, Dora i pani Tillday stały, nie robiąc nic. Dora próbowała się uspokoić i zebrać siły - przybyły tu z misją. Panie Zarządzające spodziewały się jakichś rezultatów. Gdy teatr już prawie opustoszał, wstała z miejsca.

- Musimy z nimi porozmawiać.

Pani Tillday zawahała się, po czym również się podniosła.

- Skoro musimy.

Podeszły do krawędzi sceny, gdzie tancerki i muzycy siedzieli na ławach i poduszkach rozłożonych wprost na podłodze. Mężczyźni milczeli, jak gdyby chcieli tylko przeczekać do następnego pokazu. Kobiety gawędziły i chichotały, niektóre zaplatały innym włosy. Amina Mahomet śledziła wzrokiem Dorę i panią Tillday.

- Witam ponownie, pani Chambers. Jak podobał się pani nasz pokaz?

- spytała, gdy znalazły się całkiem blisko. - Mam nadzieję, że nie złamałyśmy żadnych zasad Pań Zarządzających. - Odwróciła się do pozostałych artystek i rzuciła coś po arabsku, co wywołało śmiech kilku z nich.

Dora zacisnęła zęby.

- To było zachwycające przedstawienie. Niesamowite, jak potrafi się pani poruszać, z taką... - urwała i spróbowała od nowa. - Nie wątpię, że jest pani świadoma, że wczorajsze gazety były pełne listów do redakcji podpisanych przez Towarzystwo Walki z Nierządem, domagających się waszego usunięcia. Jestem przekonana, że tak samo jak nam zależy wam na załagodzeniu tej sytuacji.

Na twarzy Aminy błysnęła hardość.

Dora zauważyła puste spojrzenia pozostałych tancerek. Może nie za dobrze znały angielski, ale coś z pewnością rozumiały.

- Podczas naszej poprzedniej wizyty pani Richmond zasugerowała pewne ulepszenia...

- Ulepszenia? - Kąciki ust Aminy wygięły się w szyderczym uśmiešku.

- Prosiła o zmiany i zapewniam was, że niezbędne jest ich wprowadzenie.

- Nie przypominam sobie żadnej prośby - odparła tancerka. - Odświeży mi pani pamięć?

Pani Tillday się nie wtrącała. Rozglądała się wokół tak bacznie, jak gdyby liczyła paseczki na tapecie. Dora zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście, że tak. - Streściła ponownie uwagi pani Richmond dotyczące stosownego prowadzenia się i skromniejszych ubiorów. - Jeśli zastosujecie się do wytycznych, być może kierownictwo targów nie odbierze wam wynagrodzenia.

Amina wyprostowała się, przybrawszy wyzywającą pozę.

- Ciężko zarobiłyśmy te pieniądze, nie mogą ich nas pozbawić.

- Pani Richmond odniosła inne wrażenie. - Dora zerknęła porozumiewawczo na panią Tillday. Nieznacznym ruchem głowy wskazała, by towarzyszka podążyła za nią do drzwi. Pani Tillday zrozumiała polecenie.

- Co sugerujecie? - zawołała za nimi Amina.

Dora zatrzymała się, lecz odpowiedziała dopiero po chwili.

- Drobiazgi, takie jak te wykopy. Na pewno widzicie, jak działają na mężczyzn. - Przebiegła wzrokiem po twarzach tancerek, dając im znać, że dyrektywa obejmuje je wszystkie.

- Amerykanki nigdy nie eksponują takich części ciała, to nieprzyzwoite. Czy ten konkretny manewr jest absolutnie konieczny?

Amina ściszyła głos i przemówiła po arabsku do koleżanek. Niektóre kiwały inne kręciły głowami. Jedna



z nich, leciutka jak piórko, z przerwą między przednimi zębami, odwróciła się od przywódczyni grupy i obrażona skrzyżowała ręce. Amina dała jednak Dorze pozytywną odpowiedź:

- Możemy się na to zgodzić.

Dora wymieniała kolejne punkty ze swojej listy: wyrzuty biodrami, lśniące topy, które dawały wrażenie, że tancerkom faluje biust, kontakt wzrokowy. Co dziwne, właśnie oczy zdawały się źródłem najpoważniejszego nadużycia.

- Czy chciałaby pani coś jeszcze dodać? - spytała Dora panią Tillday. Zapytana pokręciła głową.

- Skończyliśmy?

- Prawie. Pozostaje jeszcze kwestia woali.

Przedstawiane dotychczas żądania nie spotykały się z radosnym przyjęciem, ale nie wywoływały również jawnego buntu. Ta sprawa doprowadziła do wrzenia. Ręce krzyżowano na piersiach, głowy odwracano. Amina przetarła oczy.

Dora poczuła, że osuwa jej się grunt spod nóg.

- Może chociaż spróbujecie? Wykazałybyście się przed Paniami Zarządzającymi dobrą wolą.

Amina odezwała się po arabsku do pozostałych. Tym razem jej słowa spotkały się z szorstkimi odpowiedziami i potrząsaniem głów. W końcu artystka zwróciła się do Dory:

- Czy możemy porozmawiać na osobności? - Kilka z tancerek szeptało między sobą, nie kryjąc oburzenia. Amina uciszyła je, odzywając się do nich przez ramię. - Tylko przez chwilę.

Dora nie wiedziała co powiedzieć.

- Nie obrazi się pani? - spytała partnerkę.

- Czy to konieczne? A co ja mam ze sobą zrobić? - Mina pani Tillday wyrażała jednocześnie zagubienie, nieufność i troskę.

- Przepraszam, jeśli moja prośba wydaje się niegrzeczna - dodała Amina. - Jest pewna delikatna sprawa, którą chciałabym omówić z panią Chambers. Wolałabym nie poruszać tego tematu w towarzystwie innych osób.

Dora czuła, że nie wolno jej odmówić. Rozczarowała już Charlesa, nie mogła zawieść i tutaj, szczególnie że była tak blisko celu. A to, że była tuż-tuż, czytała w oczach Aminy. Spojrzała błagalnie na panią Tillday.

W towarzyszce wezbrała złość. Zaciśnęła usta w cieniutką kreskę i patrzyła wszędzie, tylko nie na tancerki.

- Zaczekam na zewnątrz. Proszę się postarać, żebym nie musiała czekać zbyt długo. - Pani Tillday chwyciła brzegi spódnicy i wyszła, przy każdym kroku wyzywając się na drewnianej podłodze.

Dora patrzyła, jak kobieta opuszcza salę. Nigdy by nie powiedziała, że partnerka jest zdolna do okazania takiej złości.

- Pozwoli pani ze mną, pani Chambers?

Decyzja już zapadła i o odwrocie nie mogło być mowy.

Amina zsunęła z nóg pantofle i usiadła w przytulnym gniazdku umoszczonym z poduszek o barwach mandarynki, szmaragdu i turkus. Jedwabna spódnica w kolorze indygo rozpostarła się wokół niej jak wachlarz.

- Siadamy na rozłożonych na podłodze poduszkach, ale pani może być wygodniej na ławie - zasugerowała tancerka, wskazując Dorze ustawiony pod ścianą mebel.

W przytulonym do sceny i ukrytym za drzwiami z tabliczką „Tylko dla występujących” pokoikiem poza ławą było mnóstwo rozrzuconych dużych poduszek, trzy niewielkie stoliki ustawione w przypadkowych miejscach i orientalne dywany zdobiące podłogę.

Dora położyła torebkę i parasolkę na ławie, a sama obniżyła się na zestaw poduszek naprzeciwko tancerki. Gdy jednak się schyliła, fiszbin gorsetu wbił się jej w ciało, aż się wyprostowała. Próbowła pociągnąć za nieszczęsną część garderoby przez luźniejszą tkaninę bluzki. Spróbowała ponownie, lecz z tym samym marnym rezultatem. Poddała się wreszcie i usiadła na ławie.

Tancerka przyglądała się Dorze, ale nie odezwała się ani słowem na temat jej zachowania.

- Co to za delikatna sprawa? - chciała wiedzieć Dora. Amina sięgnęła za stolik i wyjęła długi wąski dzban, z którego odchodziły dwie tuby.

- Pali pani, pani Chambers?

Dora pokręciła głową i obserwowała, jak tancerka wsuwa do ust jedną z rurek, zapala zapałkę, po czym przykładła ją do maleńkiej metalowej miseczki na szczycie dzbana. Podczas wdechu brązowawa żywica w naczynku zapłonęła na pomarańczowo, a w zamkniętej w dzbanie wodzie pojawiły się bąbelki. Tancerka wstrzymała oddech, po czym powoli wypuściła z ust smuzki dymu. Przechyliła fajkę w stronę Dory, ta jednak ponownie odmówiła. Amina zaciągnęła się znowu, długo i niespiesznie.

- Czy po to przyprowadziła mnie pani tutaj? Artystka zrobiła wydech i odstawiła na bok dziwne urządzenie.

- Nie. Leży w naszym zwyczaju ofiarować coś osobie, którą zamierzamy o coś poprosić. Ja mam tylko to.

- Przepraszam, nie chciałam...

- Proszę nie przepraszać. Wciąż uczę się, że wszyscy w tym mieście wiecznie się spieszą.

- Chodzi o moją towarzyszkę, która czeka na zewnątrz.

- Tak, kobieta, która nosi swoje obrzydzenie do nas tak śmiało jak swoją śliczną różową sukieneczkę. Ona nigdy by

nam nie pomogła. Stawia nas na równi ze zwierzętami, zaprzeczy pani? - Amina urwała, lecz po chwili mówiła dalej. - Proszę nie odpowiadać. Widzę coś innego w pani twarzy, to stąd pomysł zwrócenia się do pani w tej sprawie.

- Również należę do Pań Zarządzających, tak samo jak pani Tillyday. Amina udawała, że nie słyszy.

- Jedna z naszych tancerek zachorowała. Gorączkuje.

- Wezwałyście lekarza?

- Hossam zwrócił się do organizatorów Wystawy, żeby kogoś przysłali, ale niczego nie wskórał.

- Czy podkreślił, że sprawa jest poważna?

- Prosił, żeby sami przyszli się przekonać, ale nawet na to nie było ich stać.

- Chce pani, żebym ja z nimi porozmawiała?

- Nie, nie życzymy sobie pomocy z ich strony. Sami damy sobie radę. Mamy amerykańską walutę.

- Jak więc ja mogę się wam przysłużyć?

- Potrzebny nam lekarz.

- Prawie nikogo tu nie znam.

- Nikomu innemu nie ufam - powiedziała Amina. Pochyliła się do przodu. Miała grobową minę, a jej głos nabrał niskich tonów. - Wszyscy nas już okłamali. Pani jedna wygląda na taką, dla której różnimy się od wielbłądów i osłów. W pani twarzy widać dobro.

Jej słowa ukłuły Dorę. Wcale nie była dobra i nie mogła nic zrobić. Nawet nie powinna znajdować się teraz w tym pokoju.

- Nasza przyjaciółka umrze, jeśli nie dotrze do niej pomoc - zakończyła Amina.

Umrze?

- Nie ma nikogo innego, do kogo moglibyście się zwrócić o pomoc?

Tancerka pokręciła głową.

Nie mogła pozwolić na śmierć kobiety.

- Spróbuję kogoś znaleźć, ale to może trochę potrwać. Amina podniosła się z poduszek i podeszła do Dory, która również wstała.

- Wyświadcz nam pani olbrzymią przysługę. - Zarzuciła jej ramiona na szyję i pocałowała w oba policzki.

Dora zrobiła niezgrabny krok w tył.

- W zamian zastosujemy się do pani zaleceń. Wszystkich, co do jednego. Nie będzie wykopów i flirtowania, włożymy woale.

To przerastało wszelkie jej oczekiwania i nadzieje.

- Dziękuję - szepnęła. Ujęła rękę artystki i ścisnęła mocno, zanim wypuściła ją ze swojej dłoni. Oczyma wyobraźni widziała minę pani Richmond, gdy zgłasza odniesiony sukces, i dumę w spojrzeniu Charlesa. - Dziękuję - powtórzyła.

Dora zastała panią Tillday w cieniu przed teatrem, umilającą sobie czas oczekiwania oglądaniem mężczyzny w średnim wieku, który usadowił się na pustej skrzynce po warzywach i wykrzykiwał do zebranej wokół niego grupki ludzi. Chwycił się za klapy marynarki, wypiął pierś i wołał z ciężkim irlandzkim akcentem:

- Panie i panowie, zbierzcie się wszyscy, żeby zobaczyć nadzwyczajny pokaz umiejętności sportowych. Perscy mistrzowie maczugi przemierzyli morza i lądy, aby zaprezentować wam starożytny obrzęd: szanowaną sztukę, fantastyczną demonstrację męskiej siły i precyzji - władanie maczugami!

Dora podeszła do towarzyszki, gdy dwaj mężczyźni o obnażonych torsach, ubrani w turbany i spodnie do kolan,

każdy z potężnymi drewnianymi maczugami w obu dłoniach, przestąpili mur ludzi stłoczonych wokół zachwalacza. Zajęli miejsca po jego bokach niczym strażnicy.

- I co to za sekrety? - rzuciła szorstko pani Tillday.

- Jak z pewnością domyśliła się pani, nie było żadnej tajemnicy. Chciała zachować twarz przed tamtymi. Pozory, rozumie pani. - Dora studiowała twarz rozmówczynie, modląc się, by trafiła odpowiedzią w jej oczekiwania.

- Kto by pomyślał, Egipcjanka dbająca o wizerunek. - Pani Tillday wzruszyła ramionami. Na jej obliczu niezmiennie gościł wyraz zubożenia.

Umysł Dory pracował na najwyższych obrotach, podczas gdy mistrzowie wywijali ciężkimi maczugami, bijąc nimi powietrze nad głową i wyrzucając je w górę we wściekłe ósemki. Tłum wydawał „achy” i „ochy”, pani Tillday stała jednak niewzruszona.

- Może przed powrotem zatrzymamy się na zakupy? - zaproponowała Dora. - Rozważam nabycie perskiego dywanu do przedpokoju. Czyż nie wyglądałby ślicznie? Są takie barwne i...

Pani Tillday rzuciła krzywe spojrzenie na stoisko w odległym krańcu placu. Dywany pozwijane były w rulony ustawione pionowo wzdłuż ścian.

- Raczej nie ufałabym jakości ich rzemiosła. Wolę iść po dywan do Marshalla Fielda.

Dora postukała palcem w usta.

- Pewnie ma pani rację. A może przejażdżka diabelskim młynem?

- Jest okropny. W zeszłym tygodniu Henry wsadził mnie tam na siłę. Omal nie zemdlałam! - Nagle chłód w głosie pani Tillday stopniał. - Jest jednak miejsce, które bardzo chciałabym odwiedzić, jeśli nie ma pani nic przeciwko. To znaczy... jeśli starczy nam czasu.

- Z przyjemnością. Na co tylko ma pani ochotę.
- Zatem sala ruchomych obrazów? To tuż za rogiem, o tam. - Wskazała główną aleję Midway, z dala od Ulicy Kairu.
- Ruchome obrazy?
- Proszę za mną. Łatwiej to pokazać, niż wytłumaczyć. Pani Tillday chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą, mijając wylot Ulicy i kierując się ku niskiemu budynkowi z czerwonej cegły, przypominającemu bank. Powiodła Dorę w górę po schodach i wysupłała dwadzieścia pięć centów na wstęp dla nich obu. Gdy znalazły się w środku, pani Tillday stanęła bez ruchu.
- Proszę im się przyjrzeć - powiedziała, wstrzymując oddech z napięcia.

Całe ściany galerii pokryte były fotografiami porozwieszanymi w rzędach lub inaczej uformowanych grupach. Dora podeszła do najbliższej serii. Na pierwszym zdjęciu widać było kucającego mężczyznę, jak gdyby gotującego się do skoku. Na następnym ujęciu ten sam człowiek wysuwał nieznacznie nogę, na kolejnym prostował kolana jeszcze bardziej, i tak dalej, i tak dalej, aż obrazki stopniowo ukazały cały proces skoku. Oglądane jako całość, dawały obraz pełnego wdzięku płasu. Kolejna seria poświęcona była obracającej się wkoło kobiecie w wirującej wokół niej przejrzystej sukni. Następny cykl przedstawiał konia w biegu.

- Widzi pani, tu wszędzie ujęty jest ruch. - Pani Tillday stanęła przy niej. - Każda klatka to konkretny ułamek czasu, a gdy połączy się je ze sobą, naprawdę widać, jakby fotografowany obiekt się poruszał!
- Nigdy nie widziałam niczego podobnego - wyznała Dora, idąc wzdłuż ściany, by prześledzić, jak pewien mężczyzna dźwiga na barkach głaz.

Przerwała oglądanie, gdy na znajdującą się po drugiej stronie sali platformę wspiął się Brytyjczyk o długiej siwej brodzie i odchrząknął. Na stole obok niego spoczywało dziwne urządzenie wykonane z metalu i drewna.

Pani Tillday ścisnęła ramię Dory i wyszeptała:

- Och, to będzie cudowne! Będzie pani zachwycona.

Dora uśmiechnęła się serdecznie uszczęśliwiona beztruską w głosie towarzyszki. Chyba nic nie pozostało już z nieprzyjemnych uczuć związanych z teatrem egipskim. Pani Tillday pociągnęła Dorę w tłumek osób gromadzących się wokół mówcy.

Gdy opuszczały budynek, na twarzy pani Tillday malował się wyraz triumfu.

Dora wzięła ją pod ramię.

- Co panią tak cieszy?

- Nie mogę się doczekać, aż powiem Henryemu, jak bardzo się myli. Mówi, że to bzdury, te wszystkie fotografie kobiet, mężczyzn, zwierząt. Ale na własne oczy widziała pani, że to o wiele więcej niż ładne obrazki.

Kiedy siwobrody mówca, który przedstawił się tłumowi jako Eadweard Muybridge, autor rozwieszonych na ścianach zdjęć, pokręcił gałką w dziwnym urządzeniu, które nazywał zoopraksiskopem, uruchomił dysk ozdobiony serią zdjęć koni w kolejnych stadiach ruchu. Za pomocą lampy rzucił na biały ekran za sobą ruchomy obraz. Dora wraz z resztą zgromadzonych wydała okrzyk zdumienia, bo mogłaby przysiąc, że koń z fotografii zbiegnie zaraz ze sceny jak żywy.

- Henry twierdzi, że zoopraksiskop to nic innego jak imitacja kinetoskopu, który Tomasz Edison zademonstrował kilka lat temu w Nowym Jorku, ale według mnie nie ma racji. Edison nie dopracował swojej maszyny nawet na tyle, by wystawić ją tu, na targach. Poza tym nawet kiedy będzie już gotowa, ruchomy obraz będzie mogła oglądać tylko



jedna osoba naraz, ponieważ będzie zamknięty w pudełku. Zoopraktykowanie pokazuje obraz wielu ludziom jednocześnie. To zdecydowanie świetniejszy wynalazek. Brytyjczycy potrafią wykazać się sprytem, nawet jeśli Henrymu trudno przyznać, że Anglik mógłby przechytryć Amerykanina.

Dora kiwała głową niby w wyrazie poparcia dla jej słów, ale w istocie zbyt cieszyło ją odnowione porozumienie z panią Tillday, aby skupiać się na wynalazkach.

Gdy dotarły do powozu, towarzyszką odwróciła się i spytała:

- Mówi pani, że ta tancerka przystała na zmiany?

- Jak najbardziej - odparła Dora zaniepokojona nagłym zwrotem rozmowy.

- Dziwię się, że tak łatwo nam poszło - ciągnęła pani Tillday, odwiązując lejce od palika.

- Mówiła całkiem rozsądnie - powiedziała Dora, lecz natychmiast pożałowała swoich słów.

- Żartuje pani, prawda? To Egipcjanie! - Sposób, w jaki przeciągnęła sylaby, sprawił, że nazwa narodowości zabrzmiała jak określenie choroby lub czegoś nawet jeszcze gorszego.

- Oczywiście, że tak - Dora poprawiła się szybko, zajmując miejsce pasażera.

Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, to kłótnia o Egipcjan, ale pozostawała jeszcze kwestia zawartej z Aminą umowy. Nagle pewna myśl zaświtała jej w głowie. Może zmieni temat i uzyska potrzebną jej informację za jednym zamachem?

- Nie zna pani może godnego polecenia lekarza? - rzuciła od niechcena.

Pani Tillday ściągnęła brwi.

- Źle się pani czuje? - Wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Dory.

- Nie, nie, wszystko w porządku - odparła, cofając rękę. - Tylko teraz właśnie sobie przypomniałam. To jest, już wcześniej chciałam zapytać... Chodzi o Bonmarie, moją służącą. Ostatnio nie miewa się najlepiej.

- Biedactwo. Znam pewnego doktora, w dodatku naprawdę wyśmienitego. Doktor Cheswick, ma świetną reputację.

Czyżby wszystko miało się udać?

- Jak mogę się z nim skontaktować?

- Dziś wieczorem będzie u nas na kolacji. Przekażę mu, że chciałaby pani skorzystać z jego usług.

Uśmiech Dory przybladł.

- Dobrze się znacie?

- Spotykamy się od lat. Jest jednym z najbliższych przyjaciół pana Tilldaya.

- Proszę jeszcze nic mu nie mówić. - Dora zawiesiła głos, podczas gdy jej myśli biegły z prędkością błyskawicy. - Bonmarie czasami przesadza, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wie pani, jaka potrafi być służba. - Zmusiła się do śmiechu. - Najpierw się upewnię, a potem zajmę się ewentualnym załatwianiem wizyty.

- Jeśli tak pani woli - przystała pani Tillday, strzelając wodzami, by koń ruszył.

Zdecydowanie tak będzie lepiej. Dora schroniła się pod parasolką, po części, żeby zakryć swoje rozczarowanie, po części natomiast, by osłonić przed słońcem skrawek policzka, którego nie chronił kapelusz. Marzyła, aby zakończyć tę sprawę, ale jak wszystko w Chicago było to niełatwe. Jak znaleźć lekarza bez wiedzy Pań Zarządzających i Charlesa?

Pani Tillday rzuciła Dorze zaniepokojone spojrzenie i szarpnęła lekko jedną z wodzy, dając koniowi sygnał do skrętu.

- Zdaje się, że to miejsce daje się pani we znaki - rzuciła, wjeżdżając w zakręt.

Dora obejrzała się przez ramię na minaret przy Ulicy Kairu, diabelski młyn i Midway niknące w oddali i pomyślała, że sama nie ujęłaby tego lepiej.

## ROZDZIAŁ 5

Dora w pomiętej sukni popołudniowej schodziła po schodach na niedzielne śniadanie Bonmarie złożone z bułeczek, kiełbasy i sosu oraz kawy z cykorią, kiedy Charles wystawił głowę z gabinetu.

- Doro, mogę cię prosić?

Wzdrygnęła się. Czyżby znowu zachowała się niewłaściwie?

- Dzień dobry, kochanie. Wczesnie wstałeś.

- Nie nazwałbym dziewiątej wczesną porą. Czekałem na ciebie.

- Powinieneś być dać mi znać. Pisałam do matki.

Tak naprawdę dopiero co wygrzebała się z łóżka, ale mąż nie musiał o tym wiedzieć, szczególnie jeśli był na nią zły.

- Chodź ze mną. - Trzymając jej ramię, poprowadził ją do końca korytarza.

- Jaki jesteś tajemniczy. - Dora dostrzegła dziwny wyraz na twarzy Bonmarie, kiedy przechodzili przez kuchnię.

Charles milczał. Otworzył drzwi i wyprowadził żonę na zewnątrz. Powiodła spojrzeniem za jego wzrokiem i zakryła usta z wrażenia.

- Och, Charles! - Podbiegła do białych dwukołowców opartych o tylną ścianę domu. Rzuciła się oglądać damski model z koszyczkiem z przodu. - Czy to naprawdę dla mnie?

Mąż podszedł do niej i zachichotał.

- Dostarczono je wczorajszej nocy, ale chciałem, żebyś obejrzała je w świetle dnia. Jesteś zadowolona?

- Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- Po prostu stwierdziłem, że nadszedł właściwy czas.

To zasługa tych wszystkich pism, tych wszystkich pozakładanych przez nią reklam. Nie zdradził się ani słówkiem z zamiarem kupna. Już niemal dała za wygraną.

- Mam jednak pewne warunki.

Jego słowa ledwo do niej docierały. Już wyobrażała sobie, jak sunie wzdłuż jeziora, a wiatr głaszcze jej policzki.

- Będziesz mi zgłaszać, kiedy wybierasz się na przejażdżkę, i będziesz zawsze wkładała buty do jazdy.

- Tak, kochany, oczywiście. - Obuwie rowerowe sięgało kolana i było podobno, delikatnie mówiąc, ogromnie niewygodne. Była to jednak mała cena za tak wielką radość.

- Wiem, jak mężczyźni pożądliwie wodzą wzrokiem za kostkami kobiet, gdy te idą ulicą. Nie pozwolę, żeby moja żona była wystawiona na takie spojrzenia.

- Czy moglibyśmy dzisiaj kupić buty? - Z trudem powstrzymywała się, żeby natychmiast nie wskoczyć na siodełko, by przejechać się po okolicy.

- Nie ma takiej potrzeby. Bonmarie zaniósł ci już parę do pokoju. Mam nadzieję, że ci się spodobają.

- Och, z pewnością! Może od razu moglibyśmy się przejechać? Przebiorę się w okamgnieniu!

Bonmarie stanęła w progu, owinąwszy ramiona szalem.

- Idę na mszę, ale śniadanie czeka na stole. Hazel pozbiera naczynia, jak zjecie.

Delikatnie obeszła Charlesa.

- A buty? - niecierpliwiła się Dora. Bonmarie poklepała ją po ramieniu.

- Są już w twoim pokoju.

- Dziękuję. - Dora pochyliła się i pocałowała Bonmarie w policzek.

- Doro, doprawdy! - Charles wycedził przez zaciśnięte zęby. - To służąca.

Dziewczyna odsunęła się o krok od Bonmarie, która jeszcze raz poklepała ją w ramię.

- On ma rację, *ma chère*. - Poglądziła jeszcze dziewczynę po policzku i ruszyła ścieżką do bramy.

- Do środka. - Pociągnął ją z powrotem do domu. - Doprawdy, Doro, czy tak twoim zdaniem powinna się zachowywać pani domu?

- Może i jest służącą, ale to Bonmarie. Kocham ją. Twarz Charlesa spąsowiała z wściekłości.

- Nigdy więcej nie chcę tego słyszeć w moim domu. Jesteś damą, a ona twoją służącą. Czy wyrażam się jasno? Nie wybrałem sobie żony z niższych sfer, żeby ciągnęła mnie w dół. Sądziłem raczej, że być może pociągnę cię w górę. Byłem w błędzie?

Czuła piekący ból jadu sączącego się z jego słów. Pokręciła głową.

- To dobrze - powiedział. Złość powoli go opuszczała. - Muszę popracować w gabinecie. Chciałbym wyruszyć do Richmondów o dziesiętnastej. Bądź gotowa o tej porze.

Skinęła, a on wyszedł. Patrzyła, jak zamyka za sobą drzwi.

Ani razu się nie obejrzał.

Wróciwszy do pokoju, znalazła postawione przy łóżku buty. Brązowa skóra, sznurowane. Jeszcze chwilę temu pragnęła je przymierzyć, sprawdzić, jak leżą. Teraz nie mogła ich

dotknąć. Nie chciała nawet na nie patrzeć. Nie teraz. Może nigdy. Tak marzyła o rowerze, wyobrażała sobie, że będzie mknąć ulicami, ale już jej na tym nie zależało.

Wyjęła sukienkę na wieczór u Richmondów. Jedwabna spódnica w odcieniu pawiego niebieskiego z pasującą kolorystycznie górą, która migotała w świetle świec. Tę kreację Charles lubił najbardziej. Rozpięła ją na manekinie i obłożyła saszetkami z płatkami róż, żeby zapewnić jej przyjemny zapach. Jeśli będzie dziś wyglądała wyjątkowo pięknie, może Charles jej wybaczy. Przeciągnęła dłonią po górze sukni, żeby wygładzić zagniecenia. Robi wszystko tak, jak on sobie życzy, wszystko, o co prosi. Jeszcze raz spróbowała wygładzić suknię, po czym przetarła oczy, w których zbierały się łzy. Tak bardzo się stara. Czy on tego nie widzi? Jeszcze jedno wygładzenie stroju, kolejne otarcie łez. Ta forma rozprostowywania materiału nie skutkowałą. Przycisnęła zagięcia mocniej. Powinna była wyjąć kreację poprzedniego wieczora. Teraz będzie musiała rozgrzać żelazko, ryzykując zniszczenie delikatnej tkaniny. Przełknęła łzy i jeszcze raz przeciągnęła dłońmi po jedwabiu. Wszystko na nic. Suknia była katastrofą. Odepchnęła manekina tak, że aż się przewrócił. Spódnica zatrzepotała jak wywieszona na sznurze pranie, po czym pomięta, spoczęła na podłodze. Dora padła na kolana, kryjąc głowę w ramionach, i szlochała.

Ona sama była katastrofą. Nie umiała się nawet przygotować do wyjścia w gości. Przysięgała Charlesowi, że będzie żoną, jakiej pragnął, a zawodzi go na każdym kroku. Przycisnęła pięści do oczu. Gdzie podziało się spokojne pocieszenie mamy? Gdzie miękki rękaw Bonmarie? Gdyby tylko mogła usłyszeć ten aksamitny głos mówiący jej, że wszystko będzie dobrze...

Ale te dni już minęły, prawda? Już nie była Dorą Deve-reaux, tylko panią Charlesową Chambers. Wnet skończą się

jej szanse. Musi wziąć się w garść i być kobietą, jakiej oczekuje jej mąż.

Trudno będzie traktować Bonmarie w inny sposób, ale alternatywa była jeszcze gorsza. Służąca na pewno zrozumie. Porozmawia z nią wieczorem. Wyjaśni jej, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Dora otarła ostatnie łzy i podniosła się z podłogi. Nazywa się Charlesowa Chambers i musi zachowywać się stosownie do swojej pozycji. To wszystko część jej nowego życia.

Przejrzała się w lustrze szafy i poprawiła kosmyki, które wymknęły się z koka. Podniosła manekina i po raz ostatni przesunęła dłoń po upartych zagnieceniach. Poprosi Bonmarie, żeby wyprasowała suknię. Nie, poleci jej, żeby się tym zajęła. Im prędzej zacznie się zachowywać jak pani tego domu, tym lepiej.

Nikt nie obiecywał, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Kiedy zeszła na dół, Charles był w gabinecie. Zajrzała do jadalni i skonstatowała, że zjadł już swoją porcję. Hazel sprzątała ze stołu.

Kobieta podnosiła właśnie tacę z bekonem, gdy zauważyła Dorę. Ręka zawisała jej w powietrzu, po czym wysunęła wędlinę w stronę dziewczyny.

Dora pokręciła głową. Nie miała apetytu.

Hazel położyła tacę na innych, które trzymała w zgięciu łokcia, i wróciła do sprzątania.

Dora udała się do salonu, wzięła ze stołu tygodnik informacyjny, przerzuciła kilka stron i odłożyła go z powrotem. Poprawiła szydełkową serwetę zdobiącą oparcie fotela. Podeszła do okna. Puszyste białe obłoki rozsypane po błękitnym niebie i przedpołudniowe słońce nadawały drzewom, trawnikowi, a nawet ulicy złocisty blask. Przypomniała sobie o swojej bugenwilli.



Zamknęła za sobą drzwi wyjściowe, najciszej jak było to możliwe, żeby nie przeszkadzać Charlesowi, i obeszła dom. Oto ona, nadal tylko kilka listków, ale małe zielone pączki na gałązkach wskazywały, że lada dzień będzie ich więcej. Dotknęła ziemi wokół łodygi. Czy nie za sucha? Poszła do szopki, w której trzymano narzędzia ogrodowe, i ujrzała, że Harold odprowadza jeden z rowerów do stajni.

- Miała pani zamiar z niego korzystać? - zawołał do niej. Zjeżyła się na widok bicykla.

- Nie, nie w tej chwili - odpowiedziała. Może nigdy. -Czy znajdę tu konewkę?

- Powinna tam być. Ale mogę zajrzeć do tej pani rośliny, jak pani sobie życzy. Na pewno panu Chambersowi bardziej by to odpowiadało.

- Dziękuję, ale wolę doglądać jej sama.

Harold wzruszył ramionami na znak, że wszystko mu jedno, i popchnął rower dalej w kierunku otwartych wrót stajni.

Dora znalazła konew z ogromnym dziurkowanym wylotem i zaniosiła ją do stajennej pompy. Napełniła naczynie tylko do połowy, a i tak potrzebowała obu rąk, by z trudem dotaszczyć je do rodzącego się krzaczka. Ostrożnie wycelowała i przechyliła konewkę. Deszcz kropel chlusnął na ziemię. Dora odskoczyła o krok, żeby nie zamoczyć butów. Gdy grunt spił już całą wodę, ponownie podlała roślinkę. Małeństwu przyda się każda pomoc!

- Proszę rozważyć większą oszczędność wody, pani Chambers.

Odwróciła się i ujrzała doktora Bostwicka, ubranego w ogrodniczkę i słomiany kapelusz. Mężczyzna szedł w jej kierunku.

- Utopi pani korzenie, jeśli nie będzie pani ostrożniejsza.

Wyprostowała konew.

- Chciałam mieć pewność, że nie będzie za mało.

- Nie trzeba lać wiele. Lekki prysznic co drugi dzień, dopóki nie wypuści wszystkich listków, a potem sama będzie się już zaopatrywać z gleby.

Dora pogłaskała górne listki.

- Widział pan kiedyś kwitnącą bugenwillę, doktorze? Ma intensywną barwę, mocniejszą, niż pan może sobie wyobrazić. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zakryje te okropne cegły.

- Musi się pani uzbroić w cierpliwość. Niczego pani nie przyspieszy, zalewając roślinkę na śmierć. - Zachichotał i wsunął ręce do kieszeni. - Czasami mam wrażenie, że kwiaty nie różnią się zbyt od moich pacjentów. Gdy ludzie są chorzy, aż kusi, żeby nafaszerować ich lekami i tym samym natychmiast wyleczyć, ale wiem, że podanie im zbyt dużej dawki w krótkim czasie tylko pogorszy ich stan. Każde ciało przyjmie tylko określoną ilość nawet czegoś dobrego. Trzeba przyjąć, że wszystko odbywa się we właściwym sobie czasie, nie wyznaczonym przez nas. Ale co ja mówię, z pewnością wykład jest ostatnią rzeczą, na jaką ma pani ochotę w tak piękny poranek.

- Bardzo się cieszę, że mogę korzystać z pańskiej mądrości. - Myśli Dory już dawno porzuciły bugenwillę, błyskawicznie frunąc do obietnicy złożonej tancerkom brzucha. Odstawiła konewkę. - Doktorze, jest pan taki uprzejmy... Zastanawiam się, czy mogłabym poprosić pana o przysługę w innej jeszcze kwestii. - Widziała, że skupił na niej całą uwagę. ~ Mam koleżankę... Znajomą w zasadzie, która zapadła na jakąś poważną chorobę, ale sama nie ma możliwości skontaktowania się z lekarzem. Zaoferowałam się zrobić to w jej imieniu, ale przyznaję, że nie mam pomysłu, jak się do tego zabrać.

Lekarz podrapał się w brodę.

- Czy ta panna nie ma rodziny? W sprawy medyczne na ogół angażują się bliscy.

- Nie, jest całkiem sama.

Jego twarz przybrała dobrotliwy wyraz. Zbliżył się do Dory i ściszył głos.

- Moja droga, jeśli jest coś, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać w tajemnicy, zapewniam...

- Nie chodzi o mnie. - Podniosła ręce w obronnym geście. - Może powinnam być bardziej szczerą, ale... - rozejrzała się, czy Harolda nie ma w zasięgu głosu - zmuszona jestem prosić, by zostało to między nami.

Zawahał się, po czym skinął głową.

- Znalazłam się w dziwnej relacji z egipskimi tancerkami brzucha z Wystawy. - Dostrzegła, że cień zaskoczenia przemknął przez twarz doktora, ale ciągnęła dalej. - Zwierzyły mi się, że jedna z nich zachorowała. Leży w łóżku z gorączką, jak mi powiedziały, jednak nie widziałam chorej na własne oczy. Tancerki szukały pomocy u organizatorów targów, ale zostały zlekceważone. Zwróciły się więc do mnie i szczerze mówiąc, nie wiem, co robić.

- Rozumiem - rzekł, wiodąc kciukiem po siwych wąsach. - A dlaczego Panie Zarządzające nie zainterweniują? Sądzę, że ich wpływy mogłyby coś zdziałać.

- W tym sęk. Nie mogę się zwrócić do naszej komisji z obawy, że moje poczynania okażą się w ich oczach niewłaściwe. Jednocześnie sumienie nie pozwala mi zostawić biedaczki, by cierpiała bez żadnej pomocy.

- Zaiste, stoi pani przed dylematem - przyznał. - Może sam zajrzę do tej damy i nikt inny nie będzie musiał się w to mieszać?

- Naprawdę zrobiłby to pan? Nie chcę przysparzać panu kłopotów. I oczywiście mogę zapłacić...

- Proszę, pani Chambers, do głowy by mi nie przyszło żądać od pani zapłaty. Będzie mi bardzo miło czymś się pani przysłużyć. I tak miałem zamiar pojechać na Wystawę.

- Naprawdę? Jest pan pewien? Wiem, że Egipcjanki będą panu niezwykle wdzięczne. Ja będę pana dłużniczką!

- A więc ustalone. - Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawił się wesoły ognik. - Gdy już dotrę do teatru egipskiego, jak znajdę tę kobietę?

- Przy wejściu proszę spytać o Aminę Mahomet. To jedna z tancerek. Jeśli powie jej pan, że przychodzi ode mnie, zaprowadzi pana. Doktorze - wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń - nie wiem, jak panu dziękować.

Dora siedziała przy toaletce i upinała loki na kolację u Richmondów, kiedy drzwi jej sypialni otworzyły się i ukazała się w nich Bonmarie.

- Dzięki Bogu, że jesteś - przywitała ją Dora. - Nigdy nie poskromię tych włosów tak, jak ty to potrafisz. Pomożesz mi? - Podniosła wsuwkę.

Służąca weszła do środka i wzięła spinkę.

- Jesteś pewna, że twój chłop nie dostanie znowu ataku, jeśli się do tego wezmę?

Od wybuchu Charlesa minęło już wiele godzin, a kobiety jeszcze nie poruszyły tego tematu. Kiedy Bonmarie wróciła z mszy, udała się prosto do kuchni i unikała Dory. Dziewczyna również starała się trzymać z dala.

- Nie powinnaś mieć mu za złe - broniła go Dora. Usłyszała za sobą mruknięcie. Bonmarie sięgnęła po następną wsuwkę i upięła nią lok, który przyłożyła z tyłu głowy Dory. - To naprawdę moja wina. - Nie uzyskala żadnej odpowiedzi, czuła tylko, jak włosy poddają się rękom Bonmarie. W lustrze widziała natomiast, że służąca coraz mocniej

marszczy czoło. - To wszystko przez to, że dostarczam mu zbyt wielu powodów, by wątpił, czy jestem żoną, jaką miał nadzieję we mnie znaleźć.

- Nie mów tak - upomniała Bonmarie. - Z tobą wszystko jest jak trzeba. Gdyby mnie kto pytał o zdanie, to jesteś za dobra dla takiego wrednego starucha jak on.

Dora uśmiechnęła się słabo.

- Chciałabym, żeby w istocie tak było. Ale wiem, że racja jest po jego stronie. Chicago tak bardzo różni się od Nowego Orleanu. A to nie wszystko. Przed ślubem Charles widział tylko moje salonowe maniery, najlepsze zachowanie, na jakie mnie stać. To tę Dorę pragnął pojąć za żonę, nie dziewczynę, która większość dnia spędza w kuchni. Sądziłam, że zmiana przyjdzie mi bez trudu, ale nie jest tak łatwo, jak myślałam. Czy popełniłam błąd, prosząc cię, byś przyjechała tu ze mną? Nie mogłabym znieść...

- Ciii, już dobrze - uspokoiła ją Bonmarie. - Nigdy nie myśl, że powinnaś była zostawić mnie w domu. - Wypuściła z rąk partię włosów i oparła dłonie na ramionach Dory. Spojrzenia kobiet spotkały się w lustrze. - Moje miejsce jest przy tobie, tak to już jest. Nie ma znaczenia, co mówi twój stary, ani jak będziesz musiała mnie przy nim traktować. Rób, co trzeba. Przecież wiesz, że cię kocham.

Dora musiała przełknąć ślinę, zanim zdołała odpowiedzieć. Widziała wilgoć zbierającą się w jej własnych oczach i lśnienie łez Bonmarie.

- Ja też cię kocham - wyszeptwała.

- A teraz dość mazania się. Damy się tak nie rozklejają. -Bonmarie sięgnęła po szczotkę i przeczesała Dorze włosy.

W lustrze widać było jej uśmiech.

Tuż przed dziewiętnastą Dora wyłoniła się ze swojej sypialni. Charles czekał już w holu, wkładając płaszcz i melonik.

- Dobrze, że jesteś, już miałem cię wołać.

- Jak wyglądam? - Rozłożyła ramiona i zakręciła piruet. Obejrzał ją z góry na dół.

- Nie sądzisz, że przesadziłaś? Idziemy na kolację, nie do opery.

Zwiesiła głowę.

- Wydawało mi się, że podoba ci się ta suknia.

- Trochę zbyt wymyślna, nie sądzisz? - Zegar stojący u szczytu schodów wybił godzinę. - Trudno, spóźnimy się, jeśli zaczniesz się przebierać. - Zdjął z wieszaka jej szal, rozwinął go i czekał, aż Dora podejdzie, żeby ją okryć. Następnie otworzył drzwi i wyszli na zewnątrz.

Powóz już na nich czekał. Charles pomógł żonie wsiąść, a sam zajął miejsce powożącego. Kilka minut później byli już przed zbudowaną z kamienia, porośniętą bluszczem willą Richmondów. Złota poświata biła z zasłoniętych koronkowymi firankami frontowych okien.

Charles uwiązał konia i asystował żonie przy wysiadaniu. Ramię przy ramieniu podeszli do drzwi. Na pukanie odpowiedział lokaj, który powitał ich i zaprowadził do galerii. Pan Richmond wstał ze swojego miejsca przy kominku.

- Zapraszam, zapraszam - powiedział. Chwycił rękę Charlesa i potrząsnął nią mocno. - Jak to miło, że przyjechaliście. Jak dobrze znów panią widzieć, pani Chambers. - Ujął jej dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek, po czym przeczesał palcami rzadkie siwe włosy na szczycie czaszki. - Wygląda pani olśniewająco. Cóż za powalający odcień niebieskiego! Jak się nazywa?

- Pawi, *sir*. - Dora aż pojaśniała z zadowolenia, że gospodarz poświęca jej tyle uwagi.

- Cudna barwa dla pięknej młodej damy. Bardzo jej do twarzy, nie uważasz?

- Oczywiście, *sir* - przytaknął Charles. - A Panie Zarządzające już za nią przepadają.

- Charles, proszę cię. - Dora zasłoniła ręką twarz, starając się ukryć zażenowanie.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odparł pan Richmond. - Charlie, naprawdę świetnie się ustawieś. Cieszę się, widząc, jak układa ci się w życiu małżeńskim. Już dawno powinieneś być podjąć ten krok.

Charles zakasłał i wskazał na kryształową karafkę stojącą na stole przy panu Richmondzie.

- A to dlaczego? - zaciekawiała się Dora, ale mąż zatuszował jej pytanie kolejnym kaszlnięciem.

Pan Richmond udał, że nie dosłyszał, i sięgnął po trunek, nalał do szklanki i podał ją Charlesowi. Uniósł swojego drinka, stuknął w szklankę kolegi i obaj się napili.

- Proszę, siadajcie - zapraszał pan Richmond. - Żona zjawi się za chwilę. Chciała dopilnować szczegółów, wiecie, jakie kobiety potrafią być pedantyczne. - Wskazał parze bordową sofę wyciągniętą naprzeciwko jego własnego fotela.

Dora usiadła i zauważyła, ten sam mebel zajmowała pani Tillday podczas zebrania. Wiele krzeseł i stolików zmieniło miejsce od czasu jej ostatniej wizyty. Przy tak małej liczbie osób pokój wydawał się jeszcze ogromniejszy i świetniejszy niż poprzednim razem.

- Jestem ciekaw, czy miałaś okazję pomyśleć o imporcie, który proponowałem? - spytał Charles, stawiając na mahoniowym stole w połowie opróżnioną szklankę.

- Charlie, Charlie - pan Richmond rzekł karcącym tonem, rozpierając się wygodnie w tym samym fotelu, w którym go zastali. - Odłóżmy interesy na jeden wieczór i cieszymy się towarzystwem naszych wspaniałych żon. Słuchaj rady

człowieka doświadczonego: doceniaj małżonkę, póki jest młoda i śliczna. - Posłał Dorze uśmiech i uniósł szklankę w toaście na jej cześć, po czym wychylił trunek.

Drzwi galerii rozsunęły się i stanęła w nich pani Richmond. Miała fryzurę *d la* Pompadour, uświetnioną wpiętą z boku głowy jedwabną lilią dopasowaną kolorystycznie do fioletoworóżowej sukni z tafty.

Dora poczuła ucisk w żołądku. Czy listowna forma przeprosin była stosowna? Przyglądała się pani Richmond, próbując wyczytać z jej twarzy, jak dama jest do niej nastawiona.

- Oto i ona, miłość mojego życia - zaanonsował pan Richmond, gdy żona podeszła bliżej.

Gospodyni skromnie schyliła głowę.

- Wybaczcie mi spóźnienie, ale sprawdzałam jeszcze przygotowanie kolacji. Mam nadzieję, że gustujecie państwo w pieczonej gęsi. Kucharka jest szalenie dumna z okazji, który znalazła dziś na targu. Twierdzi, że to najdorodniejszy ptak, jakiego widziała w tym sezonie.

- Brzmi wybornie - rzuciła Dora, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na odpowiedź pani Richmond.

Kobieta obdarzyła ją przelotnym uśmiechem, po czym skierowała do Charlesa wyciągniętą dłoń. Grzecznie ujął ją i pocałował.

- Jak miło znów pana widzieć, panie Chambers. Ostatni raz spotkaliśmy się... wieki temu, już chyba nie pamiętam... Ach, tak, na ceremonii pogrzebowej pana Forresta. - Zmarszczyła brwi, a jej uśmiech przygasł. Po chwili jednak znów się rozchmurzyła. - Ale tyle się zmieniło od tamtego czasu, prawda? Chociażby wasz ślub, dzięki któremu jest teraz z nami ta uroczą damą. - Jej pozbawiony ciepła ton nie współgrał z treścią wypowiedzianych słów.

Coś było nie w porządku. To, co powiedziała, było bardzo uprzejme, ale sposób, w jaki to zrobiła, niemal przyprawił



Dorę o mdłości, szczególnie że nie była w stanie uchwycić spojrzenia gospodyni.

- Pan Richmond właśnie skarcił Charlesa za mówienie o interesach - wtrąciła Dora - ale mam nadzieję, że pozwoli mi na podzielenie się z panią dobrą nowiną. - Zerknęła na bankiera, który podniósł ręce w żartobliwym geście poddania się.

- Nie przejmuj się nim wcale - uspokoiła pani Richmond. - Co to za wieści?

- Pani Tillday i ja odbyłyśmy wczoraj bardzo efektywną wizytę u tancerek brzucha. Przystały na wszystkie pani zalecenia, a nawet więcej. Sądzę, że nie będzie już z nimi więcej problemów. - Szukała na obliczu pani Richmond jakiegokolwiek znaku, że jej rezerwa topnieje.

Dama pokiwała jej palcem.

- Nie daj im się nabrać. Obiecują jedno, a robią co innego. Nie wolno im ufać.

- Tym razem zdają się całkiem chętne do wprowadzenia naszych ulepszeń - upierała się Dora. Ugryzła się w język, żeby nie zdradzić za wiele.

- Jesteś młoda - dodała pani Richmond - ale nie wydajesz mi się naiwna. Zobaczymy, czy twoja ocena sytuacji okaże się słuszna. Tak czy inaczej, uważam, że to rzeczywiście wyborna wiadomość.

- Dobrze już, dobrze, wystarczy tych rozmów o tancerkach - wtrącił pan Richmond, starając się przybrać surową minę. - Moglibyśmy powrócić do ważnych spraw, takich jak kolacja? Umieram z głodu.

Pani Richmond podeszła do męża i pocałowała go w policzek.

- Oczywiście, kochanie, już sprawdzę. Przeprosiła towarzystwo i po krótkiej chwili wróciła, oznajmiając, że wszystko gotowe.

- Noc jest taka piękna. Poleciałam służącym, żeby nakryli w oranżerii. Zapraszam za mną... - Poprowadziła ich korytarzem do oszklonego pokoju pełnego przeróżnych gatunków roślin. Donice barwnych orchidei i wielkolistnych palm otaczały okrągłą fontannę, przy której rozstawiono stół nakryty dla czterech osób elegancką porcelaną.

Pan Richmond odsunął krzesło dla Dory, potem dla swojej żony, a na końcu usiedli obaj z Charlesem. Lokaj nalał wina, a czworo innych służących pojawiło się u boku gości i swych państwa. Lokaj dyrygował - na jego znak jednocześnie przed każdym pojawiała się naczynie. Posiłek rozpoczęli bulionem wołowym, potem podano cassoulet z kiełbaską z kaczki, a wreszcie na stole pojawiła się pieczona gęś. Podawane jedno po drugim, każde serwowane z równą precyzją, dania zrobiły na Dorze olbrzymie wrażenie. Zachwycił ją sposób ułożenia frykasów na talerzu i to, jak Charles delektował się każdym kęsem. Miała świadomość, że to wyjątkowy posiłek, więc żuła powoli, wręcz leniwie, próbując wyczuć smak potraw. Niestety, były go pozbawione. Wszystko było okropnie, beznadziejnie mdłe. Przeniosła uwagę na toczącą się przy stole rozmowę. Regularnie kiwała głową i uśmiechała się, prawie się nie odzywając. Wieczór przebiegał całkiem dobrze i Dora nie zamierzała go zepsuć źle dobranym słowem.

Pan Richmond dbał o to, by konwersacja nie zamierała ani na chwilę. Choć większość komentarzy kierował do Dory, nie wymagał od niej odpowiedzi.

- A więc odwiedziliście Wystawę, jeśli dobrze zrozumiałem - zagaił głosem o gładkim brzmieniu, które przywodziło jej na myśl żar w kominku, promieniujący ciepłem w chłodny wieczór.

- Jak najbardziej - Charles nie pozwolił jej się odezwać. -Zabrałem ją zaraz w pierwszym tygodniu. Oczywiście bywała tam i później, w sprawach Pań Zarządzających.

- To bardzo ekscytujący okres dla Chicago, młoda damo. - Pan Richmond uśmiechnął się szeroko pod sumiastym wąsem. - Pamiętam, jak sami tu przybyliśmy, moja pani i ja. Przenieśliśmy się z Nowego Jorku, dokładnie rok po tym jak większość Chicago strawił wielki pożar. - Podniósł wzrok na szklany sufit i wpatrzył się w usiane gwiazdami niebo. - Czy to możliwe, że minęło już dwadzieścia jeden lat? Oj, tak. Pewnie jeszcze nie było cię na świecie, moja droga. - Na jego obliczu malowała się dobroć dziadka, ale w zmarszczkach, które utworzyły się wokół oczu, krył się smutek.

- Dlaczego zdecydowaliście się na przyjazd po pożodze? - chciał wiedzieć Charles. - Nie słyszeliście o zniszczeniach?

- Czy nie słyszeliśmy? Jasne, że tak. To wieść o nich sprowokowała mnie do przeprowadzki. Nie rób zdziwionej miny. Ten pożar był darem od niebios. - W głosie pana Richmonda zabrzmiała werwa. - Oczyszczył miasto ze wszystkiego, co stare i zużyte. Zostaliśmy pobłogosławieni możliwością przebudowy na lepsze i trwalsze.

Przez chwilę studiował wyraz twarzy Dory.

- Pomyśl, moja droga, sto lat temu Chicago było niczym, placówką handlową, niczym więcej. Ale gdy kraj pomaszerował na zachód, miasto rozkwitło w kluczową arterię transportową, dostarczając towarów i rąk do pracy. Rosło, i to w szybkim tempie, ale z zachowaniem tradycji.

- Na pewno nieraz już ich częstowano tą opowieścią - upomniała męża pani Richmond, dając dyskretny znak Cecilowi, stojącemu w milczeniu na baczność w rogu pokoju. - Czy ktoś ma jeszcze ochotę na kieliszek czerwonego wina?

Dora pokręciła głową, Charles przytaknął.

- Słucham z przyjemnością - powiedział Chambers, zachęcając przełożonego do kontynuowania wywodu.

- Dzięki, dobry człowieku, ale Aggie ma rację. Często daję się ponieść. Chodzi o to, że wkraczamy w nową epokę, erę przemysłową. Dotychczasowe zasady są przestarzałe, sposób myślenia do wyplenienia! Stoimy przed czystym płótnem. Pożar otworzył miastu drogę do modernizacji -wymówił ostatnie słowa niczym modlitwę. - Każdy nowy budynek stał się świadectwem postępującej architektury i inżynierii wodno-lądowej. Ulice ulepszono. Koleje zintegrowano wedle nowatorskiego projektu. - Spojrzał na Dorę w oczekiwaniu na jej opinię.

- Nie wiedziałam o tym - udało jej się wykrztusić.

- To właśnie dlatego Chicago staje się gospodarczym sercem naszego wspaniałego kraju. Nowy Jork? Gnije pod ciężarem własnego brudu. Nie, moja miła, to Chicago ma wszystkie atuty, a dzięki Wystawie cały świat widzi to wyraźnie.

- Archibaldzie, już naprawdę wystarczy - wtrąciła się pani Richmond. Ponownie dała sygnał Cecilowi.

Podszedł natychmiast, by sprzątnąć ze stołu resztki gęsi. Na koniec podano jeszcze sery: miękki brie, poprzecinany błękitnymi żyłkami stilton, twardy i kruchy mimolette.

- Nie przełknę już ani kęsa - oznajmiła gospodyni.

- Podpisuję się pod tym stwierdzeniem - dorzuciła Dora. - Wszystko było naprawdę przepyszne, a państwa kucharka miała zupełną słuszość: wyborna gęś. Najlepsza, jaką miałam w ustach od bardzo dawna. - Kiedykolwiek, tak naprawdę, ale wyznanie tego miało się z celem.

- Charlie, może szklaneczkę porto w gabinecie?

- Wyśmienity pomysł, Archibaldzie. To da pani Chambers i mnie okazję do pogawędki - pochwaliła pani Richmond.

Dora rzuciła okiem na męża. Co według niego miała teraz zrobić? Czekala na jakąś wskazówkę. Podniósł serwetkę

z kolan, otarł nią kąciaki ust i złożył w kostkę przy talerzu. Kiwnął głową w stronę pana Richmonda.

- Z przyjemnością się napiję.

Mężczyźni wstali od stołu i przeszli do gabinetu. Starsza kobieta nachyliła się ku Dorze.

- Teraz, kiedy już wreszcie poszli, chciałam ci zadać pytanie... Umieram z niecierpliwości, żeby poznać odpowiedź.

Dora zamarła z przerażenia.

Pani Richmond obejrzała się przez ramię, by upewnić się, że panowie zniknęli z horyzontu. Zniżyła głos i spytała:

- Jak układają się wasze stosunki z panią Tillday? Mam wyrzuty sumienia, że zrobiłam z was partnerki, ale mówiąc całkiem szczerze, nie mam pojęcia, co z nią począć. To taka nieśmiała szara myszka. Nikt nie potrafi wydobyć z niej ani piśnięcia. Przyszło mi do głowy, że przy tobie, nowej w naszych szeregach, trochę się otworzy.

- Pani Tillday? - wyrwało się zaskoczonej Dorze. Jaka to ulga, że jej obawy okazały się bezpodstawne! To nie ona jest źródłem zmartwień pani Richmond. Natychmiast odzyskała rezon. - Ciekawe, że pani pyta. Kiedy nas pani przedstawiła, tego dnia, za który raz jeszcze pragnę najmocniej przeprosić... To moje nagłe wyjście... - Pani Richmond machnęła ręką, dając znać, że to sprawa bez znaczenia. - W każdym razie tego dnia pani Tillday prawie się nie odzywała. Ale gdy udałyśmy się na Wystawę, była zupełnie odmieniona. Rozmowna, pewna siebie... jak nie ta sama osoba.

Pani Richmond oparła się wygodniej na krześle, a na jej twarzy pojawił się wyraz aprobaty.

- Widzisz, miałam rację. To, z kim przestajemy, ma ogromne znaczenie.

Później skupiły się już tylko na pogodzie - analizowały kaprysy klimatu, panującą tego dnia nadzwyczajną wilgoć

oraz tradycyjnie suchy i słoneczny czerwiec w Chicago w zestawieniu z ciężkim, tropikalnym powietrzem Nowego Orleanu. Podsumowały zalety, ale przede wszystkim wady obu klimatów, rozpatrując ich cechy w każdym szczególe.

Kiedy wstawały od stołu, Dora miała trudności z przypomnieniem sobie choć słowa z całej rozmowy, ale nie pamiętała też, by kiedykolwiek była tak podekscytowana wymianą zdań. To była konwersacja, którą pani Richmond mogła odbyć z dowolną damą swojego pokroju. Szkoda, że Charles nie był jej świadkiem - byłby dumny z żony!

Pani Richmond wyciągnęła rękę, by zgasić świece, i trąciła niechęć czarzkę z winem. Kilka kropel czerwonego płynu pociekło jej na spódnicę. Zerwała się z miejsca.

- Muszę przetrzeć to wodą, zanim zaschnie! - powiedziała, z zapalem atakując płamę serwetką. - Ale ty przejdź do gabinetu, śmiało. Panowie będą pograżeni w rozmowie o interesach i przyda im się zmiana tematu. O, weź ze sobą półmisek z serami. Zaraz do was dołączę.

Richmond otworzył mahoniowy barek i wyjął z niego dwie szklanki i butelkę. Odkorkował ją, nalał płowego napoju i podał trunek gościowi.

Charles wziął głęboki łyk. Jeśli instynkt go nie mylił, przyda mu się coś na wzmocnienie. Zajął obity skórą fotel i czekał.

Stary bankier niespiesznie nalał i sobie, po czym starannie zakorkował butelkę i odstawił ją na miejsce. Zajął fotel obok Charlesa i wbił wzrok w drinka.

Chambers grał swoją rolę przez całą kolację, udając, że nie wie, iż zaproszenie nie było czysto towarzyskim wydarzeniem. Nadeszła pora, by spojrzeć prawdzie w oczy.

- Chodzi o prezesów? Odrzucili moją kandydaturę?

Richmond pokręcił głową, nie podnosząc jednak wzroku znad brzegu szklanki.

- Nie ze wszystkimi jeszcze poruszałem tę kwestię, ale ci, z którymi rozmawiałem, są pozytywnie nastawieni. Jeśli tak dalej pójdzie, masz dużą szansę na stanowisko wiceprezesa.

Charles opadł na oparcie fotela.

- To fantastyczna wiadomość. Nie wie pan, jak bardzo doceniam...

- Niezupełnie o tym chciałem z tobą pomówić.

- Nie rozumiem...

- Muszę wiedzieć, czy zakończyłeś sprawę z Geraldine Forrest.

Charles pochylił się do przodu.

- Oczywiście, że tak. Mówiłem już panu.

- Pamiętam, co mi mówiłeś, ale widzę, jak często bywa w banku. Nie ma dnia, żeby nie znalazła powodu, by się z tobą zobaczyć.

- Poprosiła mnie, abym doradził jej w sprawie spadkowej. To wszystko. Nasze kontakty są zupełnie niewinne. -Podniósł szklankę do ust i pił.

- Dlaczego właśnie ty, Charlie? Mogła się zwrócić do każdego.

- Nie odgadniesz, co kieruje kobietą. Jest jednym z głównych inwestorów. Dlaczego miałyby nie przychodzić do banku, kiedy ma na to ochotę?

- Bo jesteś żonaty, choćby dlatego! Prezesa cię obserwują. Ale to nie jedyna przyczyna, dla której cię dziś zaprosiłem.

Charles przygotował się na kolejny cios. Richmond nie spieszył się z wyjawieniem myśli. Kiedy wreszcie się odezwał, starannie dobierał słowa.

- Chciałem się przekonać, czy twoja żona to typ kobiety, która będzie potrafiła utrzymać cię przy sobie.

- Doprawdy nie sędę, abyś miał prawo... - Alkohol dodawał mu odwagi. Strach przed Richmondem ustępował złości.

- Mam pełne prawo. Jeśli postawię wszystko na jedną kartę i zarekomenduję cię prezesom, a ty zawiedziesz, w ich oczach pograżę się i ja. A wierz mi, niespieszno mi do tego.

Jeśli Richmond się za nim nie wstawi, nikt tego nie zrobi.

- Jestem jej wierny. - Szarpnęły nim wyrzuty sumienia. Ten ostatni raz był błędem. Miał zamiar powiedzieć Geraldine, żeby nie pojawiała się więcej w banku i uznała fakt, że ma żonę. Nie planował dać się ponieść. Już nigdy nie okaże takiej słabości. Będzie lepszym mężem.

- To właśnie chciałem usłyszeć. Prezesi nie lubią kłopotów i nie przyjmą cię w swoje szeregi, jeśli będą podejrzewali, że możesz ich przysporzyć.

Charles pokiwał głową.

- Geraldine Forrest jest i będzie poza twoim zasięgiem. Ciesz się tym, co masz. Twoja żona jest dobrą, uroczą, piękną dziewczyną, Charlie. Nie niszczyć małżeństwa na rzecz jakiegoś bezcelowego zauroczenia.

Charles wziął porządny łyk trunku. Richmond ma rację. Dora jest dobrą, uroczą, piękną dziewczyną. Rzeczywiście taka jest. Dlaczego mu to nie wystarczało?

Dźwięk uderzającego o podłogę szkła przestraszył mężczyznę. Chambers rzucił zaniepokojone spojrzenie w stronę otwartych drzwi. Hałas dobiegł gdzieś z bardzo bliska, ale w ciemnym korytarzu nie było widać żadnego ruchu.

- Wszystko w porządku, nic się nie stłukło - dobiegł go głos Dory, ale była daleko. Stanowczo poza zasięgiem głosu.



Dora przemknęła z końca korytarza, skąd zawołała do mężczyzn, z powrotem w miejsce, gdzie upuściła półmisek. Musiała pozbierać rozsypane kawałki sera. Spieszyła się, by pozbyć się dowodu tego, jak blisko stała. Nie mogła pozwolić, by odkryli, że podsłuchiwała. Na szczęście naczynie się nie zbiło, ale i tak czuła się okropnie. Ścierpły jej ręce i nogi, a emocje wyparowały, gdy z ust pana Richmonda padło znieawidzone nazwisko: Geraldine Forrest. Ona i Charles byli kochankami? Myśl była tak straszna, że Dora nie chciała jej do siebie dopuścić. Jeszcze chwila, a pięknie jej głowa.

Usłyszała ruch w gabinecie.

Chwyciła półmisek z serem, który udało jej się zebrać, i pognąła z powrotem do oranżerii.

Pani Richmond zatrzymała ją po drodze w holu.

- Wszystko w porządku, kochana? Zdawało mi się, że słyszę jakiś hałas.

Dorze zbierało się na płacz, miała ochotę krzyknąć. Wyciągnęła ręce z naczyniem.

- Tak mi przykro. - Przygryzła wargę, by powstrzymać czające się pod powiekami łzy.

Pani Richmond wyjęła jej z rąk półmisek.

- Nic się nie stało, kochanie. - Odstawiła naczynie na stół i zbliżyła się do dziewczyny, obejmując jej ramiona.

- Czy wszystko dobrze? - Pan Richmond pojawił się w progu. Tuż za nim stał Charles.

- Jak najbardziej. Sprzątamy tylko ze stołu, prawda? -Pani Richmond posłała Dorze krzepiący uśmiech.

Dora bezgłośnie wymówiła słowo „dziękuję”, na co gospodyni poklepała ją po ramieniu.

- Robi się późno, Doro, powinniśmy wracać do domu -powiedział Charles. Wyciągnął rękę do pani Richmond. -Dziękujemy za wyśmienitą kolację. Wszystkie dania były wyborne.

- Wpadnij do mojego biura jutro rano, Charlie. - Pan Richmond stanął u boku żony.

Dorze zdawało się, że twarz Charlesa pobladła. Bankier chyba też to zauważył.

- Musimy omówić szczegóły twojej oferty, zanim trafi w ręce prezesów na przyszłotygodniowym zebraniu zarządu - wyjaśnił.

- Oczywiście. - Na Charlesa wyraźnie spłynęła ulga. - Z samego rana - potwierdził i przesunął się w stronę drzwi.

Dora szła kilka kroków za nim. Spoglądała na jego stopy, gdyż nie mogła popatrzeć mu w oczy. Zmusiła się do grzecznego pożegnania.

- Odpocznij trochę, kochana - szepnęła pani Richmond, całując ją w oba policzki.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał Charles, gdy jechali powozem.

Klacz prowadziła ich pewnie do domu, pomimo nocy czarnej jak atrament.

Dora miała ochotę wykrzyknąć, że wszystko słyszała, że zna jego tajemnicę. Po co się z nią żenił, skoro kochał Geraldine Forrest? Myśli tłukły się w jej głowie, błagając, by przekuć je w słowa. Zamiast tego uśmiechnęła się słabo i powiedziała:

- Oczywiście. To uroczy ludzie.

Skinął głową i patrzył wprost przed siebie.

- Mam wrażenie, że bardzo cię polubili.

To było coś, prawda? Wmówiła sobie, że miało to jakieś znaczenie, i udawała, że nie widzi grymasu niesmaku, który wykrzywił usta mężowi, gdy to mówił.

Gdy znaleźli się w domu, Dora wyciągnęła długą szpilkę z kapelusza i zdjęła go, starając się nie potargać koronkowej woalki. Przytrzymała w ręce nakrycie głowy i oczyściła z kurzu zdobiące je lilie tygrysy wykonane z lawen-

dowego jedwabiu. Charles tymczasem odwiesił melonik i płaszcz na wieszak w holu. Bez słowa udał się do gabinetu.

- Nie będziesz chyba pracował o tej porze? - Wymazała z głosu najłżejszy nawet cień nagany. Nie chciała ryzykować wywołania kolejnego wybuchu gniewu.

- Mam jeszcze ochotę na łyček szkockiej, jeśli musisz wiedzieć.

Odłożyła kapelusz i poszła za nim.

- Poczęstujesz mnie?

Zdażył już sobie nalać na wysokość dwóch palców. Teraz ponownie przechylił butelkę i dolał jeszcze do trzeciego, po czym sięgnął po drugą szklankę. Już przechylał butelkę, gdy nagle cofnął rękę.

- Piłaś kiedyś szkocką?

Dora oparła się o wyłożoną drewnem ścianę i wzruszyła ramionami.

- Może dziś jest odpowiednia noc, by spróbować. - Ileż razy widziała, jak napój go rozluźnia, wysysa z niego złość, maluje rozleniwiony uśmiech na twarzy? Jeśli kiedykolwiek potrzebowała tego rodzaju magii, to właśnie teraz.

Przechylił karafkę i nalał do szklanki odrobinę trunku.

Podeszła bliżej, sunąc palcami po chłodnym wypolerowanym blacie biurka. Obserwowała, jak ostrożnie obchodzi się ze szkłem, jak zaciska szczękę w skupieniu.

- A ty miło spędziłeś dziś czas? - zagadnęła. Zmarszczył czoło.

- Oczywiście. Było całkiem przyjemnie. Miałem nadzieję, że Richmond będzie miał więcej do powiedzenia na temat mojej oferty, ale cóż, pewnie to może poczekać do rana. - Podał Dorze szklankę, w której chlupotał ledwie centymetr bursztynowego płynu.

Wzięła łyk. Ostry zapach wypełnił jej nozdrza, a gardło zapiekło, gdy whisky popłynęła w dół. Zakaszła.

- Za mocna? - zapytał rozbawiony.

- W sam raz. - Napiała się jeszcze, by dowieść prawdziwości swoich słów. Palenie ustąpiło miejsca delikatnemu ciepłu, które dało jej poczucie pewności siebie. Mięśnie rozluźniły się, myśli zwolniły bieg. Było tak, jak gdyby wśliznęła się do ciepłego, miękkiego, przytulnego łóżka.

- Byłeś dziś ze mnie dumny?

Przyłożył szklankę do ust i wziął łyk whisky, ale Dora zauważyła, że jego uśmiech znika.

- Naturalnie. Skąd to pytanie?

- Chcę wiedzieć, czy jestem dla ciebie powodem do radości - wyznała.

Nie pozwoli, aby jej mąż wśliznął się w ramiona innej. Nie będzie Geraldine Forrest, nie będzie żadnej. Już wiedziała, co robić. Upiła jeszcze łyk, zanim odstawiła szklankę. Podeszła do Charlesa od tyłu i oplotła ramionami jego barki.

- Pozwól, że zdejmę ci marynarkę.

Nie odezwał się ani słowem, ale nie stawiał oporu, kiedy zsuwała najpierw jeden tweedowy rękaw, potem drugi. Powiesiła ubranie na oparciu fotela, pilnując, żeby się nie pomięło. Zawahała się. Co teraz? Pragnęła go zadowolić, oddać mu się tak, jak sobie tego życzył. Nie mogła się jednak poruszyć. Nie wiedziała, jaki zrobić następny ruch.

- Coś się stało? - zapytał szorstko, a w jego głosie wyraźne było poirytowanie.

To nie tak miało być. Marzyła o tym, by wtulić się w jego ramiona, zatonać w jego pocałunkach. Ale stała jak sparaliżowana.

- Doro? - teraz w jego głosie zadźwięczała stal.

To właściwa chwila. Właśnie teraz musiała zadziałać. Odwróciła się i przycisnęła do niego. Zarzuciła mu ręce na szyję, uniosła podbródek, zamknęła oczy i nadstawiła usta.

- Pocałuj mnie, Charles - wyrzuciła z siebie bez tchu i czekała.

Poczuła, że jego ciało sztywnieje. Zsunął ręce na jej talię. Koniuszki jego palców wbiły się w jej ciało.

- Pocałuj - powtórzyła.

Nachylił się ku niej. Poczuła słodki zapach alkoholu w jego oddechu i woń pomady do włosów. Musnął ustami jej wargi, po czym odepchnął ją od siebie. Gwałtownym krokiem ruszył do drzwi, przeczesując palcami włosy.

- Jest późno, a ja muszę wcześniej dotrzeć do banku. Dobranoc.

I zniknął.

Wysłuchiwała się w stukot jego butów, gdy pokonywał schody. Odgłos jego kroków przycichł, gdy szedł korytarzem na górze. Drzwi jego sypialni otworzyły się i zamknęły.

Dora została sama, mając za towarzysza jedynie ciężar odmowy męża. Oczekiwała łez, ale nie chciały płynąć. Wylała ich już potoki. Może to już za wiele? Nie czuła nic. Zrobiła już wszystko, co mogła. Poniosła porażkę.

Charles podszedł do szafy, otworzył ją i wsunął rękę głęboko między marynarki, aż poczuł pod palcami medalion skrywający podobiznę Geraldine. Ścisnął mocno, zanim go otworzył. Jak zwykle poraziły go te błękitne oczy, te olśniewające blond włosy. Kochanka patrzyła na niego ze zrozumieniem. Z pewnością siebie. Dlaczego miała nad nim taką władzę?

Cichy odgłos pantofelków wchodzącej po schodach Dory sprawił, że Charles wstrzymał oddech. Zamarł, czekając, aż drzwi jej pokoju otworzą się i zamkną. Jakaż była kłopotliwa - wiecznie nieśmiała i niepewna siebie. Ale

dzisiejszego wieczoru odkrył inne jej oblicze. Ujrzał kobietę. Zdumiało go jej bezwstydné zachowanie. Czy nie na to właśnie czekał? Nie, była zbyt bezpośrednia, zbyt agresywna. Miała przyjmować jego awanse, nie czynić własne. To dlatego się na nią zdenerwował. Chciał mieć chętną żonę, ale nie ladacznice. Wszystko szło nie tak.

Odłożył medalion na komodę, spojrział raz jeszcze na spokojną, porcelanową twarz i uświadomił sobie, że sam się okłamuje. Wina nie leżała po stronie Dory. Nawet Richmond to dostrzegł. I z nim Charles nie był dziś szczery. Chciał wierzyć, że to Dora stanowi problem. Jednak winę ponosił on sam. Nie potrafił być dobrym mężem, ponieważ nie mógł dopuścić się zdrady wobec kobiety, którą naprawdę kochał - tej, która skradła jego serce i nigdy mu go nie zwróciła.

## ROZDZIAŁ 6

Dora zerwała się na dźwięk podjeżdżającego powozu pani Tillday, chwyciła parasolkę i pospieszyła na zewnątrz.

- Wszystko w porządku, kochana? Nie wyglądasz najlepiej - przywitała ją partnerka, gdy Dora zajęła miejsce obok niej. Czarny dach powozu był tego ranka złożony i jasne promienie słońca mieniły się na uszytej z niebieskiej tafty sukni pani Tillday zielonymi i żółtymi refleksami.

- Prawie nie zmrużyłam oka. Chyba coś mnie bierze. -Nie zamierzała wyznać, że spędziła noc na użalaniu się nad sobą, a zresztą na myśl o tym, że Charles i pani Forrest byli kochankami, rzeczywiście robiło jej się niedobrze. To, że jej własna głupota pchnęła go w ramiona innej, tylko pogarszało jej samopoczucie.

Kiedy jednak przez atrament nocy zaczął przebłyskiwać świt, poczuła, że musi podjąć próbę ratowania sytuacji. Zdecydowała, że będzie ignorowała istnienie pani Forrest. Będzie udawać, że wydarzenia zeszłej noc w ogóle nie miały miejsca. Cokolwiek zaszło między Charlesem a Geraldine, już się skończyło. To ją, Dorę, pojął za żonę. Musi się tym zadowolić.

- Ach, te wiosenne gorączki potrafią uprzykrzać życie - przyznała pani Tillday - Ale znalazłam coś świetnego w aptece. - Wyjęła z torebki brązową flaszeczkę z lekarstwem. - Gdy dopada mnie zmęczenie albo lęk, biorę dwa łyki i wszystko mija.

- Potrzeba mi tylko świeżego powietrza - wykręcała się Dora. - Chyba już czuję się lepiej.

- Jak pani chce. - Towarzyszka przechyliła buteleczkę do ust, po czym zakręciła ją i schowała z powrotem do torby. - Ja nie będę sobie żałowała przed ponowną wizytą w teatrze tańca brzucha.

Kiedy dotarły przed bramę Midway na wysokości Ulicy Kairu, po bilety już ustawiała się kolejka - biznesmeni w melonikach i tweedowych garniturach, pracownicy zagród w ogrodniczkach i kaszkietach, eleganckie żony w koronkach i kobiety pracujące ubrane w bawełniane bluzki i czarne spódnice. Dzieci w marynarskich bluzeczkach lub koszulkach uszytych z worków po mące biegały wzdłuż ogonka i podskakiwały przy matkach. Dora i pani Tillday minęły całe to zgromadzenie, a bileter machnął tylko ręką i wpuścił je do środka.

Publiczność już tłoczyła się przed teatrem egipskim. Chłopiec w turbanie na głowie powitał panie przy drzwiach. Zajęły miejsca przy przejściu i obserwowały, jak szybko zapełniają się wszystkie rzędy widowni. Na scenie siedzieli już muzycy stuleni razem, ale nie było ani jednej tancerki.

- Za czym pani się rozgląda? - szepnęła pani Tillday.

- Nie, ja tylko... - urwała w pół zdania.

Hossam Farouk wyłonił się z bocznej salki. Ich spojrzenia spotkały się. Dora natychmiast odwróciła wzrok.

- O, to ten kierownik - zauważyła pani Tillday. - Na swój sposób jest całkiem przystojny, prawda?

- Skądże! - syknęła Dora.



- To było niewinne spostrzeżenie.

Zamilkły, bo mężczyzna zmierzał w ich stronę. Wstały, a on skłonił się grzecznie.

- Witam panie. Co za przyjemność znów panie gościć. -Ujął dłoń pani Tillday, pocałował ją lekko, po czym sięgnął po rękę Dory.

Dziewczyna poczuła, że jej policzki zalewa gorący rumieniec.

Pani Tillday odwzajemniła uprzejmości, ale Dora nie wykrztusiła ani słowa.

- Proszę dać mi znać, jeśli będę mógł w jakikolwiek sposób umilić paniom wizytę - powiedział jeszcze, po czym oddalił się w kierunku drzwi.

Ludzie nadal wlewali się do środka, zapelniając rzędy krzeseł, a potem miejsca stojące z tyłu sali.

Pani Tillday wykręcała szyję, przyglądając się obecnym mężczyznom.

- Szuka pani kogoś konkretnego? - zaciekawiała się Dora.

- Mężów. Niektóre z pań zwróciły uwagę na niewyjaśnione zniknięcia małżonków. Padły podejrzenia, że panowie wykradają się na te pokazy. Czy to nie pan Sheffield? -Wskażała na starszego, krępego dżentelmena w czarnym meloniku, przekraczającego właśnie próg.

- Nie znam go. Ale niechże pani przestanie, nie jesteśmy szpiegami! - zirytowała się Dora.

Pani Tillday nie ustawała w przeglądzie zgromadzonych.

Dora skupiła uwagę na scenie, gdzie muzycy sięgali już po instrumenty. Z rogu wydobyła się niespieszna melodia. Na jej dźwięk drzwi prowadzące z garderoby otworzyły się i wyłoniło się sześć tancerek. Dora trąciła panią Tillday w bok. Twarz każdej z artystek zakrywał woal, spod którego widać było jedynie oczy błyszczące w ciemnych obwódkach wykonanych proszkiem antymonowym i poczernione

brwi. Zamiast spódnic miały na sobie obszerne spodnie wyszywane cekinami. Mieniły się żywymi barwami - cynobrową czerwienią, szmaragdem, fioletem fuksji, pomarańczą nagietków i zielononiebieską tonią morza. Tancerki włożyły długie różnokolorowe bluzki, przylegające na wysokości klatki piersiowej i luźno spływające od bioder do kolan. Amina Mahomet dotrzymała słowa.

- Założyły woale, zakryły wszystko! - Dora nie kryła entuzjazmu.

- Przecież tak im pani kazała.

- Ale one naprawdę usłuchały!

Zachwyty w jej głosie zatonał w donośnym dum-dum-taka-tak-dum-taka-tak bębna. Kiedy drugi muzyk wziął oud i włączył się do gry, Egipcjanki zajęły scenę. Wszystkie usadowiły się na ławie z wyjątkiem jednej, która wolnym krokiem, kołysząc biodrami, wyszła na środek i zaczęła tańczyć.

Dora odnotowała, że stroje nie były jedyną wprowadzoną zmianą. Prowokacyjne gesty zostały ograniczone, ustępując miejsca bogatszej pracy nadgarstków. Więcej było misternej pracy rąk, mniej potrząsania biustem. Tancerki były posłuszne - zastosowały się do wszystkich poleceń Dory.

Woale uniemożliwiały odróżnienie artystek od siebie, z wyjątkiem tej, która dotrzymała złożonej obietnicy. Dora rozpoznała Aminę pomimo kryjącej jej twarz szkarłatnej zasłony, ponieważ tancerka była o głowę niższa od pozostałych kobiet na scenie. Wykonywała taniec ostatnia. Dora podziwiała jej ruchy, bardziej wyciągnięte i leniwe niż poprzedniczek, mniej nerwowe i wymuszone. A w jakie wibracje potrafiła wprawić brzuch!

Poruszała się z niezwykłym wdziękiem. Gdy muzyka nabrała tempa, pierś tancerki kręciła się i wibrowała, a jej

stopy przytupywały, powodując drżenie bioder i ramion. Dora poczuła, że rytm przenika jej własne ciało, przeszywając skórę niczym błyskawica. Nagle uświadomiła sobie, że jej ręce delikatnie podrygują. Nadgarstki próbowały naśladować trzepotanie ciała tancerki, ale raptem parasolka i torebka zsunęły się z ramienia Dory, uderzając ją w rękę i wyrywając z transu.

Zerknęła na boki, by upewnić się, że nikt nie zauważył jej chwili zapomnienia. Nie było się jednak czym martwić -wszystkie oczy zwrócone były na scenę, nawet pani Tillday patrzyła jak zaczarowana. Mężczyźni byli urzeczeni, choć tym razem mniej było gwizdów, trącania łokciami i poklepywania po plecach. Nastąpiła wyraźna poprawa i na twarz Dory wypłynął szczery uśmiech.

W tym momencie Amina wyciągnęła się w pozycji kończącej pokaz, a instrumenty zagrały ostatnią nutę. Tancerki ustawiły się w szeregu, wzięły się pod ręce i ukłoniły. Widzowie podnieśli się z krzeseł, bili brawo, nie okraszając jednak aplauzu dzikimi okrzykami. Dora również klaskała, dopóki pani Tillday nie złapała jej przedramienia, kręcąc głową karcąco.

Dziewczyna przyjęła upomnienie, złożyła dłonie przed sobą i patrzyła, jak tancerki schodzą ze sceny i znikają za drzwiami do garderoby. Panie usiadły z powrotem, żeby przeczekać, aż cisnący się do wyjścia tłum się przeredzi, po czym również ruszyły do drzwi.

Dora nie mogła się doczekać, aż pani Tillday wygłosi pochwałę dla tancerek. Wreszcie nie wytrzymała i zagadnęła:

- Wspaniałe, prawda? Naprawdę nie mogłybyśmy prosić o więcej!
- Zapewne.

Dora chciała zasypać towarzyszkę argumentami, ale ktoś postukał ją w ramię. Odwróciwszy się, stanęła twarzą

w twarz z egipskim chłopcem ubranym w tunikę tak długą, że niemal sięgała ziemi.

- Pójdzie ze mną? - spytał niepewnym angielskim.

- Słucham?

Powtórzył prośbę i wyciągnął palec w stronę garderoby. Dora dostrzegła zarys drobnego ciała w niedomkniętych drzwiach. Nagle przez szparę wysunęła się ręka, wykonując przyzywający gest.

Dora zwróciła się do pani Tillday.

- Może powiemy im kilka słów?

- Czy to konieczne?

- Powinnyśmy okazać, że doceniamy ich wysiłek.

- Po co?

Dlaczego pani Tillday zrobiła się nagle taka oporna?

- Nie musi pani iść, jeśli nie ma pani ochoty - odpowiedziała Dora nieco już poirytowana. - Sama z nimi pomówię.

- Skoro się pani upiera. - Partnerka usiadła z powrotem na krześle, krzyżując ręce na piersi.

Potrafiła być nieznośna, ale trudno, coś należało zrobić. Dora pozwoliła się poprowadzić do pokoju przy scenie.

Kiedy się zbliżyła, drzwi otwarto szerzej i tak jak przypuszczała, ujrzała w nich Aminę. Odpięła woal z jednej strony, tak że zwisał luźno wzdłuż policzka. Za jej plecami widać było tancerki i muzyków, którzy rozsiedli się na podłodze i pogrążeni w rozmowie, jedli warzywa i pieczone mięso z ustawionych na niskich stolikach półmisek. Dora domyśliła się, że to ich obiad i że dlatego do drzwi nie dobija się jeszcze kolejna fala widzów.

- Przeszliśmy inspekcję? - spytała Amina, a w jej oczach zamigotały isierki rozbawienia.

- Zdecydowanie. Wspaniale się spisałyście. Stroje są znakomite, a i w tańcu widać ogromną poprawę.

Amina spojrzała przez ramię na pozostałych artystów i rzuciła kilka zdań po arabsku. Kobieta z szeroką przerwą między zębami i kilkoro innych zachichotało.

- Co im pani powiedziała?

- Że jest pani zadowolona, więc nie mamy już wobec pani długu. Zajrzał tu wczoraj pani lekarz.

Dora zerknęła w kierunku pani Tillday, która stała przy drzwiach, wpatrując się w plac. Była zbyt daleko, by podsłuchiwać, ale Dora na wszelki wypadek ściszyła głos.

- Postawił diagnozę?

- Zbadał Marietę. Kazał jej leżeć w łóżku, dopóki jej czoło będzie cieplejsze od mojej ręki. Dał nam proszek do rozpuszczania w herbacie, żeby chora zasnęła, i rzeczywiście przespała całą noc, pierwszy raz od sześciu dni. Dzisiaj wygląda już lepiej i poprosiła o jedzenie. To dobre znaki.

- Dzięki Bogu, że doktor Bostwick wiedział, co robić.

- Dziękuję, pani Chambers. Wyświadczyła nam pani wielką przysługę. - Amina wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Dory.

- Odpląciłyście mi z naddatkiem. - Dziewczyna odwzajemniła uścisk.

Kiedy wyszła z garderoby, pani Tillday obserwowała przechodzącego przez plac wielbłąda. Zwierzę było prowadzone przez chłopca w pomarańczowym turbanie i kamizelce oraz szerokich niebieskich spodniach. Jego ubranie nie mogło się jednak równać ze strojem wielbłąda. Przez uprząż przepleciono tęczę grubych frędzli, a w miejscu gdzie można by się spodziewać garbu, wznosił się chwiejnie mały szkarłatny namiocik obszyty złotym haftem, kiwając się przy każdym zamaszystym kroku zwierzęcia.

- Wyobraża sobie pani paradowanie w czymś tak absurdalnym? - spytała pani Tillday.

- Podejrzewam, że to kwestia przyzwyczajenia.

Spojrzenie, którym obrzuciła ją towarzyszka, mówiło wyraźnie, że Dora chyba żartuje.

- Zauważyła pani, jak mała jest różnica w zapachu pomiędzy zwierzętami a smrodem tych ludzi? Pewnie razem śpią. To obrzydliwe.

Czy to możliwe, żeby pani Tillday powiedziała coś tak strasznego? Dora nie odpowiedziała, bo kobieta zdążyła już opuścić teatr i spacerowała przez plac, kierując się ku głównej alei Midway.

- Jestem przekonana, że robią, co mogą, w warunkach, którymi dysponują - wymamrotała Dora, manewrując parasolką, by zasłonić twarz przed słońcem wyglądającym właśnie zza chmur.

- Och, proszę zobaczyć, kto nas zauważył! - skrzywiła się pani Tillday.

Dora powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem i poczuła się zakłopotana. Pani Forrest wraz z inną Panią Zarządzającą, którą dziewczyna pamiętała z zebrania, zmierzały w ich stronę.

- Co za niespodzianka - powitała je piękna wdowa, podchodząc do nich. - Wybieramy się na pokaz do teatru egipskiego, sprawdzić, jak sobie radzicie z tymi biednymi tancerkami brzucha.

Pani Tillday obracała na palcu pierścionek, zupełnie jak pensjonarka.

- Dzień dobry, pani Forrest, pani Loomis. Jak miło was widzieć. Działamy zupełnie skutecznie, dziękujemy za troskę. Jak się miewa pani Sheffield? Wypoczywa na wakacjach?

- Nie mam jeszcze wieści, ale spodziewam się usłyszeć od niej lada dzień. - Pani Forrest nie odrywała oczu od Dory. - Takie mamy wygody w dzisiejszych czasach. Można przesłać wiadomość na drugi kraniec kraju zaledwie w kilka dni! Czy to nie cudowne?

- Jak najbardziej - rozpływała się pani Tillday

Dora patrzyła na nią ze zdumieniem. Kim była ta kobieta?

- Mam nadzieję, że macie rację co do teatru. Doszły mnie słuchy, że cierpliwość Berthy jest już na wyczerpaniu - ostrzegła pani Forrest. - Rzecz jasna, od tych stworzeń nie można pewnie zbyt wiele wymagać. Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie trudności napotykać, próbując je czegoś nauczyć.

Dora doskonale zdawała sobie sprawę, że jest prowokowana. Co Charles widział w tej nienawistnej kobiecie?

- Wręcz przeciwnie, zadanie okazało się zupełnie nietrudne, prawda?

- Zawiesiła głos w oczekiwaniu na poparcie partnerki.

Po chwili wahania pani Tillday zdobyła się na kiwnięcie głową.

- Z pewnością robicie, co w waszej mocy - odparła pani Forrest. - Jeśli rzeczywiście wszystko będzie tak sprawnie, jak twierdzicie, to nie macie powodów do obaw. Cóż, powinniśmy już iść, Mildred. - Posłała Dorze uśmiech, na którego widok dziewczyna aż zacisnęła palce ukryte w czarnych jedwabnych rękawiczkach.

- Pani Tillday, my zapewne spotkamy się jeszcze dziś wieczorem, na przyjęciu u pani Gilmore.

Zagadnięta pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że to dopiero jutro.

Cień uśmiechu przemknął przez usta pani Forrest.

- Zmieniła plany. Nie dotarła do pani żadna wiadomość? Widzi pani, coś mi niespodziewanie wypadło i jutro nie mogłabym przyjść. Dobra kobieta nalegała, że dostosuje się do mnie. Mam nadzieję, że nie stanowi to dla pani niedogodności.

- Ależ skąd - wydukała pani Tillday. - Dzisiejszy wieczór pasuje nam wręcz idealnie. Dziękujemy, że wpadła

pani sprawdzić efekty naszej pracy, to bardzo uprzejme z pani strony. Dora poczuła ucisk w żołądku. Gdzie się podziała kobieta, która twierdziła, że ludzie tolerują Geraldine Forrest wyłącznie z powodu jej majątku?

- Tak, wprost uroczo, że pani przyszła. Cieszę się, że będzie pani mogła osobiście donieść pani Richmond, jak bardzo tancerki ulepszyły swój występ.

Pani Forrest się zaśmiała.

- Może pani być tego pewna. Z niecierpliwością czekam na okazję, by podzielić się z nią moim zdaniem.

Damy pożegnały się i ruszyły ku teatrowi.

Dora i pani Tillday odbyły drogę do powozu w zupełnym milczeniu.

Gdy już ruszyły, pani Tillday niemal czerwona ze złości zwróciła się do Dory:

- Naprawdę nie powinna pani być tak nieuprzejma w stosunku do pani Forrest.

Dora miała ochotę się odgryźć, ale powstrzymała się.

- Dlaczego natomiast pani jest taka ugrzeczniona? Sama pani mówiła, że ludzie przymilają się do Geraldine Forrest ze względu na jej pieniądze. Czy musimy powielać to zachowanie?

- Tak, bo z nią nie da się wygrać. Nie musi jej pani darzyć sympatią, ale nie wolno dać tego po sobie poznać. Niech pani przestanie ją drażnić.

-Ja?

- Próbuję pani pomóc. Jeśli nie chce pani, żeby wszyscy w tym mieście się od pani odwrócili, nie może sobie pani pozwolić na wroga w postaci pani Forrest.

Pozostałą część trasy pokonały w milczeniu. Gdy dotarły pod rezydencję Chambersów, Dora zaprosiła towarzyszkę na filiżankę herbaty i drobną przekąskę.



- Naprawdę nie mogę. Jeśli to dziś idziemy na kolację do Gilmoreów, muszę przygotować garnitur dla Henry'ego. A co ja włożę? Mam tyle do zrobienia!

- Naturalnie - przyjęła Dora. - A zatem do jutra. Pomyślała o Charlesie. Ona też miała przed sobą sporo przygotowań.

Kiedy tuż po szóstej Charles wkroczył do domu, zastał w holu Dorę czekającą, by go powitać.

- Witaj, kochany, pozwól, że ci pomogę. - Zdjęła mu płaszcz i powiesiła okrycie na wieszaku. - Mam nadzieję, że jesteś głodny. Bonmarie szykuje twoją ulubioną koronę z żeberek i podsmażane ziemniaki z cebulką.

- Z jakiej to okazji?

- Bez okazji. Chciała ci sprawić przyjemność. Ja też. Podrapał się po karku i zmarszczył czoło.

- Będę jadł w gabinecie. Mam dużo pracy na wieczór. Poszedł do siebie. Odmowa zapiekła Dorę jak policzek.

Najwyraźniej mąż nadal był zły. Nie będzie łatwo odkupić winy. Poszła do gabinetu i zastała go za biurkiem zajętego przeszukiwaniem szuflady.

- Rozpalić ogień? Chyba nadciąga trochę chłodniejsze powietrze.

- Nie rób sobie kłopotu, Hazel zaraz przyjdzie i zajmie się tym jak zwykle. - Przeniósł poszukiwania do stojącej za jego plecami szafki.

- Pójdę powiedzieć Bonmarie, że wolisz zjeść tutaj. - Poczekwała na jego reakcję, ale on tylko otwierał drzwiczki szafek i wysuwał kolejne szuflady. W ogóle nie zważał na obecność Dory.

Wyszła powoli, wciąż licząc na to, że Charles jednak odezwie się z prośbą, by została. Gdy dotarła do holu,

zatrzymała się na chwilę, ale wciąż był zwrócony plecami do niej. Może to jeszcze za wcześnie. Może jutro jej wybaczy.

Opuściła gabinet, nie zamykając za sobą drzwi, i udała się do kuchni, by przekazać służącej życzenie męża.

Następnego dnia Dora podążała za panią Tilday podczas kolejnej wizyty kontrolnej w teatrze egipskim. I tym razem stroje Egipcjanek były w jak najlepszym porządku, woale na miejscu, a taniec ujarzmiony. Dora nie rozmawiała z tancerkami, ale jej spojrzenie napotkało wzrok Aminy, gdy ta wykonywała przed widownią pożegnalny ukłon. Uśmiechnęła się do artystki i dostrzegła w jej oczach, widocznych znad szkarłatnej zasłony, że odwzajemniła uśmiech.

Gdy wybiło południe, była już w domu. Na srebrnej tacy w holu czekała na nią wiadomość od Charlesa. Rzuciła się do czytania.

*Doro,*

*wypadło mi w pracy coś nieoczekiwanego, co wymaga mojej natychmiastowej interwencji. Nie spodziewaj się mnie na obiedzie. Mogę wrócić bardzo późno, nie trzeba, żebyś czekała.*

*Charles*

Zmiała kartkę i zostawiła ją na tacy. Z drzwi kuchennych wyłoniła się Bonmarie, wycierając ręce w ścierkę do naczyń.

- Tak mi się zdawało, że cię tu słyszę. Przyszło coś do ciebie, położyłam, o tam. - Kiwnęła łokciem w kierunku tacy.

- Już znalazłam.

- Coś niedobrego? Dora pokręciła głową.

- Przykro mi, *ma chère*. Mogę ci jakoś pomóc?  
- Nie - odparła dziewczyna. - Chociaż może... Czy zaczęłaś już gotować obiad?

- Postawiłam tylko wywar z kości na gulasz.  
- A czy mamy coś, co nadawałoby się na piknik? Bonmarie przemyślała sprawę.

- Coś by się znalazło, ale trochę już późno na planowanie czegoś takiego.

- Mam na myśli piknik w ramach obiadu i oby mi się udało, obyśmy zdażyły!

Razem poszły do kuchni i zaplanowały posiłek złożony z pokrojonej w plastry pieczeni wołowej, młodych ziemniaków i marchwi, świeżo upieczonego bochna chleba, masła i tarty wiśniowej.

- Wiem, że Charles ma słabość do twoich tart! Wszystko wypadnie idealnie - cieszyła się Dora. - Przecież nawet jeśli pracuje, musi jeść. Pomyśl, jaki będzie zachwycony, kiedy pojawię się z gotowym posiłkiem.

- Mam tylko nadzieję, że ten twój chłop ma świadomość, jaki z niego szczęściarz.

Dora podeszła do stojącej na blacie miski pełnej wydrylowanych wiśni, wybrała jeden owoc i zjadła go.

- Jeśli nie, może to mu przypomni.

- Ale pan Chambers wziął powóz. Powiedzieć Haroldowi, żeby podstawił kabriolet?

- Nie, mam lepszy pomysł.

Poszła do stajni i znalazła rowery tam, gdzie odstawił je Harold, oparte jeden o drugi pod ścianą. Wyprowadziła swój na zewnątrz i postawiła w wyżłobionej kołami powozu koleinie, po czym wytarła bocykl z kurzu i wsiadła. Ostrożnie postawiła stopę na pedale i odepchnęła się drugą nogą. Rower zachwiał się i Dora musiała kilka razy dotknąć stopami ziemi, żeby opanować kierownicę. Gdy wydostała się

na drogę, było już lepiej - podłoże było bite, co znacznie ułatwiało jazdę. Ćwiczyła, aż poczuła, że potrafi już pedałować, nie tracąc równowagi. Przemierzała ulicę tam i z powrotem, a im szybciej jechała, tym było łatwiej.

Wreszcie wróciła na podjazd dla powozu, zsunęła się z siodełka i odprowadziła rower pod stajnię.

- Zdaje się, że poskromiła pani tę bestię.

Doktor Bostwick stał na swojej werandzie, trzymając jedną ręką poręcz, a w drugiej dzierżąc fajkę.

- Trudne początki, ale chyba sobie poradzę. - Udawała, że wcale nie jest zażenowana faktem, iż sąsiad był świadkiem owych chwiejnych pierwszych prób.

- Pani bugenwilla zdaje się mieć coraz lepiej. Dora spojrzała na krzaczek.

- Liście rzeczywiście wyglądają o wiele zdrowiej. Panu powinnam za to dziękować. A jeśli mowa o wdzięczności... -urwała. Nie mogła przecież krzyczeć o tym przez całe podwórko. - Wiem, że podziękowania należą się panu i z innego tytułu.

Uśmiechnął się, doskonale rozumiejąc, o jaką sprawę chodzi.

- Wszystko tam będzie dobrze. Potrzeba tylko trochę czasu. Cieszę się, że mogłem jakoś się pani przysłużyć.

- Naprawdę doceniam pańskie zaangażowanie. Z największą przyjemnością pogawędziłabym jeszcze, ale muszę pędzić do miasta.

Doktor Bostwick uniósł do góry fajkę.

- Zatem nie będę pani zatrzymywał. - Przyjrzał się promieniom słońca przedzierającym się przez poprzerywany gdzieniegdzie kobierzec chmur. - Muszę przyznać, że zainspirowała mnie pani do podjęcia wysiłku fizycznego. Przejdę się chyba nad wodę. - Życzył jej miłego popołudnia, zszedł z werandy i oddalił się w kierunku jeziora.

Dora spędziła popołudnie w swoim pokoju. Wykąpała się w mleku i wodzie różanej, wyszczotkowała włosy, aż nabrały blasku, i wybrała sukienkę, którą Charles szczególnie lubił. Bonmarie zakreśliła jej loki i zawiązała gorset. Gdy zbliżał się wieczór, dziewczyna włożyła sięgające kolan buty do jazdy i zasznurowała je. Poruszyła palcami i pokręciła kostką w jednym, potem w drugim z nich. Twarda skóra obcierała ją niezależnie od ilości wsypanego do środka talku, ale dziewczyna była gotowa się z tym pogodzić.

Poszła na dół sprawdzić postępy Bonmarie w szykowaniu posiłku. Zanim zdążyła dotrzeć do kuchni, zapach świeżo pieczonego chleba, kruszonki na cieście i słodko-cierpkich wiśni rozkosznie połaskotał ją w nos. Zastała Bonmarie zawijającą tartę w papier.

- Po prostu doskonale! - wykrzyknęła na widok wyłożonego obrusem kosza.

- No chyba! Spędziłam nad tym całe popołudnie. Najlepsze jedzenie, jakie kiedykolwiek pakowałam do koszyka. Szkoda to tak chować.

- Mylisz się - zaprzeczyła Dora, przeglądając gotowe do drogi słoje i puszki. - Charles będzie zachwycony.

- Jest więcej, niż trzeba dla was dwojga. Pomyślałam, że może nie pracuje sam, więc dodałam trochę, żebyście mogli kogoś poczęstować.

- Nie przyszło mi to do głowy. Dziękuję. - Pocałowała Bonmarie w policzek i przytuliła się szybko.

- To już wszystko - oznajmiła służąca, kończąc pakować tartę i wkładając ją do koszyka. - W środku znajdziesz talerze, serwetki, a sztućce na samym spodzie. O czymś jeszcze zapomniałam?

- Jest lepiej, niż mogłam sobie wymarzyć.

- Miejmy nadzieję, że twój mąż też tak pomyśli.

Dora wyjrzała przez okno. Niebo przybrało już barwę ciemnego bursztynu.

- Muszę jechać, na pewno już zgłodniał. - Zrzuciła na ramiona pelerynkę i wyniosła koszyk na dwór, gdzie umieściła go w koszu roweru, przymocowując dodatkowo sznurkiem.

Bonmarie wyszła za nią.

- Masz zamiar jechać tym czymś aż do banku pana Chambersa?

- Oczywiście.

- Dama nie powinna błąkać się sama. Musisz mieć powóz. Poczekaj chwilę, zaraz zawołam Harolda.

- Nie, biorę rower.

Służąca stanęła jak wryta i wybałuszyła na Dorę oczy.

- Ale dlaczego, u licha?

- Dostałam go w prezencie od Charlesa. W ten sposób zademonstruję mu, jak bardzo doceniam jego gest.

- A jak zrobisz sobie krzywdę?

- Będę ostrożna.

Bonmarie złączyła dłonie w modlitwie.

- Uważaj na siebie! Trzymaj się z dala od fabryk, czerwonych świateł i przytułków. - Widać było, że główkuje, by szybko wymyślić jeszcze jakieś ostrzeżenia.

Dora pomachała jej i wyprowadziła bicykl na drogę. Wspięła się na siodełko i odepchnęła nogą. Bonmarie nie ma powodów do obaw. Poznała Chicago na tyle, żeby wiedzieć, w jakie dzielnice się nie zapuszczać, szczególnie o zmroku. Pojedzie drogami wzdłuż rezydencji, minie tylko kilka ulic handlowych, a potem dotrze do dzielnicy finansowej. Bonmarie nie musi się o nią martwić.

Z każdym obrotem kół podekscytowanie Dory rosło. Już widziała, jak Charles ucieszy się z przywiezionego posiłku. Zobaczy, jak Dora o niego dba. Z łatwością jej wybaczy.

Gdy dojechała do banku, potężnego szarego budynku o wyglądzie greckiej świątyni, odstawiła rower na ganek i wspięła się po schodach do głównego wejścia. Tak jak się spodziewała, było zamknięte. Przytrzymała kosz jedną ręką i wcisnęła guzik nocnego dzwonka. Zbliżywszy twarz do szyby, była w stanie wypatrzeć skąpo oświetlony hol i puste okienka kasjerów. Odczekała chwilę i ponownie zadzwoniła. Wreszcie z bocznego korytarza, prowadzącego do schodów i biur na piętrze, wyłonił się strażnik. Serce zabiło jej mocniej.

Mężczyzna wyszarpnął z kieszeni spodni pęk kluczy i przerzucał jeden po drugim, zanim znalazł właściwy.

- Bank zamknięty, proszę pani. Musi pani wrócić rano. Uśmiechnęła się.

- Jestem Charlesowa Chambers. Przywiozłam mężowi obiad, pracuje dziś do późna.

Strażnik potarł nieogolony policzek.

- Pana Chambersa nie ma, proszę pani. Wszyscy wyszli. Dora nie chciała się z nim kłócić, ale przecież nie mógł mieć racji. Najśłodszy głosem powiedziała więc:

- Powiedział, że tu będzie. Mam dla niego jedzenie. - Uniosła koszyk, jak gdyby mógł on posłużyć za dowód i przekonać mężczyznę.

- Pan Chambers wyszedł koło szesnastej trzydzieści. Życzył mi spokojnego wieczoru.

Wpół do piątej? Była już niemal dziewiętnasta trzydzieści. Czy to możliwe, że minęli się po drodze? Nie, dotarłby do domu na siedemnastą. Szesnasta trzydzieści to tak wcześnie... Na ogół kończył pracę co najmniej godzinę, dwie później.

- Jest pan pewien? - Dorze zrobiło się przykro na widok litości w oczach stróża.

- Jestem przekonany.

Cofnęła się od drzwi. Mężczyzna przekręcił klucz w zamku. Kiwnął jej jeszcze głową zza szyby, po czym odwrócił się i poszedł tam, skąd przyszedł.

Dora usiadła na schodach z koszem na kolanach. Gdzie mógł się podziąć Charles? Przyszedł jej do głowy pan Richmond. Oczywiście. Pewnie są u niego pograżeni w dywagacjach na temat oferty współpracy z kupcami. Ale dlaczego nie napisał o tym w liściku? Dlaczego zapowiedział, że będzie banku, a potem wyszedł?

Nagle Dorę uderzyła straszna, przerażająca myśl, aż ścisnęło ją w żołądku. Charles nie może być z panią Forrest. Wykluczone. Przecież powiedział panu Richmondowi... Zarzekał się, że wszystko skończone.

Czy rzeczywiście?

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Dopiero wtedy się uspokoi.

Podniosła się ze stopnia i wróciła do roweru, wpięła z powrotem kosz i odepchnęła się od ziemi.

Wiszący na ciemniejszym niebie księżyc zdawał się śledzić jej ruchy. Przysłonięte cienkimi firankami okna dawały złoty blask, a gazowe latarnie rysowały ciepłe aureole na chodnikach, po których parami i trójkami przechadzali się spacerowicze. Z przejeżdżającego obok eleganckiego kabrioletu dobiegł ją dźwięczny śmiech kobiety, wybijający się ponad stukot kopyt. Dora skupiła się na trasie. Ulice po ciemku wyglądały inaczej, więc musiała uważać, żeby się nie zgubić. Minęła warsztaty krawieckie, damski i męski, kancelarię adwokata i zakład fryzjerski dla mężczyzn. Po chwili wzdłuż drogi wyrosły kamienice, a potem rozległe posesje. Z każdym obrotem kół pedały stawiały coraz większy opór. Kiedy Dora skrzyła w aleję, przy której stał dom pani Forrest, rower poruszał się tak powoli, że aż chybotął. Podobnie jak cała ulica, w ciemnościach rezydencja



była jeszcze bardziej onieśmielająca niż za dnia. Mroczna i złowroga. Była jak olbrzym, z dwojgiem jasnych okien na piętrze, które zdawały się śledzić Dorę. Zmusiła bicykl do dalszego ruchu. Ulica wydawała się pusta - żadnych przechodniów czy pojazdów. Przynajmniej nie ma świadków jej niemądrych urojeń.

Czuła się idiotycznie, ale ulżyło jej, gdy nie dostrzegła śladu gościa czy powozu. Podniesiona na duchu, objechała dom. Wszędzie panowała cisza, tylko lekki wiaterek szeleścił liśćmi lip i gdzieś w oddali kopyta końskie stukwały o bruk. Była zadowolona, że bicykl nie wydaje żadnych dźwięków. Nic nie zdradzało jej obecności.

Wtem wzrok dziewczyny zahaczył o powóz zaparkowany tuż przy ścianie budynku. Dora słyszała oddech konia. Ześliznęła się z siodełka i oparła rower o drzewo. Ostrożnie stawiała kroki, unikając gałązek i suchych liści. Pojazd wyglądał znajomo, aż nazbyt znajomo, ale bez przyjrzenia się z bliska nie mogła być pewna. Gdy podeszła, koń zarżał cicho. Kiedy znalazła się na wysokości jego łopatki, zwierzę odwróciło ku niej łeb i niestety wszelkie wątpliwości zostały rozwiane. To była Delila. Klacz spojrzała jej prosto w oczy. Dora wyciągnęła rękę i pogłaskała białą łatę na pysku zwierzęcia. Koń znów zarżał cichutko.

Dziewczyna uciszyła Delilę, a ona schyliła głowę i wtuliła ją w ramię swej pani. Dora pogłaskała ją raz jeszcze, po czym odwróciła się w stronę domu.

Za oknami na parterze było ciemno, a w dodatku były one zbyt wysoko, by mogła zajrzeć do środka. Obeszła całą posesję i nigdzie nie dostrzegła ruchu. Nagle w pokoju wychodzącym na ulicę rozbłysło światło. Serce Dory zabiło mocniej. Rozejrzała się wokół - wciąż pusto. Na palcach podkradła się do werandy i stanęła w cieniu filaru. Okno przesłaniała jedynie cienka firanka i wyraźnie było przez

nią widać dwie postacie. Rozpoznała w jednej z nich panią Forrest, która stała przy stole i nalewała herbatę z czajniczka, po czym zaniósła ją komuś siedzącemu w drugim krańcu pokoju. Dora nachyliła się i ujrzała siedzącego w fotelu mężczyznę. Wąsy, broda, grafitowa marynarka... Wiedziała, że go tu zobaczy, ale i tak na jego widok ugięły się pod nią nogi. Przytrzymała się kolumny. Stała jak sparaliżowana, patrząc, jak pani Forrest podaje Charlesowi filiżankę i spodek. Przyjął je, a kobieta obeszła go wkoło i położyła dłonie na jego karku. Charles oparł spodeczek na ramieniu fotela i opuścił głowę, zachęcając kobietę do dalszych pieszczot. Dora widziała uśmiech na jego twarzy i czuła, że w jej gardle rodzi się krzyk. Charles wstał i podszedł do Geraldine. Dora zmieniła pozycję, by lepiej się przyjrzeć. Obserwowała, jak mąż przysuwa się do kochanki i obejmuje ją. Pani Forrest wtuliła się w niego i ich usta spotkały się w namiętym pocałunku. Dora odwróciła wzrok - nie mogła tego znieść. Miała ochotę pobiec, tłuc pięściami w szybę, przerwać tę schadzkę.

Nie była jednak w stanie drgnąć.

Patrzyła, jak dłonie pani Forrest wykonują jakieś gwałtowne ruchy przy szyi Charlesa i po chwili jego muszka opadła na podłogę. Potem Geraldine zajęła się guzikami koszuli. Jeden po drugim ulegały jej palcom. Dłonie Charlesa spoczywały na jej biodrach, przyciągały ją do niego, mięły suknię. Gdy piękna wdowa uporała się już z guzikami, sięgnęła do spodni. Charles powiódł ją w stronę stojącej pod ścianą sofę. Dora zrobiła krok w przód, żeby nie stracić pary z pola widzenia, i deska werandy zaskrzypiała pod jej ciężarem. Charles oderwał się od kochanki i spojrzał prosto w okno. Dora rzuciła się w tył. Wstał i podszedł do szyby. Dziewczyna wtuliła się w ścianę. Serce biło jej tak, jakby miało wyskoczyć z piersi.

- Jestem pewien, że coś słyszałem - usłyszała jego głos.

Pani Forrest powiedziała coś w odpowiedzi, ale Dora nie była w stanie rozróżnić słów. Charles zaciągnął grubszą kotarę, pozbawiając werandę zalewającego ją dotąd światła. Dora zbiegła po schodach i skryła się w cieniu drzewa za podjazdem dla powozów. Słyszała, jak otwierają się drzwi, i zobaczyła w nich sylwetkę męża. Zapinał koszulę, ale jej poły zwisały nadal luźno na wierzchu spodni. Wychylił się przez barierkę werandy. Dora stała za drzewem jak skamieniała, w kompletnej ciszy i bezruchu. W świetle księżyca biały rower wyglądał niesamowicie, jawiąc się niczym duch na tle ściany z czerwonej cegły, o którą był oparty. Jeśli Charles zejdzie po schodkach, bicykl z pewnością nie umknie jego uwagi. Będzie wiedział, czego żona się dopuściła. Wstrzymała oddech.

Obrzucił ogród i ulicę jeszcze jednym, ostatnim spojrzeniem i wrócił do środka. Zatrzasnął drzwi. Odetchnęła.

Miała szczęście. Tylko że wcale nie była szczęśliwa. Było jej niedobrze. Podeszła do roweru i przygotowała go do drogi. Piknikowe dania dla Charlesa nadal czekały w koszyku.

Gdy Dora wróciła do domu, rezydencję spowijała cisza. Odstawiła rower do pustej stajni, odłożyła kosz na stół w kuchni i poszła do sypialni, nie zamieniwszy z nikim ani słowa. Była wdzięczna za tę samotność. Bólu, który ją nękał, nie dało się zaleczyć rozmową. Nie pragnęła być pocieszana, nie chciała poruszać tego tematu. Nigdy. Nie potrafiłaby powiedzieć o tym nawet Bonmarie. Gdyby ona się dowiedziała, nie wybaczyłaby Charlesowi i w domu już nigdy nie zapanowałby pokój.

Zrobienie tajemnicy ze sprawy oznaczało, że nigdy się nie wydarzyła. Była jak zły sen rozproszony przez promienie

porannego słońca. Zresztą niczego nie zmieniała. Liczy się tylko, że to ona jest panią Charlesową Chambers. Myśl ta przyniosła jej ulgę i Dora zaczęła sobie wmawiać, że następnego dnia wszystko będzie lepiej. Zdjęła wyjściową sukienkę, zsunęła halki i wśliznęła się pod kołdrę. Ilekroć jednak próbowała zamknąć powieki, przed oczami stawał jej Charles obejmujący panią Forrest.

Najbardziej doskwierał jej bezsens tego wszystkiego. Dlaczego umizgi pani Forrest nie odstręczały Charlesa? Powinien wymagać stosowniejszego zachowania od damy. Czyż ona, Dora, nie weszła w rolę żony doskonałej? Ładna, grzeczna, cnotliwa? Ale podczas gdy małżonka ze wszystkich sił starała się dopasować do wysokich oczekiwań męża, tylko po to, by go zadowolić, on zadawał się z kobietą, której zachowanie łamało wszelkie normy postępowania damy, a już z pewnością damy o ustalonej pozycji w towarzystwie.

Wyszła spod kołdry, ustawiła krzesło przy wychodzącym na ulicę oknie i wypatrywała męża. Tej nocy sen nie przyjdzie zbyt szybko.

Gdy tak siedziała w mroku, Dorze przypomniało się coś jeszcze - wzrok, jakim Charles pozerwał Geraldine, pełen ognia, pasji, bezwstydnej żądzy. Znała to spojrzenie. Serce się jej ścisnęło. Mężczyźni w teatrze egipskim patrzyli tak na tancerki brzucha - tęsknie, z nadzieją. W ich oczach widać było płomień, tak jak wczoraj w oczach Charlesa. Była naiwna, licząc na to, że wystarczy, jeśli zdobędzie akceptację i poparcie małżonka oraz będzie dla niego powodem do dumy. Dora pragnęła poczuć, jak omiata ją tym palącym spojrzeniem. Musiała się o to zatroszczyć, jeśli nie chciała go stracić. Dzisiejsza noc dostarczyła jej wystarczających dowodów. Ale było coś jeszcze, czego zapragnęła. Coś więcej. Była żądna namiętności. Widok wygłodniałych uścisków

Charlesa i pani Forrest ją rozbudził. Chciała, by to ją całował tak mocno, żeby odebrało jej dech w piersi. Pragnienie było silniejsze niż jakiegokolwiek dotąd.

Gdy zdała sobie z tego sprawę, przeszedł ją niespodziewany dreszcz. Nagle dokładnie wiedziała, co zrobić, żeby odzyskać Charlesa. Plan w jednej chwili wyklarował się w jej głowie.

Znad baldachimu liści wiązów wyglądał księżyc, szary sierp na ciemnym tle nieba. Zdawał się uśmiechać do Dory, jak gdyby niebiosą próbowały dodać jej otuchy. Księżyc był w nowiu, a i ona miała zacząć wszystko od nowa.

## ROZDZIAŁ 7

Dorę obudziło słońce i przeszywający ból w szyi. Nie pamiętała, kiedy zmorzył ją sen, ale siedziała nadal przy oknie w koszuli nocnej. Gdy spała, głowa opadła jej na ramię, więc teraz wyprostowała się i pomasaowała zastane mięśnie poniżej ucha.

Chwilę zajęło jej poskładanie układanki, jaką stanowiły wydarzenia zeszłej nocy. Piknik, stróż, Charles, pani Forrest, tak, wszystko wróciło. Chciała poczekać na powrót Charlesa, jeśli w ogóle takowy miał nastąpić, ale odpłynęła w świat snów na fali marzeń o odzyskaniu uczuć męża. Sądząc po kolorze słońca, bardziej szarym niż złotym, było wcześniej. Dobrze. Miała mnóstwo pracy.

Sięgnęła po papeterię i pióro. Przesłanie wiadomości pani Tillday znajdowało się na szczycie listy zadań do wykonania. Błyskawicznie napisała liścik, wstała z krzesła i poczuła kolejne ukłucie w szyi. Nie było czasu na uzalanie się nad sobą. Pokręciła głową, na siłę rozciągając mięśnie, znosząc męki, dopóki ból trochę nie odpuścił. Zwiesiła głowę, czekając, aż mięśnie się rozluźnią. Następnie otworzyła szafę, wybrała sukienkę i włożyła ją. Wyjrzała przez próg,

by sprawdzić sypialnię Charlesa. Drzwi były zamknięte, co znaczyło, że był w środku. Odetchnęła z ulgą i zerknęła na zegar. Siódma. Mnóstwo czasu, by przekazać wiadomość pani Tillday.

Pospieszyła na dół i zastała Bonmarie siedzącą w kuchni z kawą i kromką chleba unurzaną w maśle. Na widok Dory służąca wstała.

- Gdzie Harold? Musi zawieźć list. - Wzrok dziewczyny padł na kosz piknikowy, stojący na blacie, tam gdzie porzuciła go poprzedniej nocy.

- Karmi klacz - udzieliła informacji Bonmarie, przełknąwszy kęs chleba.

Dora podeszła do tylnych drzwi.

- O, chwileczkę - Bonmarie rzekła karcącym tonem. - Nie możesz tak wyjść. Zaziębisz się na śmierć. - Wyrwała jej kopertę.

Dora stanęła w progu, patrząc, jak służąca przechodzi przez podwórze. Harold siedział na taborecie przed stajnią i naprawiał wodze. Przejął przesyłkę i włożył ją do przedniej kieszeni ogrodniczek, nie podnosząc nawet wzroku. Chwilę później Bonmarie wróciła do kuchni.

- Pojedzie od razu? Musi się spieszyć, bo...

- Wie o tym - odburknęła służąca. - Już kończy. Dora odsłoniła szybę w drzwiach. Harold niósł krzeselko z powrotem do stajni.

- Widzisz? - zauważyła Bonmarie. - Nie ma co tak się denerwować.

Dora nie spuszczała z mężczyzny oka.

- A koszyk czemu dalej pełny? - chciała wiedzieć służąca, podnosząc wieko. - Nietknięte, tak? Nie dość dobre dla pana?

Drzwi kuchni otwarły się i stanął w nich Charles ubrany jeszcze w szlafrok.

- Czy to ja jestem wspomnianym panem? - spytał i ziewnął.
- Chodziło o Harolda - odparła Dora.
- O Harolda? A czym zasłużył sobie na piknik? Charles był tego ranka wesoły, radośniejszy niż przez ostatnie tygodnie. Dorze znów stanęła przed oczami koszmarna scena z poprzedniego wieczoru - on z panią Forrest. Przestań, nakazała sobie. Wszystko będzie dobrze. Sprawy się ułożą, bo ma plan.
- Przyszykowałam mu coś do zjedzenia w podzięcie za to, że wciąż coś dla mnie załatwia. Ale zachowałam się bezmyślnie i postawiłam kosz tak, że Harold nie miał okazji go znaleźć. To dlatego niczego nawet nie skosztował, Bonmarie. - Napotkała spojrzenie służącej i patrząc jej znacząco w oczy, przekazała milczącą prośbę.
- Chyba krzywda się temu nie stała - uspokoiła Bonmarie, wykładając zawartość kosza na blat.
- Zszedłem po szklankę mleka. Przywieźli już?
- Byli, byli - powiedziała służąca, kończąc wydobywanie smakołyków i sięgając do szafki po szklankę.
- Czy to tarta wiśniowa, czy też wzrok mnie myli? - spytał Charles, przysuwając sobie jedną. - Wiecie, że je uwielbiam. Chyba mógłbym...?
- Bonmarie postawiła przed nim mleko i poszła po resztę. Ukroiła spory kawałek ciasta i nałożyła go na talerzyk.
- Śniadanie doskonałe - pochwalił, biorąc do rąk porcję tarty i mleko. Dźwięk wyjeżdżającego ze stajni powozu zwrócił jego uwagę i pociągnął ku oknu.
- A ten gdzie się wybiera?
- Zawozi wiadomość ode mnie do pani Tillday - wyjaśniła Dora. - Sprawy Pań Zarządzających, nic wielkiej wagi.
- Charles zmarszczył brwi.



- Nie mam nic przeciwko, żebyś wysyłała go na posyłki, ale nie rano, kiedy wybieram się do pracy i potrzebny mi transport - upomniał ją, choć nie tak surowo, jak mogłaby się spodziewać.

- Oczywiście, nie pomyślałam. Na pewno wróci niebawem. Tilldayowie mieszkają tylko kilka ulic stąd.

- Dobrze, ale na przyszłość o tym pamiętaj. - Wziął mleko i tartę i wyszedł, otwierając drzwi ramieniem.

Dora wymknęła się za nim. Cichutko minęła jego gabinet, żeby nie przeszkadzać Charlesowi, i schowała się w swoim pokoju, by poczekać, aż mąż wyjdzie.

O ósmej wspinał się już na kozła, by zasiąść u boku Harolda i udać się do banku. Za ledwie kilka minut później Dora, w pełni gotowa do wyjścia, w butach do jazdy na nogach, zbiegła po schodach, krzyknęła Bonmarie krótkie „do widzenia” i udawała, że nie słyszy, jak służąca pyta, dokąd się wybiera. Nie musi się z niczego tłumaczyć i Bonmarie chyba to wyczuła, bo nie wyszła za dziewczyną ani nie upierała się, by uzyskać odpowiedź. Dora uśmiechnęła się pod nosem.

Wrzuciła do rowerowego koszyka parasolkę i torebkę, wspięła się na siodelko i ruszyła na Wystawę. Słońce wyglądało zza chmur, więc wybrała trasę wzdłuż jeziora. Choć była dłuższa, to Dora pomyślała o tańczących na falach złotych błyskach, a w dodatku o tej porze dnia wiał tam zawsze przyjemny wiaterek, który przeganiał kwaśny odór zagród, kolei, końskich odchodów i gnijących odpadów. Nabrała w płuca świeższego powietrza i pedałowiała w rytm fal rozbijających się o betonowy brzeg.

Gdy znalazła się na terenie targów, zaparkowała rower wśród innych pozostawionych w pobliżu bramy przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, nieopodal imponującej jak katedra auli miejskiego uniwersytetu.

Było jeszcze za wcześnie, by znaleźć biletera na stanowisku, więc podeszła do stróża w dżinsowych spodniach na szelkach, który stał zgarbiony, opierając się plecami o ścianę z desek, odgradzającą obszar Midway Plaisance od sąsiedniego osiedla. Tweedową czapkę z daszkiem naciągnął tak mocno, że nie było spod niej widać brwi ani oczu. Dora zbliżyła się do niego, wyprostowała się i czekała, aż odezwie się na powitanie.

- Zamknięte jeszcze, panienko - mruknął, nie podnosząc nawet wzroku. Gdy otworzył usta, powiało od niego zapachem whisky.

Przyjmując najbardziej kategoryczny ton, na jaki potrafiła się zdobyć, oznajmiła:

- „Proszę pani”, a nie „panienko”, a poza tym jestem tu w ważnej sprawie. Należę do Komisji Pań Zarządzających.

Mężczyzna uniósł daszek czapki brudnym palcem.

- Doprawdy? - Potarł nos, zostawiając na nim ciemną smugę. - Ano dobrze. - Z kieszeni na piersi wyłowił klucz na kółku z długim łańcuszkiem. Wsunął go do zardzewiałego zamka bramy.

Z namaszczeniem otwierała parasolkę, byle tylko uniknąć natarczywego spojrzenia stróża. Pewnie był kiedyś przystojnym mężczyzną, ale czas pozbawił go tego atutu, złościąc w pociemniałej twarzy bruzdę za bruzdą.

- Niech pani na siebie uważa. - Posłał jej długie spojrzenie i uśmiech, który mógł w sobie kryć szyderstwo. -Kobieta, kiedy jest sama, powinna się mieć na baczności -dodał jeszcze, głosem tak cichym, że Dora ledwo dosłyszała jego słowa.

Otworzył przed nią bramę i pospiesznie przeszła obok niego. Wszyscy w tym mieście drżeli ze strachu na myśl o kobiecie poruszającej się gdziekolwiek bez asysty. W Dzielnicy Francuskiej nikt nie zwracał na takie rzeczy uwagi, zresztą

tam nigdy nie było się naprawdę samemu. Każdy każdego znał, a gdyby cokolwiek się stało, wieść dotarłaby do domu bohatera zdarzenia, zanim sam zdołałby stanąć u drzwi. Tutaj było inaczej. Chicago aż pękało w szwach od obcych. Imigranci przybywali drogą lądową i morską ze wszystkich krańców świata, a także, jak Dora, z innych regionów kraju. Bogacze, biedacy, robotnicy, nieroby, oszuści - drogi ich wszystkich spotykały się w Chicago. Dopiero trzy lata temu, w 1890 roku, w spisie ludności odnotowano ponad milion mieszkańców, a nowi napływali każdego dnia. Może i ryzykowała, wychodząc bez towarzystwa, ale było to ryzyko, które musiała podjąć.

Przynajmniej było jeszcze wcześniej. Zaledwie kilku pracowników Wystawy kręciło się w polu widzenia. Dwie kobiety w kimonach szły przed nią aleją, szeleszcząc jedwabiami, a kawałek dalej beduin w pełnym rynsztunku prowadził konia w stronę wioski tureckiej. Na ogół osada tętniła życiem, przyciągając odwiedzających atrapę obozowiska nomadów, zwiedzających meczet o licznych kopułach, kupujących pamiątki na wielkim bazarze, a także uczestniczących w pokazach w odeonie, gdzie anglojęzyczny komentator tłumaczył, co się dzieje na scenie. Tego ranka wszędzie panowała cisza i Dora bez przeszkód dotarła na Ulicę Kairu.

Wkroczenie do wioski egipskiej było jak wstąpienie do innego świata, który poznawała już nie tylko po wyglądzie, ale również po dźwięku i zapachu. Najpierw powitał ją kwaśny odór siana i ziemi płynący od wielbłądów i osłów, potem ostra woń dymu z kadzideł unoszącego się w powietrzu, a wreszcie smakowity aromat dolatujący znad ognisk, oznajmiający, że gotowano już poranną strawę.

Miejsce budziło się do życia i Dora wyobraziła sobie, że tak samo wygląda poranek w prawdziwej egipskiej osadzie. Sklepikarze odziani w długie bawełniane tuniki i spodnie

z nogawkami przyciętymi nad kostką myli osłonięte markizami okna wyglądające z parterów gładkich gipsowych budynków, które wyrastały w górę na piętro lub dwa. Na piętrach owinięte w szale kobiety czyściły drewniane barierki balkonów. Chłopcy w krótkich kamizelkach i powiewających szarawarach biegali tam i z powrotem po ulicy, nosząc wiadra z wodą oraz worki ryżu i mąki.

Dora minęła obeliski przed repliką świątyni w Luksorze, wyprzedzając trzy kobiety zmierzające do pompy z tobołkami odzieży do prania.

W pobliżu teatru egipskiego zauważyła wielbłąda z czerwonym namiocikiem na grzbiecie i tęczowymi frędzlami przy uprzęży. Chłopiec w turbanie i kamizelce próbował namówić go, by szedł naprzód, ale zwierzę uparcie odmawiało współpracy. Kiedy szarpnął mocniej, wielbłąd zaryczał. Dora zachichotała, czym zasłużyła sobie na pełne urazy spojrzenie chłopca.

- Przepraszam - opanowała się. - Wcale nie chciałam się śmiać.

Patrzył na nią bez słowa.

Podeszła do zwierzęcia. Nie sięgała mu nawet do zadu, a jego głowa poruszała się jak peryskop.

- Może nie lubi nosić tak ciężkiego ładunku - zasugerowała.

- Jest chętna do pracy - wyrzucił z siebie chłopiec. - Sama decyduje, co robi i kiedy. Nikogo nie słucha.

Dora oceniła wiek chłopca na jakieś dziesięć, może jedenaście lat. Mówił po angielsku lepiej, niżby się spodziewała.

- Chyba dobrze ją znasz.

Wypiął pierś niczym dumny żołnierz.

- To moja wielbłądzica. Jestem jej opiekunem.

- A zatem rozumiem twój dylemat. Czy pozwolisz mi jej dotknąć?

Pokiwał głową na znak zgody, ale jednocześnie zebrał skórzane wodze i mocniej zacisnął na nich pięści.

Dora zsunęła koronkową rękawiczkę i delikatnie powiodła palcem po rudej sierści, której szorstkość łaskotała jej skórę.

- Co za piękne stworzenie. Jak ma na imię?

- Wołamy na nią Little Egypt.

- Witaj, Little Egypt. Jest mi niezmiernie miło cię poznać.

Chłopiec przestąpił z nogi na nogę, ale wyraźnie się rozluźnił.

- Jest bardzo mądra, bardzo dobra dla turystów. Zawsze gładko, miękko idzie, nawet pod grubasami.

Wielbłąd obrócił ku nim łeb i Dora ujrzała swoje odbicie w jego ciemnych, spokojnych oczach.

- Jestem pewna, że to dlatego, że ma tak profesjonalnego i troskliwego opiekuna.

Little Egypt wyciągnęła szyję w stronę chłopca, trąciła go nosem w rękę i stęknęła. Malec szepnął jej coś do ucha i z uczuciem pogładził ją po szyi. Wielbłąd ponownie stęknął i zaczął wycierać nos w dłoń opiekuna. Ten wyjął marchewkę z kieszeni ukrytej gdzieś w fałdach obszernych spodni.

- Widzi pani? Nie da się przed nią niczego zataić. - Chłopca rozpierała duma, gdy głaskał zwierzę. Lecz nagle na jego twarzy pojawiła się zatroskana mina. - Czy to pani jest tą Panią Szefującą, która nas szpieguje? - zwrócił się do kobiety.

Chwila minęła, zanim do Dory dotarł sens pytania. Wyraz twarzy dziecka był tak wyzywający, że natychmiast skojarzyła go z Aminą.

- Jestem Panią Zarządzającą - wyznała ostrożnie - ale nie przyszedłam tu na przespiegi.

- A po co? - Ależ tupet miał ten mały, ze swoim wysoko podniesionym podbródkiem i zwężonymi szparkami oczu.

Dora zawahała się. Jaki był cel jej wizyty? Ułagodzenie członkiń komisji? Wkupienie się w ich łaski? Tak, to było istotne, ale teraz chodziło o coś jeszcze.

- Mam nadzieję, że mogę powiedzieć, że pomagam twoim przyjaciółom uniknąć pewnych nieprzyjemności. -Przecież wyświadczała im przysługę, czyż nie? Mówiąc o tym, nabierała pewności siebie. - Są w tym mieście osoby, które uważają, że tańcowi brzucha brak przyzwoitości i dlatego nie nadaje się do pokazywania na Wystawie. Ci ludzie woleliby zamknąć przedstawienie, ale ufam, że moje działania budują kompromis pomiędzy nami. - Szukała na jego buzi śladu zrozumienia. Czy był w stanie pojąć jej pobudki? Czy ona sama naprawdę je znała? - Chciałabym wierzyć, że robię coś dobrego - dodała niemal przeproszającym tonem.

Z powagą pokiwał głową. Patrząc na nią z ukosa, powiedział:

- Mam nadzieję, że nie narobi nam pani kłopotów. Mamy ich już wystarczająco dużo.

- Zdecydowanie nie jest to moim zamiarem - zapewniła. Jeszcze mocniej zebrał wodze i szarpnął wielbłąda naprzód.

- Little Egypt musi coś zjeść, nim zjawią się pani ludzie. Dorze zrobiło się przykro, ale postarała się opanować.

Nie pozwoli, by onieśmielał ją mały chłopiec. Jest przecież Panią Zarządzającą. Wsunęła dłoń w rękawiczkę i poprawiła strój. W zasadzie to w inne dni należała do komisji, ale nie dziś. Nie przyjechała w sprawach formalnych, lecz prywatnie. Musiała odnaleźć Aminę przed otwarciem Wystawy, a sądząc po liczbie sklepikarzy rozwijających markizy, nie pozostawało jej zbyt wiele czasu.

- Chciałabym porozmawiać z tancerką imieniem Amina. Amina Mahomet. Znasz ją?

Chłopiec obejrzał się.

- Jest w swoim pokoju - poinformował ją, po czym poszedł dalej brukowaną ulicą, ciągnąc za sobą wielbłąda.

- Dziękuję - zawołała za nim. Chciała jeszcze dodać „Naprawdę staram się pomóc”, ale chłopak zniknął już w oddali, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi, całkowicie pochłonięty głaskaniem zwierzęcia i szeptaniem do niego czule.

Spojrzała na budynek. Amina miała być u siebie, ale gdzie znajdowały się pokoje tancerek? Przed teatrem nie było żywej duszy. Podeszła do łukowatego wejścia i odsłoniła ciężką kotarę. Zajrzała i zawołała. Nie doczekała się odpowiedzi. Obeszła budowlę i odnalazła przybocznej ścianie wąską alejkę, dzielącą teatr od kramu z dywanami. W połowie ścieżki Dora dostrzegła drzwi prowadzące na tyły teatru. Nagle drzwi te otwarto i wyszły przez nie dwie kobiety, z głowami pochylonymi w cichej rozmowie. Dora odeszła od wylotu alejki. Pani Zarządzająca nie mogła dać się złapać na skradaniu się jak złodziejka. Pospiesznie opuściła to miejsce, po czym zawróciła i weszła tam spacerowym krokiem, jak gdyby właśnie tam dotarła. Ledwie zrobiła kilka kroków, natknęła się na kobiety wychodzące z alejki na plac.

- Przepraszam - zawołała do nich, machając ręką. - Halo, tak, dzień dobry.

Egipcjanki odwróciły się. Najwyraźniej były tancerkami, bo miały na sobie stroje, które Dora pamiętała ze swojej pierwszej wizyty w teatrze. Krótkie aksamitne kamizelki, jedna szkarłatna, druga fioletowa, założone były na obcisłe różowe bluzki, tak cienkie, że niemal przezroczyste. Do tego dobrane były ciemnogrnatowe spódnice ocierające się o kostki. Zagadnięte spojrzały po sobie, a potem znów na Dorę.

Zbliżyła się do nich.

- Szukam Aminy Mahomet. Czy wiecie, gdzie mogłabym ją znaleźć?

- Po co?

Dora rozpoznała jedną z tancerek ze sceny. Była trochę starsza i tętsza niż pozostałe.

- Chciałabym z nią pomówić. Egipcjanka zlustrowała ją z góry na dół.

- Tam - rzuciła i oglądając się przez ramię, zrobiła gest brodą w kierunku drzwi, z których przed chwilą wyszły. -Trzecie drzwi.

Dora podała rozmówczyni dłoń.

- Dziękuję. To bardzo miło z waszej...

Tancerka popatrzyła na jej wyciągniętą rękę jak na jakiś dziw z obcego kraju. Dora cofnęła ją z zażenowaniem.

Starsza kobieta wzięła towarzyszkę pod ramię i odprowadziła ją od dziewczyny, jeszcze długo nie spuszczać z Amerykanki podejrzliwego spojrzenia. Dora patrzyła za nimi, aż dotarły do drugiego krańca placu, po czym ruszyła do wskazanych drzwi. Zamiast klamki była tylko metalowa rączka. Zawahała się, nasłuchując. Nic. Wyjęła z torebki chusteczkę i użyła jej do otwarcia drzwi, by nie pobrudzić rękawiczek o usmarowany uchwyt.

Biegący wewnątrz korytarz był wilgotny, pusty i roznosił się w nim zapach pleśni. Dora zakryła nos dłonią, przekroczyła próg, a drzwi zatrzęsły się za nią. W marnym świetle sączącym się z dwóch szpar w ścianie wysoko pod sufitem widziała rząd grubo ciosanych drewnianych drzwi rozmieszczonych w kilkumetrowych odstępach. Przy drugich, które mijala, spał zwinięty w kłębek koziołek, który ani drgnął, gdy przechodziła obok. Dora zatrzymała się przed trzecimi drzwiami. To jest właściwy ruch, dodawała sobie otuchy. To jedyne rozwiązanie, inaczej straci męża. Wyprostowała się jak struna i zapukała.



Nie usłyszała w odpowiedzi żadnego dźwięku. Ponownie zastukała. Dało się słyszeć przytłumiony szelest zza czwartych drzwi, które po chwili ktoś lekko uchylił. Widać było czyjąś skrytą w mroku sylwetkę. Kobięcy głos powiedział coś w języku, którego Dora nie rozumiała.

Przełknęła ślinę.

- Szukam Aminy Mahomet. Powiedziano mi, że to jej pokój.

- Kto tak powiedział?

Dora czuła, że w miejscu gdzie kapelusz uciska jej głowę, zbiera się pot. Przetarła czoło dwoma palcami, żeby zapobiec swędzeniu, które za chwilę niechybnie by się pojawiło, po czym wskazała ręką drzwi wychodzące na plac.

- Tam był pewien chłopiec. Z wielbłądem. Miał namiocik. To znaczy...

Postać wyszła z cienia na korytarz.

- Ależ to ty - zdziwiła się Dora, odczuwając ulgę, lecz mając zamęt w głowie.

- Wystąpił jakiś problem? - Amina spytała podejrzliwie.

- Nie, wszystko jest w porządku. Przyjechałam, żeby... -Słowa utknęły jej w gardle. - Przyjechałam sprawdzić, czy chora tancerka czuje się lepiej.

Na twarz Aminy wypłynął uśmiech.

- Marieta ma się o wiele lepiej. W tej chwili śpi, ale jeśli ma pani ochotę, może ją pani zobaczyć. - Gestem zaprosiła dziewczynę do drzwi, z których chwilę wcześniej się wyłoniła.

- Nie chciałabym jej przeszkadzać. Cieszę się, że zdrowieje. - Nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

Amina zajrzała do pokoju.

- Zaszła zdecydowana poprawa. - Odwróciła się do Dory. - Na pewno pani nie wejdzie?

Dora pokręciła głową, po czym się zawahała. Rozejrzała się po korytarzu, zwracając uwagę na niegdyś białe ściany, pokryte obecnie warstwami smug i odcisków rąk, drewnianą podłogę położoną byle jak, tak że gdzieś tam pomiędzy deskami widać było dziury na szerokość palca.

- Właśnie zamierzałam zaparzyć herbatę. Może napije się pani ze mną? - zaproponowała Amina.

- Z największą ochotą. - Dora natychmiast zorientowała się, że nie powinna aż tak tryskać entuzjazmem. Zaciśnęła usta, żeby powstrzymać się od mówienia.

Amina, wyraźnie zdumiona, podeszła bliżej i przekręciła gałkę własnych drzwi.

- To mój pokój. Proszę się rozgościć, a ja pójde po wodę.

- Dziękuję - odparła Dora, wchodząc do środka. - Mam nadzieję, że nie sprawię kłopotu.

- Nie, skąd - odparła Amina, po czym zniknęła w głębi korytarza.

Wystrój pokoju stanowił dla Dory zaskoczenie. Nie było tam śladu po posępności holu. Jaskrawe, złote światło dnia wpadało przez okno zajmujące niemal całą przeciwległą ścianę. Lekki wietrzyk kołysał cienkimi białymi firankami. Za oknem było widać drewnianą barierę odgradzającą Midway od miasta. Pokój aż kipiał barwami. Długie bawełniane draperie w odcieniach fuksji, mandarynki i bakłażana zawieszane pod sufitem zakrywały większość białych ścian. Końce tkanin zniknęły za rzeźbionymi skrzyniami z kutymi zawiasami. Nieco wytarte orientalne dywany przykrywały deski podłogi. Nieopodal drzwi leżała długa, służąca za łóżko poducha obleczone błyszczącym, turkusowym materiałem, nad którą rozpięty był baldachim wykonany z tej samej delikatnej tkaniny co firanka. W rogu pokoju stał parawan, na którym wisiało mnóstwo kolorowych ubrań. Na podłodze rozstawiono niskie, ośmiokątne stoliki,

wokół których porozkładano poduszki - jedwabście czerwone, złocistopomarańczowe i o różnych odcieniach niebieskiego, niektóre z nich haftowane, inne wyszywane we wzory z małych lusterek. W powietrzu unosił się ostry, lecz słodki aromat bez śladu kwaśnego, ziemistego zapachu dokuczającego na zewnątrz.

Dora usłyszała kroki i już po chwili Amina wróciła z czajnikiem w ręce. Udała się w kąt pokoju, gdzie na stole stał wysoki czajniczek z brązu wraz z czterema porcelanowymi filiżankami. Dora poczuła zapach mięty, kiedy Amina postawiła czajnik z wodą na tkanej podstawce.

- Jest pani pierwszym gościem, jaki odwiedził nas poza teatrem - powiedziała Amina, wlewając wrzątek do czajniczka.

Dora usłyszała dźwięk drzwi otwieranych i zamykanych w głębi korytarza, a potem kroki. Ktoś minął pokój, ale nie dostrzegł Amerykanki.

- Czy mogłabym zamknąć drzwi? Chciałabym pomówić z tobą w pewnej osobistej sprawie.

Zdawało jej się, że całe wieki czeka na skinienie Aminy.

Dora przycisnęła drzwi i pchnęła je mocno, dopóki nie rozległo się kliknięcie upewniające ją, że nikt im nie przeszkodzi. Odwróciła się z powrotem do Aminy.

- Może pani usiądzie - zaproponowała tancerka.

- Wolę stać. - Podeszła do okna, po czym zwróciła się z powrotem ku drzwiom. Może to jednak był błąd. Może to jednak nie było trafne rozwiązanie. Nie miała jednak innego wyjścia. Bez pomocy Aminy nie miała szans odzyskać Charlesa.

- Nie wiem, jak to powiedzieć.

- Najlepiej mówić otwarcie i szczerze. - Amina przesuwiała koraliki na jednej z zawiązanych wokół szyi nitek.

- Chciałabym prosić o pomoc.

- Zawarliśmy już umowę. Tańczymy w innych strojach, wkładamy woale.

- Nie o to mi chodzi. To bardziej osobista sprawa. -O, nieba, jak ma to z siebie wyrzucić? Jak może w ogóle pytać o coś takiego? Wzięła głęboki oddech i zwalczyła pokusę wzięcia nóg za pas. - Widziałam, jak mężczyźni wpijają w was wzrok, kiedy tańczycie. Sposób, w jaki się poruszacie, wasz wygląd... Nie wiem, na czym polega wasza moc, ale tego właśnie pragnę się dowiedzieć. To po to przyjechałam.

- Nie rozumiem.

Dora potarła brew. Czowała, jak palą ją wstyd i zażenowanie. Zaciśnęła powieki i wykrztusiła:

- Chciałabym, żeby mój mąż tak na mnie patrzył. - Już po wszystkim, powiedziała to. Wymówiła te słowa i już ich nie cofnie. Olbrzymi ciężar spadł jej z serca.

- Chce pani... chcesz tańczyć?

Oczy Dory zrobiły się wielkie jak spodki.

- Tak, cóż, nie, niezupełnie, choć może. Czy to konieczne?

- Potrzeba nam herbaty. - Amina zakrzętnęła się przy filiżankach i kolejna fala miętowego aromatu popłynęła przez pokój. Podała Dorze napar.

- Mam ochotę usiąść - oznajmiła.

- Możesz zająć któryś z kufrów. - Tancerka zatoczyła ręką po pokoju, wskazując Dorze na dowolność wyboru. Sama opadła na stertę poduszek, mieniących się kolorami niczym klejnoty.

Dora odstawiła filiżankę na skraj jednej ze skrzyń, kładąc tam również parasolkę i torebkę. Wygładziła ciężkie fałdy sukni, przygotowując się do zajęcia pozycji siedzącej.

- Pragniesz dowiedzieć się, jak uwodzić mężczyzn? Otwartość pytania sprawiła, że twarz Dory zalał rumieniec.

- Nie tak bym to ujęła. Amina przekrzywiła głowę.

- Jest zatem lepsze określenie?

Dorze kręciło się w głowie. Żadna szanująca się dama nie wypowiedziałaby tego tak obcesowo. Uwodzenie. Ale to właśnie było jej celem, czyż nie? Dokładnie to. Skrzywiła się i wyjaśniła:

- Chcę się dowiedzieć, jak do nich dotrzeć, jak wzbudzić ich zainteresowanie.

- A nie namiętność?

- Cóż, dobrze. Namiętność. - Dora zatopiła zażenowanie w długim łyku herbaty.

- W porządku. Musisz być szczerą. Jeśli sama przed sobą nie przyznasz, czego pragniesz, nigdy tego nie osiągniesz. Czy masz na myśli konkretnego mężczyznę?

Dora ponownie spłonęła rumieńcem, ale ogień jej wstydu powoli się wypalał, zostawiając po sobie jasny, klarowny zamysł.

- Tak, mojego męża.

Amina potrząsnęła głową i łagodnie się uśmiechnęła.

- Ty nie masz męża? - spytała Dora, patrząc z ukosa.

- Za dużo z nimi kłopotu.

Dora otworzyła usta z wrażenia. Jak to możliwe, że kobieta nie marzy o zamążpójściu? Co innego miała ze sobą zrobić? Nawet te, które zamiast w życie małżeńskie angażowały się w wielkie sprawy, kobiety walczące, takie jak Susan B. Anthony czy Jane Addams, powszechnie uważane były za mniej spełnione ze względu na ich wybór staropanieństwa.

- Inne Egipcjanki mają obowiązek wyjść za mąż, ale życie tancerki Ghawazee jest inne - tłumaczyła Amina. - Mamy prawo wziąć ślub, jeśli tego zapagniemy, ale nie jest to konieczne. Jeśli tancerka zdecyduje się na małżeństwo,

przynajmniej zarabia, więc nie musi błagać mężczyzny o pieniądze. -  
Napila się herbaty. - Ja nie planuję zamążpójścia, gdyż mężowie chcą  
posiadać żony na własność. Ja cenię sobie wolność.

- Mój mąż nie traktuje mnie w ten sposób - zaproponowała Dora.  
Małżeństwo - dobre, zgodne małżeństwo - b y ł o wolnością. Dało jej  
możliwość opuszczenia hotelu, pożegnania się z obsługiwaniem  
innych, zapewniało jej swobodę robienia tego, na co tylko miała  
ochotę.

Zawahała się. Charles miał wymagania, Komisja Pań Zarządzających  
stawiała kolejne, więc może jednak w słowach tancerki kryła się  
prawda? Nie, to przecież zupełnie co innego. Uniosła do ust filiżankę i  
wzięła kolejny łyk.

- Być może - Amina powiedziała z namysłem, po czym wróciła do  
bieżącej kwestii. - Skąd wiesz, że mąż cię nie pożąda?

Dora spuściła wzrok.

- Po prostu wiem. I to moja wina. Odepchnęłam go od siebie.

Amina poczekała, aż Dora ponownie nawiąże z nią kontakt  
wzrokowy, i starała się go nie tracić.

- Jeśli jest mężczyzną z krwi i kości, odzyskasz go. Jestem o tym  
przekonana.

- Mam nadzieję.

- Kiedy ostatni raz spółkowaliście?

Dora zjeżyła się, słysząc to pytanie, ale była wytrwała.

- Około dwóch miesięcy temu, w naszą noc poślubną. -Zawstydziła  
się na wspomnienie swojej porażki.

Amina odchyliła się na poduszki i rozważyła odpowiedź Dory.

- To był wasz pierwszy raz?

-Tak.

- Czy było wam dobrze?

- Niezupełnie.
- Niezupełnie czy zupełnie nie?
- Chyba można powiedzieć, że zupełnie nie - dziewczyna odparła, nie podnosząc oczu na Aminę. Modliła się już o kres przesłuchania.
- Niedobrze. A kiedy ostatni raz próbował?
- Kilka dni temu.
- Zatem się nie poddaje. Świetnie.
- Nie sądzę, żeby podjął jeszcze jakieś starania.
- Postaramy się, żeby jednak to uczynił. Dora spojrzała na nią z nadzieją. -Jak?
- Jak sądzisz, dlaczego mężczyźni przychodzą oglądać nasz taniec?
- Nie wiem.

Amina wstała. Potrząsnęła ramionami i zakręciła biodrami. Chwilę tańczyła, zupełnie jak gdyby była na scenie, po czym ponowiła pytanie:

- A teraz? Jak myślisz?
- Lubią obserwować sposób, w jaki się poruszacie? - Przypomniała sobie niektóre ruchy tancerki, te kojarzące się jej ze stosunkiem - opadanie i wznoszenie się na przemian... Nowa fala zażenowania wypłynęła rumieńcem na jej policzki.
- Niezupełnie. Podnieś się i spróbuj mnie naśladować. No chodź, niczego nie osiągniesz, siedząc.

Opierając się, Dora wreszcie usłuchała. Zdjęła kapelusz, odłożyła go na wieko kufra, po czym wyciągnęła ręce i zmusiła się do poruszenia ramionami w próbie skopiowania gestów Aminy. Powtarzała sobie w myślach, że robi to dla Charlesa. Oto jej wkład w ratowanie małżeństwa.

- Użyj bioder.

Dora spróbowała, ale przerwała, gdy drut z gorsetu wbił się jej w ciało.

- Widzisz? - Amina wyciągnęła palec w kierunku dziewczyny. - Ten cały strój krępuje was jak klatka, z trudem się poruszacie. Ale nie chodzi tylko o to. Obserwuj raz jeszcze.

Gdy obracała się po pokoju, ramiona jej się trzęsły, biodra wibrowały. Wskazała na swoją twarz, po której tańczył żartobliwy uśmiezek. Nawet powieki unosiły się i opadały, jakby i one odgrywały rolę w pokazie.

- Widzisz?

- Uśmiechasz się, o to chodzi?

- Tak, cieszę się tańcem, sobą, swoim ciałem. Raduję się ruchem swoich rąk i nóg, tym co czuję, gdy ich używam. Nie ma znaczenia, czy ktoś patrzy, czy nie. Tańczę sama dla siebie. Spróbuj jeszcze.

Dora wyciągnęła ręce i potrząsnęła ramionami. Zmusiła się do szerokiego, sztucznego uśmiechu. Amina pomachała rękami na znak protestu.

- Nie do tego zmierzałam. Dobrze, zapomnij o tańcu, wcale nie jest tak istotny. Przejdź się tylko, ale tak, żeby czerpać radość z tego, że idziesz. Wczuj się w każdy krok, wysunięcie biodra, ciesz się swoim ruchem.

Dora przemierzyła pokój dostojnym krokiem, stąpając mocno po wyłożonej dywanami podłodze. Przeszła do najodleglejszej ściany i z powrotem.

- Spróbuj raz jeszcze, tylko wolniej. Poczuj każdy krok, zanurz się w ruchu.

Trudno było Dorze pojąć, w jaki sposób paradowanie po pokoju miało jej pomóc w zdobyciu względów męża, ale posłusznie wykonywała polecenia.

Była w połowie drogi do ściany, kiedy Amina jej przerwała.

- Już widzę, w czym tkwi problem - oznajmiła, podchodząc bliżej. - W tym wszystkim! - Wskazała na rękawy z mankietami. - Talia, biodra, nogi, wszystko skrępowane



aż po czubki palców u stóp. Tutejsze kobiety za wszelką cenę próbują zmodyfikować kształt swoich ciał gorsetami. Ponadto ukrywacie się pod taką ilością ubrań, że nikt nie jest w stanie dostrzec waszych rzeczywistych sylwetek. Wyglądacie jak uwięzione, więc i ruszacie się jak zamknięte w klatce. Podejrzewam, że to dlatego mężczyźni, widząc nasz taniec, czerpią radość z widoku naszych ciał. Czują głód na myśl o kobietach, które nie boją się samych siebie.

- Ja się wcale nie lękam - Dora odparowała i spojrzała w dół na swoją suknię i skórzane buty.

- Po co masz na sobie to wszystko?

- Tego wymaga moda. Amina wywróciła oczami.

- A więc twój strój jest o wiele lepszy? - spytała dziewczyna.

- Może tak, a może nie - odpowiedziała Amina. - Ale mężczyźni musi podobać się to, co widzi. Kobiety lubią słyszeć miłe słówka, czuć miękkie pieszczoty. Mężczyzna chce ujrzeć kobietę. Najpierw kocha się z nią spojrzeniem. Co widzą jego oczy, kiedy patrzy na ciebie? Jeśli chcesz wzbudzić namiętność w swoim mężu, nie zakuwaj się w tę zbroję. Pozwól, żeby cię dostrzegł, a uruchomisz jego wyobraźnię.

Zamilkła na odgłos kroków dobiegający z korytarza. Rozległo się pukanie, po czym drzwi uchylły się. Jedna z tancerek wsunęła głowę do środka. Wyraz zaniepokojenia przemknął przez jej twarz na widok Dory. Rzuciła kilka słów po arabsku do Aminy, po czym zamknęła za sobą drzwi.

- Teatr zostanie wkrótce otwarty - oznajmiła artystka, wchodząc za stojący przy łóżku parawan. - Dziewczęta już się szykują. Możesz się do nas przyłączyć, jeśli masz ochotę.

- Nie mogę dłużej zostać - odmówiła, patrząc, jak na parawanie pojawia się kamizelka, a następnie spódnica. - Ale bardzo doceniam twoją pomoc w związku z moim...

problemem. - Ją samą zdziwiła szczerść tych słów, płynących prosto z serca, pomimo zażenowania i dyskomfortu.

Amina wyłoniła się zza zasłony ubrana w kostium do tańca, złożony z długiej bluzki i spodni. W ręce trzymała woal.

- Twojego męża trzeba tylko popchnąć we właściwym kierunku, nic więcej.

- Obyś miała rację. - Schyliła się po kapelusz i przymocowała go wsuwką do włosów.

Amina ujęła jej ręce w swoje i spojrzała Dorze prosto w oczy.

- Na pewno ją mam - powiedziała z naciskiem i ruszyła do drzwi.

Dora podniosła torebkę i parasol. Amina zatrzymała się.

- Czy wszystko w porządku?

- Martwię się, jak to będzie wyglądało, jeśli wyjdę teraz z twojego pokoju. Czy można wydostać się inną drogą?

Amina postukała palcem w usta.

- Jeśli pójdziesz na drugi koniec korytarza, znajdziesz drzwi. Wychodzą na tylne podwórze. Tam się gotuje. Idź ścieżką wzdłuż budynków, a trafisz na alejkę wiodącą z powrotem na Ulicę Kairu. Gdybyś w nią nie skręciła, dojdiesz do osady sudańskiej, przestrzeń jest tam bardziej otwarta. - Czekala, aż Dora się odezwie, ale dziewczyna milczała, więc tancerka skinęła tylko głową. - Możesz wyjść, kiedy uznasz, że jesteś gotowa. Za chwilę wszyscy będą zajęci w teatrze. - Następnie Amina uśmiechnęła się, pożegnała i zamknęła za sobą drzwi.

Podłoga zdawała się grzechotać w takt kroków odchodzącej tancerki. Dora słyszała też pukanie do drzwi i szmer wypowiedzianych po arabsku słów. Dobiegł jej jeszcze odgłos zmierzającej w kierunku sceny procesji kilku par stóp, po

czym zapadła cisza. Dora odczekała chwilę, licząc do stu, a potem wychyliła się na korytarz. Pusto. Pospiesznie minęła pierwsze drzwi, potem drugie, trzecie, czwarte. Przy ostatnich zatrzymała się, nasłuchując. Cisza. Otworzyła je.

Prowadziły na zewnątrz, zgodnie ze wskazówkami Aminy. Trio chłopców w przybrudzonych tunikach doglądało trzech ognisk, a starsza kobieta w fartuchu i szalu na głowie ugniatała ciasto przy stole ustawionym pod ścianą teatru.

Dora prędko przeszła dalej, ale uśmiechnęła się do szykujących strawę, jak gdyby jej obecność w tym miejscu była najzwyklejszą rzeczą na świecie. Wkroczyła w przestrzeń pomiędzy budynkami a ścianą odgradzającą Midway od zewnętrznego świata. Ze skrzyżowania z pierwszą alejką dostrzegła skrawek domu z balkonem na piętrze, stojącego przy Ulicy Kairu. Mijała kolejne uliczki, aż doszła do sudańskich chatek. Dotarwszy na skraj otwartej przestrzeni, zobaczyła już spacerujących po osadzie zwiedzających i grupkę Sudań-czyków w białych togach siedzących w kręgu i wykonujących jakąś pieśń. Nagle jej wzrok padł na Hossama Farouka.

Stał na obrzeżu osady pogrążony w rozmowie z sudańskim mędrcom, który w jednej ręce trzymał aluminiowe wiaderko, a drugą podpierał się na lasce. U ich stóp młody koziołek skubał kępkę chwastów. Obserwowała, jak starzec z trudem próbuje się schylić do pompy. Pan Farouk też zauważył jego starania, bo chwycił mężczyznę za ramię i zręcznie uwolnił go od wiadra, które następnie podstawił pod kurek. Pompował wodę, nie przerywając konwersacji ze staruszką. Gdy naczynie było pełne, pan Farouk zwrócił je właścicielowi, kiwnął ręką na pożegnanie i odwrócił się w stronę Dory.

Spanikowała i przytuliła się do ściany, mając nadzieję, że uda jej się ukryć. Zdała sobie jednak sprawę, że i tak nie ma dokąd umknąć, więc odważnie wystąpiła naprzód.

Mężczyzna szedł, patrząc pod nogi.

- Dzień dobry, panie Farouk.

Poderwał głowę i zrobił gwałtowny krok w tył.

- Nie chciałam pana przestraszyć - powiedziała rozbawiona jego reakcją.
- Co pani tu robi? - zapytał stanowczym głosem.
- Mogłabym odwzajemnić pytanie. - Jej odpowiedź nie miała sensu, ale nie spodobał jej się jego ton.
- Wracam do swojego teatru. - Zrobił ruch brodą, wskazujący na to, że przyszła jej kolej na wyjaśnienia.
- Byłam z wizytą u panny Mahomet, jeśli koniecznie musi pan wiedzieć. - Miał tak niezwykle oczy, z czarną źrenicą wtopioną w tęczówkę, co sprawiało wrażenie dwóch ciemnych jezior, z których trudno jej było wypłynąć, gdy się w nią wpatrywał. Jednak drażniła ją jego arogancja. Ta postawa, ze skrzyżowanymi ramionami i napiętymi barkami. Sposób, w jaki odrzucał włosy z twarzy. Spojrzenie, które nakazywało jej mówić dalej.
- Teatr był przecież zamknięty.
- Byłam u niej w pokoju. - Teraz powiedziała już za wiele.

Przeniosła wzrok na spacerującą nieopodal parę i zauważyła, że krągła matrona o twarzy różowej jak szynka szepcze coś na ucho drobnemu mężowi z siwym wąsem. Mars na czole kobiety mógł oznaczać tylko jedno: jak kobieta pokroju Dory mogła rozmawiać z mężczyzną takim jak Farouk?

- Muszę już iść - wyrzuciła z siebie. Podkasła nieco spódnicę i pognęła ku bramie. Kiedy poczuła, że odeszła już na wystarczający dystans, zwolniła kroku i zerknęła przez ramię. Egipcjanin nadal tam stał, odprowadzając ją spojrzeniem. Odwróciła się i szła, patrząc przed siebie i nie przystając, dopóki nie zostawiła Midway daleko za sobą.

Ta kobieta niosła ze sobą kłopoty. Wyczuł to od razu przy pierwszym spotkaniu, kiedy szła przez teatr z tą starszą damą, jak gdyby znalazły się w jakimś brudnym miejscu niegodnym ich nieskazitelnej Wystawy. Proszę, jak przed nim czmychnęła, jakby był nosicielem straszliwej zarazy, która zaraz i ją zaatakuje. Czyjej wizyta mogła mieć związek z kolejnym wezwaniem, jakie otrzymał od kierownictwa targów, dotyczącym kolejnych plotek? Zapewne. Może i wygląda na prostolinijną i niewinną, z tymi wielkimi oczami, którymi mierzy go przy każdym spotkaniu, siejąc w nim nieznaną tęsknotę.

Kiedy wreszcie zniknęła za bramą, wrócił ścieżką do tylnych drzwi teatru, ale nie mógł otrząsnąć się z myśli o niej. Była piękna, o tak. Pociągał go zarys gładkiego policzka, delikatny kąt podbródka, ale to zadarcie zgrabnego noska doprowadzało go do rozpacz. Wiedział, co knują Panie Zarządzające. Twierdziły, że zależy im na zażegnaniu skarg, na uspokojeniu burz protestów przetaczających się przez teatr, ale w istocie to one maczały palce w sprzeciwach, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Ta dezaprobata, oskarżenia, przekonanie o własnej nieomyślności. Stanowiły zagrożenie dla jego ludzi.

Jednak i on znał się na takich gierkach. Udawał, że przyjmuje ich pomoc. Amina i pozostałe dziewczęta dały się nabrać. Dokonały zmian w strojach i sposobie poruszania się na scenie. W zamian za co? Żeby lekarz obejrzał Marietę? Może postąpiły słusznie, ale teraz miały wobec tej kobiety dług wdzięczności. Czy to również był element podstępny Pań Zarządzających? Nie mógł wymyślić innej przyczyny, dla której jego własne prośby o pomoc pozostały bez odzewu. A teraz natknął się znów na tę panią

Chambers wymykającą się z teatru tylnym wyjściem. Jakie były jej zamiary?

Kiedy dotarł pod drzwi, kucharka przyprawiała udziec jagnięcy piekący się nad ogniem. Staruszka pomachała mu ręką w odpowiedzi na jego pozdrowienie.

- Znów szykują się pyszności - pochwalił, podchodząc bliżej, by sprawdzić przygotowywany posiłek.

Zajrzał do misek z pokrojoną w ćwiartki cebulą, pomidorami i zieloną pietruszką. W kolejnym naczyniu w mlecznobiałej wodzie moczył się ryż.

Twarz kobiety marszczyła się pajęczyną bruzd przy każdym uśmiechu.

- Gotowanie dla wdzięcznego języka jest zawsze radością - powiedziała.

- Prawdziwa przyjemność jest po naszej stronie, Sahro. - Pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło.

W teatrze słyhać było dźwięki odbywającego się pokazu. Zajął swoje zwykłe miejsce z tyłu, gdzie z niecierpliwością obserwował scenę. Gdy występ dobiegł końca, a Amina wykonała końcowy ukłon, nie czekał nawet, aż wszyscy widzowie opuszczą salę. Brakowało mu cierpliwości. Pokazał gestem, żeby poszła za nim do garderoby.

- Czego szukała tu ta z Komisji Pań?

- O kogo ci chodzi? - Twarz Aminy przybrała wyraz obojętności, jak zawsze, kiedy kobieta próbowała coś ukryć.

- Widziałem, jak stąd wychodziła. Wiem, że tu była.

- To sprawa osobista.

Tolerował bardzo wiele jej wybryków i kapryków, ale miarka się przebrała.

- Jeśli cokolwiek dotyczy tej trupy, to ludzie, którzy pokładają wiarę we mnie i...

- Osobista nie dla mnie, tylko dla niej.

Jak to? Chyba jednak nie docenił chytrłości Pań Zarządzających.

- Jej wizyta nie miała nic wspólnego z kimkolwiek z nas. Próbował zorientować się, czy go nie zwodzi, wpatrując

się w jej oczy, doszukując się drżenia warg. Nie stwierdził nic. W ten sposób niczego się nie dowie.

- Komisja do spraw Midway wezwała mnie dziś rano. Amina milczała. Zsunęła z nóg pantofle i przechadzała się tam i z powrotem po pomieszczeniu, wyłamując palce rąk.

- Twierdzą, że tracą pieniądze z powodu plotek i protestów. Dochody rzekomo cierpią ze względu na skandale.

- Już to słyszeliśmy.

- Grożą, że będą musieli działać, jeśli nie rozwiążemy tego problemu.

- Zastosowałyśmy się do wymogów postawionych przez Panie Zarządzające.

- Mają zamiar zredukować nasze płace.

- Teatr jest za każdym razem pełny po brzegi. Jak możemy przynosić straty, skoro codziennie wyprzedajemy komplet biletów przynajmniej na dwa pokazy?

Potrząsnął głową. Argument brzmiał aż nazbyt znajomo - niespełna godzinę wcześniej wyszedł i z jego ust.

- Mówią, że koszty są bardzo wysokie. Sugerują zwiększenie liczby występów.

- Nie wystarczy nam czasu w ciągu dnia. Mamy w ogóle nie jeść?

- Jest jeszcze inna opcja. - Zacisnął zęby, przygotowując się na tyradę, jaka nastąpiła poprzednim razem, gdy wspomniał tę propozycję.

- Nie możemy jechać do Nowego Jorku. To zupełnie wykluczone.

- Zapewniano mnie, że tamtejszy teatr jest bardzo przyjemny. Dobrze by nas traktowano. Nie musielibyśmy

kursować między różnymi teatrami, jak inni artyści wodewilowi. Występowałybyście tylko na jednej scenie.

- Teraz tak mówią. A co, jeśli się przeniesiemy i okaże się, że warunki różnią się diametralnie od obiecanych, tak jak zdarzyło się to tutaj?

Wzruszył ramionami. Bez wątpienia należało rozważyć i taki scenariusz.

- Nie możemy pozwolić, by obcięli nam wypłaty - upierała się Amina.

- Już i tak musieliśmy opłacić lekarza dogładającego Mariety. Jeśli stracimy więcej pieniędzy, wrócimy do domu z pustymi rękami albo gorzej, nie będzie nas stać na opłacenie powrotu dla wszystkich. Co wówczas?

Był świadom potencjalnych konsekwencji, o których mówiła. Sam niejednokrotnie analizował je w myślach.

- Na razie to tylko groźby.

- Jeszcze raz powiedz im, że współpracujemy i że nie szukamy kłopotów.

- Dobrze, powiem, ale nie odrzucaj Nowego Jorku tak kategorycznie.



## ROZDZIAŁ 8

Dora wróciła do domu na rowerze i zastała doktora Bostwicka dogląającego krzaków róż. Farmerski kapelusz chronił mu kark przed słońcem. Sąsiad pomachał do niej.

- Nowy środek transportu służy pani, pani Chambers -zawołał.

Oparła bocykl o ścianę przy bugenwilli i podeszła do niego.

- Sprawia mi ogromną przyjemność, nawet większą, niż się spodziewałam - przyznała zdyszana lekko po przejażdżce.

- To widać. Z pani policzków aż bije blask. - Rzucił przyciętą gałązkę na stos ścinków.

Jej dłonie natychmiast powędrowały do twarzy. Czyżby kapelusz niewystarczająco ją osłaniał?

Pilnowała się, żeby wybierać nakrycia głowy o jak najszerszych rondach i zawsze naciągać rękawy na nadgarstki. Czy to wciąż za mało?

- To miał być komplement.

Cofnęła ręce, opuszczając je wzdłuż boków.

- Nigdy zbyt wiele ostrożności, gdy chodzi o słońce.

Zrobił minę, jakby dobrze rozumiał Dorę, ale wątpiła, czy to możliwe. Mężczyźni nie byli zbyt zorientowani w tych kwestiach.

- Jeszcze raz bardzo panu dziękuję. Byłam rano u Egipcjanek i ponoć pana pacjentka miewa się dobrze. Chciałabym, aby pozwolił mi pan jakoś się odwdzięczyć. - Zdjęła z ramienia torebkę i pociągnęła za zamykający ją sznureczek.

Chcąc ją powstrzymać, doktor Bostwick chwycił jej dłoń, lecz szybko cofnął rękę, gdy zauważył, że ziemia z jego roboczych rękawic brudzi jedwabne rękawiczki Dory.

- Ach, co też narobiłem najlepszego! Bardzo przepraszam. - Wytarł ręce o nogawki dżinsowych ogrodniczek. - Jak pani widzi, straszna ze mnie gapa.

- Nic nie szkodzi - uspokajała, starając się strzepnąć jak najwięcej brudu drugą ręką.

- W każdym razie proszę zapomnieć o zapłacie. Naprawdę nie przyjmę od pani ani centa. Cieszę się, że mogłem się przydać.

- Troszczy się pan o moją bugenwillę, dogląda chorej nieznajomej... To szczęście mieć za sąsiada człowieka tak życzliwego jak pan.

Wyjął z tylnej kieszeni lnianą chustkę i potarł ciemne smugi na materiale.

- To nic takiego, naprawdę. Dobrze, jak człowiek pomoże drugiemu.

- Mam nadzieję, że będę miała okazję się panu odwdzięczyć - powiedziała.

- Ja również - odparł z uśmiechem, nadal pocierając plamy, choć jego starania nie zdawały się przynosić rezultatów. Wreszcie się poddał i włożył chustkę z powrotem do kieszeni.

- Może powinniśmy zachować te nasze przysługi między nami, nie sądzi pani?

Zdziwiła ją ta uwaga, ale jego oczy lśniły łobuzerskim blaskiem.

- Skoro pan tak sądzi.

- Niestety, nie mogę pozwolić, aby wszyscy moi pacjenci oczekiwali dodatkowych wizyt domowych. Nie przysłużyłoby się to moim interesom.

- Ach tak, oczywiście.

Pożegnali się i Dora zaprowadziła rower do stajni.

Gdy podeszła do kuchennego wejścia, dobiegło ją trzaskanie drzwiczek od szafek i tłuczenie garnkami. Szybko przewinęła w pamięci wydarzenia dnia. Czy dopuściła się czegoś, co zdenerwowało Bonmarie? Nic nie przychodziło jej na myśl, ale nie byłby to pierwszy raz, kiedy służąca ją zaskoczyła.

Kiedy Dora zamknęła za sobą drzwi, natychmiast poczuła żar szalejącego jak pożar gniewu Bonmarie.

- Coś przepysznie pachnie - zagaiła swoim najśłodszym, najmiłym tonem. - Co dziś na obiad?

Bonmarie nie podniosła wzroku znad selera naciowego, który dekapitowała tasakiem.

- Ty mnie tu nie urabiaj, za dobrze cię znam, żeby się na to nabrać. Jeśli chcesz stosować takie numery, to idź na dwór i pomęcz tego tam, woźnicę od siedmiu boleści, złośliwego jak zbity pies.

A więc chodziło o Harolda.

- Dlaczego miałabym być dla niego miła? To nie mój przyjaciel.

- I wcale się nie dziwię. Ten chłop to zaraza. Kłapie jadaczką bez sensu. Słyszałam, jak gadał z Hazel, że... - Urwała. - Szkoda powtarzać. Wstrętny głupiec z niego i powinien kiedyś dostać za swoje.

- Co takiego powiedział?

Twarz Bonmarie przybrała nieokreślony wyraz. Dora dobrze znała przyczynę. To o niej Harold „kłapał”. Sama

Bonmarie nie stroniła od krytyki, ale nikomu innemu nie wolno było robić negatywnych uwag pod adresem Dory.

- A ty gdzie byłaś tak wcześnie z rana? - Zgarnęła posiekanego selera do miski.

Dora poddała się. Służąca nigdy nie mówiła więcej, niż zamierzała.

- Na Wystawie. Sprawy Pań Zarządzających.

- Dlaczego wzięłaś rower, a nie powóz? - dociekała Bonmarie.

To pewnie o to Harold miał do niej żal. Miała już starannie opracowaną odpowiedź:

- Charles mógłby pomyśleć, że nie doceniam jego prezentu, gdybym z niego nie korzystała. Nie mogę odstawić roweru do stajni, żeby łąpał rdzę, tylko dlatego, że mąż jest zbyt zapracowany, by ze mną pojeździć.

- Mam tylko nadzieję, że byłaś ostrożna. - Służąca prze-kroiła cebulę, której mocny zapach rozszedł się po kuchni. -Już parę razy widziałam, jak jakiś rowerzysta paskudnie się wywrócił. Niewiele ma to wspólnego z godnością, a już w wypadku damy...

- Naprawdę na siebie uważałam.

Służąca kiwała głową w rytm szatkowania. Dora powstrzymała się od dalszej dyskusji. Miała lepsze zajęcia niż tłumaczenie się przed Bonmarie, Haroldem czy kimkolwiek innym. Musiała wybrać do ubrania coś, czym skusi Charlesa. Poszła do swojego pokoju, wyjęła z szafy bładoróżową suknię z tafty z turniurą i bufami. O, nie. Rzuciła ją na łóżko. Czekoladowa wieczorowa kreacja z udrapowanymi rękawami? Być może. Odslaniała odrobinę dekoltu, ale była nieco zbyt wytworna na kolację w domu. Również powędrowała na łóżko. Koronkowa z wysokim kołnierzem i falbaniastą spódnicą? Wykluczone. Suknia po sukni Dora przejrzała całą swoją garderobę, aż odrzuciła wszystkie posiadane stroje.

Zamknęła szafę i przejrzała się w lustrze. Wysoki kołnierzyk wiązanej w pasie bluzki, która ścisnęła jej talię do idealnych pięćdziesięciu centymetrów, grubo marszczona spódnica. Żadna część ciała nie była widoczna poza głową i dłońmi, które Dora też na ogół skrywała pod rękawiczkami. Rozpięła górę sukienki i zsunęła ją z ramion. Zdjęła bluzkę spod spodu. Rozsznurowała buty, porozpinała spódnicę i halkę i zsunęła je z siebie. Zrzuciła z siebie wszystko, aż stanęła przed zwierciadłem w samej halczce na ramiączkach. I ją ściągnęła, czując, że jest wilgotna w miejscu, gdzie uciskała ją pod gorsetem. Studiowała swoje odbicie. Czy było coś ponętnego w tej zwyczajnej postaci?

Podobała się Charlesowi. Pociągała go, gdy jeszcze uważała to za oczywistość, zanim uświadomiła sobie, że może stracić jego zainteresowanie. Czy jednak postąpiła słusznie, udając się po pomoc do tancerki brzucha? Jeśli ktokolwiek był w stanie jej pomóc, z pewnością była to Amina Mahomet. Co dzień wzbudzała pożądanie płci przeciwnej, za każdym razem gdy występowała. Ciekawe, jakie to uczucie patrzeć ze sceny na głód w oczach tylu mężczyzn?

Tony bliskowschodniej muzyki wypełniły umysł Dory. Dźwięki rogu i bębna dudniły jej w głowie jak bicie serca. Dum-taka-tak-dum-taka-tak. Czowała, że rytm ją przenika. Przywołała obraz Aminy kręcącej biodrami, jakby szła, choć nie przesuwała się ani o centymetr. Tak prosty ruch, a potrafił zahipnotyzować. Dora zakręciła biodrami. Sprawdziła efekt w lustrze, ale w niczym nie przypominała pełnego wdzięku wirowania tancerki. Zamiast rytmicznych, posuwistych ruchów ujrzała szarpnięcia i drganie bioder. Spróbowała nadać ciału gracji, ale pierś nadal jej drżała i zdecydowanie zbyt wiele innych części się poruszało. Starła się z całych sił, ale nie potrafiła potrząsnąć brzuchem i biodrami, nie wprawiając w ruch ramion, kolan i całej reszty.

Nie miało to jednak znaczenia. Odwróciła się tyłem do lustra i z pamięci naśladowała ruchy tancerki. Wymachiwała szeroko rękami, kręciła barkami jak młynkiem do pieprzu, podrzucała biodra i huśtała nimi. Przymknęła powieki i oczami wyobraźni patrzyła w morze męskich twarzy. Pożerali ją spojrzeniem, wszyscy jej pragnęli. Starła się przeżywać każde wyciągnięcie ręki czy nogi. Próbowwała cieszyć się każdym gestem.

Kto by pomyślał, że biodrami można tak kołysać albo że nadgarstki obracają się i wykręcają w tak różne strony?

Przerwała na dźwięk pukania do frontowych drzwi. Usłyszała, jak Bonmarie otwiera, mówi coś, po czym zamyka je z hukiem. Potem schody zaskrzypiały pod jej krokami.

Gdy Dora zawołała „proszę”, służąca weszła do pokoju, dzierżąc białą kopertę.

- Od pana Chambersa.

Dora wzięła wiadomość do ręki. Bankowa papeteria. Rozdarła kopertę, wyjęła kartkę. „Pracuję do późna. Nie wrócę na kolację”.

Siedem prostych słów, ale wystarczyło, żeby zepsuć wieczór. Żadnego pozdrowienia, przeprosin, jakiegokolwiek śladu uczucia.

- Dziękuję, Bonmarie. Nie gotuj dziś dla pana Chambersa, nie będzie go. - Słowa wypłynęły jej z ust, sprawiając fizyczny ból, torturując ją prawdą. Wiedziała, że gdyby podjechała do banku, nie zastałaby tam męża. Byłby znowu w domu tej kobiety, tuląc się do niej i przyjmując jej umizgi.

Odwróciła się od pełnego współczucia spojrzenia Bonmarie.

- Ja zjem u siebie, jestem trochę zmęczona.

- O siódmej?

Sądząc po pozycji słońca na niebie, nie było nawet czternastej. Od dziewiętnastej dzieliły ją więc całe wieki.

- Siódma będzie w sam raz.
- Zagrzeję ci wody na kąpiel. Dobrze ci zrobi. Potrzeba było o wiele więcej, żeby ją pocieszyć, ale i tak przywołała na twarz wdzięczną minę.
- Zawsze wiesz, czego mi trzeba.

Dora moczyła się w łazience na dole tak długo, aż woda, która parzyła ją po wejściu do wanny, zrobiła się całkiem zimna. Drżała z chłodu, ale leżała dalej zanurzona po brodę. Wdychała aromat płatków róż płynący z dolanego przez Bonmarie olejku zapachowego. Dorze zdawało się czymś przyzwoitym, że całe jej ciało było ukryte pod wodą, tak jak na co dzień skrywało je ubranie. Tylko głowa pozostawała na zewnątrz, jak gdyby była oddzielnym tworem. Była jedyną częścią ciała, która nie przynosiła jej wstydu i nie przyprawiała zmartwień. Jedyną, którą ogarniała rozumem. Nie istniały wytyczne na temat głowy, poza obowiązkiem noszenia kapelusza, miała więc ona stanowczo więcej swobody niż inne części ciała przymusowo ukrywane pod całunem bielizny i sukien.

Głowę łatwiej było zrozumieć i z innych względów. Była ośrodkiem zmysłów. Oczy widziały, usta smakowały, nos czuł zapachy, a uszy słyszały. Nie było tajemnic, nie było czemu się dziwić. Inaczej było z wrażeniami dotykowymi, które brały się nie wiadomo skąd i istniały bez wyraźnego celu, bez jasnej potrzeby.

Życie dziewczyny było o wiele prostsze, gdy nie obowiązywały w nim te wszystkie kobiece zasady. Kolana mogły sobie wystawać spod rąbka krótkiej sukienki i nikt na nią krzywo nie patrzył. Mogła podwijać rękawy powyżej łokcia bez narażania się na komentarze. Wolno jej było dotykać się między nogami, kiedy leżała sama w łóżku, przynajmniej dopóki nie dowiedziała się, że jest to zakazane. Pewnego ranka matka weszła do pokoju i przyłapała na tym córkę.

Uderzyła wtedy Dorę mocno w twarz, tak że dziewczyna zrozumiała, że ma już nigdy tak się nie dotykać.

Wiedziała, że niewskazane jest dogadzanie sobie w ten sposób, że to złe i niewłaściwe, ale myśl o tym mrowieniu między nogami sprawiła jej przyjemność. Mama była daleko, Bonmarie gotowała w kuchni. Charles nie pojawi się jeszcze przez wiele godzin. Zsunęła dwa palce przez kępkę włosów i wymacała punkt, w którym ciało zmieniało się, szczelinę, w której najlżejsze dotknięcie powodowało dreszcz rozkoszy, przesywający ją całą. Potarła miękkie wnętrze, drżąc z każdą falą podniecenia. Zacisnęła nogi i przycisnęła mocniej palce, drażące coraz intensywniej, aż doznania urosły w wulkan, którego erupcja wstrząsnęła jej ciałem. Z jej ust wydarł się cichy jęk, a serce tłukło się jak szalone, gdy wysuwała palce z miękkiej, pulsującej tkanki. Sprawdziła drzwi, nasłuchiwała odgłosu kroków. Cisza. Tylko w jej głowie rozbrzmiewał głos, który kazał jej się wstydzić. Była damą, powinna być bardziej ułożona. Nie może więcej folgować swojej słabości.

Wyszła z wanny i wytarła się czystym ręcznikiem przygotowanym przez Bonmarie. Wsunęła przez głowę świeżą halkę i związała mokre włosy z tyłu głowy, kiedy służąca zapukała.

- Postawiłam kolację w pokoju - powiedziała przez drzwi.

Poczucie wstydu nie opuszczało Dory, kiedy szła na górę, ale posiłek, jaki zastała na tacy w sypialni, sprawił, że na chwilę zapomniała o wszystkich troskach. Czerwona fasola z plasterkami kiełbasy i ryż polany sosem - i to nie byle jaka porcja!

Dora zasiadła do jedzenia, wzięła do ręki widelec i nabrała ryżu ociekającego tłustym czerwonym sosem. Żuła powoli, z lubością smakując ostry smak mięsa i łagodny



fasoli, łąwiąc nutkę papryki. Ryż też był idealnie ugotowany - pulchny, lecz twardy.

W jej rodzinnym domu poniedziałki przeznaczone były na pranie, a to oznaczało czerwoną fasolę z ryżem na obiad. Była to najprostsza i najmniej czasochłonna potrawa, ale należała do Dory ulubionych.

Ujrzała Bonmarie stojącą w progu.

Służąca puściła do niej oko.

- Takiego czegoś pan Chambers by nie przełknął, ale skoro go nie ma, to możemy się trochę porozpieszczać, nie?

Dora zjadła dwie miski, zanim była syta.

- Poprosiłabym chętnie i o trzecią, ale chyba brzuch by mi pękł! - powiedziała, odniósłszy tacę do kuchni.

Bonmarie szorowała ostatni garnek.

- Nie musiałaś z tym schodzić.

- Wiem, ale chciałam ci jeszcze raz podziękować. Przy tych wszystkich duszonych mięsach i ziemniakach, które narzuca Charles, prawie zapomniałam, jaką przyjemność może sprawiać jedzenie.

- No, sama przyznam, że umiem przyrządzić dobry garnek czerwonej fasoli z ryżem.

Dora wróciła do swojej sypialni, z której nie ulotnił się jeszcze zapach pysznego posiłku, i przygotowała się do snu. Zegar wybił dziewiętnastą trzydzieści. Spojrzała w okno. Tej nocy nie będzie czekać na Charlesa. Mogłaby wypatrywać powozu, może nawet porozmawiać z mężem, gdy wróci. Ale to nie noc na to. Pragnęła się z nim pogodzić, ale nie po tym jak spędził wieczór w towarzystwie pani Forrest.

Wśliznęła się do łóżka i zatoneła w miękkiej pościeli. Oczyszczyła umysł z myśli o mężu w ramionach znienawidzonej kobiety, odgoniła poczucie wstydu, a nawet uczucie przyjemności, jakie dał jej wieczorny posiłek. Jak cudownie było się wyzwolić od tego wszystkiego, zdystansować się,

jak gdyby te obrazy nie miały nad nią żadnej władzy. Znow rozbrzmiał w niej dźwięk egipskiego bębna. Dum-dum-ta-ka-tak-dum-taka-tak. Widziała, jak wykonuje kroki tańca. Miała na sobie jedwabne szarawary i przejrzystą bluzkę, a pierś opinała jej szkarłatna kamizelka. Śniła o sznurach koralików na szyi, szalach z frędzlami i wyszywanych monetami pasach zdobiących biodra. Rozpuszczone włosy głąskały jej ramiona, a czerń proszku antymonowego podkreślała obwódkami kolor oczu. Dora powoli zanurzała się w zmierzchu przed snem.

W północy wkroczyła do holu opuszczonego pałacu na pustyni, gdzie pomiędzy filarami porozwieszane był łopoczące na wietrze zasłony. Były też poduszki i kadzidło, a ona tańczyła dla Charlesa jak dziewczyna z haremu, wykonywała jednoosobowy pokaz dla mężczyzny usadowionego niczym sułtan na tronie z poduszek. Jej ciało falowało, poruszając się wężowym ruchem, który był specjalnością Aminy. Gdy Dora odwróciła się, by ponownie spojrzeć na Charlesa, wydawał się odmieniony. Łagodne orzechowe oczy i placki zarostu zastąpiło czarne jak węgiel spojrzenie i długie kosmyki włosów lśniących jak wypolerowany onyks. Nie przerywała tańca, lecz czuła na skórze mrowienie i dreszcz podniecenia, którym przenikała ją świadomość, że zabawia mężczyznę o imieniu miękkim jak szept wiatru wśród wydm Sahary. Wypowiedziała je na głos: Hossam Farouk.

Następnego ranka wstała wcześniej. Obraz Egipcjanina był żywy, niemal rzeczywisty. Po pierwszym przebłysku świadomości nie potrafiła już zasnąć. Pałace wśród pustyni, wydmy Sahary... O, nieba, skąd wzięły się u niej te absurdalne myśli? Jak gdyby to, czego dopuściła się w kąpielu, nie wystarczyło.

Był to odwet jej umysłu przeciwko niewierności Char-lesa. A może sprawdzała swoją wiarę w małżeństwo? Jednego była pewna - nie pociągał jej ten ciemnooki mężczyzna. Był okropny. Budził w niej lęk za każdym razem, kiedy go spotykała, a to, że był przystojny, nie miało najmniejszego znaczenia. Był protekcyjnym chojrakiem, ot co!

Dlaczego w ogóle poświęcała mu jakiegokolwiek myśli? To był tylko sen, zapomni o nim do śniadania. Ubrała się szybko i zeszła na dół do kuchni. Zastała Bonmarie przy piecu mieszającą bulgoczącą owsiankę z jabłkami.

- Czy pan Chambers jest jeszcze w domu? - spytała już w progu.

- Wyszedł bardzo wcześnie. - Służąca mieszała zawzięcie, nie podnosząc nawet wzroku znad naczynia.

- A czy wiesz, o której wczoraj wrócił? - spytała, wydłubując spod paznokcia wymaginowany brud.

- Nie. Położyłam się tuż po tobie.

- Harold na pewno będzie zorientowany, przygotowywał dla niego rano powóz. - Ruszyła do wyjścia.

- Harolda nie ma, pojechał po coś do miasta. Z panem Chambersem na pewno wszystko dobrze.

Przez cieką firankę przesłaniającą szybę w drzwiach Dora zobaczyła, jak ogrodnik niesie do obory siodło Delili.

- O, tam jest!

- Nie pytaj go o pana - wyrwało się Bonmarie, gdy spostrzegła, że dziewczyna przekręca klamkę. - Nie draż tego tematu.

Czuła, że ziemia osuwa jej się spod nóg i że zaraz się pod nią zapadnie. Znała już prawdę, czytała ją w nieszczęśliwych zmarszczkach, tworzących się wokół oczu służącej.

- Pan Chambers nie przyjechał na noc do domu - wyszeptała Bonmarie, krztusząc się niemal przy okrutnych słowach.

Ręka Dory opadła znad klamki. Dziewczyna miała ochotę rozplątać się w próżni, ale nie mogła pokazać, że się załamała, nie przy Bonmarie. Zmusiła się, żeby wyprostować plecy. Nakazała nogom poruszyć się, zabraniając im ugięcia się pod nią. Dotarła do drzwi, potem do klatki schodowej, a wreszcie do sypialni.

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Tyle miała jednak do zrobienia. Skoczyła do toaletki i skreśliła wiadomość do pani Tillday. Kiepskie samopoczucie. Nie dam rady pojechać na Wystawę. Przepraszam. Podpisała liścik i zakleiła kopertę.

Zgodnie z oczekiwaniami Dory kilka minut później zapukała do niej Bonmarie. Dziewczyna leżała już w łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę.

- Tak mi przykro, *ma chere*. Dora odwróciła głowę.

- Ten list jest do pani Tillday. Proszę, upewnij się, żeby jej go dostarczono jeszcze tego ranka.

- Nie chciałam zranić...

- Mam ochotę pobyć sama. Proszę.

Usłyszała szelest, a potem ciche stuknięcie zamykanych drzwi.

Nie przyjechał na noc do domu. Słowa odbijały się echem w jej głowie. Szeptały, mruczały, wyły w każdym zakątku jej umysłu. Znów zawód, kolejna porażka. Jak miała odkupić swoje winy, skoro Charles nie dawał jej na to szansy? A może zaprzepaściła już wszystkie?

Nie, nie wolno jej się poddać. Gdy nadejdzie właściwa chwila, musi być w pełnej gotowości. Będzie czekać.

Reszta dnia minęła jak we śnie. Drzemiała, a przed oczami jawili jej się ojciec, mama, hotel, teatr egipski z tancerkami brzucha, grajkami i Hossamem Faroukiem. I znów śniła, że jest wśród nich. Te wizje przynosiły jej ukojenie.

Wewnątrz tego wyimaginowanego świata jej troski bladły, a rozczarowania rozmywały się w nicość. We śnie, w którym tańczyła, drżała pod wpływem zmysłowej muzyki, która porywała ją i kołysała. Wypełniona po brzegi sala ją kochała, ale ona szukała wśród widzów tego, którego zachwyty najmocniej ją rozpalał - mężczyzny o czarnych włosach i przenikliwym spojrzeniu, który obserwował ją z najodleglejszego kąta.

Kiedy wizje te zaczęły co jakiś czas zahaczać o sny na jawie, Dora poczuła, że wskazane byłoby zepchnięcie myśli na tor bardziej odpowiedni dla kobiety zamężnej. Ale przecież były to tylko senne mary, które nie niosły ze sobą żadnego znaczenia. Przecież nie spędziła nocy w ramionach Egipcjanina.

Bonmarie dwa razy przerywała te majaki - raz z nowiną, że wiadomość do pani Tillday została dostarczona i w odpowiedzi przesłano wyrazy współczucia, a drugi raz z prośbą o to, by Dora czymś się posiliła, tak aby jej stan zdrowia nie pogorszył się przez głód. Dziewczyna obie sprawy skwitowała tylko kiwnięciem głowy, ale kiedy usłyszała, jak drzwi wejściowe mocno trzasnęły, niewątpliwie pchnięte męską ręką, zerwała się i pospieszyła do lustra.

Wyglądała okropnie. Włosy z jednej strony przylegały do jej twarzy, z drugiej odstawały dziko. Wyjęła wsuwki, zrobiła skłon i potrząsnęła masą loków. Potem wyprostowała się i naprędce ułożyła znośną fryzurę. Następnie wyjęła z szuflady prostą sukienkę popołudniową i włożyła ją na pomiętą koszulę, zawiązując pod szyją. Z odbicia spojrzęło na nią straszycło. Wyglądała jak namiot z koronkowych falbanek, z którego wystawała jedynie głowa. W ten sposób prędzej wzbudzi w Charlesie odrazę niż pożądanie.

Poluzowała sznureczek pod szyją, tak że spod sukienki wyłoniła się biel koszuli pod spodem. Nie, też źle. Zsunęła

więc sukienkę, zdjęła koszulę, włożyła w jej miejsce krótką koronkową halkę i z powrotem wciągnęła przez głowę sukienkę. Teraz widać było szyję, a nawet cień dekoltu. Dora opuściła sypialnię i udała się na poszukiwanie Charlesa. Jego kapelusz i płaszcz wisiały na wieszaku w przedpokoju, a drzwi do gabinetu stały otworem. Stała w progu, zapukała i weszła do środka, zastając go za biurkiem z rozpostartą przed oczami wieczorną gazetą. Wyglądał zupełnie zwyczajnie, jak gdyby nie wydarzyło się nic wyjątkowego. Poczowała przyływ nadziei.

Posuwistym krokiem przebyła odległość od drzwi do biurka, podkreślając kołysanie bioder, i zatrzymała się, pochylając na tyle, by poły sukienki nieco się odchyliły.

- Tak ciężko pracujesz, kochanie. Może w ramach relaksu zrobisz sobie przerwę i posiedzisz ze mną trochę w salonie? - Od niechcenia potarła szyję.

- Dlaczego jesteś tak ubrana w środku dnia?

- Jak? - Przesunęła palcami po luźnym dekolcie. - Nie czułam się najlepiej. Odpoczywałam sobie. - Oparła biodro o biurko i mocniej się pochyliła.

Z impetem zamknął gazetę.

- Jak miło z twojej strony. Mam nadzieję, że nie zaniedbujesz Pań Zarządzających.

- A moje samopoczucie?

Z powrotem otworzył pismo, a jedna brew powędrowała ku górze.

- Na moje oko wyglądasz całkiem zdrowo. Chcesz, żebym wezwał doktora Bostwicka?

- Nie, niepotrzebny mi lekarz. Ale ty mógłbyś okazać odrobinę zainteresowania.

Uderzył gazetą o blat biurka.

- Nie wystarczy, że cały dzień haruję, żebyś miała gdzie mieszkać i co położyć na talerzu, że nie wspomnę

o ubraniach i wszelkich innych zachciankach? Zamiast wylegiwać się całymi dniami, mogłabyś potraktować poważniej swoją działalność dla komisji. A może nie przyszło ci do głowy, że starania towarzyskie żony mogą pomóc albo zaszkodzić mężowi w karierze? A teraz wybac, mam trochę pracy. Niech Bonmarie przyniesie mi posiłek tutaj. A jeśli rzeczywiście ci coś dolega, mam nadzieję, że do rana ci przejdzie.

Podniósł gazetę i zniknął za jej stronami. Dora trwała jeszcze chwilę bez ruchu, ale nie pozostało jej już nic do powiedzenia czy zrobienia. Mogła tylko przekazać żądanie Charlesa służącej i zawiązać sukienkę pod szyją.

## ROZDZIAŁ 9

Następnego dnia Dora zmieniła obuwie na buty do jazdy i porwała z kuchni marchewkę dla Delili. Znalazłszy się w stajni, poczęstowała klacz smakołykiem, podrapała ją po nosie i wzięła rower spod ściany, gdzie stał pod wiszącymi na haczykach ogłowiami, oparty o bicykl Charlesa.

Dzień zaczął się pomyślnie. Próbowwała uknuć plan, który umożliwiłby jej rozmowę z Aminą na osobności, gdy nagle zjawił się posłaniec z wiadomością, że pani Tillday musi pozatwierać pewne sprawy, które zatrzymają ją aż do południa. Dora miała więc wymówkę, aby zaproponować spotkanie już na Wystawie, i zyskała czas na wizytę u tancerki. Pedalując w stronę targów, układała w myślach, co powie. Choć to nie była największa trudność. Najgorsze będzie złapanie Aminy samej.

Gdy dotarła do bramy prowadzącej do Ulicy Kairu, zostawiła rower przy innych bicyklach. Wszedłszy do środka, pospieszyła do teatru egipskiego, ściągając rondo kapelusza nisko na twarz, aby ukryć się przed ciekawskimi spojrzeniami ludzi, którzy mogliby zwrócić uwagę na samotnie blakającą się kobietę.



Na miejscu zastała mężczyzn ustawionych w kolejce przy okienku z biletami, by uiścić opłatę za wstęp na kolejne przedstawienie. Jeden pokaz właśnie się odbywał. Dora podeszła do zasłoniętego kotarą wejścia i wetknęła głowę do środka. Widziała tylko skrawek sceny, ale rozpoznała melodię, która towarzyszyła końcowemu tańcowi Aminy.

Dora przecisnęła się pomiędzy stojącymi w tyle sali widzami i poszukała miejsca, z którego dałoby się cokolwiek dostrzec. Dopiero gdy dotarła do przeciwległej ściany, udało jej się dojrzeć tancerkę. Mimo obfitego stroju i woalu od razu poznała, że to nie Amina. Kobieta na scenie była wyższa i szczuplejsza, a w jej tańcu nie było podobnego wdzięku. Dora stanęła na palcach, żeby przyjrzeć się siedzącym na ławie artystkom, ale i wśród nich nie dostrzegła tej, której szukała.

Gdy pokaz dobiegł końca, rozległy się gromkie oklaski, po czym obecni zaczęli kierować się ku wyjściu. Tancerki nie ruszały się z miejsc, czekając, aż sala napełni się nową grupą widzów. Kiedy Dora podeszła pod scenę, artystki obrzuciły ją podejrzliwymi spojrzeniami.

- Gdzie mogę znaleźć Aminę Mahomet? - spytała. Dwie z nich popatrzyły na siebie i zachichotały.

Dora stała z założonymi rękami. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ponowiła pytanie.

- Chciałabym z nią porozmawiać, jeśli istnieje taka możliwość.

Najteższa z kobiet i chyba najstarsza z nich, odezwała się wreszcie.

- Ona nie może mówić.

Jej angielski trudno było zrozumieć ze względu na mocny akcent. Dora pokręciła głową na znak, że nie bardzo wie, o co chodzi.

- Chciała powiedzieć, że w tej chwili Amina nie jest w stanie rozmawiać.

Dora odwróciła się na dźwięk głosu. Pan Farouk zmierzał w jej stronę ze splecionymi za plecami rękoma i utkwionym w niej spojrzeniem zwężonych oczu. Wizje jego osoby, które nawiedzały ją w snach, przemknęły jej przez głowę i poczuła, jak fala gorąca zalewa jej szyję i policzki.

- Przyjmuje teraz gościa, ale jeśli pani życzy sobie zaczekać, to proszę. Na pewno nie potrwa to długo - powiedział Farouk.

Dora oderwała spojrzenie od jego oczu. Patrzyła na biel jego świeżo wyprasowanej tuniki, omijając wzrokiem jego twarz.

- Dobrze. Gdzie mogę poczekać? Wyszczерzył zęby w uśmiechu, jakby go rozbawiła.

- Należy pani do Komisji Pań Zarządzających, może pani robić, na co tylko przyjdzie pani ochota.

Drwił z niej. Chwyła mocniej parasolkę i wyprostowała się, próbując wyglądać dumniej, niż w rzeczywistości się czuła.

- Będę na zewnątrz. Niech pan powie Aminie, gdzie może mnie znaleźć, jeśli mogę pana prosić o taką uprzejmość.

Tancerki zdawały się zdezorientowane tą wymianą zdań, ale Hossamowi najwyraźniej się ona spodobała.

Dora opuściła teatr stanowczym krokiem, lawirując pomiędzy mężczyznami tłoczącymi się do środka, by zająć dogodne miejsca.

Na zewnątrz słońce wkładało całe siły w rozgrzanie wyłożonego kamieniami placu. Wzdłuż ściany teatru nie było ani skrawka cienia. Dora otworzyła parasolkę i skryła się pod nią, chroniąc się zarówno przed gorącymi promieniami, jak i potencjalnymi nieprzyjaznymi spojrzeniami.

- Obawiam się, że panią uraziłem.

Przełożyła parasolkę na drugie ramię i spostrzegła, że Farouk wyszedł za nią.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Skrzywiła się na dźwięk własnej odpowiedzi. Jak błaho i dziecinnie zabrzmiały jej słowa.

Przezcesał włosy palcami i odwrócił się, jakby zamierzał wrócić do środka, po czym nagle zrobił zwrot na pięcie i odparł:

- Wszystko, co powiem, wydaje się panią drażnić, a bynajmniej nie jest to moim celem.

Patrzyła, jak przestępuje z nogi na nogę, bierze się pod boki, a potem znów przesuwa dłoń przez włosy. Wyglądał na zdenerwowanego. Ale dlaczego? Mężczyzna jego pokroju z pewnością nie miał powodu, by czuć się nieswojo w towarzystwie kobiety takiej jak ona. Zaczął się przechadzać, obserwując ją niepewnie onyksowymi oczami. Jego przejęcia nie dało się ukryć, ale przecież nie mogła być jego przyczyną.

- Nie jestem poirytowana - odparła wprost.

- Cóż, zatem musiałem wyobrazić sobie te ostre spojrzenia.

Czy wyraz jej oczu mógł go poruszyć? Nie było to zbyt prawdopodobne. I wtedy doznała olśnienia. To nie jej osoba powodowała jego dyskomfort, ale jej pozycja. Ugiąłby się pod spojrzeniem każdej Pani Zarządzającej. Ściągnęła łopatki, wypięła pierś.

- Muszę nauczyć się lepiej panować nad swoją mimiką. Ale nie ma się pan czym martwić. Rozdrażnienie w żaden sposób nie wpłynie na mój raport.

- Ach, tak. Raport Pań Zarządzających. Ta kwestia nie leży w kręgu mojego zainteresowania.

- A co konkretnie leży w owym kręgu, panie Farouk?

To, jak zbiła go z tropu, i spojrzenie, jakie złowiła, powiedziały jej więcej, niż mężczyzna mógłby wyrazić słowami. W jego oczach dostrzegła błysk czegoś nowego i nieznanego. Jak bezbrinnie wyglądał, mrugając ze zdenerwowania, podnosząc ręce do piersi i na powrót je opuszczając. Może Charlesa już nie pociągała, ale zdawało się, że ten mężczyzna ma na jej temat zgoła inne zdanie. Stłumiła uśmiech, po czym powiedziała, powoli cedząc słowa:

- Panie Farouk, czy uważa mnie pan za atrakcyjną?

- Nie wiem, czy dobrze panią rozumiem, pani Chambers. - Położył nacisk na „panią”.

- Przypuszczam, że nie jest to pytanie, które powinno paść z ust szanującej się damy. Proszę mi wybaczyć. Ostatnio nie jestem sobą. Widzi pan, chodzi o to, że jakiś czas temu zauważyłam, iż nie zadowolam swojego męża, i zastanawiałam się, czy to nie z powodu ubytków w mojej urodzie. Interesuje mnie oczywiście zupełnie obiektywna ocena. - Władza, jaką nad nim czuła, była prawdziwie ekscytująca.

- Nie mnie wydawać opinię na ten temat - wykręcił się od odpowiedzi.

Rozejrzała się wokół, by upewnić się, że nikt nie patrzy, po czym zrobiła krok w jego stronę, tak że ich ciała niemal się stykały. Jego bliskość obudziła do życia każdy centymetr jej ciała. Ściszyła głos i spytała:

- Może więc podpowie mi pan w innej kwestii... Co rozpala namiętność mężczyzny? Twarz kobiety? Linia jej nosa czy też kolor oczu? Jej włosy, talia czy pierś? A może coś zgoła innego, takiego jak głos lub poczucie humoru? Pytam z czystej ciekawości.

Wyglądał, jakby przeżywał mękę. - Pani Chambers - odparł, podkreślając znów fakt, że jest zamężna. - Od każdego mężczyzny uzyska pani inną

odpowieź, więc radzę zwracać uwagę, o czyją opinię pani prosi.

Rozmowę przerwał im kobiecy śmiech. Z alejki dzielącej teatr od kramu z dywanami wyłoniła się Amina w towarzystwie młodego mężczyzny, którego Dora pamiętała jako sprzedawcę lamp olejnych. Szli pod ramię, a w jego wzroku, czule obejmującym kobietę, wyraźny był podziw dla niej. Mówiła do niego po arabsku. Kiedy dostrzegła Dorę i Hossama, odwróciła się do młodzieńca, pocałowała go namiętnie w usta, a kiedy nachylił się, by ją przytulić, cofnęła się i pomachała ręką na pożegnanie. Dotknął dłonią swoich warg i potknąwszy się, odszedł.

Amina zbliżyła się do Dory i Hossama z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem.

- Cieszę się, że cię widzę - Dora przywitała ją szybko, odsuwając się o krok od Hossama. - Czekałam na ciebie.

Tancerka spojrzała na Hossama z niemym pytaniem: a ty? Splótł dłonie za plecami i wyprostował się.

- Ja zabawiałem panią Chambers rozmową, by umilić jej czas oczekiwania. - Zwrócił się twarzą ku Dorze, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale zamiast tego pochylił głowę w oficjalnym ukłonie.

- Będę czekał z niecierpliwością na kolejne spotkanie. Dygnęła, odpowiadając.

- Ja również.

Odszedł, pokonując odległość do drzwi teatru długimi, pewnymi krokami. Lekki wietrzyk poruszał końcami białej tuniki.

- Kolejna wizyta tak prędko? Chyba przyszłaś mi podziękować. - Amina poruszyła brwiami, jak gdyby dawała Dorze tajemny znak.

- Niestety, nie to mnie sprowadza. Przeciwnie, jest gorzej, niż myślałam.

- Robiłaś wszystko tak, jak kazałam? -Tak.

- Chodźmy do mnie. Tam porozmawiamy.

Amina przeszła przez pokój, zbierając porozrzucone elementy garderoby i porządkując poduszki, podczas gdy Dora odkładała parasolkę i torebkę. Pomieszczenie wyglądało z grubsza tak jak podczas jej poprzedniej wizyty, z wyjątkiem łóżka, którego pomięta pościel sugerowała niedawne użytkowanie. Dorze przyszedł na myśl sprzedawca lamp.

- Twój gość... Jest twoim absztyfikantem? Tancerka powiesiła zebrane z podłogi ubrania na parawanie. Przekrzywiła głowę.

- Absztyfikantem?

- Zalotnikiem starającym się o twoją rękę? Amina pokręciła przecząco głową.

- Ale przystojniak z niego, prawda? Silne ramiona i wesołe spojrzenie, to mi się podoba. I uprawia ze mną miłość przez całą noc, raz po razie.

Dora spuściła wzrok, by ukryć zawstydzenie.

- Sądziłam, że nie jesteś zainteresowana związkiem.

- Nie chcę wychodzić za mąż, ale uwielbiam dotyk mężczyzny. Jeśli dajemy sobie rozkosz, komu to szkodzi?

Dora chwyciła spódnice, aby nie pomiąć jej przy siadaniu na drewnianym kufrze.

- Żyłam w przekonaniu, że kobieta powinna się spoufalać wyłącznie ze swoim mężem.

- To wasze zasady, nie moje.

- Co zatem trzyma was razem po współżyciu ze sobą?

- A co, jeśli nie mamy ochoty być razem po współżyciu?

- A jeżeli znajdzie sobie inną?

- A gdybym to ja wybrała sobie innego? - Amina roześmiała się, rozbawiona.

- Nie boisz się, że zostaniesz sama?

- Wcale.

Tyle pewności siebie w jednym słowie.

- Jak to?

Amina usiadła, oparła się wygodnie o trzy poduszki i wyciągnęła nogi.

- Mam siostry tancerki, moje plemię. Zawsze będą przy mnie. W taki sposób żyjemy. Mogę być z mężczyzną, kiedy zechcę.

- A gdybyś pragnęła jednego jedynego mężczyzny, a on nie chciałby ciebie?

- To nie byłby wart mojego czasu. - Amina natychmiast pożałowała nonszalancko rzuconej uwagi. Przysunęła się do Dory i chwyciła jej dłoń. - Nie poddawałabym się.

- Nawet na mnie nie patrzy.

Amina odchyliła się, krzyżując ręce na piersi. Postukała palcem w wargę.

- Są inne sposoby, by zdobyć uwagę mężczyzny. - Wstała i jęła przechodzić się po pokoju. Wreszcie przystanęła twarzą do Dory. - Tego właśnie chcesz?

- Najbardziej na świecie.

Ta kobieta doprowadzała go do furii. Bawiła się z nim w kotka i myszkę! Panie Farouk, czy uważa mnie pan za atrakcyjną? Pytanie nie padłoby z jej ust, gdyby nie zauważyła, jak na nią patrzył. Nie mógł zaprzeczyć, że marzy o tym, by objąć ją w talii, przycisnąć do siebie, zamknąć jej usta swoimi. Tylko że była żoną innego. Nic tego nie zmieni.

Udał się na tyły budki z biletami i pociągnął zasłonę, która odgradzała sprzedawcę od reszty teatru. Począł, aż

chłopiec przy kasie sfinalizuje transakcję z białym mężczyzną w cylindrze.

- Tak, szefie? - chłopak zwrócił się do niego po arabsku, wręczywszy panu przy okienku bilet i kilka monet reszty.

- Jaki utarg dzisiaj?

Pracownik przejrzał listę z wieloma odfajkowanymi pozycjami, a potem podniósł się z taboretu i wyjrzał przez szybę.

- Pięćset, a kolejka jeszcze długa.

- Może zatem sześćset dolarów uezbiera się do południa. Osiem, osiem i pół setki do zamknięcia. Nieźle jak na jeden dzień. - Hossam pokiwał głową, zaciągnął zasłonę i nie dał po sobie poznać rozczarowania. Zajął stałe miejsce w rogu z tyłu sali. W jaki sposób mają osiągnąć tysiąc dziennie, jak sobie tego życzyło kierownictwo Midway? Dodać jeszcze jeden pokaz?

Problem leżał w kostiumach. Dawniej tysiąc dolarów dziennie to była pestka, ale to było, zanim wprowadzili zmiany w ubiorze tancerek. Woale i długie bluzki nie zachęcały klientów tak jak poprzednio stosowane kostiumy. Amina uparła się jednak. Twierdziła, że złożyła obietnicę pani Chambers, by ta sprowadziła lekarza, i teraz odmawiała wycofania się z danego słowa. Ale przecież sownie opłaciły medyka - czy to nie wystarczyło?

I dlaczego nie potrafi wyrzucić przeklętej pani Chambers z głowy? Mógł mieć każdą tancerkę ze swojej trupy czy z całego Midway. Nie dalej jak tego ranka kobieta wykonująca taniec Ouled Nail, przystrojona welonami i biżuterią, wodziła za nim wzrokiem, gdy przechadzał się przy teatrze algierskim, a potem śliczna syryjska tancerczka trzepotała rzesami, częstując go kawą po turecku. Obu odmówił. Co nim powodowało? Dlaczego jego myśli wciąż wracały do tej Pani Zarządzającej? Złapał się na



tym, że specjalnie nie odchodzi daleko od teatru, w nadziei że ją zobaczy.

Ale dziś dał się ponieść i się wydał. Teraz próbowała dać mu odczuć swoją wyższość, wyzywając go, by przyznał to, o czym i tak już wiedziała. Jej śmiałe pytania powinny napawać go odrazą. Nie przyszłoby mu do głowy spodziewać się takich słów z ust kobiety należącej do Komisji Pań Zarządzających. Jakie jeszcze tajemnice w sobie kryła?

Skarcił się w myślach za to, że daje się ogarniać absurdalnym wizjom. Musi skoncentrować się na interesach. Skupił uwagę na muzykach i tancerkach, wodził wzrokiem po widowni, wypatrując najmniejszego sygnału potencjalnych kłopotów. Zajął się pracą, a pod nosem przeklinał irytującą kobietę, która wbrew jego woli zawładnęła jego umysłem.

- Gdy wasze spojrzenia się spotkają, nie odwracaj wzroku. O, tak. - Ze swojego siedziska wśród poduszek Amina przekrzywiła głowę i popatrzyła na Dorę kątem oka. Powoli zatrzepotała rzęsami, nie przerywając kontaktu wzrokowego.

Uczennicę przebiegł dreszcz, aż pokręciła się w miejscu.

- Widzisz? Oczy to potężna broń. Opowiadają więcej, niż da się przekazać słowami, więc jak najdłużej wytrzymaj jego wzrok. Jeśli nie odwróci spojrzenia, to już jest twój, bo będziesz miała pewność, że cię pożąda.

- A co, jeśli nie będzie chciał patrzeć? - Charles nie dostrzegł nawet jej niemal nagiego ciała, dlaczego więc miałby wpatrywać się w jej oczy?

Amina pogroziła palcem.

- Nie poddawaj się po pierwszej porażce. Próbuj dalej, nie przerywaj dialogu. Jeśli będzie umykał wzrokiem, wódź spojrzeniem za nim, postaraj się nawiązać kontakt. Gdy

zerknie na ciebie, drażnij się z nim. Poślij mu lekki uśmiezek i rusz ramieniem albo spuść rzęsy, niby to na znak twojej niewinności. O, tak.

- Zaprezentowała coś w rodzaju rozmarzonego półuśmiechu, potem subtelnego wzruszenia ramieniem, aż wreszcie opuściła powieki.

Patrząc na Aminę, Dora zrozumiała, jak można doprowadzić mężczyznę do stanu upojenia. Usiadła prosto i sama spróbowała przygotować się do osiągnięcia podobnego wyrazu twarzy. Uśmiechnęła się, unosząc kącik ust.

- Dobrze, ale zrelaksuj policzek. Pomyśl o tym, jak cudownie będziesz się czuła pod jego dotykiem.

Dora pochyliła głowę i wybuchła śmiechem.

- Nie wolno ci się śmiać. Jeśli okażesz wesołość w jego towarzystwie, pomyśli, że z niego kpisz, a wtedy z całą pewnością właściwy moment pryśnie.

- Przepraszam. A teraz? - Dora ponowiła próbę uśmiechu. Tym razem przywołanie go na twarz przyszło jej o wiele łatwiej.

- Teraz ramię.

Dziewczyna przechyliła się lekko w jedną stronę i wysunęła ramię.

- Tak, tak! I rzęsy, proszę.

Po kilku podejściach zasłużyła na pochwałę Aminy.

Jednak jej zadowolenie szybko przerodziło się w zwątpienie. Najbardziej sromotną porażkę odniosła w trakcie stosunku. Leżała sztywno, bez ruchu, tak przerażona, że postąpi niewłaściwie, że na wszelki wypadek wołała nie robić nic.

- A jak powinna się zachowywać kobieta, jeśli już znajdzie się z mężczyzną w łóżku? - Zakryła twarz i czekała na odpowiedź Aminy.

Drobne dłonie rozwarły palce Dory. Tancerka uklękła przed nią.

- Boisz się samego pytania czy tego, co niesie odpowiedź?  
- Chyba obu. Brak mi jakiegokolwiek orientacji w tym temacie.  
- Potrafiłabyś zrobić mu coś takiego? - Przytrzymała dłonie Dory jedną ręką, a palec drugiej przeciągnęła wzdłuż jej przedramienia.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Przecwicz na mnie. Dora wzdrygnęła się.  
- Jak to?  
- Przekonasz się, że jesteś w stanie to zrobić, a wtedy pozbędziesz się związanego z tym lęku.

Dora zawahała się.

- Nie poruszę się, obiecuję.  
- A nie będziesz się śmiała? Amina stłumiła uśmiech.  
- Zachowam powagę.

Dora przygryzła dolną wargę, wyciągnęła rękę i przesunęła palec wzdłuż nagiego ramienia tancerki, wiodąc go w dół aż do nadgarstka, czym wywołała brzęk bransoletek.

- Dobrze, a teraz powtórz to samo w zwolnionym tempie. Zamknij oczy, wyobraź sobie, że zamiast mnie jest tu twój mąż. Dotykaj jego ramienia, jakbyś chciała, żeby trwało to wiecznie.

Dora przymknęła powieki i jeszcze raz wyciągnęła rękę. Koniuszek jej palca ostrożnie wędrował po skórze tancerki. Dora czuła, jak pod jej dotykiem Aminie wyskakuje gęsia skórka. Cofnęła dłoń, gdy dotarła do bransolet. Otworzyła oczy.

- Świetnie. A teraz tak. - Amina pogłaskała policzek Dory grzbietami palców.

Dziewczyna powtórzyła gest.

- Bardzo dobrze. Sądzisz, że uda ci się to samo z mężem?
- Raczej tak.
- Kiedy będziesz go pieściła, nie ograniczaj się do rąk i twarzy. Zapragnie poczuć twój dotyk wszędzie: na piersi, plecach, nogach i... -

Tu Amina przerwała, poruszyła brwiami, po czym spojrzała w dół.

- Nie ma mowy - Dora powiedziała stanowczo.
- Ale dlaczego? To część jego ciała taka jak inne.
- Ponieważ... Bo to jest... - No właśnie, jakie? Nieetyczne? Krepujące?

- Czym się różni od stopy lub dłoni?
- Po prostu jest różne. Amina milczała przez chwilę.
- Masz rację, jest - przyznała wreszcie. - Jest o wiele istotniejsze od innych części męskiego ciała. I to dlatego musisz tam sięgnąć.
- Nie dam rady. Czy nie mogłabym w zamian za to zatańczyć dla niego? - wyrwało jej się. - Gdybyś nauczyła mnie poruszać się tak jak ty? Może spojrzaliby na mnie wówczas w sposób, w jaki mężczyźni patrzą na ciebie.
- To absurd.
- Dlaczego?
- Nie jesteś tancerką. Nie jesteś nawet Egipcjanką. Dora wodziła palcem po drewnianym wieku skrzyni, zataczając na nim kółka.
- Może udałoby się, gdybyś pokazała mi jak.

Amina przemierzała długość pokoju tam i z powrotem.

- Jak myślisz, co byłabyś w stanie opanować?

Dora od razu pomyślała o ruchu, który zawsze ją fascynował.

- To, jak kręcisz tą częścią. - Położyła rękę w okolicy pępka.

- Za trudne. Coś innego.

- Niech to będzie cokolwiek. Naucz mnie czegokolwiek.

Amina nie przerywała marszu. Dora czekała.

Amina odwróciła się do niej nagle.

- Pokaż mi, jak się ruszasz. Wstań - zakomenderowała. Dziewczyna usłuchała.

Amina rozprostowała jej ramiona, odciągając je od jej boków.

- Trzymaj prosto.

Dora zablokowała ręce w łokciach, lekceważąc trzeszczenie szwów bluzki.

Amina poklepała ją po biodrze.

- Poruszaj tym.

Dora spróbowała. Amina się skrzywiła.

- Same biodra, nie całe ciało.

Dora ponowiła próbę. Grymas na twarzy tancerki stał się wyraźniejszy.

- Naprawdę się staram. - Może to jednak była pomyłka.

- Wszystko przez te ubrania, nie jesteś w stanie się w nich poruszać. - Podeszła do parawanu, ściągnęła wiszącą na nim górę odzieży i przejrzała ją. Zawiesiła na ramieniu parę jedwabnych szmaragdowych szarawarów, soczyście zieloną aksamitną kamizelkę i cienką jak pajęczyna bluzkę z koronkowymi rękawami. Wręczyła Dorze ubrania.

- Włóż je.

Dora przyjęła zestaw. Co miała z tym zrobić? Wyraz twarzy Aminy jasno wskazywał, że odmowa mijała się z celem. Zniknęła za parawanem i zsunęła rękawiczki. Czy to wszystko działało się naprawdę? Rozpięła botki, bluzkę, spódnicę. Rozsznurowała gorset i halki. Powiew chłodnego powietrza na nagiej skórze przejął ją dreszczem.

Uniosła najpierw przezrzystą bluzeczkę i wciągnęła ją przez głowę. Następnie włożyła kamizelkę, która zakrywała zdecydowanie za mało, niezależnie od tego, jak mocno ją naciągała. Potem przyszła kolej na obszerne szarawary. Nigdy nie miała na sobie spodni. Nigdy w życiu.

- Gotowa?

- Prawie. - Nie mogła włożyć spodni! Choć z drugiej strony, kto ją w nich zobaczy? Tylko Amina. To będzie ich tajemnica. Pomału, ostrożnie wsunęła nogi w workowate nogawki i naciągnęła szarawary na swoje lniane reformy.

Wyłoniła się zza parawanu.

- Lepiej. Stań tutaj.

Dora ustawiła się przed Aminą. Poduszki, które zalegały podłogę, zanim poszła się przebrać, leżały teraz na łóżku, a stoliki odsunięto pod ścianę, tak że powstała otwarta przestrzeń parkietu.

Amina założyła ręce na piersi i oparła kciuk o brodę.

- Pokaż, jak tańczysz.

- Ale nie ma muzyki.

- Wyobraź ją sobie.

Nie potrafiła zatańczyć bez dźwięku instrumentów. Miała ochotę schować się z powrotem za parawanem. Wtedy jednak jej szanse na odzyskanie Charlesa całkowicie przepadną. Pragnęła się nauczyć. Zamknęła oczy i przywołała w pamięci rytm egipskiego bębna. Dum-dum-taka-tak-dum-taka-tak. Brzmiał jej w uszach, więc zaczęła się ruszać, najpierw przestępując tylko z nogi na nogę, po chwili dodając jeszcze wymachy rąk i kołysanie ramion.

- Stop.

Dora rozwarła szeroko oczy.

- Zatrzymaj się - rozkazała Amina. - Tańczysz głównie stopami. Nie skupiaj się na nich. Myśl tym. - Dotknęła jej brzucha. - Niech tu będzie źródło twoich ruchów.

Dora skoncentrowała się na tętniącym w głowie rytmie i wprawiła stopy w ruch. Przerwała. Zaczęła od początku, wkładając całą siłę woli w utrzymanie nóg w bezruchu. Skupiła się na pracy brzucha.

- Nie, nie, dosyć.

Przygotowała się na kolejną porcję krytyki.

- Może nie wyraziłam się jasno. - Amina zbliżyła się i położyła dłoń w okolicy pępka dziewczyny. - Nie chodziło mi o to, żebyś wypięła brzuch, tylko pozwoliła ruchom brać stąd początek.

Dora czuła się żałośnie. Nie była w stanie nauczyć się egipskiego tańca. Jej ciało nie potrafiło wykonywać tych dziwacznych poleceń. Nie da rady.

Amina podeszła do niej od tyłu i objęła ją w pasie obiema rękami. Dora wyprostowała się, czując dotyk jej palców.

- Zdradzę ci, co powiedziała mi moja *usta*, moja nauczycielka - rzekła Amina. - Aby tańczyć, musisz uświadomić sobie, że ruch to odzwierciedlenie uczuć, a one wszystkie biorą się właśnie stąd, z brzucha. To tu trafia pożywienie, które daje nam siły, tu macica matki gości nowe życie. Pomyśl o brzuchu jak o miejscu, gdzie rodzi się twój taniec. Nie wypychaj go przed siebie, ale wciągaj, chroń.

Dora zmieniła postawę.

- Dobrze. Teraz wysuń pierś naprzód, o tak. - Amina przesunęła ręce na boki klatki piersiowej Dory. Delikatnie wypchnęła jej pierś i ściągnęła w tył łopatki.

Dora czuła się jak stojący na baczność żołnierz.

- Opuść brodę niżej, rozsuń trochę nogi, i utrzymuj miękkie kolana. Nie usztywniaj ich. Teraz odrobinę wypchnij biodra, ale tylko tyle, by wyprostować plecy. Jakie to uczucie?

- Nienaturalne. Jak można się poruszać przy takiej postawie?

- Za bardzo przyzwyczałaś się do tego - Amina wskazała palcem na przerzucony przez parawan gorset. - Na co dzień to on podtrzymuje sylwetkę za ciebie. Taniec pomoże ci odzyskać siłę. - Stając plecami do Dory, tancerka zrobiła krok naprzód. - A teraz patrz na mnie i naśladuj moje gesty.

Wzięła wdech i przyjęła odpowiednią postawę. Poruszyła biodrami, zataczając nimi szeroki krąg. Dora powtórzyła ruch.

- Bardzo ładnie. Rozluźnij się, wczuj w muzykę, nie skupiaj myśli na ruchach. Spróbuj tego. - Zatoczyła biodrami małe kółko z lewego boku i drugie po prawej stronie. Koraliaki i monety, którymi wyszyte były jej szal i kamizelka, podzwaniały wesoło. Spojrzała na Dorę i pochwaliła ją skinieniem głowy, gdy sprawnie wykonała ruchy.

Z pomocą Aminy Dora wkrótce umiała już zrobić płynne przejście pomiędzy kręgiem zatoczonym z lewej i z prawej strony.

- Teraz zmiana kierunku. - Artystka przerwała swoje ćwiczenia i przyglądała się uczennicy od tyłu i z boków.

Badawcze spojrzenie Aminy wprowadziło Dorę w zakłopotanie, gdyby nie to, że przebijała z niego również aprobata. Zatrzymała się i spróbowała wykonać te same ruchy w przeciwnym kierunku. Dwa razy zgubiła rytm, ale potem go odnalazła i żałowała tylko, że w pokoju nie ma lustra, takiego jak w jej sypialni, by mogła sprawdzić, czy wygląda tak wspaniale, jak się czuła.

- Nie przestawaj, ruszaj się, ruszaj! Trzymaj pierś wyżej, ale obniż ramiona, dalej od uszu. Pomyśl teraz o biodrach. Wszystko inne niech będzie nieruchome. Zamknij oczy, może ci być wygodniej. Skup się.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i Amina pospieszyła je otworzyć, uchylając skrzydło tylko odrobinę, aby przybysz nie ujrzał Dory. Dało się słyszeć kobiecego głosu



mówiący po arabsku. Amina odpowiedziała, po czym zamknęła drzwi.

- Muszę wracać do teatru, ale spokojnie, wyjdź, kiedy będziesz gotowa.

- Na mnie również pora. O, nie! Która godzina? - Zupełnie wyleciało jej z pamięci spotkanie z panią Tillday. Rzuciła się do torebki po zegarek. Kwadrans po dwunastej, była już spóźniona. - Proszę, pomóż mi z gorsetem, zanim wyjdiesz!

Porwała go z parawanu. Gorsetowe wstążki powiewały jak dzikie macki. Wyśliznęła się z egipskich ubrań i stanęła tyłem do Aminy, przytrzymując gorset na odpowiedniej wysokości.

- Musisz go wkładać?

- Tak, i to szybko. Błagam, nie mam czasu, żeby walczyć z nim w pojedynkę.

Amina zbliżyła się z ociąganiem. Ujęła wstążki w dłonie, przyglądając im się z niechęcią. Z oporem przepłótła je przez oczka, ciągnąc, wiążąc, ponownie pociągając.

Dora wzięła oddech. Kiedy jej rozmiar odpowiednio się zmniejszył, przejęła wstążki i zawiązała je mocno.

- Dziękuję.

Amina obrzuciła gorset ostatnim nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Więcej mnie o to nie proś - powiedziała i zniknęła za parawanem. Kiedy na powrót się wyłoniła, była gotowa do występu. - Ćwicz to, czego cię dziś nauczyłam: taniec i dotyk.

Dora pokiwała głową i za tancerką zamknęły się drzwi.

Zaledwie kilka minut później Dora, już w pełni odziana, ukradkiem wystawiła głowę na korytarz. Nasłuchiwała. Żadnych głosów czy kroków. Przekradła się do tylnych drzwi, żeby obejść teatr i podejść do pani Tillday tak, jak

gdyby właśnie przybyła. Zanim jednak dotarła do celu, drzwi otworzyły się i stanęła w nich młoda kobieta.

Egipcjanka przestraszyła się na widok Dory i upuściła małą kiść różowych winogron. Była w stroju tancerki, ale Dora nie знаła jej nawet z widzenia.

- Przepraszam - bąknęła Dora i kucnęła, by pomóc dziewczynie pozbierać toczące się po podłodze owoce.

- Pani jest Panią Zarządzającą, tak? Dora zawahała się.

- Tak, należę do komisji. - Kobieta wydawała się ogłuszona. Dora odłożyła parasolkę na bok, żeby pomóc jej zebrać winogrona. Podała owoce tancerce.

- To pani mi pomogła. Przysłała pani doktora.

A więc to była Marieta. Dora zauważyła cienie pod jej oczami i zapadnięte policzki.

- Nie powinnaś odpoczywać?

- Szukałam czegoś do zjedzenia. - Zatoczyła się lekko, jak gdyby ziemia drgnęła pod jej stopami.

- Tych nie powinnaś już jeść. - Dora wyjęła z jej rąk brudne owoce, podeszła do drzwi i wyrzuciła winogrona na zewnątrz. - Wracaj do łóżka, przyniosę ci świeże.

Marieta przyłożyła rękę do czoła.

- Chyba jestem trochę zmęczona - przyznała.

Dora podtrzymała ją i odprowadziła do pokoju. Wiedziała, który jest jej. Ułożyła dziewczynę w łóżku i szepnęła:

- Zaraz wrócę.

Poszła do drzwi prowadzących na podwórko, gdzie gotowano. Słońce świeciło intensywnie, zmuszając ją, by zmrużyła oczy i przysłoniła je dłonią. Dostrzegła staruszkę siekającą warzywa przy stole i podeszła do niej.

- Czy mogę prosić o winogrona dla Mariety? Kobieta obrzuciła ją obojętnym spojrzeniem.

- Winogrona. Dla Mariety.

Nadal brak reakcji.

Dora zlustrowała zapasy cebuli, ziemniaków i ryżu w workach, aż wreszcie jej wzrok padł na leżącą w misce kiść winogron. Chwyliła pełną garść i uniosła je do góry.

- Dla Mariety?

Staro winka machnęła tylko ręką i zajęła się z powrotem krojeniem warzyw. Dora nie wahała się dłużej. I tak traciła już cenny czas. Zniosła owoce do pokoju chorej. Tancerka miała zamknięte oczy, ale oddychała głęboko i równo.

- Winogrona dla ciebie.

Kobieta cicho pochrapywała. Dora położyła jedzenie przy łóżku, tak by dziewczyna znalazła je po przebudzeniu, i cichutko wyszła.

Przemykając się przez korytarz, podniosła parasolkę i otworzyła ją, gdy tylko wydostała się na zewnątrz. Kucharka wciąż siekała warzywa. Jeden z jej pomocników mieszał strawę w zawieszonym nad ogniem garze, a drugi siedział przy młodym koziołku, którego Dora widziała wcześniej w holu.

Staruszka odprowadziła Dorę spojrzeniem, gdy przecinała podwórko, ale nie odezwała się ani słowem. Dziewczyna spieszyła się, klucząc wśród alejek na tyłach Ulicy Kairu, mijając łukiem sudańskie chatki, a potem przeciskając się z powrotem do głównego wejścia teatru. Zastała panią Tillday przed kramem z dywanami, udającą, że nie słyszy nawoływań sprzedawcy, który usilnie zapraszał ją do środka, by zakupiła jakiś towar.

- Najmocniej przepraszam, że kazałam na siebie czekać. Czas zupełnie wymknął mi się spod kontroli - powiedziała Dora, stanąwszy przed obliczem partnerki. Złożyła parasolkę, gdyż znajdowały się w cieniu, i zajęła się rozprostowywaniem fałd spódnicy.

- Już zaczynałam się niepokoić. Myślałam, że coś musiało się pani przydarzyć. Ale nic złego się nie stało, prawda?

- Nie, wszystko w porządku. Źle oszacowałam godzinę. Nie spodziewałam się też takich tłumów przy bramie.

- Którędy pani wchodziła? - pani Tillday spytała podejrzliwie. - Wejście przy Ulicy Kairu było niemal puste.

Dora zdawała się nie słyszeć, fingując zaciekawienie czymś po drugiej stronie placu.

- Ależ dziś upał, nieprawdaż? - Czuła, że strużka potu wypływa jej spod gorsetu. - Chyba powinnyśmy wejść do środka albo przyjdzie nam czekać na następny pokaz. Idziemy?

Wzięła panią Tillday pod ramię i zachowywała się tak, jakby w minie towarzyszki nie dostrzegała niczego niepokojącego. Pilnujący wejścia chłopiec wpuścił je bez biletu. Ku zaskoczeniu Dory, nie miały problemu ze znalezieniem miejsc siedzących. Zająły krzesła w jednym z tylnych rzędów.

Dora natychmiast rozpoznała Aminę. Siedziała w pąsowym woalu wśród pozostałych tancerek, czekając na swoją kolej, podczas gdy scenę zajmowała artystka w fioletowym stroju. Dora bacznie przyglądała się jej ruchom. Kiedy ręce Egipcjanki trzepotały nad głową, dziewczyna w myślach naśladowała ten gest. Czuła, jak jej własne mięśnie i stawy naciągają się przy skłonach i mostkach tancerki. Biodra Dory łączyły się z biodrami artystki we wspólnym kołysaniu.

Kiedy Amina rozpoczęła swój występ, Dora ledwo mogła usiedzieć w miejscu.

- Czy nic pani nie dolega? - Pani Tillday wyglądała na szczerze przejętą.

- Nie, nic mi nie jest.

- Dlaczego się pani tak wierci?

- Coś mnie zaswędziało. - Dora odwróciła wzrok ku scenie, by ukryć kłamstwo. Mięśnie brzucha Aminy zdawały się toczyć i falować. - To niesamowite, co potrafi, prawda? - szepnęła.

Pani Tillday zaśmiała się szyderczo, najwyraźniej odczytując pochwałę Dory za przesiąkniętą sarkazmem.

Dora nie odzywała się już, dopóki dźwięki muzyki nie ucichły, a tancerki nie skłoniły się przy akompaniamencie oklasków. Ludzie wstawali z miejsc i przeciskali się do wyjścia.

- Zostajemy na kolejny pokaz? - spytała pani Tillday. Dora czuła, jak muzyka krąży w jej żyłach, jak pobudza

ją do życia. Siedzenie nieruchomo wymagało od niej olbrzymich pokładów energii. Marzyła o powrocie do domu, gdzie mogłaby poćwiczyć przed lustrem w swoim pokoju, póki wszystkie ruchy miała świeżo zapisane w pamięci.

- Chyba dość się napatrzyłyśmy. Występ był do zaakceptowania, zgodzi się pani?

- Zdecydowanie nie tak gorszący jak niegdyś - przyznała pani Tillday - ale nie użyłabym terminu „do zaakceptowania”.

- Skąd taka niska ocena? Tancerki zastosowały się do wszystkich naszych wytycznych.

- Broni ich pani?

- Nie bronię, tylko...

- Nie do pomyślenia, jaką skrzywioną wizję kobiecości próbują sprzedać widzom!

Dora była zbyt zszokowana, żeby odpłacić celną ripostą. „Myli się pani!”, chciała powiedzieć. Miała ochotę wykrzyknąć swój sprzeciw, potrząsnąć panią Tillday, by ta zrozumiała, że głoszone przez nią sądy są krzywdzące. Nie odezwała się jednak, bo podejrzliwość gromadząca się na obliczu partnerki była aż nadto widoczna. Jak w otwartej książce czytała myśli odzwierciedlone w łagodnych brązowych oczach pani Tillday: nie jesteśmy takie same, ty i ja.

- Nie bronię ich - powtórzyła. - Oczywiście, ma pani rację. Uważam tylko, że zrobiły pewien postęp, nic więcej.

- To rzeczywiście im przyznam. - I tak szybko, jak się pojawiły, podejrzenia pani Tillday się ulotniły. Po uprzedniej nieufności nie było nagłe ani śladu.

Dora chciała jak najszybciej oddalić się z teatru i jak najprędzej uwolnić się od towarzystwa damy.

- Nie widzę potrzeby, abyśmy zostawały na kolejny występ, a pani?

- Zgadzam się. Odnotowały naszą obecność. - Pani Tillday skupiła uwagę na scenie. - Mają świadomość, że nie przestajemy ich obserwować. To chyba wystarczy, aby nie wróciły do swoich dawnych złych nawyków.

Dora czuła się rozdarta. Zależało jej na byciu wzorową Panią Zarządzającą, ale Amina i pozostałe tancerki niczym nie zasłużyły sobie na taką pogardę.

Ustawieni uprzednio w kolejce mężczyźni poczęli zapełniać salę, zajmując miejsca przed następnym przedstawieniem. Dora wstała, unikając zerkania na scenę.

- Powinnyśmy się zbierać.

W milczeniu opuściły teatr. Na zewnątrz Dora natychmiast otworzyła parasolkę, kryjąc się przed rażącym słońcem. Było jej niedobrze, żołądek podchodził jej do gardła, ale kroczyła dzielnie u boku pani Tillday. Partnerka nie zwracała uwagi na jej samopoczucie, trąkając o upałach, tłumie zebranych wokół chaty Siedzącego Byka i ostrym zapachu teksańskiej potrawy o nazwie chili con carne, sprzedawanej na pobliskim stoisku.

Dora kiwała głową lub uśmiechała się, od czasu do czasu wtrącając „ach tak” albo „co pani powie”. Wreszcie dotarły do bramy przy Ulicy Kairu i zatrzymały się, by udać się w różne strony.

- A nie mówiła pani, że weszła inną bramą?

Dora błyskawicznie przeanalizowała swoje słowa. Co takiego naopowiadała? Nie mogła sobie przypomnieć.

- Nie, musiała mnie pani źle zrozumieć - okrasiała odpowiedź uśmiechem.

Mina pani Tillday świadczyła o jej przekonaniu, że nic podobnego nie mogło się zdarzyć.

- Mój rower stoi tam, pośród innych - Dora rzuciła szybko, mając nadzieję na skuteczną zmianę tematu. - Charles kupił nam dwa.

- Bicykl? Nie lada z pani miłośniczka przygód!

Dora pożałowała, że nie odwróciła uwagi pani Tillday w inny sposób.

- Nie, skądże, choć rzeczywiście jazda dostarcza emocji - powiedziała, bawiąc się fałdą spódnicy. Zerknęła w kierunku ustawionych przy ulicy rowerów i wypatrzyła swój biały model. - Powinna pani spróbować. Nie wyobraża sobie pani, jakie to cudowne uczucie.

Pani Tillday obrzuciła bicykle niechętnym spojrzeniem.

- Chyba rzeczywiście moja wyobraźnia nie sięga aż tak daleko.

Dora zrobiła krok w tył gotowa do odejścia.

- Powinnam już wracać do domu. Zobaczymy się jutro? Pani Tillday przekrzywiła głowę i z uwagą przyjrzała się

Dorze, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

- Nie, jutro nie. Pan Tillday spodziewa się mnie w weekend w domu. Niech będzie poniedziałek. - Ucałowała powietrze na wysokości uszu Dory i udała się do powozu.

Pedałując ku domowi, Dora rozmyślała nad chłodem bijącym od znajomej. Może pani Tillday nie była zbyt znaczącą osobą wśród Pań Zarządzających, ale jednak miała swoje miejsce w ich szeregach i to czyniło ją niebezpieczną. Dora nie mogła pozwolić, żeby wątpliwości kobiety się wzmożyły. Kto wie, czy już nie podważa kompetencji Dory jako członkini komisji, a dziewczynie bardzo zależało na sprzymierzeńcach. Przy następnym spotkaniu wszystko naprawi.

Tego wieczoru czekały ją ważniejsze sprawy. Wróciła myślami do poranka spędzonego z Aminą - tego, gdy dotykały się nawzajem, jak tańczyły. Taniec. Jakim zaskoczeniem były dla niej napięte mięśnie, ile przyjemności sprawiało wypchnięcie bioder, falowanie ramionami. Kto by przypuszczał, że ciało może poruszać się z taką swobodą? Kto by się spodziewał, że poznawanie własnego ciała może być tak zachwycające?

Niestety, wszystko, co wydaje się wspaniałe, wiąże się z konsekwencjami.

Ogarnęły ją wątpliwości. Czy Charles będzie oczarowany czy przerażony jej poczynaniami?

Okrutna pamięć podsunęła jej znów obraz męża i Geraldine Forrest rzucających się na siebie. Agresja tamtej go nie raziła. Przeciwnie, zdawała się rozpalać jego namiętność. Poprawność żony tylko go od niej zdystansowała. Przestrogi mamy pomogły jej zdobyć Charlesa, ale żeby go przy sobie zatrzymać, będzie musiała nauczyć się je lekceważyć.

Dotarłszy do domu, zastała Bonmarie krzątającą się jak zwykle w kuchni.

- Były jakieś wiadomości od pana Chambersa? - Ściągnęła rękawiczki, próbując nadać głosowi nonszalancki ton.

Służąca stała nad miednicą pełną mydlin i szorowała garnek po zupie.

- Nie, żadnych. - Zanurzyła gar w czystej wodzie do płukania, po czym odstawiła go na rozpostartą na blacie ściereczkę. - Skąd ten uśmiech na buzi, *ma chere*<sup>7</sup>.

- Nie mogę normalnie w świecie być szczęśliwa?

Dora podeszła do lodówki i wyjęła butelkę mleka. Charles będzie dziś wieczorem w domu, a to stanowiło dla niej szansę na odbudowę dobrych stosunków z mężem.

Bonmarie wytarła ręce i podała Dorze szklanę. Dziewczyna wypełniła ją po brzegi.



- Pewnie, że możesz. - Służąca wróciła do mydlin i brudnych garnków, nie spuszczać jednak z Dory czujnego spojrzenia. - A jakiś konkretny powód?

- A wiesz, jest! - Jej twarz aż promieniała szczęściem, jakby postradała zmysły. - Byłam naiwna, Bonmarie. Byłam niemądrą, zimną gąską, ale koniec z tym. Już wiem, jak zadowolić pana Chambersa. Wymyśliłam, co zrobić, żeby znów mnie pokochał. Nie patrz tak. Wszystko dobrze. Mogłabyś przyrzadzić coś wyjątkowego na kolację? Coś, co mu smakuje? Może kaczkę albo medaliony cielece? Wiesz, że przepada za cieleciną w sosie jabłkowym. To dopełniłoby idealnego wieczoru!

W drodze na górę wystukiwała językiem bliskowschodni rytm. Dum-dum-taka-tak-dum-taka-tak.

Boże przenajświętszy, cóż tej dziewczynie znowu przyszło do głowy? Co to jej słodkie maleństwo znowu kombinuje? Wszystko będzie dobrze, powiada. I wiem, co zrobić, żeby mnie pan Charles kochał, powiada. I wiem, jak go uszczęśliwić.

Bonmarie chwyciła patelnię, na której zaschły resztki jajecznicy ze śniadania, i wrzuciła ją do miednicy z ciepłą, spienioną wodą. Szorowała i tarła, zdzierając z metalu drobinki pożywienia, które wypływały na powierzchnię, mieszając się tam z mydlanymi bańkami.

Czy miała rację, nie wspominając Dorze o tym, co zasłyszała? To tylko plotki, głupie gadanie z nadgorliwej jadaczki jakiejś nienadającej się do niczego służącej, mieszkającej w domu którejś z tych bogaczek. Jej dziewczuszka pewnie nawet nie znała tej całej pani Formish, Forrest, Forrish czy jak jej tam, która to ponoć zatrudniała plotkarę. Te wszystkie okropności, które opowiadała, to na pewno wysane

z palca bzdury. Służba kłamała jak najęta. Zmyślane historie o chlebobdawcach dodawały smaczku wizytom na targu. Nikogo nie obchodziło, czy to, co się mówi, to prawda. Ważne, żeby się dobrze gadało, a innym dobrze słuchało.

A nowinkom tej grubaski przysłuchiwało się niemało par uszu. Przyszła na zakupy i ustawiła się przy wozie z jabłkami z czterema czy pięcioma psiapsiółkami, wszystkie w tych ohydnych sukienkach pomocy domowych z fartuchami. Bonmarie zaczęła się na chwilę przy gruszkach, czekając, aż gaduły pójdą dalej, żeby mogła wybrać kilka jabłek. Gdyby nie to, nigdy nie usłyszałyby kłamstw płynących z paszczy tej kobiety.

Mówi, że jej pani ma nowego kochanka, od tego się zaczęło. Potem mówi, że dopiero co ożenił się z inną. To wtedy pozostałe kwoki zaczęły gdakać. A kto to taki, chciały wiedzieć. A jak utrzymują schadzki w tajemnicy, pytały. A co, jeśli żona się dowie, naciskały.

- Żona się nie dowie. Pani Formish, Forrest czy Forrish, czy jak jej tam, to dyskretna dama - zapewniła służącą, a wśród jej słuchaczek rozległ się szmer. - Mężczyzna przychodzi w nocy, kiedy nikt nie widzi. Bo wiecie, oni już kiedyś byli kochankami. - No, to już całkiem porwało słuchaczki. - Jeszcze zanim się ożenił, więc, że tak powiem, czuje się jak u siebie.

- A jego żona? Niczego nie podejrzewa? - Co za skandal, istna uczt! Aż im ślinka kapiała.

- Ona? - roześmiała się plotkarka. - Jego ż o n k a - rzekła, wkładając w to jedno słowo tyle szyderstwa, jakby to niewinne biedactwo było odpowiedzialne za cały romans - jest młoda i głupia i nawet nie pochodzi z Chicago. - Nowina wywołała falę „ochów” i „achów”. - Przywiózł ją z Nowego Orleanu czy innej zabitej deskami dziury. Pan Chambers... Ach! Wyrwało mi się!

Bonmarie nie zdzierzyła więcej. Była pewna, że to wszystko wierutne bzdury. Zrezygnowała z zakupu jabłek, zapłaciła za gruszki i oszołomiona, wróciła do domu.

Uniosła szorowaną patelnię do światła i zobaczyła, że w jednym miejscu zdążyła już zarysować metal. Zanurzyła ją dwa razy, potem trzeci, w wodzie do płukania, po czym oparła o inne naczynia schnące na ścierce.

Bonmarie miała zamiar powiedzieć o tym Dorze, gdy ta pojawi się w domu. Nawet jeśli to kłamstwa, dziewczyna powinna mieć świadomość krążących po mieście plotek. Im bardziej niewiarygodna historia, tym większy skandal, a zatem wzrastało prawdopodobieństwo, że każda służąca podzieli się pogłoskami ze swoją chlebobawczynią. Kto wie, dla kogo pracują te gdaczące kwoki? Wiadomo to, jak daleko zawędruje ta bajeczka? Plotki krążyły między służbą szybciej niż jakiegokolwiek nowiny drukowane w gazecie i, czy prawda to, czy bujda, Dorę powinno się ostrzec.

Ale taka radosna jak dzisiaj jej dziewczuszka nie była już od dawna. Nie mogła zepsuć jej szczęścia okropnymi plotkami. Powie jej jutro albo nawet pojutrze. Póki co przygotowuje pyszną kolację, o jaką ją poproszono. Kaczka albo medaliony cielęce w sosie jabłkowym? Miała tylko gruszki, więc będzie drób. Może doda jakąś ładną porcję szpinaku ze śmietaną.

Ciekawe, że akurat szpinak przyszedł jej do głowy. Przypomniała jej się historia, którą słyszała, będąc małą dziewczynką. O tym, jak pewna wiedźma wudu zamieszkująca bagna nad jeziorem Pontchartrain wymiotła z plantacji całą rodzinę za pomocą jadu węża podanego w porcji szpinaku.

Tylko skąd tu wziąć jad węża? Zresztą to tylko bajka.

Dora w międzyczasie przebrała się w swoją najcieńszą haleczkę, która spowijała jej ciało jak mgiełka, jakby na skórze leżał tylko powiew chłodnego poranka. Na wierzch włożyła sukienkę z bufiastymi rękawami i spraw<sup>7</sup>-dziła efekt w lustrze. Ładnie, ale to jeszcze nie to. Musi wystawać trochę więcej halki. Rozpięła kilka guziczków przy dekolcie, żeby odsłonić luźną irlandzką koronkę. Wygładziła tkaninę, przyciskając ją do siebie, i poczuła szorstkość koronki kontrastującej śnieżną bielą z ciemniejszym zarysem piersi. Lepiej. Niech mąż zobaczy to, co na ogół skrywa gorset.

Cała sztuka nie polegała jednak na tym, żeby przyciągnąć jego spojrzenie, ale by zademonstrować nowo nabyte umiejętności, nie wywołując salw śmiechu. Czy jej ruchy wyglądały tak dobrze, jak je sobie wyobrażała? Ćwiczyła przed lustrem elementy, których nauczyła ją Amina. Rysowała biodrami wyimaginowane koła na podłodze i ścianie. Skrzywiła się, widząc swoje odbicie. W niczym nie przypominała tancerki brzucha. Jednak wskazówki Egipcjanki dzwoniły jej w uszach: „Zrelaksuj się, poczuj muzykę, nie myśl o ruchach”.

W głowie Dory rozbrzmiała muzyka. Dziewczyna obniżyła ramiona i wypięła pierś, tak jak jej kazano. Uniosła ręce po bokach, zginając je lekko w łokciach, i zakręciła biodrami. Powoli, delikatnie, pomалу poszerzała kręgi. W pokoju Aminy czuła swoje ruchy, były dziwne, ale wspaniałe. Teraz widziała je w lustrze i miała pewność, że wykonuje je tak, jak należy. Tańczyła.

Melodia płynęła w jej żyłach i zaczęła upiększać swoje gesty, naśladując wryty w pamięć taniec Aminy. Śmieiej za-kołysała biodrami, dodała głębszy skłon, potrząsnęła włosami. Podniosła ręce wężowym ruchem i spróbowała zataczać kręgi biustem.

Jej odbiciu brak było wdzięku i wprawy Aminy, lecz mimo że jej ruchy były bardziej szarpane niż płynne, to jednak można było uznać je za taniec. Chyba spodobają się Charlesowi? Wyobraziła sobie, jak pożera ją wzrokiem, tak jak mężczyźni w teatrze posyłający Aminie głodne spojrzenia. Jeśli Dorze uda się obudzić w Charlesie podobną żądzę, to wymaże z jego pamięci Geraldine Forrest.

Przećwiczyła każdy zapamiętany ruch, aż wreszcie ramiona odmówiły jej posłuszeństwa, a słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, wpuszczając do pokoju ostatnie ukośne promienie. Halka przesiąknięta była potem. Charles lada chwila będzie w domu, a wszystko musiało być doskonale przygotowane na jego powrót. Błyskawicznie zrzuciła z siebie ubranie i powiesiła je na manekinie, żeby przeszło i się przewietrzyło. Obłożyła sukienkę saszetkami z płatkami róż, po czym podeszła do umywalki, zmoczyła ręcznik, wykręciła go, by nie ociekał wodą, i przetarła skórę. Dora spieszyła się, myjąc ręce, nogi, brzuch, plecy i szyję. Wilgoć na skórze sprawiła, że przeszedł ją dreszcz, mimo że powietrze w pokoju stało nieruchomo. Owinęła się peniuarem i zeszła na dół sprawdzić postępy w kuchni. Srebrna taca w holu była pusta - żadnych wiadomości, żadnych wymówek od Charlesa. Uśmiechnęła się do siebie.

Aromat pieczonej kaczki, masła, ziół i cebuli przeniknął przez kuchenne drzwi i wyszedł jej na powitanie. Aż zaburczało jej w brzuchu na myśl o posiłku, do którego zostało jeszcze kilka długich godzin. Gdy weszła do kuchni, Bonmarie stała pochylona nad parującym garnkiem, mieszając chochlą zawartość.

- Przeszłaś samą siebie - powiedziała Dora, zaciągając się pyszną wonią. - Pan Chambers będzie wniebowzięty. - Podeszła bliżej, by zajrzeć Bonmarie przez ramię.

Służąca ją odgoniła.

- Gotowanie zostaw mnie, *ma chere*.

- Nikt nie jest w stanie wyczarować takiego obiadu jak ty. - Spróbowała obejść Bonmarie z drugiej strony, ale kobieta pilnowała garnka jak kwoka świeżo zniesionych jaj. Dora poddała się i podeszła do blatu. Chwyciła pajdę chleba i posmarowała grubo masłem.

- No, no, nie psuj sobie apetytu. Nie haruję tu po to, żeby wszystko poszło na marne.

- Tylko kromeczkę. Chyba nie chcesz, żeby pieczywo się zmarnowało?

Bonmarie odwróciła się do niej plecami i potrząsnęła głową, ale zerknąwszy na służącą od progu, Dora dostrzegła, że jej policzek marszczy uśmiech.

Wróciła do sypialni, wyczesła włosy i upięła je w luźny kok, nałożyła krem na twarz, poszczypała policzki, żeby nabrały koloru. Spryskała się wodą różaną i włożyła halkę i sukienkę. Wtarła w twarz jeszcze jedną porcję kremu, po czym posmarowała dłonie, żeby nadać im gładkości i miękkości. Kiedy zrobiła już wszystko, co mogła, by perfekcyjnie przygotować się na przybycie męża, ustawiła fotel przy oknie i czekała, obserwując ulicę zza delikatnej firanki.

Bursztynowy blask popołudnia ustąpił miejsca ciemniejszym smugom o odcieniu maliny i mandarynki, a potem horyzont przybrał barwę lawendy, aż wreszcie ciemnego granatu. Pewnie jeszcze pracuje, i to tak ciężko, że stracił poczucie czasu.

Udała się z kolejną wizytą do kuchni. Bonmarie siedziała na taborecie przy piecu z tamborkiem do haftowania w rękach i pilnowała poprzykrywanych garnków.

- Zaraz będzie.

Bonmarie pokiwała głową i wbiła w bawełnę igłę z żółtą nicią.

- Na pewno nie później niż o dwudziestej pierwszej.

Bonmarie milczała jak zakłeta.

- Nie odzywał się? Nie przysłał żadnej wiadomości? Służąca zerknęła na nią, po czym wróciła do haftu. Pokręciła głową i ponownie zaatakowała tamborek igłą.

Dlaczego nic nie mówiła? Ta cisza była nie do zniesienia. Nagle Dora poczuła się bardzo znużona. Nie powinna była tak się wysilać tańcem. Przemęczyła się. Poczwała, że zaraz osunie się na podłogę, tu, gdzie stoi, i zaśnie.

- Masz może coś w czajniczku? Filiżanka herbaty dobrze by mi zrobiła. - To ją odświeży. Musi jakoś się ożywić, bo coraz trudniej było jej się wysławić, a nawet utrzymać otwarte powieki.

- Idź na górę, przyniosę ci świeżo zaparzony dzbanek. Głos Bonmarie i perspektywa wypicia naparu w łóżku

podniosły ją na duchu, jak płynna czekolada, gęsta i kojąca. Bonmarie wstała, odłożyła robótkę i popchnęła Dorę lekko w kierunku drzwi.

- No już, zmykaj. Odpocznij trochę, zanim ten chłop się pojawi. Za chwilę do ciebie przyjdę.

Dora usłuchała. Na schodach dostała zadyszki. Usadowiła się na sofie, oparła o poduszki i przymknęła oczy.

Parę minut później Bonmarie stanęła w progu z tacą, na której spoczywały czajniczek, filiżanka i spodek, dzbanuszek na śmietankę i kostki cukru. Postawiła wszystko na stole i naląła naparu.

- To coś wyjątkowego, *ma chère*. Wypij, ile dasz radę. Poczujesz się o niebo lepiej. - Dodała cukru, kapkę śmietanki, zamieszała i podała Dorze filiżankę.

Ciepło połaskotało ją w nos. Wzięła łyk, potem drugi.

- To darjeeling? Nie. Cejlońska? Co to takiego?

- Specjalna mieszanka, której przygotowania nauczyła mnie moja mama. Smakuje ci?

Dora napiła się jeszcze.

- Pyszna. Bardzo oryginalna.

- Tylko na wyjątkowe okazje. Pij sobie, pij. Ja idę na dół pilnować obiadu.

Bonmarie zeszła do kuchni, a Dora opróżniła jedną filiżankę, po czym naląła sobie drugą. Wróciła na fotel przy oknie. Latarnie błyskały już do niej - nie widziała dziś latarnika! Jak mogła go przegapić? Tyle radości czerpała z obserwowania, jak staruszek każdą latarnię po kolei budzi do życia, przykładając do niej ognek na długim palu. Wpuszcza promyczki w mrok świata. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo zależy jej na byciu świadkiem codziennego rytuału, ale teraz poczuła żal, głębokie, bolesne uczucie straty, które o mało nie doprowadziło jej do łez. Nic jej się dzisiaj nie udało, nic. A na dodatek przegapiła latarnika. Dopła herbatę i podniosła się, by nalać sobie trzecią filiżankę. Potknęła się w drodze powrotnej do fotela, wylewając odrobinę płynu na dywan. Ścisnęła naczynie mocniej - musi być ostrożniejsza. Upiła kolejny łyk i omal się nie oblała. Zachichotała. Co się z nią działo? A, bez znaczenia. Nie miała już sił się przejmować. Wszystko rozważy jutro. Nowy dzień z pewnością będzie lepszy. Potrzebowała tylko snu. Odstawiła filiżankę i pokonała dystans dzielący ją od łóżka. Musiała skupić całą uwagę na tych trzech krokach, ale wreszcie przytuliła głowę do poduszki. Och, jak kochała tę poduszkę! Taka miękka, taka doskonała. Przytuliła ją do siebie i odpłynęła w sen.



## ROZDZIAŁ 10

Bicie zegara wyrwało Dorę ze snu. Jedno donośne uderzenie, drugie. Dora przykryła głowę poduszką, żeby stłumić hałas. Trzy, cztery, pięć, sześć, siedem - i wreszcie błogosławiona cisza. Jednak dudnienie w głowie nie ustępowało. Odłożyła poduszkę na bok i obrzuciła spojrzeniem spowity w półmroku pokój. Nadal miała na sobie halkę i sukienkę. Co się wczoraj wydarzyło? Jej wzrok padł na ustawiony pod oknem fotel. Story nie były zaciągnięte. Tylko firanka broniła pokój przed promieniami wstającego słońca. I nagle wszystko jej się przypomniało. Czekala na Charlesa. Była gotowa z wyjątkowym obiadem i pokazem swoich nowych umiejętności. Wszystko było perfekcyjnie zaplanowane. Ale zasnęła. Usiadła, lecz natychmiast opadła z powrotem na łóżko. Chwyła się za skronie. Dlaczego głowa tak pęka? Żołądek też się buntował. Dostrzegła stojącą na toalecie filiżankę i pojęła wszystko w lot. Bonmarie.

Gniew przyćmił nawet ból. Jak ona śmiała wszystko zepsuć! Jakim prawem sabotuje jej jedyną szansę na odzyskanie mężowskich uczuć? Może nie przepadać za Charlesem,

ale tym razem przesadziła. Zerwała się na nogi i odczekała chwilę, by łupanie w czaszce ustąpiło.

Przejrzała się w lustrze. Sukienka pokryta była pajęczyną zagnieceń, a kok się przekrzywił. Poprawiła włosy, wpięła jeszcze kilka spinek i spróbowała wygładzić ubranie. Mimo starań wyglądała katastrofalnie, ale trudno, to musiało wystarczyć.

Wyszła na korytarz, ale zatrzymała się w pół kroku na widok zamkniętych drzwi sypialni Charlesa. Znajdował się zatem w środku, choć powinien być w drodze do banku. Wracają wspomnienia poprzedniej nocy. Wrócił późno, ona czekała. O której przyjechał do domu?

Bonmarie gotowała jajka. Dora przemówiła dopiero wtedy, gdy jej usta były niemal przy uchu służącej.

- Coś ty mi zrobiła? - wyszeptała, a jej głos był szorstki ze złości.

- Kropla burbona do herbaty. Żeby było ci łatwiej zasnąć.

- Specjalna mieszanka twojej mamy? Bonmarie wzruszyła ramionami.

Brak skruchy z jej strony spotęgował jeszcze gniew dziewczyny.

- Chciałam zaczekać na powrót pana Chambersa!

- Wiem, *ma chere*. - Bonmarie spojrzała jej w oczy z powagą na twarzy. - Miałam cię obudzić, tylko nie wydawało mi się...

- Co ci się nie wydawało?

Bonmarie odwróciła się z powrotem do rondelka. Złapała rączkę przez ścierkę i postawiła garnek na podstawce na blacie.

- Co się nie wydawało, Bonmarie? O której pan Chambers wrócił do domu?

Odkasznienie, które rozległo się za nią, zmroziło ją.

- Było chyba koło północy.

Dora zrobiła zwrot i stanęła twarzą w twarz z Charlesem.

- Północ? Nie wspominałeś, że przyjedziesz z opóźnieniem. Bonmarie przyszykowała dla ciebie coś wyśmienitego, żeby docenić twoją ciężką pracę. - Zmusiła się, by mówić lekkim, niezmaconym troską głosem.

- Wybacz, Bonmarie - powiedział, ziewając. - Mam nadzieję, że zbytnio się nie natrudziłaś. Jest kawa? Ale zwykła, nie ta straszna mieszanka z cykorią.

- Będzie gotowa raz-dwa. - Głowa Bonmarie podejrzenie głęboko skryła się w szafce.

- Napiję się w jadalni.

Dora poszła za nim i zajęła miejsce naprzeciwko Charlesa po drugiej stronie palisandrowego stołu.

- Musiało ci wypaść coś niezmiernie ważnego, skoro zatrzymało cię do późnej nocy.

- Rzeczywiście tak było. - Schował twarz w dłoniach, masując czoło i policzki. Poranne światło dodawało mu lat.

Lęk ścisnął jej żołądek, potęgując tylko mdłości, które odczuwała na skutek doprawionej burbonem herbaty.

- Pan Richmond zaprosił mnie na kolację, w której uczestniczyło jeszcze kilku wspólników z banku. Nie bardzo wypadało, żebym w połowie posiłku wstał i powiedział: „Wybaczcie panowie. Wiem, że rozważacie, czy zainwestować tysiące dolarów w moje przedsięwzięcie, ale muszę wracać do domu, do żony”.

Naprawdę spędził wieczór z panem Richmondem? Zrobiło jej się lżej na sercu.

- Martwię się tylko, że za dużo od siebie wymagasz, kochany.

Bonmarie weszła z kawą do jadalni i postawiła tacę pomiędzy nimi. Dora sięgnęła po czajniczek i naląła im obojgu. Natychmiast porwał swoją filiżankę. Dora dodała cukru

i śmietanki, zanim skosztowała. Nadał okropnie gorzka. Odstawiła napar.

Wyciągnął rękę i przykrył jej dłoń swoją.

- Nie poruszajmy już tego tematu, dobrze? - Odsunął krzesło od stołu i wstał, po czym ruszył do drzwi z filiżanką w dłoni. - Muszę się zbierać do biura, ale zobaczymy się wieczorem, tak?

Wszystko się ułoży.

- Tak, kochanie - potwierdziła z nieśmiałym uśmiechem na ustach. - Do wieczora.

Oczywiście miał rację - rzeński poranek był idealnym lekarstwem na płataninę myśli w głowie. Charles stukał laseczką po chodniku w rytm kroków i oddychał głęboko, napełniając płuca chłodnym, świeżym powietrzem i ciesząc się delikatnie wyczuwalnym zapachem odległych fabryk, zagród, hut i rzeźni. Woń biznesu i przemysłu unosiła się nad Chicago, przypominając, że miasto było żywym motorem postępu. Nienadążanie za tą maszyną groziło wciągnięciem w jej tryby i zmieleniem bez litości.

On nie pozwoli się wciągnąć, o, nie. Musi tylko znaleźć wyjście z bagna, w które się zapuścił.

Sprawdził godzinę na kieszonkowym zegarku. Jeszcze dziesięć minut do tramwaju z ulicy Division, potem kolejnych dziesięć minut drogi do alei Michigan i jeszcze pięć na spacer pod drzwi banku. Do spotkania zwołanego przez Richmonda o wpół do ósmej będzie miał mnóstwo czasu. Wystarczy nawet na opracowanie planu, co począć z Geraldine.

Uległ swojej słabości, trzeba przyznać. Poddał się, choć nie powinien był sobie na to pozwolić. Może wszystko potoczyłoby się lepiej, gdyby poprzestał na tamtym jednym

razie, może nawet kilku, w ramach ostatecznego pożegnania. Tak przedstawiały się jego zamiary. Geraldine natomiast zdawała się ich nie pojmować. Nieustannie mówiła o przyszłości, jakby jakaś dla nich istniała. Zaczęła nawet planować wycieczkę objazdową po Europie w nadchodzącym roku. Wymyśliła też wyjazd na zachód, pragnęła odwiedzić San Francisco.

Początkowo pozwalał jej bawić się tymi pomysłami, gdyż wydawały się stosunkowo niegroźne. Traktował je jak część ich wspólnego świata marzeń, w który wkraczali, gdy byli razem. Nie było w nim Randolpha ani Dory. Nie było miejsca dla rodziców, prezesów czy Richmondów. Byli tylko oni dwoje i budowanie złudzeń przez jakiś czas przeszywało go dreszczem emocji. W ich wymyślonym świecie dawała mu wszystko, czego mógłby pragnąć od kobiety. Pozwalała mu się dotykać, oglądać, smakować. Nie było reguł, których trzeba było przestrzegać przy Geraldine, jego słodkiej, nieustraszonej Geraldine. Jedynie kobieta obdarzona taką władzą jak ona mogła w równym stopniu lekceważyć zwykle stosowane przez kobiety gierki.

Nadjeżdżający tramwaj zadźwięczał dzwonkiem, wyrывая Charlesa z zamyślenia. Ustawił się do wejścia wraz z innymi biznesmenami, zapłacił konduktorowi za przejazd i chwycił się mocno biegnącej pod sufitem mosiężnej rurki, by utrzymać równowagę, kiedy wagon szarpnął do przodu.

Patrzył, jak mijali szeregi domów dla pracowników fabryki, pełną straganów ulicę handlową i budynki w dzielnicy finansowej, ale widział jedynie kremową biel szyi Geraldine, jej barki, ramiona, a także nogi. Miał ją przed oczami w całej okazałości, najpiękniejszą, gdy była owinięta tylko kołdrą. Była atrakcyjną kobietą, w dodatku cieszącą się znacznym majątkiem i godną pozazdroszczenia pozycją.

Wzmagalo to jeszcze jego pociąg do niej, choć to jej śmiałość i - jeśli miał być szczery, to nie mógł pominąć tej cechy - jej swoboda w sferze seksu sprawiały, że czuł tak palącą potrzebę kontaktu z nią.

Być może to właśnie jej otwartość go ocaliła. Dora była piękną, wspaniałą dziewczyną, co jednak okazało się źródłem pewnych problemów, czyż nie? Pod tyloma względami była jeszcze dzieckiem. Niektórzy mężczyźni, znał nawet kilku takich, preferowali kobiety tego typu - dziewczęce, uległe, patrzące wielkimi oczami i pozwalające się poprowadzić. Ale nie on. Potrzebował w łóżku partnerki, a nie kłody, która próbuje przecierpieć jego zaloty. Podniecało go zarówno dawanie, jak i otrzymywanie rozkoszy, wymiana na równych prawach.

Na jego obronę działało to, że nie był świadom swoich upodobań przed ślubem. A przynajmniej nie wiedział, że nie wszystkie kobiety ożywiały się w sypialni tak jak Geraldine. Pierwsza wspólna noc z Dorą była szokiem dla nich obojga. Był cierpliwy, czekał, aż żona przewycięży swoje zahamowania. Dopiero kiedy stało się jasne, że nie potrafi albo nie chce tego zrobić, pozwolił sobie z powrotem odnaleźć drogę do łóżka Geraldine.

Miał nadzieję, że pocieszenie, które znajdował w jej ramionach, zaspokoi jego potrzeby na czas, którego Dora wymagała, żeby się do niego przekonać. Zorientował się jednak, że Geraldine zupełnie inaczej odebrała jego zachowanie. Nigdy by nie podejrzewał, że ubzdura sobie, iż coś się zmieniło. Jak mogła założyć, że Dora jest już dla niego nieprzydatna? Jego kariera wymagała takiej żony, obdarzonej niezwykłą umiejętnością wtapiania się, niczym kameleon, w sytuacje i klasy społeczne, a także okazującej godną podziwu tolerancję dla bezwstydnego męża, grzeszącego z wdową po przyjacielu. I czy znalazłby gdzieś

kobietę o urodzie budzącej w nim żądzę, a nieprzywodzącej na myśl Geraldine?

Tak, Dora była mu nadal potrzebna, więc pozostawało jedno wyjście - raz na zawsze zerwać stosunki z kochanką. Koniec z półśrodkami i wahaniem.

Wysiadł z tramwaju przy alei Michigan. Było mu lżej na sercu. Już wiedział, jak wyprowadzić na prostą swoje sprawy. Wyjaśni wszystko Geraldine, a ona na pewno zrozumie jego dylemat. Była przecież rozsądną kobietą. Porozmawia z nią dzisiaj, może w pijalni herbaty. Wybierze miejsce publiczne, żeby omówić sprawę bez zbędnego okazywania emocji. W dodatku będzie oczywiste, że to niewinne spotkanie, bo przecież takie właśnie będzie.

W podskokach pokonał schody prowadzące do drzwi frontowych Narodowego Banku Chicago, uklonił się stróżowi i pogwizdując, ruszył korytarzem w kierunku swojego biura.

- Panie Chambers, *sir* - zawołał go Harvey, nerwowy młody urzędnik siedzący przed drzwiami jego gabinetu. - To przyszło do pana.

Charles wziął podaną mu kopertę, natychmiast rozpoznając charakter pisma Geraldine.

- Kto jest nadawcą? Harvey pokręcił głową.

- Posłaniec dostarczył, *sir*.

Charles skinął i wszedł do środka z zaklejonym listem w ręce. Zanim go otworzył, zamknął za sobą drzwi.

„Proszę, przyjedź na kolację. Stało się coś okropnego. Muszę z Tobą pomówić”, pisała Geraldine.

Ten zdesperowany ton był do niej zupełnie niepodobny. Czyżby chodziło o sprawy bankowe? Coś nie tak z jej spadkiem? A może ktoś widział ich razem? Nie powinien przyjmować zaproszenia, ale musi to zrobić. Uda się do niej na

rozmowę, nic więcej. Pomoże jej, jeśli będzie potrafił, a potem wytłumaczy, dlaczego nie mogą ciągnąć dalej tajemnego związku. Zrobi to szybko, delikatnie, bezboleśnie. Tyle był jej winien.

Napisał odpowiedź, zakleił ją i otworzył drzwi.

- Harvey, dopilnuj, żeby to jak najszybciej dotarło do rąk mojej żony.

Dora przeczytała wiadomość, poszła do sypialni i złożyła peniuar, który zamierzała włożyć na wieczór. Potem udała się do kuchni, żeby poinformować Bonmarie, że pana Chambersa nie będzie na obiedzie. Starła się ukryć rozczarowanie w głosie, ale służąca i tak je dostrzegła. Zawsze wiedziała, kiedy Dorze coś doskwierało. Znów spojrzała na dziewczynę ze współczuciem.

- Nie, Bonmarie - udało jej się wykrztusić, zanim płacz uwiązał jej w gardle.

Przełknęła łzy i usiadła na obitym tapicerką krześle przy oknie w salonie, by wypatrywać pani Tillday. Starła się nie myśleć o niczym. Beznamiętnie patrzyła na klony, powozy, białe smugi chmur na błękitnie nieba. Wraz ze łzami przełykała okropne wizje Charlesa i pani Forrest. Wpatrywała się w okno wyzuta z wszelkich uczuć. Zielona trawa i żółte żonkile po drugiej stronie ulicy. Fioletowe i pomarańczowe mieczyki. Białe okiennice na tle czerwonych cegieł ścian. Doktor Bostwick wyruszający gdzieś swoim powozem. Dudnienie w klatce piersiowej powoli ustawało, napięte mięśnie rozluźniały się. Drozdki skakały po gałęziach i ziemi. Jakaś para spacerowała ulicą.

Dora nadal miała na kolanach liścik od Charlesa, kiedy podjechała pani Tillday. Dziewczyna cisnęła zwitek papieru do kominka i patrzyła, jak płomienie liżą jego brzegi.



Potem wstała po kapelusz i szal. Zdziwiła się, gdy otworzywszy drzwi, zastała panią Tillday na progu, zamiast jak zazwyczaj w powozie.

- Proszę wybaczyć, że daję znać dopiero teraz - powiedziała przybyła - ale nie mogę pani towarzyszyć na targach. Pan Tillday poprosił, abym zamówiła mu u krawca nowy garnitur. Wiadomość złapała mnie dosłownie w ostatniej chwili, już przy wyjściu. Och, niech pani nie będzie zawiedziona. Jestem przekonana, że pani Richmond się nie po gniewa, jeśli odpuścimy jeden dzień. - Ścisnęła dłoń Dory.

- Tak, na pewno. - Dora starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo było jej przykro. - Oczywiście, ma pani rację.

- Wiem, że zależy pani na zrobieniu dobrego wrażenia. Z pewnością wszyscy są zadowoleni z postępów. Są zdecydowanie większe, niż śmiałam przypuszczać.

Dora uśmiechnęła się, udając, że sprawa Wystawy to jej jedyne zmartwienie. Uścisnęła dłoń pani Tillday w odpowiedzi na jej gest i pożegnała ją. Potem machała jej jeszcze, dopóki powóz nie zniknął za rogiem.

Wróciła do salonu. Nie mogła zdzierżyć myśli, że będzie gnuśnieć w nim cały dzień, mając do towarzystwa jedynie własne wątpliwości. Nie mogła znieść perspektywy kolejnego wieczoru, kiedy mąż będzie udawał, że pracuje do późna. Nie, nie wytrzyma. Sama pojedzie na targi. Nie potrzebowała pani Tillday. Poradzi sobie bez niej.

Weźmie rower i wyruszy od razu. Uniosła rąbek wełnianej spódnicy i zlustrowała trzewiki w kolorze kości słoniowej. Będą w sam raz, wcale nie musi wkładać wysokich butów do jazdy. Zarzuciła szal, włożyła kapelusz, porwała torebkę i parasolkę, zawołała do Bonmarie, że wychodzi, i wyśliznęła się z domu.

Kilka minut później była już w drodze. Wiatr łaskotał jej twarz i czuła się prawie tak, jakby potrafiła latać, jak gdyby

mogła pojechać, gdzie tylko poniosą ją nogi i wyobraźnia. Dzień był idealny do spędzenia na dworze. Wystawiła twarz do słońca i pozwoliła, by ogrzało jej policzki, podbródek, powieki. Błękit nieba współgrał pięknie z tęczą wiosennych kolorów drzew i kwiatów, intensyfikując barwy, tak że zieleń zdawała się jeszcze zieleńsza, żółty jeszcze radośniej żółty, czerwień jeszcze bardziej czerwona.

Dora zatrzymała się, dotarłszy do bramy przy Ulicy Kairu. Mogła pójść prosto do teatru egipskiego, ale w zasadzie dlaczego miałyby to robić? Czasu miała pod dostatkiem, więc mogła się udać w dowolnie wybrane miejsce. Ruszyła przed siebie. Nie mając przy sobie nikogo, przed kim musiałaby odpowiadać ani komu musiałaby dogodzić, obrała kurs na Białe Miasto. Odstawiła bicykl i podeszła do betonowego ogrodzenia otaczającego lagunę, skąd obejrzała gondolierów i olbrzymie budynki Białego Miasta wypełnione nowoczesnymi cudami. Patrzyła, jak słońce łaskocze wodę zdającą się połyskiwać w odpowiedzi na jego zaczepki. Czekala, aż ogarnie ją magiczne uczucie, które niosło jej ukojenie, ilekroć tu stawała, czarodziejski szept obiecujący zmiany.

Znajome uczucie nie pojawiło się jednak.

Tego dnia nie zwracała uwagi na białych kolosów, ale na ludzi. Kobiety i mężczyźni przechadzali się dwójkami, trójkami, a niejednokrotnie z całymi rodzinami, ale wyglądali jak mechaniczne kukły odwiedzające kolejne sale wystawowe. Prawie ze sobą nie rozmawiali, a jeśli już ktoś coś mówił, to przyciszonym tonem, jak gdyby znajdowali się w katedrze. Brakowało śmiechu, koleżeństwa. Obraz przed oczami Dory w niczym nie przypominał hałaśliwych, sympatycznych scen ze świata rozrywki - Midway.

Tęskniła za tą atmosferą.

Pozostawiła za sobą lagunę z zalesioną wyspą i gondolami, zostawiła w tyle białe pałace i czary nowoczesności.

Nogi same poniosły ją w stronę Midway Słodki zapach płynący z nad wózka z kandyzowaną prażoną kukurydzą przypomniał jej, że nie zjadła jeszcze śniadania. Z burczącym brzuchem zajęła miejsce w kolejce po przysmak, tak skupiona na uczuciu głodu, że nawet nie zauważyła, iż ma towarzystwo, dopóki pani Richmond nie poklepała jej po ramieniu.

- Pani Chambers? - powiedziała głośno starsza dama. -Gdzie pani partnerka, pani Tillyday?

Tuż obok stała przystojna, choć imponująca tuszą kobieta w idealnie skrojonej jedwabnej sukni koloru bakłażana, która podkreślała przepych siwych włosów zaczesanych w wysoki kok. Nie dorównywała pani Richmond wzrostem, ale jej postawa wyrażała pozycję zwierzchniczki. Na jej twarzy nie gościł uśmiech.

- Widzi pani, ja tylko... To znaczy... nie mogłam... Władczo wyglądająca kobieta przerwała jej znaczącym kasznięciem.

- Och, proszę mi wybaczyć, pani Palmer. Nie miała pani jeszcze okazji poznać pani Charlesowej Chambers. To Pani Zarządzająca, o której rozmawialiśmy.

Dora dygnęła, starając się nie stracić równowagi przed najpotężniejszą kobietą w Chicago. Gdyby pani Bertha Honore Palmer miała taki kaprys, mogłaby ją wysłać na margines towarzyski jednym słóweczkiem.

- To zaszczyt panią poznać, proszę pani. Dama w odpowiedzi skinęła głową jak królowa.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, pani Tillyday została wyznaczona do pracy z panią. Czy wolno mi spytać, dlaczego wobec tego przebywa tu pani bez towarzyszek?

Wyglądające spod ciężkich powiek oczy przeszywały Dorę na wskroś. Przystąpiła z nogi na nogę, czując się nieswojo pod tym wnikliwym spojrzeniem.

- Pani Tillday nie była w stanie mi dzisiaj towarzyszyć -wyrzuciła z siebie. - Musiała zająć się pewną niespodziewaną sprawą. Nie chciałam, aby nasza wizyta w teatrze egipskim przypadła, zależy mi, żebyśmy mogły na bieżąco mieć pewność, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. - Wymówka była marna, ale przynajmniej zbliżona do prawdy.

- Rozumiem. A nie zważa pani na ryzyko przebywania na zewnątrz bez asysty?

Musiała istnieć prawidłowa odpowiedź na to pytanie. Och, gdyby tylko ją знаła! Spojrzała w twarz pani Palmer w poszukiwaniu wskazówek, ale niczego nie znalazła. Pani Richmond też nie była skora do pomocy.

- Naturalnie, ma pani słuszność - odparła wreszcie Dora. - Powinnam zwracać baczniejszą uwagę na to, jak moja samodzielna obecność tutaj mogłaby być postrzegana. Niemniej jednak niewłaściwe wydało mi się niedopilnowanie naszego obowiązku, a ponadto na Wystawie zawsze czuję się zupełnie bezpieczna.

- To naszym Paniom Zarządzającym należy się za to uznanie, Agnes - wyraziła pochwałę pani Palmer. - Kierownictwo targów może podważać zakres kobiecych możliwości, ale proszę, oto młoda dama, która nie czuje się zagrożona, gdyż Panie Zarządzające zadbały o przyjazną atmosferę dla wszystkich odwiedzających. Nieproszeni goście nie mają tu czego szukać, ot co.

- Tak, panie wspaniale się spisują - przytaknęła pani Richmond, która ukradkiem odetchnęła z ulgą, tak jak Dora. - I odważę się powiedzieć, że daje to piękne świadectwo twojemu doskonałemu przewodnictwu.

Pani Palmer ponownie zwróciła się do Dory.

- Podoba mi się twoje oddanie sprawie, młoda damo. Pani Chambers, zgadza się?

Dora pokiwała głową.

- Doceniam kobietę, która nie boi się odrobiny ciężkiej pracy. Ktoś, kto jest gotów zakasać rękawy i zrobić to, co należy, zamiast przejmować się pozorami. Tak trzymać. - To rzekłszy, kiwnęła parasolką, dając znak pani Richmond, że czas ruszać dalej.

- Dziękuję, pani Chambers - rzuciła jeszcze pani Richmond, odwracając się w stronę wyjścia. - Proszę przekazać panu Chambersowi serdeczne pozdrowienia.

Dorze błysnęła w głowie pewna myśl.

- Pani Richmond?

Kobieta obejrzała się wyczekująco. Musiała zapytać. Musiała poznać prawdę.

- Słucham, kochanie, o co chodzi? - Jej beztroska ustępowała wyrazowi lekkiego zniecierpliwienia.

- Zastanawiałam się tylko... Zastanawiałam się, czy pan Richmond nie miał wczoraj trudności z dotarciem do domu. Charles mówił, że tramwaje były wręcz nieobliczalne.

Pani Richmond roześmiała się i pokręciła głową.

- Pan Richmond jeździ własnym powozem, więc nie musi się przejmować ruchem w mieście. Wrócił do domu punktualnie o siedemnastej, jeśli dobrze sobie przypominam. Ale dziękuję za troskę, kochana - zakończyła, po czym oddaliła się za panią Palmer.

Dora dotarła do teatru, ale jej myśli nadal skupiały się wokół Charlesa. Jego zdradą przyćmiony był nawet komplement od pani Palmer. Iloma kłamstwami mąż ją nakarmił?

Wewnątrz pokaz tańca brzucha dobiegał końca. Dziewczyna w szmaragdowym woalu ustępowała właśnie miejsca na scenie Aminie, którą Dora poznała natychmiast po szkarłatnej zasłonie twarzy. Muzycy przyspieszyli tempo i tancerka zatrzęsła ciałem. Gięła się. Kołysała. Huśtała biodrami.

Po finalnym ukłonie artystki Dora nie dołączyła do opuszczających salę widzów.

- Naprawdę pięknie - wyraziła uznanie, podchodząc do tancerek.

- Cieszę się, że ci się podobało - odparła Amina spod woalu. Zwróciła się do koleżanek po arabsku, na co pospiesznie udały się do pokoju dla występujących. Dorę spytała zaś po angielsku: - Właśnie zasiadamy do herbaty. Przyłączysz się do nas?

- Nie chcę się narzucać - odpowiedziała, ale jednocześnie zdała sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty się stamtąd oddalać. - Chociaż mam do ciebie pytanie - dodała.

- Usiądź więc z nami, zapytasz, o co będziesz chciała. Dora udawała, że waha się jeszcze.

Amina zrobiła kilka kroków w stronę korytarza.

- Naprawdę będzie nam miło.

Niektóre z tancerek zdjęły już woale i usadowiły się na grubych poduchach ułożonych wokół stolika, na którym stał wysoki mosiężny czajniczek. Jedna z nich nalała herbatę do filiżanek i podała je muzykom siedzącym po turecku na podłodze.

Dora nadal nie mogła się zdecydować.

- Na pewno nie będę intruzem?

- Wejź. - Amina chwyciła ją za łokieć i wprowadziła do środka.

Gdy weszła Amerykanka, zamilkły żarciki, którymi przerzucali się tancerki i muzycy. Tuzin par oczu zwrócił się w jej stronę. Amina rzuciła woal na jeden z stolików i wymamrotała coś szybko po arabsku. Po angielsku dodała:

- Zdaje się, że poznałaś już Marietę.

Dora skinęła głową w stronę młodej kobiety, w której rozpoznała dziewczynę spotkaną w korytarzu. Cienie spod jej oczu zniknęły, a cera wyglądała teraz o wiele zdrowiej.

- To Fatma Houri - najtęszka kiwnęła głową na powitanie i pomachała do Dory - a to Hosna, Farida, Saida i Zakia. - Każda z nich posłała Dorze uśmiech. - A, i oczywiście Haki, Ali i Aziz. - Muzycy skłonili się uprzejmie.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedziała Dora, patrząc przyjaźnie na swoich nowych znajomych. Zajęła miejsce na jednej z ław, a Amina podała jej filiżankę gorącego naparu z mięty. Popijała powoli, czekając, by w pokoju na powrót rozbrzmiały rozmowy.

- O co chciałaś zapytać?

- To nic pilnego, nie musimy w tej chwili się tym zajmować. - Tak naprawdę nie dręczyło jej żadne pytanie. Chciała tylko mieć pretekst, żeby zostać.

- Nikomu nie będzie to przeszkadzało. - Amina powiodła wzrokiem po zebranych, którzy odwzajemnili jej spojrzenie z obojętnymi minami.

- To głupstwo, nawet nie warto o tym wspominać.

W myślach na gwałt szukała czegoś, o co mogłaby spytać. W zasadzie... było coś takiego. Ale nie, w to nie będzie wnikać. Nie przy obcych. W rzeczy samej, to wszystko było chyba pomyłką. Co ona wyprawia, bratając się z tancerkami brzucha? Z pewnością nie znalazłaby takiej pozycji w kanonie zachowań Pań Zarządzających.

Jakie miało to jednak znaczenie? Jej mąż i tak się od niej odwrócił. Nawet spotkanie z panią Palmer nie zrobi na nim wrażenia.

- Chodzi o występy? - naciskała Amina. - Znow pojawiły się skargi?

Dora pokręciła głową, próbując pokonać narastający ucisk w żołądku.

- Nie, to nie to. Naprawdę, nic ważnego. Wstyd mi, że w ogóle o tym napomknęłam. - Dora odstawiła filiżankę i wstała, szykując się do wyjścia.

- Jeśli nie martwią cię pokazy, to może twoja lekcja tańca?

Spożyta herbata podeszła Dorze do gardła. Jak mogła publicznie poruszyć taką kwestię?

Pozostali odwrócili się ku niej, unosząc brwi. Błysk wyrozumiałości lśnił w każdej brązowej parze oczu. Oni i tak już wiedzieli.

Dora przełknęła ślinę. Co miała do stracenia? Jeśli będzie uchylać się przed problemem, tylko go spotęguje.

- Ćwiczyłam wczoraj kręcenie biodrami i niezupełnie mi wychodziło. Miałam nadzieję, że podpowiesz mi, co robię źle.

- Ćwiczyłaś? - Wyraz szczerego zdumienia odmalował się na twarzy Aminy.

Wrażenie, jakie wywarła na tancerce, dodało jej śmiałości.

- Oczywiście. W domu. Może po herbacie mogłabyś mi jeszcze raz pokazać, jak to się robi?

- Po co czekać? Mamy tu mnóstwo miejsca. Odwaga Dory osłabła znacznie.

- Nie, tu nie. Nie potrafiłabym.

Lecz wtem ujrzała, że uśmiechnięte twarze wokół niej kiwiają, zapewniając, że tak, potrafiłaby. Amina wyciągnęła do niej rękę.

- Nie bój się. Amerykanie wszystko biorą za bardzo do serca. Wstań, pomożemy ci.

Dora zerknęła w stronę drzwi. Sprytni muzycy już przy nich siedzieli, skutecznie tarasując wyjście. Stojąca przy niej Amina łagodnie namawiała ją, by podniosła się z ławy. Teraz Marieta i Fatma również dawały jej znaki, żeby wstała.

A więc dowcipkują? Nie wypuszczą jej, zanim się trochę nie pośmieją.



Bębniarz chwycił instrument i począł wybijać rytm. Amina ustawiła się przed Dorą, plecami do niej. Unosiła i opuszczała biodra pionowym ruchem do taktu z biciem bębna. Raz, drugi, trzeci, a potem obejrzała się przez ramię.

- Naśladujesz? Niech zobaczę, jak sama to robisz. Odmowa nie wchodziła w grę. Oczekiwali, że zatańczy. Poruszyła biodrami. Gorset uwierał ją niemiłosiernie, ale ruszała się mimo bólu.

- Nie zważasz na muzykę - upomniała Amina. - To ona ma cię prowadzić. Kręć koła w górę i w dół, tak by ich najniższy punkt wypadł w najmocniejszym uderzeniu bębna. O, tak. - Przyspieszyła tempo własnych ruchów, podkreślając pauzę w momencie najgłośniejszego „dum”. Dwukrotnie powtórzyła demonstrację, po czym odwróciła się z powrotem do Dory. - Twoja kolej.

Jak miała próbować na oczach tylu osób? Starła się naśladować tancerkę. Zakołysała biodrami w górę, szybki ruch, a potem powoli poprowadziła je w dół, wstrzymując je przy najmocniejszym uderzeniu bębna.

- Właśnie tak! Ćwicz dalej. Będzie ci szło coraz płynniej. Pomimo przeklętego gorsetu Dora czuła różnicę. Pozwoliła, by muzyka nadała tempo jej ciału.

Marieta i Fatma odstawiły filiżanki, wstały i odrzuciły na bok swoje poduszki. Zbliżyły się do Dory i również zakreśliły biodrami. Pozostałe kobiety przesunęły się pod ściany, obserwując poczynania Dory i akompaniując na przyczepionych do palców blaszanych krążkach.

Kiedy bębniarz zmienił rytm, w melodię wplotły swe brzmienia róg i oud.

Dora skupiła się na zataczanych przez jej biodra kręgach. Amina ustawiła się twarzą do Mariety i potrząsnęła ramionami. Młodsza tancerka poszła w jej ślady. Fatma przesunęła się w ich kierunku i jej ramiona również zadrgały. Amina

zaczęła klaskać do taktu, po czym zrobiła krok, zakołysała biodrami i tak, krok za krokiem, ruszyła wokół pokoju. Fatma i Marieta poszły za nią. Za nimi zaś - Dora.

Tańczyły tak, aż nagle Amina chwyciła Dorę i Fatmę za ręce, tworząc wraz z Marietą koło. Z twarzami zwróconymi do jego wnętrza, wprawiały ramiona w wibracje. Wtem Amina wkroczyła do środka okręgu.

Muzyka zwolniła tempo. Tancerka rozpostarła ramiona i sprawiła, że wiły się niczym węże. Po chwili ustąpiła miejsca Fatmie. Bardziej krągła kobieta wprawiała w ruch mięśnie brzucha tak, że zdawały się toczyć z góry na dół. Potem poruszyła nim w niewiarygodnym tempie.

Tancerki zachowywały się tu zupełnie inaczej niż na scenie, gdzie utrzymywały profesjonalną powagę. Mrużyły oczy od śmiechu. Dora pozwoliła, by ich radość ją też wypełniła.

Fatma przesunęła się, by znaleźć się naprzeciw Dory. Ramiona ich obu drgały, aż nagle starsza kobieta wypchnęła dziewczynę delikatnie na środek. Była w centrum kręgu i uwagi! Skoro tak - dobrze. Przyłączy się do zabawy. Zakręciła biodrami, bo był to jedyny ruch, którego była pewna. Niech muzyka dyktuje tempo. Kiedy rytm się zmienił, uspokoiła biodra, w zamian wyciągając ręce, naśladując węzowe ruchy Aminy. Gorset wpijał się w jej ciało, ale nie był w stanie jej powstrzymać.

Zanim Dora zdążyła zrobić krok w stronę Mariety, żeby oddać jej prowadzenie, Amina chwyciła ją za rękę.

- Cała ta skromność! Popatrz, czego dokonałaś! Wyglądałaś, jakbyś tańczyła już setki razy!

Pozostałe tancerki również wyszły z kręgu. Klepały ją po ramionach i chwaliły, zachęcając do dalszych prób.

Dora zarumieniała się speszona, ale podniecenie wzięło górę. Tyle uwagi skupiło się na niej! Nagle z wrażenia

zakręciło jej się w głowie i poczuła, że ziemia wymyka jej się spod stóp. Osunęła się na ławę, zanim zawroty przybrały na sile, ale pokój i tak zdawał się wirować. Opuściła głowę, przykładając do niej dłonie.

- Nic ci nie jest? - Dłoń Aminy znalazła się na jej ramieniu.

Dora podniosła głowę, która wydawała się ważyć tonę.

- Łapię tylko oddech.

- Musisz coś zjeść - zawyrokowała Amina. - Chodźmy do mojego pokoju.

- Naprawdę nic mi nie jest. To tylko zadyszka.

- Jesteś blada jak ściana. Potrzebujesz się posilić. Chodź. - Wyciągnęła ku Dorze rękę i czekała, aż dziewczyna ją chwyci.

Dora pozwoliła, by tancerka pomogła jej wstać. Stanie okazało się większym wyzwaniem, niż przypuszczała.

- Może napiję się wody.

Amina wyprowadziła ją z pomieszczenia. Przeszły przez pusty teatr i tylnym korytarzem dotarły do sypialni tancerki. Dora czuła się tu już całkiem swobodnie, niemal jak u siebie.

- Położę się tylko na chwilę. - Zatonęła w poduszkach, rozkoszując się chłodem i miękkością turkusowego jedwabiu pieszczącego jej policzek.

- Zjedz trochę chleba.

Dora wzięła od Aminy urwany kawałek płaskiego pieczywa i nadgryzła jego krawędź. Kiedy zjadła już cały, tancerka podała jej kolejny, tym razem posmarowany żółtą pastą.

- Co to takiego? - chciała wiedzieć Dora.

- Hummus.

- Ale co to jest?

- Nigdy dotąd nie kosztowałaś egipskiego jedzenia? Dora przecząco potrząsnęła głową.

- Mielona ciecierzycyca i pasta sezamowa, oliwa, troszkę czosnku, odrobina cytryny. Spróbuj.

Dora ugryzła chleb i poczuła na języku kremową konsystencję. Przypominała masę na pikantne ciasto, tylko była gęstsza i z delikatnymi grudkami. Cierpki smak z orzechową nutą. Wzięła kolejny kęs.

- Wiedziałam, że będzie ci smakowało.

Dora pokiwała głową, nie odzywając się z pełnymi ustami. Nie mogła się oprzeć jedzeniu. Nagle poczuła, że kiszki grają jej marsza z głodu.

Amina postawiła półmisek z pieczywem i hummusem na podłodze przed Dorą.

- Jedz, ile masz ochotę. - Ułożyła obok dziewczyny kolejną stertę poduszek i sięgnęła po urządzenie do palenia, którego już kiedyś używała w towarzystwie Dory.

Dziewczyna poczęstowała się kolejnym kawałkiem chleba i zanurzyła go w hummusie. Patrzyła, jak Amina wkłada do ust długą rurkę, przykłada ogień do metalowej miseczki z tytoniem, po czym bierze głęboki wdech. Przez chwilę nie wypuszczała dymu z płuc.

- Już dawno chciałam zapytać o twój angielski - Dora zagadnęła, sadowiając się wygodniej na łóżku.

- Nie jest poprawny? - zaniepokoiła się Amina.

- Nie, nie, jest bardzo dobry. To dlatego się zastanawiałam. Nauczyłaś się go tutaj?

Amina jeszcze raz się zaciągnęła. Trzymała dym w płucach i spoglądała w okno, jakby widziała tam coś więcej poza cienką firanką zasłaniającą widok na stojącą na zewnątrz drewnianą barierę.

Cisza przeciągała się. Kiedy zdawało się już, że Amina nie zamierza udzielić odpowiedzi, Dora powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie spytałam o coś nieodpowiedniego. Przepraszam, jeśli...

- Znam język z Kairu - Amina wyznała wreszcie. - Brat mnie nauczył. Poznał go dzięki Brytyjczykom, którzy odwiedzali kawiarnie w okolicy naszego domu. Upierał się, żebym umiała posługiwać się ich mową, abym mogła się bronić.

Jej odpowiedź zrodziła w głowie Dory kolejną falę pytań. Gdzie obecnie przebywał jej brat? Dlaczego miała wymagać ochrony? Jaki był Kair? Ugryzła się w język. Już i tak na zbyt wiele się odważyła.

Amina zaciągnęła się po raz kolejny.

- Chciałabym, żebyś o czymś wiedziała. Wyjaśnię ci, dlaczego zostałyśmy tancerkami.

- Nie musisz mi niczego tłumaczyć.

- A jednak zależy mi, abyś to zrozumiała. Mamy świadomość, że ludzie opowiadają o nas straszne rzeczy, a nie mamy przecież żadnych złych zamiarów.

- Wiem o tym. - Dora pomyślała o ostrych słowach wypowiedzianych przez panią Richmond tamtego dnia, kiedy widziały się po raz pierwszy. Nie należało się dziwić przekonaniu Aminy, że wśród Pań Zarządzających panuje wspólna opinia na ich temat. Dora musiała przyznać, że z początku ją podzielała. Ileż zmieniło się od tamtej pory!

- Chcę, żebyś pojęła, ile taniec dla nas znaczy - naciskała Amina. Na chwilę zamilkła, szukając odpowiednich słów. - To co innego niż tańczenie w waszym kraju.

Dora poprawiła poduszki, żeby zamaskować zakłopotanie.

- Dla Egipcjan - ciągnęła Amina - taniec jest sposobem wyrażania radości, szczęścia. Tak oddajemy cześć życiu. - Jej oczy zaszklily się, jakby patrzyła tęsknie gdzieś w dal. - Jest nieodłącznym elementem każdej ważnej okazji: ślubu,

dnia świętych, dowolnego rodzaju uroczystości. Jest częścią naszej codzienności.

Jej słowa płynęły coraz szybciej.

- A dla mnie, jak dla wszystkich związanych z plemieniem Ghawazee, taniec to o wiele więcej. Wyróżniamy się w naszym kraju, ponieważ tancerki i muzycy Ghawazee otrzymują zapłatę za występy podczas uroczystości. Taniec to nasza pasja, ale i sposób zarabiania na życie. Z tego powodu ludzie często tracą do nas szacunek. Nie zawsze tak było. Za czasów mojej babki wyglądało to inaczej, a i kiedy matka tańczyła, nie było jeszcze tak źle. Teraz jednak traktuje się ze wzgardą.

Dora widziała, że smutek zagnieżdża się w rysach Aminy. Amerykanka siedziała bez słowa, rozważając opowieść tancerki, niepewna, jak zareagować.

Amina wyprostowała się i jeszcze raz zaciągnęła się powietrzem z rurki.

- Pewien mężczyzna odwiedził nas w Egipcie i zaproponował, żebyśmy przyjechali tańczyć na Wystawie Paryskiej. Ucieszyła nas perspektywa uczciwego zarobku i pożegnania trudności, z jakimi borykaliśmy się we własnym kraju. We Francji ktoś inny zaprosił nas do Ameryki i myśleliśmy, że będzie tak samo. - Amina uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową na znak, że jest świadoma, jakie głupstwo popełnili. - Sama widzisz, ile kłód pada tu pod nasze nogi. Traktuje się nas gorzej niż w Egipcie. Gdybyśmy wiedzieli, co nas tu czeka, nigdy nie zdecydowalibyśmy się na przyjazd. - Opadła na poduszki. - A teraz jest już za późno.

Amina patrzyła na Dorę, oczekując jakiejś reakcji.

- Współczuję wam - wydukała dziewczyna.

To była właściwa, grzeczna odpowiedź w zaistniałych okolicznościach, ale kiedy ją wypowiadała, zrozumiała, że

mówi *szczerze*. Pomyślała o dwóch miesiącach, które spędziła w Chicago. One też nie spełniły jej oczekiwań. Wszystko zapowiadało się idealnie, a tymczasem... Charles wcale nie miał być zakochany w innej kobiecie, i to takiej, która posiadała urodę, władzę i majątek, o jakich Dora zawsze marzyła. Świadomość porażki znów ją zabolowała.

- Jak mogę wam pomóc?

- Już to zrobiłaś. Jesteś jedyną osobą, która nie spogląda na nas, jakbyśmy nie odróżniali się niczym od wielbłądów czy osłów. Jesteś inna niż wszyscy. Masz w sobie dobro.

- To mnie z twojej strony spotkała dobroć.

- Bo nauczyłam cię czegoś o mężczyznach? Pokazałam, jak się poruszać w tańcu? - Amina pokręciła głową. - Proste rzeczy.

- Dla mnie wcale nie takie łatwe! - Zwątpienie i ból znów dały o sobie znać.

Amina odsunęła się odrobinę, jak gdyby chciała jej się lepiej przyjrzeć.

- Mylisz się. Widziałam cię na własne oczy. Jesteś urodzoną tancerką.

- Starasz się być miła.

Artystka położyła obie dłonie na ramionach Dory.

- Nie czułaś tego?

Dora uśmiechnęła się szeroko. Czuła, i to tak mocno, tak wspaniale, jak nigdy dotąd.

- Rozbierz się - poleciła Amina. Podeszła do parawanu i zdjęła wiszące na nim ubrania. - Kiedy je włożysz i twoje ciało będzie miało swobodę poruszania się tak, jak zostało do tego stworzone, sama się przekonasz.

Dora patrzyła szeroko otwartymi oczami na podawany jej strój.

- A następny pokaz? Nie musisz się zbierać?

- Mamy jeszcze czas. Przebierz się.

Dziewczyna przyjęła odzież. Chłodna jedwabistość fioletowych szarawarów musnęła jej skórę, dopasowana kolorem aksamitna kamizelka dała wrażenie ciepła. Powinna odmówić, tak byłoby właściwie. Tak dyktował rozsądek. Ale jakiej pokusy dostarczały te ubrania. Ach, czuć dotyk luksusowych tkanin. Zniosła strój za parawan, gdzie zrzuciła kapelusz, sukienkę, halki i gorset, niczym zmieniający skórę wąż.

Włożyła strój do tańca i wyłoniła się zza zasłony, podekscytowana i pełna gotowości.

- Bardzo dobrze - pochwaliła na wstępie Amina. Odwróciła się do Dory plecami i nic już nie mówiąc, za-

kołysała się w takt wyimaginowanej muzyki, powoli unosząc ręce i wykonując palcami falujące gesty. Poza głową nie poruszała się żadna inna część ciała. Jej wzrok wędrował za rękami, zdającymi się szybować w powietrzu. Amina dała Dorze znak, by naśladowała jej ruchy.

Dziewczyna zaczęła od podobnych, zamaszystych ruchów ramion, trzepocząc nadgarstkami w ślad za tancerką. Wyobrażała sobie, że wygląda jak Amina, że wirują jej ręce, jakby taniec odbywał się pod wodą. W pewnej chwili mistrzyni stanęła z boku, by obserwować uczennicę. Szeptem podsuwała wskazówki:

- Słuchaj tego, co mówi ci muzyka. Nie ograniczaj się do kopiowania moich gestów. Pozwól, żeby taniec płynął z ciebie samej.

Dora skupiła się na rozbrzmiewającej w jej głowie melodii. Próbowwała wsłuchać się w swoje ciało, otworzyć się na to, co chciały jej przekazać ręce i nogi, poznać ich wizję tańca. Starła się wyłączyć umysł i poddać się muzyce. Jej lewe ramię już zaczęło zmieniać rodzaj ruchów, ale się zatrzymało. Nie mogła pozbyć się uczucia dyskomfortu.

- Przeszkadzają ci myśli kłębiące się w głowie - zauważyła Amina. - Oczyszczyć umysł.



Niewykonalne. Lecz wtem ręce Dory pochwyciły jakiś rytm. Nadgarstki znalazły się nad głową, kołysząc się jak fale bijące o brzeg. Czy nakazała ramionom, by wykonywały te ruchy? Nie pamiętała. Były takie naturalne. Nic na siłę, żadnych planów. Poddała się ogarniającemu ją uczuciu bezwładności i czekała na kolejny ruch ciała.

Lekcja trwała długo, ale Dora pragnęła, żeby ciągnęła się bez końca. Ani śladu wyczerpania, ani odrobiny za-dyszki.

Kiedy Amina wreszcie skończyła, Dora opadła na łóżko. Zamknęła oczy, a kiedy na powrót je otworzyła, tancerka stała u jej stóp, nie spuszczać z niej wzroku.

- Sama widzisz: drzemie w tobie tancerka.

- To dlaczego tak bardzo się męczę?

- To myśli cię wyczerpują, nie ruch - wyjaśniła Amina, siadając przy półmisku i sięgając po kawałek chleba. - Za często zastanawiasz się nad tym, jak rusza się twoje ciało, jaki będzie następny ruch i jak długo należy go wykonywać. To nieprzerwane główkowanie tak cię męczy. Jeśli ruchy są powolne, a umysł wyciszony, można tańczyć nieprzerwanie przez wiele czasu. Jeśli tancerka wykonuje szybki taniec i dopadnie ją zmęczenie, w każdej chwili może zwolnić. Proszę, zaczekaj tutaj.

Dora pokiwała głową, ale nękało ją jeszcze jedno pytanie.

- Skąd wiedziałaś, że jesteś urodzoną tancerką? Amina przez chwilę patrzyła w sufit, rozważając odpowiedź.

- Wiedzą to stopy i ręce. Całe ciało słyszy muzykę i marzy, by rzucić się w jej wir. Po tym poznaje się tancerkę.

Przerwało im pukanie do drzwi. Mały opiekun wielbłąda otworzył je, a na jego buzi wyraźnie malowała się troska. Wymamrotał coś po arabsku, lecz nie dokończył

wypowiedzi, gdyż na korytarzu rozbrzmiały echem kroki. Odsunął się na bok i w progu ukazał się Hossam Farouk, schylający potężną sylwetkę, by nie zawadzić o framugę. Pokój zdawał się mniejszy w jego obecności. Ujrzał Dorę i zawahał się przez chwilę, a następnie rzekł do chłopca:

- Idź sprawdzić, czy nie potrzebują cię do pomocy w stajni.

Chłopiec skłonił się pospiesznie i ruszył biegiem.

Amina stała prosta jak struna, z założonymi ramionami i ustami ściągniętymi w wąską linię. Odezwała się po arabsku. Dora podniosła się, stając u jej boku.

Wzrok Hossama spoczął na Dorze, zanim zmusił się do spojrzenia na Aminę.

- Nie mogę już odwiedzić mojej najlepszej tancerki? Amina spięła się jeszcze bardziej.

Hossam zwrócił się do Dory, pochylając ciało w ukłonie, od którego luźna czarna tunika otarła się o jego kolana.

- Dzień dobry, pani Chambers - rzekł, wyciągając rękę na powitanie. Uścisnęła ją. Uniósł jej dłoń do ust, jak kiedyś, gdy witał się z panią Richmond, i zaskoczył ją widok jej własnych nagich palców i nadgarstka. Nie miała rękawiczek. Była nadal w ubraniach Egipcjanki!

- Widzę, że Amina wprowadza panią w świat egipskiej mody. Bardzo pani do twarzy.

Dora zarumieniała się. Wykrztusiła ciche „dziękuję”, lecz nie odważyła się podnieść wzroku.

- Czego chcesz? - Amina bębniła palcami o założone na piersi ramiona.

Tutejsze kobiety odzywały się do mężczyzn w taki sposób? Dora zerknęła ukradkiem na rozmawiających. Charles przenigdy nie pozwoliłby na taki ton.

Z ponurego spojrzenia, jakie Hossam posłał artystce, Dora wywnioskowała, że Amina przeholowała, choć

wyglądało na to, że nie był to ani jej pierwszy, ani ostatni raz.

- Wiesz, po co przyszedłem. Właśnie wróciłem ze spotkania z kierownictwem Wystawy.

- Kiedy indziej o tym pomówimy.

- Musimy ponownie rozważyć... - przeniósł wzrok na Dorę, potem znów na Aminę - naszą drugą opcję. - Zrobił ruch, jak gdyby miał już wychodzić, ale zawrócił, zwracając się do Dory: - Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze, pani Chambers.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, już go nie było. Pozostał jej tylko w oczach widok, jak mężczyzna przeczesuje palcami czarne włosy spływające na szerokie barki. Serce zabiło jej mocniej, a resztki energii ją opuściły, zostawiając po sobie lekki, kojący ból zmęczonych mięśni.

- Muszę wracać do teatru - oznajmiła Amina. Dora zrozumiała, że i na nią już pora.

- Przebiorę się szybko.

- Spiesz ci się?

- Nie, ale ty masz występ.

Amina przekrzywiła głowę i uśmiechając się łobuzersko, zaproponowała:

- Chodź ze mną.

- Chyba mogłabym zostać na jeszcze jedno przedstawienie.

- Nie to miałam na myśli. Zatańcz z nami.

- Nie mogę wyjść stąd w tym stroju. - Zatrzepotała ramieniem w egipskim rękawie.

- Możesz, jeśli udasz się wprost na scenę.

- Nie żartuj.

- Mówię poważnie. Jesteś dobrą tancerką i powinnaś zatańczyć z nami. Krótka, w kółeczku, tak jak w pokoju z Fatmą i Marietą.

- Nie ma takiego punktu w waszym programie.

- Dodamy go.

Nie, przecież to absurd. Nie mogła popełnić takiego głupstwa! Nie była profesjonalną tancerką.

- Dasz radę i wiem, że cię to wciągnie. Inni też już widzieli, jak świetnie tańczysz.

Na samą myśl poczuła mrowienie w palcach. Ona na scenie? Już poleciała tam na skrzydłach wyobraźni.

- Nawet gdybym się zdecydowała, nie mogłabym. Rozpoznano by mnie. Co by ludzie powiedzieli? - Ze smutkiem ruszyła za parawan.

- Nie bądź taka pewna. Mam pomysł!

W chwili gdy zegar na wieży wybił czternastą, bębniarz uderzył w instrument, dając pozostałym muzykom sygnał, by przyłączyli się do melodii. W teatrze egipskim rozpoczynał się spektakl.

Stojąc na skraju sceny wśród pozostałych tancerek, Dora patrzyła na widownię. Nie dostrzegała żadnych znajomych twarzy. Widniała przed nią jedynie plama diagonalu, tweedowych płaszczy i dzinsowych ogrodniczek, gdzieś upstrzona pierzastym kapeluszem jakiejś ciekawskiej damy. Żołądek ścisnął jej się z nerwów.

Improwizowana z początku melodia grajków przeszła wreszcie w znajomy rytm i zabrzmiały blaszane sagaty na palcach tancerek. Te, które przytroczone do jej rąk, milczały. Niecierpliwość mieszała się w niej z tremą. Właśnie popełniała olbrzymi błąd. Jest członkinią Komisji Pań Zarządzających, na miłość boską!

Wtem artystki ruszyły. Wątpliwości związane z tłumem na sali i sztywnym regulaminem wyparowały. Umysł Dory był czysty. Nie była już Panią Zarządzającą, lecz tancerką.

Kobiety wkroczyły na scenę i stanęły w półkolu. Było to nowe ustawienie, mające na celu wyeksponowanie głównej tancerki. Dora odszukała wzrokiem Aminę - zajęła miejsce na odległym krańcu figury, a jej ramiona już wibrowały w takt muzyki. Dostrzegła cień uśmiechu pod szkarłatnym woalem, takim samym, jaki Amina upięła na twarzy Dory.

Dziewczyna z trudem rozpoznawała siebie w spoglądającej na nią z lustra kobiecie, ubranej w strój do tańca i woal. Zasłona łaskotała jej nos i policzki, dając wrażenie, jakby miała na sobie skórę innej kobiety i wyglądała na świat zza maski.

Amina pierwsza wystąpiła jako główna artystka. Kilkoma zwinnymi obrotami znalazła się w środku półokręgu i nagle zatrzymała. Pojedynczym, pełnym gracji ruchem skłoniła się i podniosła z podłogi szablę, której Dora wcześniej nie zauważyła. Z drugiego krańca półksiężyca, z ust Fatmy, dobiegł długi, wibrujący tryl - przejmujący dźwięk, który Amina określała mianem zaghareet. Towarzyszył całemu występowi tancerki, wirującej z uniesioną nad głową srebrzystą bronią.

Taniec wciągnął Dorę. Amina unosiła szablę jak ofiarę dla bogów, zataczała wokół siebie kręgi, oddalając ją od ciała i z powrotem przyciskając do siebie. Gdy uniosła ostrze, przejrzyste rękawy zsunęły się w dół, ukazując brązowe ramiona, a ona umieściła szablę na czubku głowy. Zataczając kręgi, ręce tancerki opadły na wysokość talii, a ostrze ani drgnęło. Ciało kobiety falowało, gdy opuszczała się na kolana, nie pozwalając, by szabla się zachwiała. Każda para oczu wlepiona była w Aminę, która kołysała się na podłodze, opierając się na jednej ręce, a falując ciałem od barków po czubki palców u nóg. Dopiero gdy podniosła się z ziemi i zdjęła szablę z głowy, przerwano ciszę. Sala wiwatowała i klaskała. Dora widziała, że Amina uśmiecha się

pod woalem, gdy wprawiając ramiona w drzenie, ruszyła w jej kierunku.

Dziewczyna zorientowała się nagle, że jest właśnie wywoływana na środek sceny. Przerazenie zaparło jej dech w piersi, potrząsnęła głową, nieznacznie acz stanowczo, próbowała wykrzyknąć wzrokiem: „Nie! Nie mogę!”

Amina naciskała. Zbliżała się kołyszącym krokiem, wpasowując się w miejsce Dory w półokręgu i zmuszając ją do wystąpienia z szeregu.

- Nie potrafię! - Dora syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Wsłuchaj się w muzykę. Zamknij oczy - szepnęła mentorka spod woalu.

Dora wiedziała, że nie ma odwrotu. Uciekła w głęboko ukryty zakamarek swojego umysłu, z dała od niezdarnych kończyn, które drzeniem i kołysaniem próbowały pokonać dystans dzielący dziewczynę od środkowego punktu półkola. Usłyszała kolejny zaghareet wydobywający się z gardła Fatmy, lecz zdawało się jej, że źródło dźwięku jest oddalone o tysiące kilometrów. Widziała rozmazane zarysy twarzy wpatrzonych w nią ludzi. Łomotanie serca zagłuszyło odgłos bębna. Ruch bioder rozminął się z rytmem. Taniec stracił płynność. Zaciśnęła mocno powieki, oddała umysł we władanie muzyki. Dum-dum-taka-tak-dum-taka-tak.

Melodia przyspieszyła, co podchwyciły biodra Dory, wykonując naraz wyraźniejsze, skoczniejsze ruchy. Uniosła ręce nad głowę, tak jak robiła to Amina. Tempo znów się zmieniło i jej ciało poczęło się uspokajać, falując. Widzowie oklaskiwali ją, jakby dokonała czegoś niezwykłego. Serce nie przestawało dudnić z całych sił.

Kolejny zaghareet przypomniał jej o obecności pozostałych tancerek. Zwróciła się w stronę półokręgu i zbliżyła do Mariety, wprawiając ramiona w wibrujący ruch. Przez chwilę tańczyły razem, a potem zamieniły się miejscami -

Marieta zajęła centralny punkt sceny a Dora, kipiąc adrenaliną, wstąpiła z powrotem do szeregu, gdzie wraz z innymi wydzwaniała rytm sagatami.

Obejrzała występ Mariety, potem kolejny taniec i jeszcze jeden. Tylko jedna myśl tłukła się jej po głowie do końca pokazu: pragnęła znów zatańczyć.

- Trzeba to uczcić! - oznajmiła Amina po występie, śmiejąc się i chwytając Dorę za ręce. - Zostań z nami na uczcie. Zrobimy *hafla*, czyli... jak to się nazywa? - Postukała palcem o wargi. - Imprezę! Powiedz, że zostaniesz!

Radosne głosy Fatmy, Mariety i pozostałych połączyły się w proszący chór. Dora pomyślała o Paniach Zarządzających. Co by powiedziały? Ale odgoniła tę myśl tak szybko, jak się pojawiła - przecież nigdy się nie dowiedzą. A Charles? Nie będzie go w domu i na pewno jest mu obojętne, co ona porabia. Jeśli odmówi, będzie musiała spędzić wieczór w samotności, siedząc w salonie albo w swoim buduarze ze smutkiem za towarzysza.

Tutaj z każdego kąta tryskała radość. Serce biło jej jak szalone. Tak się o nią troszczyli. Tak, o nią! Ależ pokusa.

- No powiedz, że zostaniesz, chociaż na chwilkę. Dalsze prośby nie były konieczne.

- Będzie mi potrzebny posłaniec - powiedziała Dora.

Zanim mogła się rozmyślić, do Bonmarie lotem ptaka mknęła wiadomość, że obowiązki, które przypadły jej w udziale jako Pani Zarządzającej, opóźnią jej powrót z targów. Amina błyskawicznie rekrutowała syna kupca na posłańca, więc o odwrocie nie mogło być mowy.

Udali się z powrotem do pokoju Aminy, gdzie Dora zasiadła na poduszce na drewnianej skrzyni. Na zewnątrz kucharki dorzucały do ognia, a aromat pieczonej jagnięciny wkradał się przez okno. Gdy konwersacja cichła, Dora wsłuchiwała się w trzask i syk płomieni oraz unoszący się nad nimi głos kucharki wydający polecenia w języku arabskim.

- Czy wszystkie wasze posiłki są tak pracochłonne?

Tancerka siedziała na podłodze, naprawiając szew jedwabnej ciemnogrnatowej spódnicy. Pokręciła głową, zrobiła węzełek na nici i przegryzła ją.

- To wyjątkowy dzień: jesteś naszym gościem. Dora podeszła do okna.

- Czy to nie za wiele?

- Każda okazja do świętowania jest mile widziana. Sprawia, że to miejsce staje się bardziej... - zawahała się - znośne. - Uśmiechnęła się tak szeroko, że oczy prawie zniknęły pod wzniesieniami policzków.

Świadomość tego, czego się dopuściła, powoli docierała do Dory. Jak mogła być tak nierozważna?

- Wiem, co poprawi ci nastrój - zapewniła Amina, najwyraźniej wyczuwając jej zdenerwowanie. Odłożyła igłę i nici i sięgnęła po urządzenie do palenia tytoniu.

- Nie użyję tego - zaprotestowała Dora.

- Dasz radę, to proste.

- Nie, chodzi o to, że to niewłaściwe.

- Przecież jesteś wśród przyjaciół, więc co w tym złego? Dora potrząsnęła głową, ale słowa Aminy przyjemnie

dźwięczały jej w uszach. Czy rzeczywiście znalazła tu przyjaciół?

- Chociaż spróbuj.

Już i tak narobiła tyle głupstw, pewnie nawet zbyt wiele. Czy złamanie jeszcze jednej zasady mogło coś zmie-



nić? Szczególnie że już kiedyś zastanawiała się, jakie to uczucie...

- Nie wiem, jak się do tego zabrać.

- O, tak. - Amina przygotowała tytoń zgodnie z rytuałem, którego Dora już wcześniej była świadkiem. Kiedy urządzenie było gotowe, Egipcjanka pokazała Dorze, żeby usiadła na tyle blisko, by dosięgnąć ustami jednej z rurek wiszących luźno z napełnionej wodą komory.

- Kiedy zapalę, zaciągnij się. Zrób to powoli, bo się za-krztusisz. - Przyłożyła płomień do miseczki.

Dora złapała wargami rurkę i nabrała powietrza. Obserwowała, jak komora wypełnia się dymem, a potem poczuła go w płucach. Miał smak chłodnej ziemi i przypraw. Brała coraz głębsze wdechy, aż nagle w jej piersi wybuchł ogień, a ona kaszłała i pluła dymem.

Amina pokiwała palcem.

- Zaciągaj się powoli. W ten sposób. - Amina nabrała powietrza przez rurkę, zatrzymała dym w płucach i wraz z wydechem wypuściła go w kierunku sufitu.

- Spróbuj jeszcze.

Dora ponownie umieściła rurkę w ustach i poczekała, aż tytoń się zatli. Nabrała powietrza najwolniej, jak potrafiła. Gdy poczuła, że płuca wypełniły się dymem, odsunęła fajkę od warg i wstrzymała oddech. Poczowała znów ostrość przypraw, posmak cytrusów i jeszcze coś mocnego i słodkiego. Naśladując Aminę, zrobiła wydech, zwracając twarz ku sufitowi. Poczowała nieznaną lekkość. Nie były to zawroty głowy, jak te, które nawiedziły ją po tańcu, ale poczucie szczęścia pochodzącego z nieznanego źródła.

Zaciągnęła się jeszcze raz, potem drugi. Oparła się o poduszki i wpatrzyła w ich wzory falujące jej przed oczami -kontury twarzy, krajobrazów, zwierząt. Amina również rozparła się wygodnie, a po chwili powieki opadły jej do snu.

Dora przyglądała się tej niezwyklej kobiecie. Tak spokojnie wyglądała, prawie jak dziecko. Ale nie była bezbronnym maleństwem, o nie. Sposób, w jaki odzywała się Hossama, w jaki zwracała się do pani Richmond... Potrafiła być jak lwica. Miała siłę, o jaką Dora nie podejrzewałaby przedstawicielki płci pięknej. Jej myśli szybowwały wysoko, lekko jak strzępiaste obłoki i czuła, że może mówić o wszystkim.

- Wspomniałaś kiedyś swojego brata. Czy nadal mieszka w Egipcie?

Nie od razu doczekała się odpowiedzi. Dora zastanawiała się już, czy kobieta śpi, czy też unika rozmowy. Wreszcie jednak Amina odwróciła się na bok i spojrzała na nią. Gdy przemówiła, jej głos był cichy i smutny.

- Jest w Egipcie, To dzięki niemu tu jestem.

Dorę kusiło, by dążyć dalej, wypytać o matkę, ojca, inne rodzeństwo. Jaką rodzinę miała taka kobieta? Jak wyglądał dom, z którego pochodziła? Nie naciskała jednak, licząc na to, że Amina sama zdecyduje się na opowieść.

- Po śmierci matki zaopiekował się mną brat. Byłam wtedy bardzo młoda. - Zawiesiła głos, jakby przeszył ją dawny ból. - Pracował w kawiarniach przy ulicy Muhammada Alego i odkładał każdy grosz, by posłać mnie do szkoły tańca najlepszej nauczycielki w okolicy. Khalid, tak ma na imię mój brat, wiedział, że jeśli będę rozwijać się pod skrzydłami tej *usta*, to zajdę daleko. Wszystko co mam, zawdzięczam jemu. Gdyby nie ja, miałby już własną kawiarnię, co było jego marzeniem, którego wyrzekł się dla mnie.

- A ojciec?

Amina wbiła wzrok w ziemię.

- Mój ojciec nie był nawet w stanie pomóc samemu sobie. Był muzykiem akompaniującym mojej matce, ale kiedy zachorowała, spakował się i ruszył na poszukiwanie innej pracy. Więcej się nie pojawił.

- Przykro mi. Tancerka pokręciła głową.  
- Tak to już bywa.  
- Khalid musi być wspaniałym bratem - powiedziała Dora. - A ty dobrą siostrą, skoro był gotów tyle dla ciebie zrobić. To szczęście, że macie siebie nawzajem.  
- A ty, masz brata?  
- Nie, żadnego rodzeństwa. Amina poklepała ją po ramieniu.  
- Jeśli chcesz, zostanę twoją siostrą, a ty będziesz moją. Dora spłonęła rumieńcem. Zawstydzila ją świadomość tego, jak bardzo pragnęła, by tak się stało.  
Za oknem brzęknęły naczynia i ktoś począł rąbać drewno, by dołożyć do ognia.  
- Naprawdę nie przeszkadza im, że mają więcej pracy na moją cześć?  
- niepokoiła się Dora.  
Amina zgarnęła kilka poduszek i zanurzyła w nich twarz. Wyciągnęła się wygodnie.  
- Absolutnie. Nie martw się już.  
Dora również przyciągnęła do siebie więcej poduszek. Czowała się wspaniale bez gorsetu i halek.  
- Naprawdę nigdy dotąd nie tańczyłaś? Dora pokręciła przecząco głową.  
- Takich postępów nie obserwuje się na co dzień. Dora wspomniała niezgrabne szarpnięcia i kołysanie towarzyszące pierwszym próbom.  
- Kiedy znalazłam się na scenie, w ogóle nie mogłam wczuć się w rytm. Wszystko było na opak. - Pomachała rękami na wszystkie strony jak koślawa marionetka.  
Amina roześmiała się.  
- Ale potem posłuchałam twojej rady - ciągnęła Dora. - Kiedy zamknęłam oczy, poczułam muzykę. - Spróbowała

sobie przypomnieć to uczucie. - Rytm wiódł mnie naprzód i myśli przestały tłuc się po głowie. Czy ty właśnie tak to odbierasz?

Błysk w oku Aminy dał jej nadzieję.

- To dobry początek, pani Chambers.

Głośnie pukanie wyrwało Dorę z drzemki. Amina skoczyła na równe nogi i otworzyła drzwi. Dora widziała jedynie sylwetkę stojącej na korytarzu osoby. Gasnące światło popołudnia, przy którym zasypiała, zmieniło się w fiolet i granat zmierzchu.

-Wszystko gotowe - oznajmiła tancerka, zamykając z powrotem drzwi.

Dora wstała i podeszła do parawanu. Nie mogła powstrzymać fali podekscytowania.

Amina chwyciła dziewczynę za ramię i odwróciła ją ku sobie.

- Wiem, co myślisz, a odpowiedź brzmi: nie. Nie powinnaś.

- Co takiego?

Amina wywróciła oczami.

- Myślisz sobie: „Ach, gdybym już nigdy nie musiała wkładać tej gorsetowej zbroi”.

Dora zachichotała.

- Nie jest tak źle. Poza tym nie mogę wyjść na zewnątrz w takim stroju. Mogłabym zostać źle zrozumiana.

- Przez kogo?

- Przez innych. A jeśli ktoś by mnie zobaczył?

- To tylko ubranie.

- Co powiedzieliby twoi ludzie, gdybyś pojawiła się nagle odziana w jakiś niespodziewany kostium, w coś, czego nie aprobują? - Ostatnie słowa nie zdążyły jeszcze dobrze

przebrzmieć, a Dora już wiedziała, że taka sytuacja nie stałaby się dla Aminy najmniejszego problemu.

- Nikt nie będzie mi dyktował, co mam nosić. - W jej to nie pobrzmiwała powaga, nie potępienie. Spojrzała w dół na swą obcisłą bluzeczkę, długą, pasiastą bluzę z rozpiętymi z przodu guzikami, nogawki szarawarów. - Ubrania, które noszę, wkładam dla siebie. Cieszę się nimi. Nie stroję się dla kogoś innego.

Może tancerki posiadały swobodę i dowolność w kwestii stroju, ale w jej świecie panowały inne zasady.

- Ja znajduję się w innej sytuacji - upierała się. Za parawanem zsunęła z siebie spodnie, pozwalając im opaść na podłogę. Objęła wzrokiem górę własnej odzieży: na szczycie królował gorset z wstążkami niczym macki, które chwytają, ściskają, wpijają się w ciało. Wciągnęła halkę, po czym sięgnęła po narzędzie tortur, które zaciążyło jej w ręce bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Może nie było aż takie straszne, ale z pewnością uprzykrzało życie. Zrobiła, co mogła, żeby porządnie zasznurować gorset, wstrzymując oddech, wciągając brzuch i ciągnąc mocno za tasiemki, które następnie zawiązała w supełek. Nie było tak ciasno, jak wtedy gdy do dzieła zabierała się Bonmarie, ale jak na samodzielną pracę całkiem nieźle. Nie mogła poprosić o pomoc Aminy. Po trzech próbach ściśnięcia talii Dorze udało się wreszcie osiągnąć efekt umożliwiający dopięcie spódnicy.

Kiedy Dora wyłoniła się zza parawanu, zastała Aminę stojącą przy oknie, ze wzrokiem utkwionym w pasmo nieba widoczne pomiędzy budynkiem teatru a drewnianym ogrodzeniem. Dora przyłączyła się do niej.

- Widzisz ją? - spytała tancerka, wskazując Gwiazdę Wieczorną. - Uwielbiałam jej wyglądać, gdy byłam dziewczynką. Teraz też przywodzi mi na myśl dom. Dzieli nas

tak wielkie odległości, ale przechadzamy się wszyscy pod jednym niebem.

W drzeniu jej głosu Dora rozpoznała tęsknotę za domem. Czy ktoś w Nowym Orleanie patrzy teraz w niebo i cieszy widokiem tej gwiazdy? Mama jest pewnie zajęta karmieniem gości i przygotowywaniem pokojów. Nigdy nie miała czasu spoglądać w niebo.

- Chodźmy, pozostali już pewnie na nas czekają. - Amina położyła dłoń na ramieniu Dory, wyciągając ją z tunelu wspomnień.

W poprzek głównego wejścia do teatru wisiał sznur z tabliczką „Zamknięte”. Amina odhaczyła jeden z końców liny, odsunęła wiszącą w drzwiach kotarę i przepuściła Dorę przodem.

Wnętrze było odmienione. Krzesła dla publiczności, ustawione jedno na drugim po trzy lub cztery sztuki, podpierały ściany. Wokół sali porozstawiano kinkiety z kutego żelaza ze świecami wypełniającymi pomieszczenie miękkim bursztynowym blaskiem. Deski podłogi przykryte były orientalnymi dywanami, na których stały niskie stoły uginające się pod ciężarem szerokich mosiężnych półmisek. Wielobarwne poduszki służące za siedzenia rozłożono wokół stołów. Niektóre z nich były już zajęte.

Fatma i Marieta siedziały przy stole z dwoma innymi tancerkami. Muzycy usadowili się przy kolejnym. Młody opiekun wielbłąda zajął miejsce wśród innych dogładczy zwierząt. Dora rozpoznawała sklepikarzy i praczek, a nawet ludzi prowadzących różne pokazy i rozrywki.

Nachyliła się do Aminy.

- Chyba cała Ulica Kairu zebrała się tutaj! - szepnęła. Wszyscy, z wyjątkiem Hossama Farouka, ale nie miało to znaczenia. Nie powinna w ogóle o nim myśleć, a już z pewnością nie miała ochoty na spotkanie z nim.

- Nie cała - odszepnęła Amina - ale owszem, jest wiele osób. Możemy usiąść tutaj. - Wskazała pusty stolik nieopodal Fatmy i Mariety. Wtem spojrzała na Dorę z ukosa i uniosła palec na znak, by chwilę zaczekała.

Dora patrzyła, jak Amina zwinnie zmierza do rogu sceny zajmowanego na ogół przez muzyków i zabiera stamtąd trójnogi taboret. Wróciła z nim do wybranego stolika i ozdobiła siedzisko poduszką o barwie szafiru.

- Dla ciebie - oznajmiła.

Dora usiadła, dziękując przyjaciółce, podczas gdy ta sadowiła się na jednej z rozłożonych na ziemi poduszek. Gwar prowadzonych wokół rozmów przygasł, gdyż oczy wszystkich zwróciły się ku procesji osób wkraczających z tacami na ramionach. Na stoły wjeżdżały półmiski pełne smakołyków. Był tam i skropiony oliwą hummus, stopy tajemniczych, owiniętych liśćmi zawiniątek, tradycyjne pieczywo, szaszłyki warzywne i olbrzymi kopiec złocistego ryżu. Nie zabrakło też parujących porcji pieczonego jagnięcego udź-ca ze skwierczącą na wierzchu chrupiącą skórką, soczystego i różowego w środku.

- Można by nakarmić pułk wojska! - wykrzyknęła Dora, obejmując wzrokiem zgromadzone jadło.

Amina oderwała kawałek chleba i podała go jej.

- Nie widziałaś jeszcze uczujących Egipcjan! - Urwała też porcję pieczywa dla siebie i użyła jej, by nabrać jagnięciny. Wgryzła się w mięso i zamruczała z zachwytem.

Dora zanurzyła chleb w hummusie i gryzła z rozkoszą, podczas gdy Amina sięgnęła po szaszłyk z na przemian nabitymi papryką i bakłażanem. Zsunęła plasterki warzywa i zjadła ze smakiem. Kiedy uporała się z całą porcją, zerknęła na Dorę, która nadal pogryzała kawałek pieczywa.

- Tylko to zamierzasz zjeść? Pewnie konasz z głodu! Dora spieszyła się, gdy kilka osób spojrzało w jej stronę.

- Jestem niejadkiem.

Tancerka oderwała jeszcze trochę chleba, nabrała do niego trochę mięsa i dołożyła porcję ryżu.

- Proszę.

Protekcjonalny ton skojarzył jej się z Charlesem.

- Umiem się sama nakarmić, dziękuję bardzo. - Porwała jedzenie i wzięła kęs. Nikt już nie zwracał na nią uwagi, ale jeszcze przez chwilę pozostała najeżona. Jej towarzysze pałaszowali, jakby to był ostatni posiłek w ich życiu, a w dodatku kobiety dotrzymywały tempa mężczyznom. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby widziała kiedyś damę pochłaniającą w towarzystwie więcej niż kęs. Dziewczęta z dobrego domu szybko uczyły się, że należy dobrze się najeść przed spotkaniem towarzyskim.

Tym razem Dora poddała się i jadła z półmisek jak inni. Dopytywała o jedzenie, którego nie знаła, i zachwycała się różnorodnością smaków. Zawijany w liście ryż zaskakiwał cytrynową cierpkością, a w szaszłykach z warzyw intensywnie czuć było czosnek. Kiedy wniesiono cynowe kubeczki i dzbanki z winem, przyjęła ofiarowany trunek bez słowa protestu. Im więcej jadła i piła, tym łatwiej było słuchać zebranych wokół ludzi. Brak zrozumienia słów nie miał znaczenia. Była w stanie śledzić rozmowę, pojmując ją na podstawie tonu głosu prowadzących ją osób i wykonywanych przez nie gestów, takich jak odrzucenie w tył głowy z głośnym śmiechem czy pochylenie się ku sąsiadce. Sceny przywodziły Dorze na myśl kolacje spożywane ze służbą w kuchni Hotelu Devereaux. Wszyscy byli tam równi i nie trzeba było przejmować się konwenansami.

Kiedy opróżniono półmiski, a gwar rozmów przycichł, Egipcjanie rozciągnęli się na poduszkach, napełnili kubki i ułożyli się wygodnie, by odpocząć. Gdzieś w głębi sali odezwał się dźwięk bębna. Po chwili szmerów i szurania,



dołączył do niego drugi, a potem trzeci równomiernie wybijany rytm. Niedługo potem zabrzmiał róg, jak zwykle wywołując u Dory mrowienie w karku.

Muzyka budziła się powoli, leniwie, nęcąc słuchaczy jak palec kiwający na nich, by podeszli bliżej. Gdzieś w drugim krańcu pomieszczenia Dora dostrzegła błysk kolorowej spódnicy którejś z tancerek.

- Obserwuj Saidę - Amina szepnęła jej na ucho. - Dołączyła do trupy w zeszłym roku, po śmierci męża. Ma ogromny talent.

Kobieta przeciągała każde zakołysanie ciałem, każdy ruch ręki, by stać się jednością z ospałym rytmem. Tańczyła, jakby była sama, a nie w towarzystwie trzech tuzinów wpatrzonych w nią osób. Skłoniła głowę, a ręce splotła blisko brzucha, tak jakby trzymała w nich coś cennego i drogiego jej sercu. Jej klatka piersiowa zataczała w powietrzu kręgi, a ręce wyciągały się i na powrót chowały w tańcu pozornie przeznaczonym dla własnej przyjemności artystki.

Amina podciągnęła kolana do piersi i patrzyła z zachwytem.

- Przepiękny taksim - wyszeptała. - Najbardziej intymny z tańców, kiedy wykonawczynie zapomina o istnieniu publiczności i daje się ponieść muzyce.

Wtem Saida, jakby wybudziła się z transu, wyrzuciła w górę ręce, a jej szeroko otwarte oczy napotkały spojrzenia widzów. Muzycy przyspieszyli tempo gry i tancerka jęła kołysać się i wibrować po całej sali.

Amina nachyliła się do Dory z kolejnymi informacjami.

- Wyjątkowej tancerce równie łatwo przychodzi taniec dla publiczności, jak i dla samej siebie.

Saida zbliżyła się do Aminy i zatrzymała się przed nią, trzęsąc ramionami i wprawiając ciało w drżenie. Zamiast świergotać wyrazy zachwyty jak reszta zebranych, Amina

wyraziła swe uznanie, wstając i *tańcząc* z nią. Po chwili tancerka wyciągnęła rękę do Dory.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale pokręciła przecząco głową.

- Musisz zatańczyć. Dora ponownie odmówiła.

Amina odwróciła się do ludzi, którzy zaczęli tworzyć koło wokół tancerek.

- Chcecie zobaczyć, jak się rusza?

Saida, Fatma i Marieta, z szerokimi uśmiechami rozświetlającymi ich twarze, jęły klaskać, rozgrzewając całą salę, tak że w końcu dłonie wszystkich wspólnie wybijały rytm.

Wtedy jej wzrok padł na niego. Hossam stał w drzwiach, jak gdyby właśnie przybył. I on klaskał.

Dora chwyciła kubek z winem i jednym haustem opróżniła jego zawartość.

- Po prostu tańcz - Amina szepnęła jej jeszcze na ucho. -Będę tuż przy tobie.

Głośne tryle wydobyły się z gardeł dwóch stojących w rogu sali tancerek, a klaskanie przybrało na sile.

Dora od początku wiedziała, że nie wykręci się od występu. Pozwoliła się wciągnąć do wibrującego duetu, tworząc z niego trio. Amina zakręciła biodrami, Saida poszła w jej ślady, a Dora robiła, co mogła w szerokiej spódnicy, halkach i gorsecie. Kiedy Amina uniosła brwi, dając jej sygnał do zainicjowania nowego ruchu, Dora poczęła kręcić biodrami ósemki. Pomimo atakującego ją gorsetu była to jej ulubiona figura. Towarzyszki podchwyciły ruch, a po chwili Saida jęła przesuwac głowę znad jednego ramienia nad drugie. Dora miała świadomość, że jej kanciaste gesty nie mogą równać się z posuwistymi ruchami Egipcjanek, ale nikomu nie przeszkadzały te niedociągnięcia.

Kiedy dwie tancerki wymieniły spojrzenia i odstąpiły o krok od Dory, zdjęło ją przerażenie. Wbrew jej obawom, wcale nie zmuszały jej jednak do solowego występu. Rękami zapraszały pozostałych, by wstali i przyłączyli się do nich. Wkrótce każdy tańczył, trzymał w ręce instrument lub śpiewał.

Każdy z wyjątkiem Hossama.

Wszedł głębiej do pomieszczenia teatru, ale nadal trzymał się na uboczu, uderzając w dłonie, lecz nie w pełni uczestnicząc w zabawie. Wiedziała, że ją obserwuje. Krępowało ją jego spojrzenie. Taniec przed garstką Egipcjan wśród czterech ścian pokoju to jedno, ale afiszowanie się przed całą Ulicą Kairu to zupełnie inna sprawa. Musi wyglądać śmiesznie w ich oczach. Amerykanka w wytwornej sukni tańczy z egipskimi osadnikami. Udaje jedną z nich.

Nagle zdobyta świadomość sprawiła, że zamarła. Wiecznie kogoś udawała, czyż nie? Swoją nową rolę odgrywała skrzętnie od przyjazdu do Chicago - malutka Dora Deve-reaux kreująca się na wielką panią Charlesową Chambers. Nie, w zasadzie zaczęła jeszcze wcześniej, w hotelowym saloniku, kiedy obserwowała i naśladowała dostojne damy. Czy kiedykolwiek w życiu nie próbowała być kimś innym?

Czuła, że szarpiąca nią wściekłość na Charlesa i Geraldine Forrest maści jej myśli, choć może było to działanie wina. Wymknęła się z grupy tańczących, by poszukać wody do picia. Napełniła kubek, usiadła na krześle i patrzyła na bawiących się, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

Zadanie to utrudniał fakt, że właśnie podążał ku niej Hossam. Gdy zbliżył się już wystarczająco, wziął krzesło ze stojącej nieopodal sterty, odwrócił je tyłem i usiadł, oplatając ramionami oparcie. Przyglądał się tancerkom bez słowa.

Był tuż przy niej, tak że gdyby wyciągnęła rękę, dotknęłaby jego nadgarstka, ramienia, twarzy. Jego bliskość

wstrząsnęła Dorą, posyłając przez jej ciało dreszcz. Zamarła, gdy zwrócił na nią spojrzenie ciemnych oczu.

- Całkiem dobrze pani tańczy, jak na Panią Zarządzającą - pochwalił. Dora wbiła wzrok w koronkowy wzorek rękawiczek.

- Tańczyła pani kiedyś? Zaśmiała się wymuszenie.

- Na pewno tylko się ośmieszyłam.

Nie odpowiedział, tylko odchylił się do tyłu i odgarnął z oczu czarne kosmyki. Kiwnął głową czy tylko jego podbródek porusza się w rytm muzyki?

Amina nie spuszczała z nich oka, a teraz wstała z ławy, na której siedziała z Marietą.

- Dobrze się czujesz? - zwróciła się troskliwie do Dory. Dziewczyna kiwnęła głową.

- Powiedziałaś, że odpowiesz mi dziś wieczorem. - Zachowanie Hossama nie uległo zmianie, ale jego głos stał się niższy, poważniejszy.

Amina przestąpiła z nogi na nogę i wyglądała na zdenerwowaną.

- Nie czas ani miejsce na taką rozmowę. - Omiotła Dorę spojrzeniem, tak że dziewczyna poczuła, że jej obecność jest przyczyną dyskomfortu.

Wstała.

- Proszę, rozmawiajcie. Nie chcę wam przeszkadzać. Hossam wyciągnął rękę, by ją zatrzymać.

- Może pani również powinna się dowiedzieć.

- Nie, Hossamie, ona nie...

- Należy do Pań Zarządzających. Jeśli naprawdę przychodzi tu z zamiarem pomocy, trzeba ją poinformować.

- O co chodzi? - spytała Dora zmartwiona marsem na czole Aminy. - Co się stało?

Wyzywający wzrok tancerki wbił się w Hossama jak sztylet.

- Złożono nam propozycję występów w Nowym Jorku -odparł. - Od zaraz.

- Przecież nie możecie opuścić Wystawy! - Aż się wzdrygnęła, słysząc swój błagalny ton.

Amina skrzyżowała ręce na piersi i stanęła, wypchnąwszy do przodu biodro.

- Będziemy musieli wyjechać, jeśli kierownicy odmówią nam wypłaty - ciągnął Hossam. - Nie będziemy nawet w stanie opłacić statku, żeby wrócić do Egiptu. Lekarz, którego pani przysłała, pobrał większość naszych skromnych oszczędności, a wczoraj zgłosił się po kolejną sumę. Byłoby niedorzecznością przepuścić taką okazję.

- Powtarzam Hossamowi, że w Nowy Jork niczego nie zmieni, nadal będziemy się borykać z tymi samymi trudnościami - sprzeciwiła się Amina.

- Jaki lekarz? - wydukała Dora. - Doktor Bostwick? Hossam i Amina zgodnie pokiwali głowami.

- Obiecał mi, że nie obciąży was żadnymi kosztami.

- Może miał na myśli to, że nie policzy nam swojej zwyczajnej stawki - skwitowała Amina z sarkazmem. - Próbował nas namówić, żebyśmy się z nim rozliczyły w innej formie, ale powiedziałyśmy mu, że nie spłacamy długów w ten sposób. Wobec tego zażądał pieniędzy.

- Doktor Bostwick? - Dora nie mogła uwierzyć. Tancerka pokiwała głową.

- Ale nie stanowi już dla nas zmartwienia. Hossam zadbał o to, by pan doktor wiedział, że nie ma tu po co wracać.

- Tym bardziej stanowi dla nas zagrożenie, a zatem i motywację do wyjazdu - upierał się Hossam. - Może narobić nam więcej kłopotów.

Dora opadła na krzesło.

- W jaki sposób może wam zagrażać?  
- Może udać się na skargę do kierownictwa, może nakłamać na nasz temat. Wiadomo, komu uwierzą.

- Nie zrobiłby tego! To mój sąsiad. - Mimo to już skłamał, czyż nie? - Czuję się odpowiedzialna za to, jak was potraktował. Zwrócę wam pieniądze, tyle ile mu daliście. Podajcie tylko kwotę. - Rozejrzała się dookoła. Gdzie położyła torebkę? A gdzie parasolka? Rzeczy zostały w pokoju Aminy - Nie mam przy sobie zbyt wiele, ale zdobędę pełną sumę.

Amina położyła dłoń na jej ramieniu.

- To nasz dług, nie twój.  
- Prawdziwe pytanie brzmi: co powinniśmy ze sobą począć? - Hossam patrzył na tancerkę z wyczekiwaniem.

- Uważam, że nie powinniśmy wyjeżdżać - odparła. - Wpadniemy tylko z deszczu pod rynnę.

Hossam spuścił głowę, chowając twarz, na której nie dało się ukryć wyrazu rozczarowania. Dora spojrzała w stronę drzwi.

- Powinam już iść, jest późno.  
- Nie, zostań jeszcze - zaproponowała Amina. - Są jeszcze góry jedzenia, będzie też więcej muzyki i tańców. Nie musisz nigdzie jechać.

Pomimo zdrady doktora Bostwicka nadal pragnęli jej towarzystwa?

- Naprawdę czas już na mnie, ale dziękuję, ogromnie dziękuję za wszystko. Zostawiłam coś w twoim pokoju. Zajrzę tam jeszcze, jeśli nie masz nic przeciwko.

Pożegnałaby się jeszcze z Fatmą, Marietą i pozostałymi dziewczętami, ale były pogrążone w rozmowach. Nie chciała im przerywać. Przekraczając próg, zerknęła jeszcze na Aminę i Hossama, uniosła rękę w geście pożegnania i wyszła.

Powietrze zaskoczyło ją chłodem. Światło, po części elektryczne, po części płynące ze świec, wylewało się z okien, przecinając mrok. Otuliła się ramionami i poszła w stronę pokoiów tancerek. Pospieszyła do środka, odnalazła torebkę i parasolkę przy wpadającym przez otwarte okno świetle księżyca, po czym wstąpiła z powrotem w mrok korytarza. Nagle zauważyła sylwetkę człowieka opierającego się o framugę drzwi wyjściowych. Zaskoczenie przyspieszyło bicie jej serca. Po chwili rozpoznała go jednak. Włosy opadające na barki, szerokie ramiona, wąska talia.

- Hossam? - szepnęła.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- Proszę wybaczyć, jeśli panią uraziłem. Nie miałem zamiaru zmuszać pani do odejścia.

Wsunęła pasek torebki na rękę i bawiła się parasolką. Czowała się przy nim taka spięta.

- Nie obraziłeś mnie. Po prostu... zrobiło się późno.

- Rzeczywiście, pora jest późna i nie powinna pani nigdzie sama wędrować. Odprowadzę panią, by upewnić się, że nic pani nie zagraża.

- Odsunął się od drzwi, robiąc dla niej przejście.

Nigdy dotąd nie była na terenie targów o tej godzinie i była wdzięczna za eskortę. To tylko spacer do bramy, powtarzała sobie. Jednak stojąc tak blisko, tuż przy Hossamie, czuła jego obecność z taką mocą, jak gdyby przepływał przez nią prąd elektryczny.

Wszędzie wokół wesoło błyszcząły okna, a ludzie pojawiali się i znikali w mroku jak duchy.

- Która brama?

- Przy Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy - odparła. Zamiast skierować się ku placowi, Egipcjanin ruszył w stronę drewnianego ogrodzenia odgradzającego Midway od miasta.

- Wiedzie tędy skrót - wyjaśnił, oglądając się przez ramię, gdy zauważył, że zostaje w tyle.

Poprowadził ją na tyły teatru, ścieżką pomiędzy budynkami a ogrodzeniem. Minęli pomocnika kucharki, który grzebał patykiem w żarze ogniska, wznecając snopy iskier jak na uroczystości Czwartego Lipca.

- Tędy - poinstruował, wskazując wąską dróżkę jaśniejącą w świetle księżyca. Powietrze było przesycone zapachem wielu gotowanych nocą posiłków.

Przez chwilę kroczył powoli, nie patrząc na Dorę, ale nagle przemówił.

- Noc to najwspanialsza pora na targach. Tłumy znikają, a ludzie mogą pożyć zwyczajną codziennością. Wtedy wioski stają się zwykłymi osadami, jak wszędzie na świecie.

- Nigdy nie przechadzałam się tędy o tej porze - wyznała, starając się nadążyć za jego długimi krokami. - Która godzina? Okolica wydaje się opustoszała.

- Wcale nie jest pusto. - Wyciągnął rękę w kierunku przestrzeni pomiędzy budynkami Ulicy Kairu i wioską niemiecką.

Stał tam obóz sudański, z chatami ustawionymi w kręgu. Dało się dostrzec z tuzin postaci, może nawet więcej, zebranych wokół ogniska. Dora nie potrafiła się jednak skupić na oglądanej scenie. Jedyne, co czuła, to dreszcz biegnący przez jej ciało od miejsca, gdzie Hossam dotykał jej pleców, kiedy drugą ręką pokazywał odbywający się w oddali rytuał. Próbowała skierować całą uwagę na siedzących przy ogniu mężczyzn, którzy podawali sobie z rąk do rąk fajkę, długą jak miecz. Każdy zaciągał się raz, po czym posyłał przedmiot dalej, wkoło. Byli zbyt daleko, by dało się rozróżnić wypowiedane przez nich słowa, ale mówili poważnym tonem. Najwyraźniej omawiali ważne kwestie.



Hossam poprowadził Dorę dalej, lekko popychając jej plecy.

- Niemcy nieprzerwanie jedzą i śpiewają. Zjrzyj. - Podeszli do okna. Wewnątrz gospody kobiety i mężczyźni siedzieli przy suto zastawionych pieczonym mięsem i chlebem stołach. W rogu izby ktoś grał na niewielkim akordeonie.

Odsunęła się od szyby.

- Ludzie trzymają się swoich naturalnych zachowań, niezależnie od tego, gdzie się znajdują. Nie wiem, skąd pomysł, że mogłoby być inaczej.

- Widzi pani, nie jesteśmy wcale tacy obcy - powiedział łagodnie, wznawiając wędrówkę.

Nigdy nie twierdziłam niczego podobnego, przebiegła jej przez głowę myśl, ale nie wymówiła jej na głos.

Ścieżka, którą teraz szli, niemal całkowicie tonęła w mroku. Mijali osadę jawajską. Dora ostrożnie stawiała kroki, żeby nie potknąć się o kamień i nie wdepnąć trzewikiem w grząski grunt. W pewnej chwili Hossam wyciągnął do niej rękę, by pomóc Dorze ominąć kałużę. Palce dziewczyny wśliznęły się w jego dłoń, ciepłą i szorstką. Nawet kiedy rozłączyli ręce, nadal czuła siłę uścisku.

- Ciekawe, jak wyobrażała sobie pani życie tych ludzi po wyjściu ostatniego turysty - zagadnął Hossam, idąc dalej. - Myślała pani, że stają w miejscu? Że istnieją tylko po to, by zabawić widzów?

Dora stanęła na kamyk, wykręciła stopę i potknęła się. Zanim odzyskała równowagę, Hossam już był u jej boku. Ujął jej dłoń, drugą ręką przytrzymując plecy.

- Ostrożnie - powiedział. - Zapominam, że nie zna pani terenu tak dobrze jak ja.

Zakręciło jej się w głowie. Piżmowy zapach jego ciała zdawał się otulać ją całą.

- Już lepiej?

Patrzył jej prosto w oczy, a księżyc odbijał się promieniami w jego czarnych źrenicach. Czowała, że mężczyzna wstrzymuje powietrze w płucach, a potem jego oddech przyspieszył. Jego palce zacisnęły się na jej plecach, delikatnie wpiły się w ciało.

- Inaczej wyobrażałem sobie miejsce kobiety. - Jego szept miał szorstkość żwiru, a jednocześnie był delikatny jak oddech muskający jej ucho.

Ręka, którą trzymał jej plecy, przyciągnęła Dorę blisko, wtulając ją w niego. Miał takie potężne ramiona, że mógłby ją wziąć siłą. Z nieoczekiwaną czułością położył sobie jej dłoń na piersi, po czym powiodł palcem po zarysie jej policzka. Czowała, że jego tors wznosi się i opada z każdym oddechem.

- Jest pani niezwykła, pani Chambers.

Hossam nachylił się ku niej i musnął wargami jej szyję.

Po raz pierwszy poczuła odrazę na dźwięk tych słów. Pani Chambers. Była czyjąś własnością. Pani Charlesowa Chambers. Nazwisko wywołało w niej nową falę wspomnień, w których Charles i pani Forrest tulą się do siebie, dokładnie tak, jak ona teraz wtula się w ramiona Hossama. Pewnie w tej chwili cieszą się swoją bliskością.

Wyrwała się mu. Kolejny zawrót głowy. Hossam wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się przed nią.

- Nie powinnam tu być - wysapała. - To pomyłka. Muszę wracać do domu.

Spojrzenie jego ciemnych oczu przykuło ją jednak w miejscu. Wyczytała w nim zawód, ale nie taki, jaki sprawiała mężowi. Rozczarowanie Hossama było uczuciem innej natury. Odsunął się powoli gotów pozwolić jej odejść.

W tej właśnie chwili Dora zrozumiała, że nigdzie nie pójdzie. Nie chciała przerywać tego, co zaczęło się dziać i z czego wcale nie musiała rezygnować. Nie należała do

Charlesa, nie była jego własnością. Miała prawo robić to, czego pragnie, a stojący przed nią mężczyzna, tu, pod gwiazdami, był właśnie ucieleśnieniem jej pragnień. Sięgnęła po jego dłoń.

Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie, unosząc jej dłoń do swoich ust, łaskocząc jej palce ciepłym oddechem. Gdy odszukał wzrokiem jej spojrzenie, nie odwróciła oczu. Jego ciemne źrenice już nie budziły w niej lęku. Odwzajemniła jego spojrzenie, otworzyła się na nie.

- Chciałabym, żebyś nazywał mnie Dorą - wyszeptała.

W odpowiedzi złożył na jej ustach pocałunek, chwytając jej twarz obiema dłońmi. Były silne, szorstkie, przesuwały się po jej szyi, dotykały policzków, muskały uszy. I nagle Hossam porwał ją w ramiona i poniosł na rękach całą drogę, którą zdążyli przebyć.

Objęła ramionami jego szyję, bawiąc się niesfornym czarnym kosmykiem tańczącym mu przy uchu. Powiodła palcem wzdłuż ostrych rysów policzka. Hossam uśmiechnął się, gdy jej dotyk go połaskotał, a oczy rozjaśnił mu chłopięcy, łobuzerski błysk. Jak mogła kiedykolwiek czuć strach przed tym człowiekiem? Gdy dotarli do teatru, skręcił w pierwszą alejkę, zamiast iść dalej ku pokojom tancek. Trzymając Dorę nadal w ramionach, otworzył drzwi i wniósł ją do środka. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, zapadła kompletna ciemność.

- Mam świeczkę - wyszeptał, stawiając dziewczynę na podłodze.

Nie ruszała się z miejsca, słuchając, jak Hossam porusza się w mroku. Po chwili pojawił się z szeroką świecą osadzoną w kinkiecie. Wypełniła pokój pomarańczową poświatą. Był większy niż sypialnia Aminy, ale bardziej skąpo umeblowany. Stały w nim dwa kufry podróżne i stół, wokół którego rozrzucono poduszki. Była też duża poducha przykryta

kocami, służąca za łóżko. Wszędzie unosił się piżmowy zapach Hossama, zmieszany z wonią drewna sandałowego i odrobiną słodkich cytrusów. Nie było okna ani innych drzwi.

- To skromne mieszkanie, wiem.

Patrzył, jak rozgląda się po pokoju. Egipcjanin wydawał się bardziej pokorny, jakby jego zwykła zadziorność gdzieś wyparowała i też czuł się niepewnie. Nie zdejmował wzroku z Dory.

- I co teraz będzie? - spytała drżącym głosem.

- Tylko to, na co będziesz miała ochotę.

Pożerał ją wzrokiem, jak siedzący na widowni mężczyźni oglądający tancerki brzucha, budząc w niej dreszcz, który promieniował przez całe jej ciało, od palców u nóg po czubek głowy. Hossam patrzył na nią, jakby potrafił przebić się wzrokiem przez wszystkie sztuki jej odzieży - suknię, koszulę, halkę, gorset. Nie zapomniała nauk Aminy i wytrzymała jego spojrzenie. Gdy zrobił krok ku niej, ona cofnęła się o krok. Uniosła palce do guzików sukienki i poczęła je rozpinąć.

Odpięła wszystkie guziki biegnące przodem bluzki, a także te przy mankietach. Dopiero wtedy zsunęła z siebie ubranie, powoli i nie odrywając oczu od źrenic Hossama. Czuła na sobie jego wzrok, który pieścił ją jak dotyk jego palców, przesywając ją dreszczem rozkoszy. Rozpięła spódnicę i pozwoliła, by opadła na ziemię, wreszcie halkę i gorset. Nie wykonywał żadnych ruchów, nie pospieszał jej, tylko oglądał. Delektowała się momentami, w których zsuwała z siebie jakiś element stroju, a usta Hossama drgały w bezwiednym uśmiechu. Skrzyżował ręce na piersi i widziała, że co jakiś czas wpija palce w ramiona, jakby z trudem powstrzymywał się od rzucenia się na nią.

Wreszcie stanęła przed nim w niemal przezroczystej haleczce, nie kryjąc już nagości. Wyjęła spinki z włosów,

pozwalając, by ciemne pukle opadły kaskadą na ramiona. Zrobiła krok w jego stronę.

Porwał ją w ramiona. Jej ręce oplotły go w pasie, podciągając w górę biały materiał tuniki. Ściągnęła mu ubranie przez głowę, uwalniając jego nagie, złotawobrazowe ciało spod materiału. Miał gładki tors, z jedwabistymi, czarnymi włoskami skupionymi pośrodku, a w świetle świecy jego skóra wydawała się taka ciepła i miękka jak kawa zładzowana odrobiną śmietanki. Dora przytuliła policzek do jego ramienia, by poczuć jego ciepło, jak upalny dzień w Dzielnicy Francuskiej. Uczucie było jednocześnie dziwne i wspaniałe, łącząc w sobie te cechy, tak że nie umiała go opisać.

Błądził dłońmi po jej plecach i czuła, jak mocno bije jej serce. Choć nie, to jego serce tak dudniło. I wtem przez muślin jego spodni i płótno halki poczuła, że twardnieje, szukając jej.

Pragnęła dotykać go wszędzie, każdej części jego ciała i marzyła o jego dotyku na swoim ciele. Co za niezwykle uczucie, pozbawione strachu, obawy, zupełnie inne niż podczas nocy z Charlesem. Nie istniał test, który musiałaby zdać. Słowa matki nie odbijały się w niej echem, bo nie było na nie miejsca. To nie była próba. Nie było nic do zyskania, a więc i niczego nie można było stracić. Była tylko namiętność, czysta i szczerą. Hossam nie spodziewał się po niej niczego, czego w tej chwili nie miał przed sobą. Widziała głód w jego oczach i pozwoliła mu poprowadzić się do łóżka. Pochylił się nad nią i pocałował miękko i czule. Tonęła w jego oczach, głębokich, czarnych jeziorach. Pieścił wargami jej usta, podbródek, szyję i ramiona. Uniósł ją nieco, by zdjąć z niej halkę. Dora pociągnęła w dół jego spodnie. Gdy pozbyli się już wszystkich ubrań, Hossam spróbował położyć Dorę na plecach, ale wysliznęła mu się i znalazła na górze, nachylając się nad nim. Uśmiechnął się zadowolony ze sztuczki,

a tymczasem Dora oddawała mu pocałunki, pieścąc jego twarz i pierś. Tak pysznie smakował, słono jak morska woda.

Ich namiętność była jak morze z przyływami i odpływami, raz wzburzona, raz spokojna. Dora płynęła na fali ruchów Hossama, wznosząc się i opadając, nieodmiennie wtulona w jego silne ramiona. Gdy pragnęła go tak mocno, że już nie mogła dłużej wytrzymać, ułożyła się na nim tak, aby ich ciała idealnie do siebie pasowały. Zadrżała, gdy w nią wszedł, ale przytrzymał ją mocno, dopóki nie zaczęła kołysać się wraz z nim, najpierw powoli, potem z coraz większym zapałem. Razem unosili się i opadali, kołysząc się, jakby stanowili jedno ciało. On pierwszy wykrzyknął i z jękiem rozkoszy wyrwało mu się z ust jej imię - Dora. Uśmiechnęła się, gdy szorstki dźwięk musnął jej ucho, ale wtedy i ją przeszył dreszcz rozkoszy, płynący z miejsca, gdzie łączyły się ich ciała, i rozpalający każdy jej centymetr. Czowała mrowienie w stopach, dłoniach, wargach. Uczucie wypełniało ją, wypierając z jej głowy wszelkie myśli. Istniało tylko to, tylko ona i Hossam, i wtem, wtem... I wtem wszystko spłynęło kaskadą wrażeń, które sprawiły, że padła, wtulona w niego, z trudem łapiąc oddech. »

Tulił ją w milczeniu, gładząc jej plecy i przeczesując palcami długie pasma włosów. Gdy doszła do siebie, podniosła się na łokciu i spojrzała na niego.

- Co to było?

Położył ją na plecach i oparł się na jednej ręce. Posłał jej ten sam łobuzerski uśmiech co poprzednio.

- Nie wiesz? Pokręciła głową.

Nachylił się nad nią i przywarł do jej ust w długim, leniwym pocałunku, który trwał i trwał. Gdy Hossam oderwał od niej wargi, spojrzał jej w oczy i powiedział:

- Mam nadzieję, że to był początek.

Nie podejrzewał, że tak trudno mu będzie patrzeć, jak wychodzi przez bramę do samotnego roweru. Było mu ciężej, niż kiedy opuszczał Egipt, gorzej niż kiedy stawał przed kierownictwem targów. Pragnął ją chronić, swoją Dorę. Słyszał niejedną straszną historię o tym, co się działo w amerykańskich miastach, a zwłaszcza w Chicago, gdzie ulice pełne były złodziei, skazańców, kieszonkowców i prostytutek. Próbkę tego wszystkiego widział na targach, na ogół w formie portfela, zegarka lub innego cennego drobiazgu uwalnianego od niespodziewającego się niczego właściciela. W Kairze też zdarzały się takie rzeczy, ale tu było inaczej. Znał swoich ludzi i ich sztuczki, ale to były błahostki w porównaniu z koszmarami, o których tu się opowiadało. Morderstwa, przestępstwa, oszustwa wszelkiej maści. Horror. A on pozwalał odjechać Dorze w tę otchłań. Mało brakowało, a zawołałby za nią, błagając, by została.

Kto by pomyślał, że on, Hossam Farouk, będzie kiedyś gonił za kobietą. W dodatku za Amerykanką. Przewrócił się na bok, podłożył pod głowę jeszcze jedną poduszkę i wbił wzrok w ciemność. Świecę już zgasił, więc jedynie nikły blask księżyca rozświetlał atrament nocy.

Podobała mu się od początku, to prawda. To, jak jej ciemne oczy błyskały na zmianę ogniem i lodem. Umiał odczytać jej nastrój jednym spojrzeniem. Uwielbiał sposób, w jaki unosiła delikatny podbródek, jakby wyzywała świat na pojedynek. I ta figura - obfity biust, wąska talia, którą mieścił niemal w dłoniach, a potem znów rozszerzenie, ukryte pod wymyślnymi spódnicami. Tyle nocy przeleżał, nie mogąc przywołać snu, wyobrażając sobie, jak Dora wygląda bez tych wszystkich falban i koronek. Teraz wiedział. Samo wspomnienie wypełniło go tęsknotą.

Zaskoczyło go to, że się kochali. Przed dzisiejszą nocą nigdy nie szukałby nawet okazji. Nie unikał kłopotów, ale też nie prosił się o nie. Pójście do łóżka z Panią Zarządzającą idealnie pasowało do kategorii pakowania się w tarapaty. Nie zrobił tego dla dreszczu emocji, choć z pewnością takowy osiągnął. Sypiał już nawet z kobietami zamężnymi. Ale to było coś innego.

Kiedy skończyli, leżeli razem spleceni nogami, a jej palec rysował na jego piersi niewidzialne wzory. Zasypiał już, kiedy wstała, ubrała się i chciała odejść. Kiedy powiedział jej, że jest zbyt późno, by kobieta sama wałęsała się po ulicach, przypomniała mu, że nie ma wyboru. Kilka razy dźgnęła złożoną parasolką wyimaginowanego przeciwnika, żeby rozśmieszyć Hossama, co jej się udało - śmiał się. Ten śmiech jednak spotęgował tylko jego tęsknotę za nią. Egipcjanin nie chciał, żeby wychodziła. Nie chciał wiedzieć, że wraca do domu, w którym czeka na nią mąż.

Co miał jednak począć? Wstał, ubrał się i odprowadził ją na skraj ciemnego, cichego terenu targów. Popatrzyła na niego z pięknym, nieco nieśmiałym uśmiechem na ustach i powiedziała:

- Proszę, nie mówmy o tym. Niech to będzie coś naszego, co zostanie między nami.

Powinien był zaprotestować, a nawet przerzucić ją sobie przez ramię i zanieść z powrotem do pokoju. Ale nie uczynił tego. Pokiwał tylko głową i uśmiechnął się łagodnie, a ona ścisnęła jego rękę, odwróciła się i odeszła. Patrzył, jak jej postać maleje, a wreszcie znika w mroku, po czym wrócił do pokoju, zdmuchnął świecę i położył się w łóżku. Wtulił twarz w koc i poduszki, na których leżała Dora, wdychał słodką woń róż, jaką pachniały jej skóra i włosy. Jej wspomnienie towarzyszyło mu przez resztę nocy.



Teraz, kiedy była już sama, pedałując przez ciemne, opustoszałe ulice, Dora czekała na nadejście wyrzutów sumienia. Spodziewała się ich, szykowała na nie, była nawet gotowa im się poddać. Ale jak miała czuć skruchę, skoro palił się w niej ogień? Jej serce nie zdążyło się jeszcze uspokoić, a ciało wciąż żyło wspomnieniem tych kilku godzin z Hossamem. To prawda, siła uczucia z początku ją przeraziła, jakby Dora straciła panowanie nad własnym rozumem. Dominował najpierw strach, że ktoś ją przyłapie, ale uczucie to szybko ustąpiło czemuś o wiele potężniejszemu. Czy to właśnie ludzie nazywają pożądaniem lub namiętnością? Zawsze sądziła, że pojmuje znaczenie tych słów, ale jak można rozumieć coś, czego nigdy się nie doświadczyło? Jak można pojąć błękit, jeśli nie widziało się nigdy tego koloru? Jak zrozumieć słodycz jabłka bez skosztowania owocu? Jak poznać dotyk wody na policzku, nigdy go przedtem nie doświadczając? Nie była przygotowana na wrażenia, jakich dostarczył jej ten mężczyzna. Jego dotyk i pocałunki były dla niej czymś dotąd nieznanym. Jej ciało reagowało na niego niezależnie od jej woli. Instynktownie. Kto mógł przypuszczać, że w ogóle istnieją tak niezwykle wrażenia?

W dodatku był taki czarujący, troskliwy, zupełne przeciwieństwo Charlesa. Był idealny, czyż nie? Objawił przed nią te cuda, które mężczyzna i kobieta mogą ze sobą dzielić w sypialni. Nie miało znaczenia, że stanowiła pewnie jedną z wielu pozycji na liście jego podbojów. Nawet to było ekscytujące. W oczach tego mężczyzny, który z pewnością gościł w swym łóżku niejedną kochankę, nie dostrzegła śladu rozczarowania, tak wyraźnego w spojrzeniu Charlesa. Zaspokoila go, była tego pewna. Sposób, w jaki Hossam patrzył na nią, gdy żegnali się przy bramie, mówił jej, że

chętnie spędziłby z nią jeszcze niejedną noc. Może zmieniła się na tyle, że i Charles spojrzy na nią w ten sposób?

Dora podjechała pod dom i zastała powóz zaparkowany pod stajnią. Serce podeszło jej do gardła. Która była godzina? Wyjęła z torebki zegarek. Wpół do drugiej. Ale we wszystkich oknach ciemno - to dobry znak. Domownicy już śpią, łącznie z Charlesem. Jeśli wrócił późno, założył pewnie, że żona od dawna śpi w swojej sypialni.

Bezszelestnie wśliznęła się do stajni, by odstawić rower. Delila spała w swoim boksie. Dora poruszała się ostrożnie, żeby nie przestraszyć klaczy. Gdy wychodziła, stwierdziła z zadowoleniem, że zwierzę oddycha nadal głęboko i równomiernie. Równie cicho otworzyła i zamknęła za sobą tylne drzwi domu, po czym na paluszkach przemknęła przez hol.

- Kto tam? - warknęła w ciemnościach Bonmarie, gdy Dora mijając korytarzyk prowadzący do pokoju służącej. Światło księżycy wlewające się przez okno kuchenne nie pozwalało stwierdzić, skąd dokładnie zawołała.

- Ciii, to i a - wyszeptała Dora.

Usłyszała szuranie kroków, a potem Bonmarie wyłoniła się z mroku. Włosy miała zawinięte w tkaninę o wzorze dopasowanym do kwiatów na koszuli nocnej.

~ Myślałam, że Hazel albo Harold dobierają się do lodówki. Co robisz na nogach o takiej godzinie?

Dora już chciała odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Kto tu był panią domu? Nie musiała się tłumaczyć. Wyprostowała się.

- Coś mnie zatrzymało. O której pan Chambers wrócił do domu?

Bonmarie popatrzyła na nią z ukosa. Nie lubiła pokrętnych odpowiedzi.

- Zajechał około północy. Poszedł prosto do siebie.

- Czy wie, że nie było mnie w domu? - Starła się, by pytanie wypadło nonszalancko.

Bonmarie zmarszczyła brwi.

- Jak mówię, schował się od razu w swoim pokoju. O nic nie pytał, to i nic nie mówiłam.

Z całą pewnością zrobiłby awanturę, gdyby wiedział, albo zapytałby, gdyby coś podejrzewał. Dora odetchnęła z ulgą.

- Zatem nie widzę powodu, dla którego miałby się dowiedzieć. - Uniosła brwi dla dodania emfazy.

Bonmarie wzruszyła ramionami i wróciła do swojej sypialni.

- Nie ma sensu, żeby w ogóle z nim gadać - rzuciła jeszcze na odchodnym.

## ROZDZIAŁ 11

- Martwi się pani nadal panią Forrest? - Zadane przez panią Tillday pytanie zaskoczyło Dorę.

Wyglądała przez okno, podczas gdy powóz zmierzał ku rezydencji państwa Richmondów, gdzie odbywało się kolejne zebranie Pań Zarządzających. Jednak to nie Geraldine Forrest zaprzętała myśli Dory. Wspominała poprzedni dzień - i noc. Chciała, aby trwały bez końca. O pięknej wdowie niemal zapomniała.

- Proszę nie nastawiać się do niej wrogo - radziła towarzyszka, wydobywając z torebki rozkładane lustro i przeglądając się w nim. - W końcu porzuci te swoje gierki i nie będzie już pani więcej niepokoić.

Dora nadal milczała, więc pani Tillday podjęła kolejną próbę zwrócenia na siebie uwagi.

- Powinnam milczeć, żeby nie zepsuć niespodzianki, ale może wiadomość pomoże się pani rozchmurzyć.

Dora wreszcie zareagowała.

- Jakaś niespodzianka?

- Och, nie powinnam była nic mówić. Proszę nie zwracać uwagi.

- Teraz nie może się już pani wycofać. Niech pani powie! - Dora czuła, że powoli ogarnia ją panika.

- Wygadać czy nie? Zlitować się czy trzymać panią w niepewności? - Pani Tillyday wsunęła lusterko z powrotem do torby.

- Błagam!

Kobieta się roześmiała.

- Dobrze, już dobrze. Zdradzę zatem odrobinę, żeby nie zepsuć całej niespodzianki. Pani Gilmore była wczoraj na herbacie u pani Richmond i słyszała o pani spotkaniu z panią Palmer. Najwyraźniej zrobiła pani na niej jak najlepsze wrażenie i chce zlecić pani następne zadanie! - Oczy pani Tillyday były zaokrąglone z zachwytu. - Ale nie pisnę już więcej ani słówka! I tak za wiele już powiedziałam, więc niech się pani postara udawać zaskoczoną!

Dora wiedziała, że powinna się cieszyć. Przy wsparciu pani Palmer jej pozycja w towarzystwie była ugruntowana. Charles będzie musiał wyrazić uznanie. Skąd więc to ściśnięte gardło?

Gdy powóz wjechał na długi podjazd prowadzący do rezydencji Richmondów, Dora miała ochotę poprosić stangreta, by odwiózł ją do domu. Nie chciała wchodzić do środka. Taka ucieczka byłaby jednak śmieszna. Bądź szczęśliwa, powtarzała w głowie jak mantrę. Wczoraj nic nie znaczyło.

Przed nią - posesja państwa Richmondów, obstawiona ze wszystkich stron powozami. Wewnątrz - Panie Zarządzające. A w domu - Charles, i tylko to powinno się dla niej liczyć.

Pani Richmond przywitała Dorę i panią Tillyday przy drzwiach i dziewczyna od razu zauważyła zmianę w jej zachowaniu. Nigdy dotąd nie uśmiechała się do niej tak

szeroko, choć z drugiej strony powitanie przebiegało w pośpiechu, więc może tylko tak jej się zdawało. Gospodyni zaprowadziła je do salonu, po czym wyszła witać kolejnych gości.

Gdy tylko weszły do pokoju, Dora wyczuła, że pani Tillday chowa się do swojej skorupki. Nazywała Panie Zarządzające przyjaciółkami, ale najwyraźniej czuła się fatalnie w ich towarzystwie. Dora poprowadziła ją do stołu z przekąskami i napojami, gdzie nałożyły sobie słodkości na porcelanowe spodki i nalały pełne filiżanki gorącej herbaty. Pani Tillday nalegała, by zająć miejsce na tej samej sofie, na której siedziała podczas zeszłego spotkania, i znów, tak jak poprzednio, był to mebel najbardziej oddalony od pogrążonych w rozmowie grupek pań.

Dora rozejrzała się za bardziej centralnie położonym siedziskiem i dostrzegła panią Forrest, która właśnie wkroczyła do pokoju w sukni o barwie świeżego masła, pozornie nieświadoma, że na jej widok zamierają rozmowy, a wszystkie oczy zwracają się właśnie na nią. Dora zacisnęła zęby.

Czy rzeczywiście majątek był jedynym atutem tej kobiety? Dora przyjrzała się zgromadzonym, starając się wyczytać w ich oczach... Szacunek? Podziw? Zazdrość?

Pani Forrest zatrzymała się nieopodal grupki kobiet, które natychmiast zaprosiły ją do rozmowy. Geraldine obróciła się jednak tyłem do nich, jak gdyby instynktownie wyczuła uwagę Dory. Ich spojrzenia się spotkały. Dziewczyna odwróciła wzrok i odchyliła się na oparcie sofy obok pani Tillday.

- Co pani sądzi o obrazach impresjonistów z kolekcji pani Richmond?
- Miała nadzieję, że temat wyrwie partnerkę z jej otępiełego milczenia.
- To wprost niesłychane, w jaki sposób artyści potrafią oddać na płótnie grę światła.

Zanim pani Tillday zdążyła się odezwać, pani Richmond wkroczyła do salonu, unosząc ręce na znak, że prosi o ciszę. Gwar rozmów przygasł.

Zebranie rozpoczęło się rutynowo: raporty i pochwały od kierownictwa targów i wszelakich komisji, lista osób, które należało w najbliższym czasie uczcić obiadami lub proszonymi kolacjami, najświeższe statystyki dotyczące Wystawy.

- A teraz, drogie panie, mam niepokojące wieści, którymi przykro mi się dzielić, ale taka moja powinność. Midway nadal pozostaje źródłem problemów, a listy do redakcji gazet są dalekie od pochlebstw.

Nowina zdumiała Dorę. Jak to możliwe, że nadal wpływają skargi?

- Przepraszam, Agnes. - Pani Forrest wystąpiła z kręgu pań. - Wybacz, że to mówię, ale może nadzór był niewystarczający? - Zawiesiła spojrzenie na Dorze i wzrok wszystkich zebranych powędrował za nim.

- Nie, moja droga. Pani Palmer sama wypowiedziała się w tej kwestii i nalegała, by nie winić osób odpowiedzialnych za nadzór. Należy bowiem przyznać, że zaobserwowano znaczną poprawę w wyglądzie i zachowaniu tancerek. - Tu uśmiechnęła się krzepiąco do Dory i pani Tillday. - Jej zdaniem chodzi tu raczej o kwestię odbioru społecznego i, nie ma rady, trzeba oddać sprawę w ręce urzędników

Co to znaczy? Umysł Dory analizował różne scenariusze, dopóki pani Richmond znów nie wymówiła jej nazwiska.

- „Nasza nowa członkini, pani Chambers, poradziła sobie śpiewająco z trudnym wyzwaniem, jakim było dopilnowanie teatru egipskiego”. - Pani Richmond czytała teraz trzymany w rękach list. - „Spędza na powierzonych jej zadaniach więcej czasu, niż należałoby od niej wymagać, i składamy na jej ręce wyrazy wdzięczności za jej oddanie

sprawie i poniesiony trud. To właśnie taka sumienność i dbałość o jakość pracy powinna być wzorem dla wszystkich Pań Zarządzających. Pragnę nagrodzić panią Chambers tytułem łączniczki z zagranicznymi dygnitarzami. Swe zadania będzie wykonywała pod moim osobistym nadzorem. Podpisano z najserdeczniejszymi pozdrowieniami, Bertha Honore Palmer".

Z całej sali płynęły w stronę Dory uśmiechy i gratulacje, z wyjątkiem kącika pani Forrest, który lojalnie wyrażał obojętność. Pani Tillday aż promieniała. Dora nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Gratulacje, pani Chambers, w imieniu nas wszystkich - powiedziała pani Richmond. - To uczciwie zasłużony awans, a jestem pewna, że nie będzie pani żał pożegnać się z teatrem egipskim. Chyba nie muszę dodawać, że pani przeniesienie wchodzi w życie od zaraz.

Dora nachyliła się do pani Tillday, szepcząc:

- Nie mogę porzucić teatru egipskiego.

Koleżanka popatrzyła na nią, jakby Dora postradała zmysły.

- Nie wie pani, co to oznacza? Zadawanie się z królami i prezydentami. Będzie pani towarzyszyć pani Palmer na najbardziej wystawnych przyjęciach i balach! Nawet pani Forrest będzie pani zazdrościć.

- A pani? Nie mogę pani tak zostawić ze wszystkim na głowie.

- Słyszała pani, co pani Richmond czytała o przekazaniu sprawy urzędnikom. Mniemam, że dla mnie nic już nie zostanie. Ach, tak się cieszę! Zasłużyła sobie pani na to wyróżnienie.

Dora porzuciła temat, gdyż nagle zrobiło się wokół nich tłoczno. Najpierw zjawiła się pani Loomis, potem pani Gilmore, wraz z nimi następna dama, której nazwisko nie było



Dorze znane. Wszystkie panie skupiały uwagę na niej, podchodząc, poklepując ją po ramionach i ściskając. Kobiety, których w ogóle nie znała, zachwycaly się nią i gdakały wokół jak stado zwabionych ziarnem kwok.

Dziękowała skromnie i zbywała komplementy. Pani Tillday oddaliła się dyskretnie, ale Dora pozostała pośrodku salonu, przyjmując najlepsze życzenia, tony wizytówek oraz zaproszeń na herbatę i kolację.

Zamieszanie z jednej strony przytłoczyło ją, a z drugiej -dodało energii. Kiedy większość pań oddaliła się, by szykować się do wyjścia, wdzierając kapelusze, płaszcze i pelerynki, do Dory podeszła ta, od której nie spodziewała się otrzymać gratulacji.

- Pani Chambers, jaki to zaszczyt dla pani - wymruczała pani Forrest.  
- Nawet pani jednak musi sobie zdawać sprawę z ogromu obowiązków, I cóż to za odpowiedzialność. Muszę przyznać, że Bertha zaskoczyła mnie wyborem kogoś świeżo przybyłego do naszej grupy i to kogoś tak...

Dora czuła, jak napinają się jej mięśnie.

- No cóż, z pewnością coś w pani dostrzegła, jak my wszyscy. Prawda, kochane? - Pokiwała głową, a w ślad za nią całe stadko innych kobiet, które otaczały ją jak trutnie królową pszczół.

Pani Forrest podeszła bliżej i położyła dłoń na ramieniu Dory w protekcyjnym geście.

- Może przejdziemy się po ogrodzie? Omówimy sobie wszystkie nowe zadania i może pomogę pani zdecydować, czy czuje się pani na siłach, żeby im sprostać.

Dora chciała odmówić, ale tłum się już rozstał.

Z panią Forrest kroczącą na czele wyszły na zewnątrz i wstąpiły na brukowaną ścieżkę, prowadzącą wśród krzewów w głąb ogrodu, z dala od posesji. Szły obok siebie przez wypielęgnowany różany zagajnik, całe w uśmiechach i słodkich

spojrzeniach, jak gdyby ich przechadzka była spotkaniem przyjaciółek mających ochotę wymienić się ploteczkami.

- Doro, powiedz szczerze, czy byłaś równie zdziwiona jak ja, kiedy pani Richmond ogłosiła twoją nominację na nowe stanowisko? Kto by pomyślał, że ze wszystkich Bertha wybierze właśnie ciebie. Doprawdy zdumiewające.

Do czego zmierzała? Dora przytaknęła cicho, choć jej umysł pracował na pełnych obrotach w poszukiwaniu pułapki.

- Wiesz, coś mi się wydaje, że po części sama ponoszę za to odpowiedzialność. Widzisz, byłam wczoraj u Berthy w twojej sprawie.

- Napotkała spojrzenie Dory. - Tak, nie wątpiłam, że to zrobi na tobie wrażenie. Ale przyznam szczerze, że nie o taki efekt mi chodziło. Opowiedziałam jej bowiem o tym, jak aktywnie spędzasz czas w teatrze egipskim.

Dora nie wierzyła własnym uszom.

- Och, skąd to zdziwienie? Od początku wiedziałam, że nie chodzisz tam po to, by przysłużyć się naszej komisji, lecz w zgoła innych celach. Wczoraj widziałam cię tam bez twojej partnerki, a za to w towarzystwie jednej z tancerek brzucha. Jak jej na imię? Nieważne zresztą. Zafrapowała mnie twoja obecność, bo teatr był już nieczynny. Możesz sobie wyobrazić mój niepokój. Po co tam idzie?, zastanawiałam się. W dodatku nie był to pierwszy raz, kiedy zauważyłam cię tam o dziwnej porze.

- Nie wiem, co pani sugeruje. Pracowałam z tancerkami, doradzając im w kwestii strojów i zmiany zachowania. -Głos Dory był spokojny. Zmusiła się, by nie zaprzestawać marszu, choć nogi miała sztywne jak kije.

- Rozumiem.

Po sposobie, w jaki pani Forrest wypowiedziała ten jeden wyraz, dało się poznać, że nie wierzy w ani jedno słowo Dory.

- Wiesz, co powiedziała Bertha, kiedy wyjawiałam jej, co odkryłam? Ach, to doprawdy świadectwo jej poczciwej, naiwnej natury. Ucieszyła się, że tak sumiennie zajęłaś się sprawą Egipcjan. Wydaje jej się, biedaczce, że twoje zainteresowanie nimi płynie z chęci pomocy im w dopasowaniu się do społeczeństwa. - Geraldine urwała, chowając się za wyjątkowo dorodnym krzakiem róży.

Dora nie wiedziała, co powiedzieć. Z trudem łapała powietrze. Wbiła wzrok w rąbek spódnicy Zapadło długie milczenie, w którym dotarli do końca ogrodu. Ścieżka rozszerzała się tutaj i można było spocząć na jednej z ławek z widokiem na japoński staw i mostek, wznoszący się wśród smukłych trzcin.

I wtedy wszystko ułożyło się w jej głowie w prostą układankę. Nie miała powodów do obaw. Pani Forrest nie dysponowała żadnymi dowodami przeciwko niej. Ośmielona świadomością tego, zwróciła się do Geraldine:

- I wtedy pani plan zrujnowania mnie legł w gruzach, tak? - Jej ton był chłodny, ale tylko ona sama wiedziała, ile wysiłku kosztowało to opanowanie. Musiała postawić się Geraldine Forrest. Teraz albo nigdy. Kobieta poprawiła ozdobę na szyi.

Dora wyprostowała plecy, uniosła podbródek.

- Nie zaszkodzi mi pani swoim szpiegowaniem i oskarżeniami.

„I z Charlesem również poniesiesz porażkę”, chciała dodać, ale powstrzymała się. Wszystko w swoim czasie.

Rumieniec oblał policzki pięknej wdowy.

Teraz pozostawało już tylko odejść. Odwrócić się i oddalić pod ramię z wiktoria.

Jednakże pani Forrest błyskawicznie się opanowała. Schowała wściekłość za maską uśmiechu, wykrzywającego kąciki jej ust.

Dora ruszyła w kierunku domu.

- Ależ Doro - zawołała za nią Geraldine - nie dałaś mi dokończyć.

Dziewczyna zatrzymała się. Rzuciła pani Forrest spojrzenie przez ramię.

- Otrzymałam dziś list od pani Sheffield - zaczęła wdowa. - Wiadome ci jest, że podróżuje, prawda? Obecnie odwiedza twoje strony, jest w Nowym Orleanie. - Przerwała, aby dać Dorze czas na przetrawienie tej informacji. - Prosiła, aby ci przekazać, że nie ma pojęcia, dlaczego opuściłaś takie piękne miejsce. Może tylko trochę tam za ciepło jak na jej gust.

Dora stała ze ściśniętym gardłem.

- Podróż pociągiem znużyła ją nieco, ale cieszy ją perspektywa zwiedzania. W okolicy jeziora Pontchartrain zatrzymała się u krewnych męża, ale teraz nocuje w przedziwnym pensjonaciku w Dzielnicy Francuskiej. Miał taką ładną nazwę... - Postukała palcem w wargę. - Ach tak, Hotel Devereaux! Charles wspominał mi o nim. Pewnie i ty go znasz?

Czy pani Forrest wie, jaki jest jej związek z hotelem? Nie, niemożliwe, by Charles wyjawiał coś podobnego.

- Taka z niej droga przyjaciółka. Pisze do mnie każdego dnia i aż trudno mi wyrazić, z jaką niecierpliwością oczekuję na każdą wieść od niej. Może kiedy wróci, umówicie się na herbatę? Z pewnością przywiezie z podróży mnóstwo ciekawych informacji.

Słowa spadały na Dorę jak gromy. Nie była w stanie się poruszyć. Jak mogła udawać, że nie widzi, jak starannie budowane mury jej świata wałęsały się wokół niej? Przynajmniej zachowa twarz, nie przyjmie roli pokonanej. Nie da Geraldine Forrest tej satysfakcji. Odwróciła się na pięcie i zostawiła rywalkę tam, gdzie stała, wpatrzoną w pomarańczowe i srebrne rybki przemykające w spokojnej, lśniącej wodzie stawu.

Następnego ranka Dora zostawiła rower przy bramie u wylotu Ulicy Kairu i sprawdziła godzinę. Było jeszcze wcześniej - do pierwszego pokazu w teatrze egipskim pozostała przynajmniej godzina. Udała się prędko do pokoju Aminy, witając się po drodze ze sklepikarzami i ludźmi z targów, których zdążyła poznać przez ostatnie tygodnie. Nie zatrzymywała się jednak na pogaduszki. Nie zwolniła kroku dopóki nie stanęła przed drzwiami tancerki. Zapukała.

Nikt nie odpowiedział. Zastukała ponownie i zawołała:

- Amina? To ja, Dora Chambers. Jesteś tam?

Za drzwiami nadal panowała cisza. Wróciła na zewnątrz, mając nadzieję, że spotka kogoś, z kim będzie mogła porozmawiać. Pusto. Poszła na plac i tam dostrzegła Aminę idącą w jej kierunku z zatroskaną miną.

- Przyszłaś trochę za wcześniej - przywitała ją tancerka. - Teatr jest jeszcze zamknięty. - Jej twarz była pomarszczona ze smutku i zdenerwowania, a oczom brak było zwykłego blasku.

- Musimy porozmawiać.

- Czy to nie może poczekać? To nie najlepsza chwila. - Jej spojrzenie błędziło gdzieś w oddali, jakby całą noc nie zmrużyła oka.

- Możemy pomówić w środku? Amina spojrzała na nią podejrzliwie.

- O co chodzi?

Minęła Dorę w progu i ruszyła do swojego pokoju. Dziewczyna poszła za nią.

Gdy weszły do środka, nawet nie schyliła się, by uporządkować porozrzucane po podłodze poduszki i rozkopane sterty ubrań.

- Czy coś się stało? - spytała Dora.

Amina wymusiła śmiech. Potrząsnęła głową, jakby pytanie było absurdałne.

- Nie bądź niemądra. Wszystko jest w porządku. Rozmawiałam właśnie z Hossamem, on to potrafi się martwić za trzech. Zawsze spodziewa się najgorszego.

Serce Dory ścisnęło się na dźwięk jego imienia. Nie wolno jej się rozpraszać, nie może teraz o nim myśleć. Musi się skupić na problemie, z którym przybyła.

- Doszły mnie słuchy o pewnych rzeczach, o których powinniście wiedzieć. - Słowa uwięzły jej w gardle. Skubała falbanę na spódnicy.

Amina stanęła przed nią, patrząc jej prosto w twarz. Zdawała się starsza, jak gdyby przez tych kilka dni, kiedy się nie widziały, przybyło jej parę lat.

- Co to za wieści?

- Skargi.

Jeśli jakieś światełko lśniło jeszcze w oczach Aminy, to na dźwięk wypowiedzianego przez Dorę słowa zgasło.

- Jak to możliwe? Zrobiłyśmy wszystko, o co prosiłaś.

- Ja też nie rozumiem... Tak mi przykro.

Tancerka podeszła do okna. Wyjrzała przez szybę, omijając wzrokiem drewnianą barierę, kierując spojrzenie w błękit nieba.

- Czego życzą sobie teraz Panie Zarządzające? To była najgorsza wiadomość.

- Oddają sprawę w ręce kierownictwa. Amina obejrzała się na nią z przerażeniem.

- Nie mogą tego zrobić. Proszę, powiedz im.

- Nie mam w tej kwestii prawa głosu.

- Wiesz, co to oznacza. Skonfiskują nasze gąże. Rozległo się mocne pukanie do drzwi i wszedł Hossam. Jego widok porwał Dorę i zaniósł z powrotem w ich

wspólnie spędzoną noc. Długie pocałunki, pieszczoty, silne ramiona oplatające jej talię, muśnięcia jego włosów na jej skórze. Każdy dotyk, każde drzenie wróciło do niej, aż zachwiała się na nogach.

Jej ruch zwrócił jego uwagę i mężczyzna stanął jak wryty. Napięte rysy jego twarzy złagodniały.

- Nie wiedziałem, że masz gościa - odezwał się do Aminy. - Możemy porozmawiać później. - Odwrócił się do wyjścia, ale tancerka go zatrzymała.

- Zaczekaj! Spotkałeś się z przedstawicielami kierownictwa? - chciała wiedzieć.

Obrzucił Dorę krótkim spojrzeniem i zwrócił się do Aminy.

- Tak, ale powinniśmy pomówić o tym kiedy indziej. Dora zrobiła krok naprzód.

- Chciałabym wiedzieć, co wam powiedziano. Potarł się po brodzie.

- Nie jest dobrze. Twierdzą, że nie współpracowaliśmy z Panią Zarządzającą. Wspomnieli o konsekwencjach.

- Nigdy nie powiedziałam, że nie współpracujecie! Zawsze bardzo was chwaliłam, was wszystkich, każdej członkini komisji.

- Oczywiście. Nie podejrzewamy, żeby wypłynęło to od ciebie, prawda Hossamie? - Amina spojrzała na niego znacząco.

- To dla nich wygodna wymówka - powiedział.

Dlaczego na nią nie patrzy? Może wini ją za tę sytuację. Ale jak może to czynić? Po tym wszystkim, po tamtej nocy.

- Omówimy to wspólnie przy jedzeniu. Tyle chciałem ci zakomunikować. - Wycofał się w stronę drzwi. - Żegnaj, Doro - powiedział, nie podnosząc głowy, i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Dziewczyna patrzyła, jak odchodzi, po czym jej wzrok powędrował w miejsce, gdzie przed chwilą jeszcze stał Hossam.

- Dlaczego nazwał cię Dorą? - zastanowiła się Amina, marszcząc brwi.

Zapytana, wzruszyła ramionami, jak gdyby imię nie miało najmniejszego znaczenia.

- Dlaczego zwrócił się do ciebie po imieniu?

- Jest zdenerwowany, na pewno nie myśli o takich błahostkach. Jeśli kierownictwo wstrzyma wasze pensje, to czy wówczas rozważysz Nowy Jork? - Dora za wszelką cenę chciała zmienić temat.

- Nie wiem. Pewnie wyjdzie nam to na dobre. - Amina schowała twarz w dłoniach.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Amina uniosła głowę i przez kilka chwil uważnie przypatrywała się Dorze. Nagle, szybko i bez ostrzeżenia, wstała i przytuliła ją.

- Jesteś dobrą przyjaciółką. Wiem, że nam pomożesz. Pomału, delikatnie, Dora odwzajemniła uścisk tancerki.

- Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Gdy Amina rozpoczęła przygotowania do codziennych

występów, Dora opuściła jej sypialnię. Nie było jej łatwo zachować pogodną twarz, ale jakoś jej się udało. Przyjaciółka zdawała się podniesiona na duchu obietnicą pomocy. Problem w tym, gdzie szukać wsparcia. Dora sądziła, że osiągnięty przez nią i tancerki kompromis ochroni je, lecz najwyraźniej była w błędzie. Weszła w alejkę pomiędzy kramem z dywanami a pokojami tancerek i przez swoje zamyślenie omal nie zderzyła się z Hossamem. Odskoczył w tył, w równym stopniu co ona zaskoczony spotkaniem. Uniósł ręce i pomasował sobie skronie, zasłaniając przed jej spojrzeniem niemal całą twarz.



- Proszę wybaczyć, pani Chambers - wymamrotał. Odwrócił się i ruszył w kierunku ogrodzenia, unikając patrzenia jej w oczy.

- Hossamie, proszę, zaczekaj! - Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła za nim.

Zatrzymał się, lecz nadal stał odwrócony do niej plecami. Pełnym znużenia ruchem przeczesał włosy palcami.

Stała tuż za nim. Będąc tak blisko, widziała, jak tunika opina jego muskularne ramiona, przylegając do nich jak druga skóra. Dora pamiętała, jak gładziła te ramiona palcami, jak je całowała... Spuściła wzrok.

- Czy zrobiłam coś, co cię uraziło? - Jej głos drżał. Było trudniej, niż podejrzewała.

Odchylił głowę w tył, kierując wzrok w chmury. Jego milczenie było bardziej bolesne niż jakiegokolwiek słowa, których mogła się spodziewać.

- Powiedz, co takiego zrobiłam, żebym mogła naprawić winy.

- Nie zrobiłaś nic złego - odparł łagodnie. - Ale powinnaś już iść.

Pokonała jedyny dzielący ich krok. Wyciągnęła rękę ku jego plecom, ale cofnęła ją i opuściła.

- To dlaczego nawet na mnie nie spojrzysz? Odwrócił się powoli i objął ją wzrokiem, przyglądając

się twarzy, włosom, aż wreszcie zatrzymał spojrzenie na jej oczach. Czowała jego wzrok, przesuwany się po niej jak dotyk. Hossam zrobił gest, jakby chciał ją objąć, ale cofnął się, przenosząc spojrzenie z powrotem na niebo.

- Nie mogę na ciebie patrzeć, nie mogę nawet przebywać w pobliżu ciebie, bo sam nie ręczę za siebie. - Potrząsnął głową, jak gdyby zmusiła go do wyjawienia hańbiącej tajemnicy. Zerknął przez ramię, po czym ściszył głos do chrapliwego szeptu i powiedział: - Gdybym mógł mieć

nadzieję, że mi na to pozwolisz, porwałbym cię w ramiona, zaniósł do swojego pokoju i nigdy więcej nie dał ci odejść.

Poczuła, że rumieniec zalewa jej policzki. Wszystkie wspólne doznania wróciły do niej silną falą i zakręciły jej w głowie. Dora wyprostowała się i uzbroiła przeciwko pokusie. I jej słowa przychodziły z trudem.

- To zdecydowanie nie byłoby właściwe - wyszeptała. Ogarnęła go smutna rezygnacja. Jego usta zadrgały, jakby miał na nie wypłynąć uśmiech.

- W rzeczy samej, pani Chambers, dalekie by to było od przyzwoitości. - Skłonił się jej, równie oficjalnie jak pierwszego dnia, kiedy się spotkali. Życzył jej miłego dnia, po czym oddalił się ścieżką wzdłuż budynków.

Dora patrzyła, jak odchodzi, nie mogąc się poruszyć, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Sięgnęła po mosiężną kołatkę na drzwiach państwa Richmondów, jeszcze zanim wiedziała, co zamierza zrobić. Lokaj Cecil otworzył i przywitał Dorę grzecznie, po czym zaprosił do holu. Tam zostawił ją na chwilę, by mogła podziwiać wysoki snop róż ustawiony w wazonie na środkowym stoliku, podczas gdy sam udał się do swej pani spytać, czy przyjmie gościa.

Wrócił chwilę później z wiadomością, że pani Richmond jest w oranżerii i będzie zachwycona towarzystwem. Poprowadził ją korytarzem i Dora starała się nie myśleć o ostatnim razie, gdy zwiedzała tę część domu Richmondów. Była to noc, gdy po raz pierwszy dowiedziała się o romansie Charlesa. Patrzyła prosto przed siebie i przywołała na twarz najśłodszy uśmiech, jaki miała w repertuarze, gdy tylko dostrzegła panią Richmond.

Gospodyni była ubrana w prostą, zgrabnie dopasowaną sukienkę z guzikami w kształcie perełek i dekoltem obszytym paskiem srebrzystego aksamitu. Siedziała przy niedużym stoliku nad japońskim stawem. Na wysokości jej łokcia stał mały czajniczek, a w rękę trzymała filiżankę i spodek. Na widok Dory odstawiła je i wstała, by powitać gościa.

- Jak miło cię widzieć, kochanie. Może napijesz się herbaty? - Pocałowała powietrze przy uszach Dory i wskazała jej miejsce po drugiej stronie stołu.

Poleciała Cecilowi, by przyniósł jeszcze jedną filiżankę ze spodeczkiem. Kiedy był już niemal za progiem, zawołała go i poprosiła jeszcze o czajniczek świeżo zaparzonej herbaty. Potem skupiła uwagę na Dorze.

- Co cię do mnie sprowadza tego ranka? - spytała, sadowiąc się na powrót w swym wiklinowym fotelu.

Dora zmusiła się, by spojrzeć pani Richmond w oczy. Musiała zebrać w sobie całe pokłady odwagi.

- Rozwazałam ofertę pani Palmer.

- Ach, to naprawdę coś! Cóż za zaszczyt!

- Mam jednak wrażenie, że na niego nie zasłużyłam.

- Nonsens! Pani Palmer ma o tobie bardzo dobre zdanie w związku z twoją pracą nad usprawnieniem teatru egipskiego.

- Właśnie o to mi chodzi. Może powinnam była zrobić więcej.

Pani Richmond machnęła ręką na jej troski.

- Czasem po prostu nie da się zrobić nic więcej. Ty z pewnością zaskoczyłaś wszystkich swoim zaangażowaniem.

- Mogę bardziej się postarać.

- Kochanie, na nowym stanowisku nie będziesz miała czasu na użeranie się z Egipcjanami.

- A gdybym pozostała przy obecnych obowiązkach? Pani Richmond spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

Nie mogła porzucić Egipcjan, choć oferta pani Palmer mocno ją wabiła. Nawet teraz, gdy o niej wspomniała, czuła olbrzymią pokusę, by ją przyjąć. Była jednak jeszcze jedna przyczyna, dla której musi pozwolić przepaść szansie. Jej odrzucenie może ułagodzić panią Forrest na tyle, że zaniecha zemsty. Z drugiej strony myśl o poddaniu się tej kobiecie jeżyła Dorze włosy na głowie. Oddanie zwycięstwa w ręce Geraldine Forrest było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Ale skoro już tu przyszła, nie było odwrotu.

- Wiem, że mogę tu jeszcze pomóc, ale też nie chcę być niewdzięczna wobec pani Palmer. To dlatego zwracam się do pani. Wiem, że pani Palmer liczy się z pani zdaniem. Miałam nadzieję, że poradzi mi pani, jak postąpić.

Pani Richmond milczała jak zaklęta.

- Gdybym dołożyła jeszcze więcej starań, czy jest szansa, że pani Palmer nie zdecyduje się oddać sprawy w ręce urzędników? - Przygryzła wargę.

Wrócił Cecil z tacą, na której spoczywały czajniczek, filiżanka ze spodkiem, a także talerz słodkich bułeczek. Postawił tacę przed panią Richmond, a Dorze nalał herbaty. Wręczył jej filiżankę i wyjął z kieszeni kopertę. Podał ją pani Richmond.

- Właśnie dostarczono to do pani. Z rezydencji pani Forrest.

Pani Richmond rozdarła kopertę i przeczytała liścik. Następnie złożyła kartkę, wsunęła ją z powrotem do koperty i zatknęła między spódnicę a poręcz krzesła. Miała nie najszcześniejszą minę.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku - odezwała się Dora.

Pani Richmond zerknęła na nią, jakby całkiem zapomniała o jej obecności.

- A, tak, tak, dobrze. A teraz powtórz swoje pytanie. Dora spróbowała ponownie, starając się, by jej prośba zabrzmiała niewinnie.

- Obawiam się, że kierownictwo targów potraktuje niesłusznie Egipcjan. Prosiłabym o jeszcze jedną szansę, chciałabym pomóc.

Pani Richmond skupiła się na Dorze z całych sił, jak gdyby poruszana przez nią kwestia była tak zawiła, że wymagała wielopoziomowej analizy. Wreszcie spytała:

- Nawet jeśli będziesz musiała wyrzec się stanowiska zaproponowanego przez panią Palmer?

Dora skinęła głową.

Gdy pani Richmond rozważała sprawę, jej spojrzenie błędziło pomiędzy gościem a otrzymanym liścikiem.

- Pomoże mi pani?

Pani Richmond oparła się w fotelu.

- Zobaczę, co da się zrobić, ale nie mogę składać żadnych obietnic. Pani Palmer potrafi być stanowcza w osiągnięciu tego, co chce.

- Oczywiście. Będę wdzięczna za każdą pomoc. -W spojrzeniu pani Richmond wyczytała, że wizyta powinna dobiegać już końca. Podniosła się z krzesła. Pani Richmond również wstała.

- Na pewno masz napięty harmonogram dnia, nie będę cię zatrzymywać.

Gospodyni uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Cecil, pani Chambers wychodzi. Odprowadź ją. Lokaj skłonił się i zaczekał, aż Dora do niego dołączy.

- Odezwę się niedługo - rzuciła jeszcze pani Richmond, po czym wróciła wzrokiem nad staw.

Pedałując w stronę domu, Dora odtwarzała w głowie odbytą właśnie rozmowę.

Co zawierał liścik od pani Forrest? Czy były w nim jakieś złe wieści, czy też nastrój pani Richmond nie miał z wiadomością nic wspólnego? Może był on tylko związany z prośbą Dory. Dama zdawała się jednocześnie zaskoczona, poirytowana i wymuszenie uprzejma.

Może przesadą było podejrzenie, że notka mogła mieć coś wspólnego z jej osobą. Niemniej jednak, jadąc wzdłuż jeziora i wystawiając twarz na pieszczotę wiatru, Dora nie potrafiła odgonić niepokojących myśli.

Gdy wreszcie dotarła na podjazd przed domem, coś jeszcze wywołało w niej niepokój. Doktor Bostwick pochylał się nad jej bugenwillą, oglądając smukłe gałązki i maleńkie zielone listki, podszczypując je i odwracając do światła, jak gdyby badał pacjenta.

Dora zatrzymała rower tuż przy lekarzu, który odwrócił się przestraszony.

- Ach, nakryła mnie pani! - powiedział, chichocząc, po czym wrócił do przeprowadzanej analizy.

- Owszem. - O tak, przyłapała go na udawaniu dobrego, niosącego pomoc człowieka, gdy tymczasem wyłudzał zapłatę od Egipcjan.

- Martwi mnie stan tej ślicznotki. - Palce przesuwają się po gałązkach.  
- Nie podobają mi się te plamki. Zły znak. Nie przesadzała już pani z wodą, prawda?

- Podlewałam tylko tyle, ile pan zalecił.

Zsiadła z roweru, oparła go o ścianę i zajrzała sąsiadowi przez ramię. Zauważyła, że przez cały zeszły tydzień bugenwillą nie wypuściła ani jednego nowego listka, ale nie dostrzegła plamek na starszych liściach. Wyciągnęła rękę i dotknęła roślinki.

- Co może być przyczyną?

- Nie mam pewności. Może jakiś pasożyt w korzeniach, może podlewanie, a może po prostu nie lubi naszego klimatu.

- Co powinnam zrobić?

Wypuścił liść z ręki, po czym potarł dłonie, by oczyścić je z ziemi.

- Poczekać i zobaczyć, co będzie.

- Zanim pan pójdzie, mam jeszcze jedno pytanie.

- Wszystko w porządku?

Nawet teraz jego głos przepelniony był dobrocią. Może wyciągnęła niesłuszne wnioski. Na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Wezbrała w niej nadzieja, że wszystko było winą jakiegoś nieporozumienia.

- Chodzi o Egipcjan, o tę kobietę, której pan pomógł.

- O nich? Moja droga, dlaczego tak bardzo się nimi przejmujesz? - Pokręcił głową i zachichotał.

Zacisnęła zęby.

- Twierdzą, że wziął pan od nich pieniądze. A mnie powiedział pan...

- Już, już. Sama pani widziała, jak zapełnia się ten ich teatr. Jestem przekonany, że nawet nie zauważyli braku skromnej sumki, o jaką poprosiłem. - W jego głosie nie było cienia wstydu czy skruchy.

- Nie tak się umawialiśmy.

- Może i tak, ale nie ma przecież powodu martwić się...

- Przez pana wyszłam na kłamczuchę. Zmarszczył brwi.

- Nie widzę powodu, żeby z takiej błahostki robić zaraz straszną zbrodnię.

- Ile pan od nich wziął, doktorze?

- Tyle, ile zawsze biorę za wizytę domową. Pięć dolarów. Plus opłata za wstęp na teren targów i inne przygodne wydatki.

- Zatem ile? Siedem dolarów? Osiem? Spojrzał w dal.

- Chyba było to około dwudziestu. Teraz kipiała już ze złości.

- A więc zabawił się pan ich kosztem, tak? - Jak mogła mu zaufać! To uciekające spojrzenie, wąskie usta skąpca, siwe włosy w nieładzie. Co za chytrus, co za oszust!

- Moja droga, to tylko Egipcjanie.

- I to pana usprawiedliwia, tak?

Wzruszył ramionami, najwyraźniej będąc zdania, że owszem, tak.

Dalsza dyskusja mijała się z celem. Nie dojrzy zła w tym, czego się dopuścił. Nauczkę dostała jednak ona, nie on.

- Nigdy panu tego nie wybaczę - wycedziła, po czym obróciła się na pięcie i zostawiła go stojącego nad bugenwillą i kręcącego w zamyśleniu głową.

Siedziała nadal w salonie, przeglądając czasopisma i pielęgnując zły nastrój, gdy usłyszała kroki Charlesa na schodach przed wejściem. Zerwała się na nogi i rzuciła pismo na sofę. Czekala na niego, gdy otworzył drzwi.

- Jak ci minął dzień, kochanie? Może pomogę ci z tym płaszczem. Proszę, pozwól, że to wezmę. - Zsunęła mu okrycie z ramion, przytrzymując mocniej, gdy wyciągał ręce z rękawów. Wreszcie nadarza się okazja!

- Uspokój się, Doro, daj mi chwilkę. - Pozwolił jednak, by wyjęła mu z rąk melonik i powiesiła go na wieszaku. Sam strzepnął pył z garnituru.

Gdy mąż na chwilę się odwrócił, Dora odwiązała tasiemkę przytrzymującą kołnierz sukni, tak że po chwili dało się dostrzec skrawek bielizny.

Charles przeszedł do gabinetu.



- Czego mogę się spodziewać na obiad? - rzucił przez ramię.

Oparła się o framugę i przeciągnęła palcami po dekolcie. Wielokrotnie ćwiczyła ten ruch przed lustrem, starając się osiągnąć efekt spontaniczności.

- Pieczonego jagnięcia. Nie czujesz, jak pięknie pachnie? -Była dumna, że może oznajmić, że na stole pojawi się jedno z jego ulubionych dań. Ubłagała Bonmarie, by je przyszykowała, zakładając, że wreszcie któregoś wieczoru musi wrócić do domu. Jej wiara i nadzieja miały zostać nagrodzone.

Charles nalał sobie whisky, ale nie odpowiedział. Poklepał się po krawacie, jakby zamierzał się odezwać, ale uniósł tylko szklanekę i wziął tęgi łyk trunku.

- Jak twój dzień? - ponowiła pytanie. To zawsze motywowało go do mówienia. Oczekiwała wykładu na temat obecnego stanu interesów w banku.

- Nic szczególnego. - Opadł na fotel za biurkiem i otworzył gazetę pozostawioną dla niego przez Hazel.

Schował się za nagłówkami o uchwałach i procesach. Odwróciła wzrok, by nie napotkać złych wieści o tancerkach.

- Jesteś pewnie zmęczony. - Stała za mężem i położyła dłonie na jego ramionach. Poczowała, jak rozluźnia się pod jej dotykiem. Masowała jego kark i szyję. Wydało jej się, że usłyszała cichy jęk, i wiedziała, że jej plan działa.

- A ty co dziś porabiałaś?

Zaskoczył ją. Tak rzadko pytał o cokolwiek, a ona tak wiele miała przed nim do ukrycia.

- Jak zwykle - odparła. Wykręcił szyję, by spojrzeć na żonę. Szybko wymyśliła temat, żeby go zająć. - Doktor Bostwick - wyrwało się jej. - Widziałam dziś doktora Bostwicka.

- Tak? I jak się miewa?

Jest zepsutą żmiją, ale tego nie mogła powiedzieć.

- Dobrze go znasz?

Charles opuścił głowę, delektując się masażem.

- Całkiem niezłe, jak to sąsiada. Był bliskim przyjacielem mojego ojca.

- Ja go nie lubię. - Proszę, wyrzuciła to z siebie i poczuła się lepiej. Usłyszała, że Charles chichocze.

- Czym sobie biedaczyna zasłużył na twoją niechęć?

- Oszukał Egipcjan.

- Oszukał? - Nawet Charles lubił ciekawe plotki.

- Właśnie tak. Poprosiłam go, żeby zajrzał do jednej z tancerek, gdy zachorowała. Zaproponowałam zapłatę, ale on zapewnił mnie, że nie weźmie pieniędzy za wizytę. A potem zmienił zdanie i kazał sobie zapłacić poczwórną stawkę! Możesz w to uwierzyć?

Dora spodziewała się współczucia, nawet protekcyjnego, ale jednak współczucia. Zamiast tego doczekała się wybuchu śmiechu.

- Co w tym śmiesznego?

- Wybacz, zupełnie nic. Ale przecież każdy ma prawo do zarobku, prawda? Ceny zależą od tego, co dyktuje rynek. Biznes to biznes.

- Charles!

- Zgoda, masz rację. Nie powinien był tak się zachować. Bardzo się na ciebie gniewali?

- Nie, ale potrzebują tych pieniędzy. Nie wiesz, jak oni żyją.

- Zapłacili mu, a do ciebie nie mają żalu. Przykro mi, ale nie rozumiem, w czym widzisz problem.

- Problem polega na tym, że ich wykorzystał. - Miała ochotę udusić Charlesa. Jak mógł być tak nieczuły?

Zaśmiał się jeszcze, po czym obrócił fotel, by znaleźć się twarzą do niej. Chwytał ją w pasie i wydawało jej się, że zauważyła w jego oczach błysk, gdy wyczuł, że nie ma na sobie gorsetu. Przesunął palcami po jej biodrach i udach.

Wreszcie miała to, o co walczyła, więc dlaczego tak bardzo chciała mu się wyrwać?

Widziała głód w jego oczach, kiedy mówił:

- Kochanie, jesteś obdarzona zbyt wielkim sercem. Ludzie to wykorzystują. To tylko Egipcjanie. Zrobiłaś coś z włosami?

- Widziałam tę fryzurę w jednym z pism. Podoba ci się? -Udało jej się skorzystać z okazji i umknąć jego rękom. Odwróciła się, żeby mógł zobaczyć luźne fale zebrane w mały koczek nad karkiem. Udawała, że cieszy się z jego komplementu, a zarazem nie dostrzega bezdusznej uwagi na temat Egipcjan.

- Podoba mi się, bardzo twarzowa.

Zdawało się, że Charles ma ochotę znów ją do siebie przyciągnąć. Zrobiła krok w kierunku wyjścia, by być poza jego zasięgiem.

- Sprawdź, co z obiadem - wymusiła uśmiech.

W zamknięcie drzwi włożyła więcej siły, niż zamierzała. Ściany aż zadrżały.

Później, w trakcie obiadu, unikała spojrzenia męża. Gdy zasiadł przy stole, widać było po nim uspokajające działanie alkoholu. Czowała na sobie jego wzrok. Delektował się posiłkiem. Nawet Bonmarie doczekała się komplementu, gdy sprzątała ze stołu. Był w tak dobrym nastroju, jakiego nie widziała od tygodni, i wiedziała, że jeśli chce się wkupić w jego łaski, to ta noc da jej szansę. Nie raz, nie dwa zauważyła, jak jej się przygląda. Nie jej twarzy, ale niżej. Przez tyle czasu Dora marzyła, by obdarzył ją takim spojrzeniem, a teraz nie odczuwała nawet cienia satysfakcji. Gdy Charles skończył jeść, złożył serwetkę, obszedł krzesło żony i pochylił się nad nią, szepcząc jej do ucha:

- Przyjdź do gabinetu powiedzieć mi dobranoc, zanim się położysz.

- Oczywiście, kochanie - odparła, biorąc do ust kęs ziemniaka.

Rozumiała, co naprawdę oznacza jego prośba, i powinna była natychmiast odsunąć talerz i rzucić mu się w ramiona. Jednak nie uczyniła tego. Myśl o położeniu się w łóżku wraz z nim, a co dopiero pod nim, wzbudziła w niej odrazę.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Jego usta były chłodne i miękkie, oddech słodki i ciężki od whisky. Słyszała, jak idzie przez hol i wchodzi do gabinetu. Brzęk karafki o szklanekę podpowiedział, że nalewa sobie więcej.

Odczekała parę minut, dojadła swoją porcję i zsunęła z nóg pantofle. Trzymając je w ręce za obcasy, po cichu minęła jego pokój, przemierzyła schody i weszła do swojej sypialni. Bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi i zasunęła zasuwkę, by nie skrzypiały.

Wśliznęła się do łóżka z nadzieją, że szybko nawiedzi ją sen.

Niestety, nie nadchodził.

Leżała w ciemnościach, zastanawiając się, jak zareaguje Charles, gdy zorientuje się, że nie przyszła życzyć mu dobrej nocy. I czy uwierzy jej następnego ranka, gdy powie, że po prostu zapomniała?

Później rozmyślała nad tym, dlaczego nic nie czuje, słysząc, że drzwi otwierają się i zamykają, a potem powóz rusza, wioząc Charlesa, dokładnie wiedziała dokąd.

I nad tym, dlaczego pocałunki Hossama rozpałały w niej ogień, a dotyk ust męża zmieniał ją w lód.

## ROZDZIAŁ 12

Dora siedziała przy toalecie, przygotowując się, by stawić czoła dniu, gdy Bonmarie zapukała do drzwi.

- Proszę - zawołała Dora, naciągając kolejny lok i przypinając go wsuwką.

Służąca podeszła do niej, wyciągając rękę z listem.

- Przyszło do ciebie.

Dora odłożyła spinkę i przejęła przesyłkę.

- Od kogo?

Bonmarie wzruszyła ramionami.

Dziewczyna otworzyła kopertę cynowym nożem do papieru, wyjęła poskładaną na czworo kartkę i rozłożywszy ją, przeczytała krótką wiadomość: „Proszę przybyć do mnie w południe”.

Pod spodem widniał podpis pani Richmond. Serce skoczyło Dorze do gardła. Najwyraźniej kobieta zdążyła się już zobaczyć z panią Palmer!

Punktualnie o dwunastej stanęła na progu rezydencji Richmondów i zapukała. Cecil powitał ją i poprowadził korytarzem, a potem przez dwuskrzydłowe drzwi. Dora znalazła się w przesiąkniętej dymem cygar bibliotece. Ciemna

boazeria czyniła ją mroczną pomimo blasku słońca zalewającego ulicę. Pani Richmond siedziała na sofie naprzeciw bogato rzeźbionego biurka. Nalewała sobie właśnie herbatę z czajniczka, który zdjęła ze srebrnego wózka.

Jakakolwiek nadzieja na miłe odwiedziny zniknęła, gdy Dora zorientowała się, że gospodyni nie jest sama. W fotelu obok rozpierała się pani Forrest, uśmiechając się słodko, jak gdyby spotkały się we trzy na przyjacielską pogawędkę. Dora z całych sił starała się zachować spokój.

- Cieszę się, że dotarłaś na czas - odezwała się pani Richmond głosem o wiele bardziej posępnym niż zwykle. - Proszę siadać. Tam. - Wskazała na twarde drewniane krzesło.

Dora podeszła, gdzie jej kazano, i wygładziła spódnicę, by usiąść.

- Pani Tillday, pani niech również spocznie. - Wzrok damy powędrował za biurko, w stronę okna.

Partnerka Dory pojawiła się nagle, jak wyciągnięta z kapelusza prestidigitatora. Dziewczyna spróbowała nawiązać z nią kontakt wzrokowy, licząc na zdobycie jakiegokolwiek wskazówki co do celu spotkania, ale z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

Pani Richmond wzięła łyk ze swej filiżanki, po czym powiedziała:

- Pani Chambers, na światło dzienne wydostały się informacje, które każą podać w wątpliwość pani zdanie do bycia członkinią Komisji Pań Zarządzających.

Dora siedziała bez ruchu. Ledwo udawało jej się zaczerpnąć oddech.

- Nie umiem sobie nawet wyobrazić przyczyn, dla których zdecydowała się pani celowo wprowadzić nas w błąd - ciągnęła pani Richmond - i szczerze mówiąc, nie chcę ich znać. Popelnionego przez panią oszustwa nie da się wybaczyć, gdyż stanowi ono złamanie podstawowych zasad

przyzwoitości. - Zamilkła na chwilę, jakby sytuacja ją przerosła. Pani Tillday nie drgnęła na swoim miejscu pod oknem. - Po konsultacji z panią Palmer zdecydowałyśmy, że pani członkostwo w komisji zostaje unieważnione.

- Nie rozumiem - wydukała Dora.

Pani Richmond przerwała jej, podnosząc rękę.

- Nie będziemy negocjować.

- Proszę posłuchać - wtrąciła się pani Forrest. - Wiemy, że tak w istocie to nie pani wina. Mae dowiedziała się jednak wielu ciekawych faktów z historii pani rodziny, Doro Devereaux.

Dźwięk panińskiego nazwiska uderzył Dorę jak grom z jasnego nieba. Skąd wiedziały?

Cień szyderstwa przemknął przez twarz pięknej wdowy.

- Wygląda na to, że pani matka robiła, co mogła, by trzymać panią z dala od życia publicznego. Miała powody, prawda? Jestem przekonana, że zdaje sobie pani sprawę z ryzyka, jakie stanowi potencjalne przedostanie się takich informacji do obiegu. Mogłyby one zniszczyć nie tylko panią, ale i pani bliskich. Mogę wypowiadać się jedynie w swoim imieniu, ale cóż by to była za strata, gdyby miało się tak zdarzyć. Może warto się zastanowić, czy Chicago jest na pewno miejscem dla pani.

- Proszę, pani Forrest, naprawdę muszę nalegać. - Pani Richmond zwróciła się do Dory: - Jeśli nie ma pani nic więcej do powiedzenia, nasze spotkanie dobiegło końca. Jest pani wolna.

Dora wstała i podeszła do drzwi, powstrzymując się od płaczu, dopóki nie opuściła pokoju. Gdy wyszła, tama puściła i potoki łez zalały jej policzki. Mama, hotel, wstyd. Wiedziały o wszystkim. Sama zamknęła za sobą frontowe drzwi.

Spotęgowany odgłos jej kroków i łkania dudnił jej w głowie. Wtem kroki się zwielokrotniły. Ktoś podążał za nią

brukowaną ścieżką. Przetarła twarz odzianymi w rękawiczki dłońmi.

- Proszę zaczekać!

To była pani Tillday. Dora się zatrzymała. Partnerka - a raczej była partnerka - stanęła z nią twarzą w twarz. Jej wargi drżały, a w oczach zbierały się łzy.

- Przysięgam, nie wiedziałam, co planują. Sama pani wie, jaka pani Forrest potrafi być okropna. Pani pochodzenie nie ma dla mnie znaczenia. Tak mi przykro.

Nie miała powodu nie wierzyć w jej słowa. I nigdzie nie było tu winy pani Tillday. Jeśli ktoś ponosił odpowiedzialność, to tylko ona sama.

Dora ujęła dłoń koleżanki.

- Nie winię pani. Pozowałam na damę, ale prawda jest taka, że nigdy nią nie byłam. Jestem córką wdowy, która prowadzi pensjonat w Dzielnicy Francuskiej. Mniemałam, że tu nie będzie to miało znaczenia i że będę mogła stać się kimś innym niż dotąd. Ale przejrzałyście mnie. Od początku musiało to być jasne.

Łzy zniknęły z oczu pani Tillday.

- Ale tu nie chodzi o pani matkę.

- Zatem o co? Nie mam już czego się wstydzić. Pani Tillday spuściła wzrok.

- O co chodzi? Musi mi pani powiedzieć.

- O pani ojca. - Nadal unikała spojrzenia Dory.

- Tata zmarł przed moimi narodzinami. Nawet go nie znałam. Mówiłam pani o tym. Pani Richmond również wiedziała.

Pani Tillday zeszywniała.

- Co pani przede mną ukrywa?

Kobieta wreszcie spojrzała jej w oczy, lecz tylko na ułamek sekundy. Zawiesiła wzrok na koronkowym kołnierzyku pod brodą Dory.



- Pani Sheffield odkryła w Nowym Orleanie kogoś, kto znał pani ojca, a przynajmniej historię o nim.

- I co z tego?

- Kiedy plotki zaczęły krążyć, zrezygnował z pracy u pani dziadka i pojechał do Baton Rouge, zabierając ze sobą pani matkę. Uznano, że skoro nagle wyjechał, to pogłoski musiały zawierać w sobie prawdę.

- Ale jakie plotki?

Pani Tillday zacisnęła oczy.

- Że jego matka była niewolnicą. Murzynką.

To był jakiś absurd. Idiotyczne kłamstwo, wierutna bzdura. Tylko dlaczego w oczach pani Tillday malowała się litość? Z pewnością widzi, że to czysty obłąd. Kolejna złośliwość pani Forrest.

- To nieprawda - zachnęła się. - Ta kobieta wymyśliła tę okropną, głupią bajeczkę. Musi im pani to powiedzieć. -Pani Tillday nadal patrzyła na nią jak na niepełnosprawną lub na żebraczkę.

A więc to była nowa gierka pani Forrest. Sprytne kłamstwo, trzeba jej to przyznać. Nikt nie będzie go powtarzał otwarcie. Był to rodzaj oskarżenia skazanego na szepty i spojrzenia z ukosa.

- Ma pani rację - przyznała pani Tillday. - Oczywiście, że to nieprawda. Nie wiem, dlaczego uwierzyłam w tę historię. Musi pani jednak przekonać panią Richmond.

A więc istniał jeszcze promyk nadziei.

- Poradzę sobie, na pewno! Proszę jej powiedzieć, że to oszczerstwo, jakieś śmieszne zarzuty. Tylko niech pani porozmawia z nią na osobności. Niech pani Forrest wydaje się, że odniosła zwycięstwo. To powstrzyma ją choć na chwilę od wyrządzania dalszych szkód.

- Ale co pani zamierza?

- Muszę znaleźć sposób, by dowieść prawdy.

W drodze do domu Dora łamała sobie głowę nad sposobem zdobycia dowodów. Zwrócenie się do mamy było najbardziej oczywistym rozwiązaniem, ale do niego właśnie nie chciała się uciec. Nie miała ochoty przyznać się matce, jakiego bałaganu narobiła w Chicago. Poza tym przez dwadzieścia lat kobieta wykręcała się od odpowiedzi na pytania Dory o tatę. „Nie patrz w przeszłość”, mawiała. „Skup się na przyszłości. Ojciec nie ma z nią nic wspólnego”.

Ale w tej chwili owa przeszłość bardzo wyraźnie splatała się z przyszłością.

Wróciwszy do domu, Dora wyjęła papier listowy z szuflady toaletki i wzięła do ręki pióro. *Droga Mamo*. Przerwała. Już widziała zawiedziony wyraz twarzy matki. „To twoja wielka chwila, Doro, twój czas. Wszystko, o czym marzyliśmy dla ciebie, spełni się w Chicago. Czuję to”. Słowa mamy, wypowiedziane tuż przed wyjazdem z Nowego Orleanu, niosły ze sobą tyle nadziei.

List powie matce, jaką odniosła porażkę. Dora przeklinała swoje ciemne włosy, oczy i skórę, która zbyt szybko się opalała. Te wszystkie idiotyczne zarzuty nie miałyby prawa bytu, gdyby odziedziczyła blond włosy i bladą cerę mamy.

Niemniej jednak nadszedł czas, by przełknąć dumę. Akt urodzenia, świadectwa szkolne. Mama będzie musiała przysłać wszystko, co ma.

Zaczęła pisać. Już miała przystąpić do streszczenia pogłosek, kiedy usłyszała schodzącą po schodach Bonmarie.

Pióro zamarło w bezruchu. Pominęła niezwykle ważną osobę. Zbiegła na dół i wpadła do kuchni.

- *Chere*, przestraszyłaś mnie na śmierć! - wysapała Bonmarie, chwytając się blatu dla złapania równowagi. - Czemu to dama lata po domu...

- Potrzebuję twojej pomocy. Kobieta zlekceważyła nagłący ton Dory.  
- O czym ty mówisz? - Wzięła ściereczkę i wetknęła ją za pasek fartucha. - Jeśli chodzi o tamtą noc, to się nie bój. Nie pisnę słówka.

- Nie z tym przychodzę. - Zajęła stojący przy blacie taboret. - Wspominałaś kiedyś, że mojego ojca już nie było, gdy przyszedłeś pracować u mojej matki, ale przecież musisz coś o nim wiedzieć.

Bonmarie odwróciła się od Dory i wyjęła miskę z szafki. Postawiła ją na blacie obok otwartego worka mąki i odmierzyła szklanekę.

- O twoim ojcu?

- Muszę wiedzieć wszystko. Pewna kobieta rozsiewa najstraszniejsze plotki. - Zawahała się przez chwilę, po czym dodała: - Potrzebne mi jakieś dokumenty na temat przodków taty. Coś o rodzinie Devereaux.

- Co to za plotki?

- Mówią, że miał w żyłach domieszkę afrykańskiej krwi. Bonmarie wlepiała wzrok w mąkę.

Dora się zawstydziała.

- Wiesz, jakie są tutejsze panie. Twierdzą, że wierzą w ideę tolerancji, ale kobieta, która opowiada te kłamstwa, dobrze wie, że nigdy nie zostanie zaakceptowana, jeśli ludzie będą myśleli...

Bonmarie schowała głowę w szafce, z zapalem szukając kolejnej miski.

- Wiesz, że osobiście nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

Służąca odwróciła się ku niej z gniewnymi oczami.

- A jednak. Znaczy to dla ciebie tak wiele, że potrafisz myśleć tylko o udowodnieniu, że to nieprawda. A jeśli twój ojciec naprawdę miał afrykańskich przodków?

Dora milczała.

Bonmarie z powrotem zajrzała do szafki.

- Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz usłyszeć odpowiedzi.

- Zatem mi nie pomożesz? - Oczywiście, że tego nie zrobi. Potrafiła być uparta. Jediną nadzieją pozostawała mama. Dora skierowała się do drzwi, ale odwróciła się jeszcze.

- Po co w ogóle przyjechałaś do Chicago? Żeby patrzeć, jak odnoszę porażkę?

Bonmarie zgarbiła plecy, opadły jej ręce.

- Nic nie mogę zrobić, *ma chère*.

Dora musiała się zastanowić. Ustawiła krzesło od toaletki pod oknem i powiodła palcami po przejrzystej zasłonce wpuszczającej do pokoju złote promienie słońca. W oddali gromadziły się deszczowe chmury, tłamsząc kolory krajobrazu i pozostawiając wokół jedynie odcienie szarości. W odbiciu w szybie spostrzegła, że nie jest sama. Bonmarie przyszła za nią. Stała w progu. Dora odwróciła się do niej.

- Przyszłaś napawać się moją porażką? Bonmarie zmarszczyła brwi.

- Nie będę kłamać, *chère*. Nigdy więcej. Dorę przebiegł dreszcz.

- Opowiesz mi o ojcu?

Bonmarie przysiadła na brzegu łóżka.

- Tak, *chère*, powiem Ci wszystko. Był moim bratem.

Słowa płynące z ust Bonmarie przeszły Dorę jak wichura, jak huragan, wykręcając i płacząc przeszłość, którą dotąd знаła, w coś nierozpoznawalnego, nie do pomyślenia. Kolejne sylaby dźgały ją i sprawiały większy ból niż najgorsze złośliwości z ust pani Forrest. Teraz, kiedy Bonmarie wyłożyła prawdę tak jasno, wszystko układało się w sensowną

całość. To dlatego Bonmarie została z mamą tyle lat, i to z tej przyczyny matka tak bardzo obawiała się plotek. Dora siedziała w otepieniu, czując, że słowa prawdy wypłukują z niej resztki emocji.

Bonmarie opowiedziała bratanicy o tym, jak Charlotte Benoit zakochała się w pracowniku swego ojca. Był przystojny, z ciemną karnacją i założyła, że francuski akcent był wystarczającym dowodem na europejskie pochodzenie.

- Widzisz, nasza matka związała się z bogatym Francuzem, właścicielem ziemskim z Baton Rouge - tłumaczyła Bonmarie. - Ojciec zadbał o to, żeby nasza mama i my, jego dzieci, byli wykształceni i wolni. Kiedy mój brat zakochał się w twojej mamie, bał się powiedzieć jej prawdę. Dopiero gdy byli już po ślubie, a ona w ciąży, zebrał się na odwagę. Tak bardzo się kochali! Ze świecą szukać dwójki ludzi tak sobie oddanych jak oni. Brat wierzył, że jako jego żona wybaczy mu wszystko. Mylił się. Podczas ciąży mieszkała z nim w Baton Rouge, ale planowała zostawić jego i dziecko. Jednak kiedy ten czas nadszedł, zobaczyła swoją prześliczną nowo narodzoną córeczkę, w dodatku mającą białą skórę, nie potrafiła cię porzucić. Uciekła do rodziców z tobą w ramionach.

Bonmarie snuła opowieść, wypełniając luki dzieciństwa Dory, latając nieścisłości, które od zawsze nie dawały dziewczynie spokoju.

- Twoja matka zaczęła życie od nowa, z rodzicami i z tobą, i radziła sobie całkiem nieźle. Według mnie, to taki typ, co zawsze da sobie radę. Jej rodzicom było ciężko, kiedy do nich wróciła. Mimo to mogła być szczęśliwa, tylko że tęskniła za twoim tatą. Z czasem przekonała się, że jednak czuje do niego więcej miłości niż żalu. Wysłała list do niego, do Baton Rouge, tam gdzie go zostawiła. Nie było odpowiedzi na ten list, na żaden kolejny też nie. Chyba miałś

około trzech lat, jak wreszcie się zlitowałam i odpisałam jej, że odszedł. Wyruszył w świat kilka tygodni po powrocie twojej matki do Nowego Orleanu, zatrudniony przez jej tatę, żeby prowadzić statek po Morzu Śródziemnym. Jedni mówią, że żał mu się zrobiło zięcia i chciał mu pomóc, inni, że twój dziadek uknuł plan trzymania chłopaka z dala od córki. Tak czy inaczej, na pewno liczył na to, że statek i znajdujący się tam towar wróci majątek rodzinie, ale cóż, resztę już znasz.

To ten okręt zatonął, zabierając na dno fortunę, nadzieję, wszystko. Przynajmniej jedno w opowieściach mamy było zgodne z prawdą.

Przyszedł czas zadać pytanie, na które matka nigdy nie chciała odpowiedzieć.

- Jaki był mój tata? Bonmarie westchnęła ciężko.

- Wcale nie nazywał się Devereaux. Twoja mama wymyśliła sobie to nazwisko, żeby ukryć, co narobiła. To był Sebastian Marcel Beuprix.

- Kiedy wymówiła nazwisko brata, Bonmarie zgarbiła się i zapłakała.

Gdy tak łkała, Dora objęła jej miękkie, ciepłe ramiona, przytuliła twarz do jej szyi i zawtórowała jej w płaczu.

Siedziały tak razem przez jakiś czas, dopóki Dora nie przerwała ciszy pytaniem:

- Dlaczego przeniosłaś się do naszej rodziny, skoro byłaś wolna?

Bonmarie uniosła głowę i uśmiechnęła się, jak gdyby rozbawiona i speszona jednocześnie.

- Jak widzisz, w przeciwieństwie do brata, mnie niebiosy nie pobłogosławiły jasną skórą naszego ojca. Nasz tata miał drugą, białą rodzinę i przestał odwiedzać naszą matkę, kiedy byliśmy jeszcze mali. Zostawił jej farmę tytoniu i to wszystko. Żyło nam się dobrze, dopóki interesy dobrze

szły, ale kiedy brat wyjechał po raz ostatni, i dla nas przyszły ciężkie czasy Ziemia wyschła. Mama dopiero co zmarła, gdy napisałam do twojej matki, żeby jej o tym powiedzieć. Chyba z litości zaproponowała, żebym przeniosła się do hotelu, do pracy.

- Moja matka zrobiła z ciebie służącą? Jak mogłaś się na to zgodzić? -  
W oczach Dory znów zalśniły łzy.

- Smak wolności nie jest taki słodki, jeśli nie masz co do garnka włożyć, *ma chère*. Mogłam zostać kochanicą jakiegoś bogatego białego pana albo uczciwie pracować, jak teraz.

Dla Dory pozostawało to niepojęte.

- Chyba tak to sobie tłumaczyłam. Może to nie był jedyny powód. -  
Łagodnym ruchem odsunęła kosmyk, który wpadał Dorze do oka. -  
Tęskniłam za bratem, był ostatnim moim bliskim. Po jego śmierci byłaś jego jedyną częstką na ziemi, jedyną częstką naszej rodziny, która miała przetrwać.

Nowe łzy napłynęły Dorze do oczu wraz ze świadomością, że nikogo na świecie nigdy nie kochała tak jak Bonmarie. Nie miała żadnych wspomnień, w których byłaby nieobecna. To, że więcej niż przypadek sprawił, iż wychowała się pod jej okiem, przynosiło jej pocieszenie. Były rodziną. Łączyły je więzy krwi.

Siedziały razem na krawędzi łóżka i Dora wsunęła się w ramiona Bonmarie. Pozwoliła sobie na płacz. Bonmarie kołysała ją lekko i szeptała do ucha słowa miłości i otuchy.

Kiedy obeschły łzy, Dora zapadła w krzepiącą drzemkę. Gdy się zbudziła, Bonmarie nadal przy niej czuwała. Jej przyjaciółka, jej ciocia. Gładziła Dorę po ramieniu i mruczała cichutko jakąś pieśń. Dziewczyna miała wrażenie, że wybudziła się z długiego snu.

Podniosła się i pocałowała Bonmarie w policzek.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Dziękuję, że ze mną zostałeś - wyszeptała Dora. Na twarzy Bonmarie malowała się niepewność.

- Nie chciałam, żebyś była sama. Nie powinnam ci była tego wszystkiego mówić, *chère*. Lepiej ci było, kiedy nie wiedziałeś. Przepraszam.

Dora ujęła dłonie Bonmarie w swoje i poczuła płynące z nich ciepło.

- Nigdy tego nie żałuj. Chcę wiedzieć. Myślałam, że pustka, którą czasem czuję, to tęsknota za ojcem. A okazało się, że to, co miało być luką w moim życiu, to tak naprawdę przepaść, w dodatku kryjąca w sobie wiele kłamstw. Nigdy nie kwestionowałam pewnych rzeczy, choć miałam swoje podejrzenia, a powinnam była to zrobić. Ty jedna ofiarowałaś mi prawdę.

Przerwał jej odgłos otwieranych frontowych drzwi i wołanie Charlesa.

- Doro, jesteś tu?

Dziewczyna mocno chwyciła dłonie Bonmarie. Popołudniowe słońce nadal świeciło jasno za wysokimi oknami.

- Jak ja mu to powiem? Bonmarie pokręciła głową.

- Nie zrobisz tego. Nikt nie musi wiedzieć.

Dora wstała i wygładziła ubranie. Podeszła do drzwi i odpowiedziała:

- Tu jestem, Charles.

Czekał w holu. Obrzucił spojrzeniem jej postać stojącą u szczytu schodów.

- Mogę cię prosić na słowo w moim gabinecie?

- Oczywiście, kochanie.

Był wściekły i bała się nawet pomyśleć, o ile jego gniew wzrośnie, kiedy mąż usłyszy to, co ona ma do powiedzenia.

Przepuścił ją przodem. Gdy wchodziła do pokoju, powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, skupionym na



postaci górującej nad klatką schodową. Bonmarie patrzyła na nich z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Charles zajął miejsce w fotelu za biurkiem i pogrzebał chwilę w szufladzie. Po chwili wydobył z niej cygaro i zapalki i przystąpił do rytuału palenia.

- Wcześniej dziś wróciłeś. Czy w banku wszystko w porządku?

- Tak, w banku sprawy mają się dobrze. Jednak jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać. Podzielono się ze mną pewnymi informacjami dotyczącymi twojej rodziny. To wielce kłopotliwe fakty.

A więc już wie.

- Geraldine Forrest? - spytała.

- Źródło jest tu bez znaczenia. Krąży jednak niepokojąca plotka o twoim pochodzeniu. - Urwał i przełknął ślinę. - Mówi się, że twój ojciec nie był białym człowiekiem. Wybacz bezpośredniość, ale tak to właśnie wygląda i, choć to oburzające, możemy być zmuszeni do przedstawienia dowodów na nieprawdziwość pogłosek.

Nie wierzył. Chciał tylko usłyszeć z jej ust, że to podle kłamstwo. Biedny Charles. Czy nie widział prawdy w jej rysach? Nie, bo wcale na nią nie patrzył. Ani teraz, ani być może kiedykolwiek. Prawda będzie taka, jaką ją wykreują. Błysnął w niej promyk nadziei, że może uda im się to wszystko zostawić w tyle. Charles zrobi coś, żeby wszystko załagodzić. Zaczną od nowa.

Tyle że wciąż będą budowali na fundamencie z kłamstw.

- To prawda, Charles.

Patrzyła, jak gaśnie pod ciężarem jej słów. Zgiął się jak liść więdnący na gałęzi. Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, aż wreszcie podniósł się nieco i zapytał ledwo dosłyszalnym głosem:

- Jak mogłaś mi to zrobić?

Jak staro wyglądał. Jak żałośnie.

- Staram się ze wszystkich sił być dla ciebie jak najlepszym mężem, a ty wszystko utrudniasz i psujesz. - Jego głos był błagalny, zbolały.

Naraz cała jej skrucha zniknęła. Obraz męża z panią Forrest stojących wtedy razem za zasłoną zamajaczył Dorze przed oczami. Głód, z jakim patrzył na tę kobietę, to, jak jej dotykał. Piekący ból przeszył Dorę, rozczarowanie i wstyd stopiły się w rozpalony do białości gniew. Spojrzała prosto w oczy mężczyźnie, który był jej mężem, choć w sercu czuła, że jest obcym jej człowiekiem.

- Próbowalesz być dobrym, porządnym małżonkiem? Czy w te starania wliczasz schadzki u pani Forrest?

Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Ukartowałeś to wszystko? Czy częścią planu był ślub z naiwną dziewczyną, za głupią na to, żeby zorientować się w twoich gierkach? A może myślałeś, że będę zbyt zahukana, by zażądać, byście przestali?

Wypieki wystąpiły mu na policzki.

- Doro, nalegam, abyś...

- Nalegasz? Na co? Żebym dalej udawała, że mój mąż nie sypia z inną? Czy żebym znosiła niekończące się złośliwości i impertynencje ze strony twojej kochanki? Założę się, że nie przypuszczałeś nawet, iż do dzisiaj uważałam, że ponoszę winę za wasz romans, bo nie umiałam cię zadowolić. Teraz już samej trudno mi w to uwierzyć.

- Dlaczego to robisz?

- Bo wreszcie przejrzałam na oczy. Jeśli należy komuś zarzucić kłamstwo, to tylko tobie. Nie ożeniłeś się ze mną z miłości, tylko po to, żeby skuteczniej udawać kogoś, kim nie jesteś, tak aby prezesi banku dali ci wymarzony awans. Nie musiało paść na mnie, ale tak się akurat stało, bo wybierałeś nie konkretną, ale pierwszą lepszą dziewczynę.  
Mama

i ja ułatwiłyśmy ci tylko zadanie. Nie jestem z tego dumna, przyznaję. Byłam naiwna, wierząc, że wszystko się ułoży.

Charles wyprostował się w fotelu. Zacisnął usta w wąską linię.

- Uważaj, żebyś nie powiedziała czegoś, czego będziesz później żałować.

- Wierz mi, lista takich rzeczy jest już i tak za długa. Żałuję przeświadczenia, że wytworne suknie i piękna rezydencja zapewnią mi poczucie szczęścia. Ubolewam nad tym, że pragnęłam cię zadowolić i myślałam, że wszystko będzie dobrze, jeśli pokochasz mnie tak, jak mąż powinien kochać swoją żonę. - W jego oczach błysnęła hardość. Dora chciała powiedzieć więcej, było tyle niewypowiedzianych skarg, ale coś w jej wnętrzu kazało jej przestać. Może rzeczywiście powiedziała za wiele.

Charles przetarł twarz dłońmi.

- To był trudny dzień dla nas obojga. Idę do sypialni, by chwilę odpocząć. Sugeruję, żebyś zrobiła to samo. Możemy przedyskutować rozwiązanie tej sytuacji przy obiedzie.

Patrzyła, jak przytrzymując się poręczy, powoli zmierza na górę, a potem skręca do swojego pokoju. Nie odwrócił się, nie spojrzał na nią ani razu.

Dora nie mogła się uspokoić. Łzy lały się potokami po policzkach, a w klatce piersiowej czuła głęboki ból. Jej przyszłość rozsypała się jak domek z kart. Ściany dokoła niej przestały jej strzec. Sofa wydawała się twarda pod jej dotykiem, a ułożone na niej poduszki nie przynosiły pocieszenia. Własny pokój przestał być jej azylem.

Gdy nie miała już sił dłużej płakać, zeszła na dół ogarnięta płynącym ze znużenia spokojem. Wyszła na zewnątrz, cicho zamykając za sobą drzwi. Słońce wisiało nisko na niebie, rzucając na drogę długie cienie drzew. Stojąc w progu, Dora rozejrzała się po Złotym Wybrzeżu.

Wspaniałe domostwa ustawione w zgrabnym szeregu, dumnie wystawiające do przechodnia idealne fronty. To już nie był jej dom - a może nie był nim nigdy? Charles poprosi ją, by odeszła, była tego pewna. Udawanie, że pochodzi z majątnej rodziny, to błahostka, ale teraz wszyscy prominenci znali prawdę lub poznają ją w niedługim czasie. Ludzie powiedzą, że go zwodziła, już pani Forrest się o to postara.

Dora ruszyła ścieżką, wsłuchując się w stukot obcasów po bruku i akompaniament ptaków świergoczących w koronach wiązów. Chłodna bryza otarła się o jej policzek. Było lato, a jednak powietrze było rześkie. W Nowym Orleanie byłoby ciepłe i wilgotne. Mama zanosiłaby do pokoi gości lód, żeby mogli się odświeżyć. Kiedy wróci do hotelu, matka już nie będzie musiała jej chronić. Nie będzie już powodu, żeby chować ją w czterech ścianach pensjonatu.

Skręciła na podjazd dla powozów i z trudem rozpoznała swoją bugenwillę. Na czystych dotąd listkach widniały brązowe plamy, a zajęte wcześniej gałązki i liście uschły. Obejrzała łodygę w poszukiwaniu choć skrawka zieleni, ale nie znalazła ani śladu. Pacjent poddał się chorobie. Łzy uwięzły Dorze w gardle.

Wyrwała pozostałość rośliny z ziemi i rzuciła ją daleko na trawnik. To nie było miejsce dla bugenwilli, tak jak i Dora była tu nie na miejscu. Nie chciała zostać w Chicago, ale nie pociągała jej też wizja powrotu do Nowego Orleanu. Wystawiła twarz ku ostatnim promykom słońca. Szybko zapadał zmierzch. Smugi czerwieni i różu na niebie przechodziły w fiolet i granat nad jeziorem Michigan. Ponad zawirowaniem koloru świeciła jasno jedna gwiazda, lśniący brylancik na ciemnym tle. Gwiazda Wieczorna. Zastanawiała się, czy Amina albo Hossam też na nią spoglądają.

„Przechadzamy się wszyscy pod jednym niebem”, powiedziała tancerka tamtego dnia. Tamtego wspaniałego, idealnego dnia, który spędziła wśród Egipcjan.

Niespełna godzinę później Dora pedałowiała w stronę targów. Gdyby nie płócienna torba podróżna umieszczona w koszyku roweru, mogła to być przejażdżka jak w każdy inny dzień. Dziewczyna zacisnęła palce na kierownicy. Czy jakikolwiek prezent przydał jej się w życiu bardziej niż bicykl? Szkoda jej będzie go zostawić.

Bonmarie zezłości się pewnie, przeczytawszy pozostawioną na kuchennym blacie kartkę, ale zrozumie. Będzie wiedziała, że Dora dotrzyma słowa, i odezwie się do niej, kiedy tylko będzie to możliwe.

Jechała dalej, a im większy pokonywała dystans, tym odleglejszy zdawał jej się *image*, który dla siebie wymarzyła. Modna dama, popularna w towarzystwie. To była tylko wizja, sen, nie rzeczywistość. Dora próbowała stworzyć w głowie nowy obraz, ale przed oczami miała tylko pustkę. Za wcześnie na to. Czuła się wolna i w tej chwili to jej wystarczało. Po raz pierwszy w życiu nie miała planu na przyszłość, nie wiedziała, co przyniesie jutro. Wspaniałe poczucie swobody wypełniło ją całą, tak że w zimnym wieczornym powietrzu rozległ się nagle jej radosny śmiech.

Gdy zbliżyła się do bramy przy Ulicy Kairu, mężczyzna z budki z biletami rozpoznał w niej Panią Zarządzającą i machnął ręką, by przechodziła. Wmaszerowała do środka dumnym krokiem, widząc ostatnią szansę skorzystania z przywilejów. Szła przez tłum z podniesioną głową nieczuła na zjadliwe spojrzenia matron i starszych panów, którzy potępiali ją za samotne przechadzki.

Tylko kilka minut zajęło jej dotarcie do teatru egipskiego. Tłum mężczyzn opuszczał właśnie wnętrze po zakończonym spektaklu. Nowa fala widzów ustawiała się już w kolejce na następny pokaz. Zdążyła. Jeszcze nie uciekli do Nowego Jorku.

Zamierzała odszukać najpierw Aminę, ale kiedy spostrzegła Hossama przy kasie biletowej, stanęła jak wryta. Patrzyła, jak śmieje się i wskazuje palcem kram z dywanami.

Nie mogła się ruszyć. Może jednak nie powinna tego robić.

Ktoś trącił ją w ramię. Zaskoczona, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z wielbłądem. Obok chłopiec śmiał się w kułak. Już otwierała usta, żeby go zbesztać, ale jego chichot okazał się zaraźliwy.

- Pamięta cię. Chciała się przywitać - cieszył się. Dora przyjrzała się zwierzęciu i dostrzegła znajome

frędzle przy uprząży oraz wielkie czarne oczy o niemożliwie długich rzęsach. Była to Little Egypt. Dora upuściła torbę i wystawiła rękę, żeby zwierzę mogło otrzeć się o nią nosem.

- Przekomarzasz się ze mną, prawda? - spytała malca. -Niemożliwe, żeby mnie pamiętała.

- Wręcz przeciwnie.

Głos, który rozbrzmiał za jej plecami, sprawił, że odwróciła się w mgnieniu oka. Stał za nią Hossam. Pogłaskał Little Egypt po szyi.

- Wielbłądy to bardzo inteligentne stworzenia. Mądrzejsze niż wiele znanych mi osób.

Dora poczuła, że rumieniec zalewa jej policzki. Czy to ją miał na myśli?

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedział. - Chciałem przeprosić...

- Nie, to ja powinnam prosić o wybaczenie - przerwała mu.

Subtelnym ruchem ręki dał znać chłopcu, by poprowadził wielbłąda dalej. Rozejrzał się po twarzach przechodniów i popatrzył z powrotem na Dorę.

- Może powinniśmy znaleźć lepsze miejsce na odbycie konwersacji.

Wokół przechadzali się panowie w garniturach z diago-nalu i paradowały damy w pierzastych kapeluszach. Byli sklepikarze, występujący i naganiacze.

- Nie mam nic do ukrycia, a ty?

- Nie, ale może się tak zdarzyć, że... Zasłoniła palcami jego usta.

Wyglądał na zdumionego, ale nie cofnął się. Dora odsunęła dłoń, w zamian oplatając ramionami jego szyję. Rzucił w bok nerwowe spojrzenie.

- Powiedziałeś kiedyś tak: „Gdybym mógł mieć nadzieję, że mi na to pozwolisz, porwałbym cię w ramiona, zaniósł do swojego pokoju i nigdy więcej nie dał ci odejść”. Czy propozycja jest nadal aktualna?

- Igra pani ze mną, pani Chambers?

- Nie, to nie gra, a ja nie noszę już tego nazwiska. Cóż, przynajmniej nie sądzę, by długo jeszcze było moje.

Jego wzrok błędził po jej oczach, policzkach, wargach, jak gdyby sprawdzał, czy ona naprawdę tu jest, tak blisko, w jego ramionach.

- Chciałbym cię pocałować. - Jego głos brzmiał ochryple z nadmiaru uczucia.

Nie dał jej czasu na odpowiedź, lecz nachylił się, przyciskając Dorę mocno do siebie i otulając ją całym sobą. Ich usta spotkały się i poczuła znajomy żar, który przemknął przez nią, powodując mrowienie w całym ciele, od czubków uszu po koniuszki palców u nóg.

Z wnętrza teatru dobiegły ich dźwięki kolejnego przedstawienia. Powolne wycie rogu, równy rytm bębna. Dum-dum-taka-tak-dum-taka-tak. Jej przyszłość podyktuje teraz taniec. Podda się muzyce i pójdzie, gdzie ona ją poprowadzi.



## EPILOG

*Cztery miesiące później*

Dora nachyliła się do masywnego lustra za toaletką w garderobie i ostrożnie obrysowała kontury oczu sztyftem z proszku antymonowego.

Amina stała w pobliżu, obserwując ją niczym czujna matka.

- Pociągnij kreskę za powiekę. O, tak. - Amina pokazała palcem. - Nie, użyj ciemniejszego pudru. Przy jupiterach makijaż musi być wyraźny albo wydasz się zbyt biała.

Dora dostrzegła, że Amina zeszywniała.

- Chciałam powiedzieć, że w ostrym świetle będziesz wyglądać blado.

- Wiem, o co ci chodziło. To chyba pierwszy raz, kiedy ktoś uważa moją skórę za zbyt jasną. - Zaciągnęła pasek jedwabnego szlafroka ciaśniej wokół pasa i posłała uśmiech Aminie na znak, że jej słowa nie sprawiły jej przykrości.

Kiedy zostawiła Charlesa, Panie Zarządzające i cały ciężar Chicago za sobą, uwolniła się tym samym od wszelkiego bólu.

Tego pierwszego dnia Hossam zaprowadził Dorę i zaniósł jej płócienną torbę do pokoju Aminy, a ona o nic nie pytała, tylko przejęła bagaż, włożyła go za parawan i wmusiła w Dorę porcję hummusu z chlebem.

Później dowiedziała się, że kiedy Amina i Hossam wyszli, uzgodnili, że dokupią jeszcze jeden bilet do Nowego Jorku. Nawet teraz Dora zastanawiała się, jak to możliwe, że mieli pewność co do jej zamiarów, kiedy ona sama nie zdawała sobie sprawy, czego pragnie. Opuściła dom Charlesa z zamiarem ukrycia się u Egipcjan, tak aby pomyślał, że wróciła do Nowego Orleanu. Byłaby wtedy wolna i mogłaby udać się, dokądkolwiek by chciała - do San Francisco, Saint Louis, nawet do Nowego Jorku, gdyby przyszła jej na to ochota. Jednak im więcej czasu Dora spędzała wśród tancerek, tym częściej marzyła o tym, by z nimi pozostać.

Dwa tygodnie później byli już w Nowym Jorku, a ich pokaz zajmował środkowe miejsce na liście popularności. Po dwóch następnych tygodniach byli już najchętniej oglądanym zespołem. W ciągu miesiąca trupa zarobiła dwa razy więcej, niż obiecywano im za pracę podczas całej Wystawy.

Wszystko układałoby się wręcz idealnie, gdyby w dniu pierwszej wypłaty Amina nie oznajmiła, że zamierza wrócić do Egiptu.

- Chcę zobaczyć się z bratem - wyjaśniła wszystkim któregoś wieczoru podczas posiłku. - Odłożyłam już wystarczającą sumę, by mógł otworzyć swoją wymarzoną kawiarnię.

Gdy Amina na coś się nastawiła, dyskusja nie miała sensu. Fatma, Marieta i pozostałe tancerki traktowały ją już jak jedną z nich, więc nie mogła się skarżyć, że zostaje porzucona. Zaczynała nawet stopniowo uczyć się arabskiego.

Amina spakowała się i kupiła bilet trzeciej klasy na statek, który wypływał następnego dnia, a Dorze już jej brakowało.

Nie potrafiła się jednak smucić, kiedy perspektywa powrotu do Egiptu tak bardzo uszczęśliwiała Aminę. Dora nie pamiętała jej tak radosnej. Nawet teraz, kiedy nachylała się nad dziewczyną ze sztyftem antymonowym w ręce, bił od niej blask.

- Będę wyglądała jak klaun, jeśli nałożymy więcej.

- Nie, nie. Jesteś bardzo piękna. Niezwykle egzotyczna -przekomarzała się Amina. - Widzowie pomyślą, że mają przed sobą egipską królową, może nawet samą Izydę. W odpowiednio dobranym kostiumie, z porządnie wykonanym makijażem, możesz stać się na scenie, kim tylko zechcesz.

Dora pomyślała o Paniach Zarządzających, przypominając sobie, jak bardzo chciała się do nich upodobnić.

- Chyba na razie poprzestanę na własnej osobie.

- Tak, bądź sobą - przyznała Amina. - Jesteś naprawdę wyjątkowa, nawet jeśli sama jeszcze tego nie odkryłaś. Niepowtarzalna z siebie tancerka. Wyjeżdżam ze spokojem w sercu, bo wiem, że będziesz potrafiła wypełnić pustkę po mnie.

- Nie chcę zajmować twojego miejsca. Pragnę tylko dać coś od siebie i zwrócić to, co zabrał doktor Bostwick.

- Nie ma mowy o żadnej spłacie. Marieta ma się dobrze, a zyskałyśmy ciebie.

Pukanie do drzwi przerwało ich rozmowę. Bonmarie wsunęła głowę do środka.

- *Ma chere*, masz gościa. - Wyraz jej twarzy niósł ostrzeżenie.

- Kto to?

Bonmarie odsunęła się, ustępując mężczyźnie mnącemu w palcach brzeg melonika.

- Charles?

Amina ścisnęła ramię Dory, by dodać jej otuchy, przeprosiła zebranych i opuściła pokój za Bonmarie.

- Dziękuję, Bonmarie - wydukał przybysz za wychodzącą kobietą.

Był ubrany odpowiednio do panujących na zewnątrz jesiennych temperatur, w gruby szary płaszcz, wełniany szalik i rękawice.

- Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha, moja droga. Czy jestem aż tak przerażający?

Dora zawahała się, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Skądże. Jestem po prostu zaskoczona twoją obecnością tutaj.

Zmusił się do uśmiechu.

- Trochę czasu zajęło mi zebranie odwagi, by zdobyć się na odwiedzin. Odezwała się do mnie, wyobraź sobie, twoja matka. Dała mi znać, gdzie przebywasz. Błagała, bym po ciebie pojechał. Nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć.

- No tak, mama. - Dora nie była pewna, jak interpretować jego powściągliwość. - Przykro mi, jeśli przysporzyła ci jakichś kłopotów. Wydawało mi się, że jasno przedstawiłam jej całą sytuację.

- Po to tu jestem, Doro. Chciałbym, abyś i mnie ją wyklarowała.

- Wytłumaczyłam wszystko w liście - sprzeciwiła się.

- Ach tak, list. - Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął pomietą i podniszczoną kartkę papieru. Odczytał treść na głos:

*Drogi Charlesie!*

*Wiem, że miałeś z mojego powodu mnóstwo problemów, i jest mi szczerze przykro. Może w tej chwili nie dasz temu wiary, ale mam nadzieję, że z czasem przekonasz się, że to*

*prawda. Kiedy poprosiłeś, abym została Twoją żoną, sądziłam, że nie ma dla mnie na świecie większego szczęścia. Pragnęłam być dla Ciebie wszystkim, o czym zamarysz. Chciałam być kobietą, którą będziesz darzył miłością. Uwierz, że nigdy nie ukrywałam przed Tobą przeszłości mojego ojca. Matka utrzymywała ją w tajemnicy przede mną, choć oczywiście nie wypieram się za nią odpowiedzialności. Zwalniam Cię ze złożonej mi przysięgi małżeńskiej i życzę wszelkich sukcesów w przyszłości. Ten list powinien wystarczyć, by zapewnić Ci rozwód. Szczerze wszystkiego żałuję.*

*Dora*

- Myślałam, że to wyjaśnia sprawę.
  - Nie ma w nim niejasności, ale nie dałaś mi szansy, abym ci odpowiedział. Nie miałem okazji zareagować. -W jego głosie dało się słyszeć rosnące zdenerwowanie.
  - Nie sądziłam, że będziesz chciał podważać treść listu.
  - Nie przyszło ci do głowy, że mógłbym walczyć o zatrzymanie przy sobie żony? Naprawdę myślałaś, że będę z założonymi rękami patrzył, jak odchodzisz?
  - Szczerze mówiąc, owszem. Sądziłam, że będziesz zadowolony. Nadal tak uważam.
  - A co mam powiedzieć ludziom? Że żona odeszła, gdy na chwilę odwróciłem wzrok? - Głos mu się łamał.
  - Mów prawdę, że więcej było ze mnie zmartwienia niż pożytku i że cieszysz się, iż już po wszystkim.
- Charles wzdrygnął się. Padł na podłogę, opierając się na kolanie, tak że jego twarz była niemal na wysokości jej kolan. Ktoś, kto w tej chwili wszedłby do pokoju, pomyślałby, że mężczyzna zamierza się oświadczyć, a nie że próbuje ocalić resztki istniejącego małżeństwa.
- Jak możesz mówić, że raduje mnie twoje odejście? Niemożliwe, żebyś naprawdę w to wierzyła.

- Mówię to śmiało, bo jestem o tym przekonana. - Tyle razy wałkowała to w głowie. - Czy przestałeś widywać się z Geraldine Forrest od mojego wyjazdu? - Próbowała dostrzec prawdę w jego oczach.

- Chciała tylko przynieść mi pocieszenie w trudnych dla mnie chwilach. - Ujął jej dłonie w swoje i ścisnął je mocno.

- Jak myślisz, jak żyłoby ci się z żoną, która na zawsze pozostanie tematem plotek i insynuacji?

- Przestań, to bzdury. Powiedz, że wrócisz ze mną do domu. Nawet nie wiesz, przez jakie męki przechodzę, wiedząc, że moja słabość doprowadziła nas na brzeg przepaści.

Patrzył na nią błagalnie. To była jego ostatnia szansa. Dora wyobraziła sobie, co by było, gdyby zgodziła się wrócić. Czy udałoby im się żyć tak jak podczas pierwszych tygodni spędzonych wspólnie w Chicago, kiedy byli jeszcze pełni nadziei?

- Już nigdy nie będzie tak jak kiedyś i nie mam ochoty wieść życia, jakie mnie tam czeka. Długie dni w samotni, którą był dla mnie dom, a w dodatku teraz nikt nie będzie chciał być widziany w moim towarzystwie, nie przyjdą listy, nie będzie zaproszeń - urwała.

Nie były to prawdziwe przyczyny. Nie od czasu Hossa-ma. On nigdy nie wymagał, żeby udawała kogoś, kim nie jest. Kochał ją właśnie za to, kim była, ze wszystkimi jej wadami i niedoskonałościami. Dora położyła Charlesowi rękę na ramieniu.

- Wracaj do Chicago. Moje miejsce jest tutaj. Chambers wstał i powiódł palcem wzdłuż ronda melonika.

- A więc to tak? Skinęła głową.

Wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął inną kartkę. Powoli rozłożył ją i podał Dorze.

- Obawiałem się, że możesz się upierać. Żałuję, że tak się to kończy, ale skoro nie ma innego wyjścia, muszę prosić, abyś złożyła tu podpis.

Dora wzięła od niego pismo. Nagłówek brzmiał: „Rozwiązanie małżeństwa”.

- Geraldine uważa, że twój list może nie zapewnić rozwodu.

- Geraldine Forrest bierze w tym udział?

- Troszczy się tylko o moje interesy.

Oczywiście, Geraldine Forrest zawsze będzie w to zamieszana.

- Podpiszę i będziesz wolny. Dodam jeszcze tylko, żeby uspokoić twoje sumienie... Nie bądź dla siebie zbyt surowy, jeśli chodzi o tę słabość. Nie ty jeden złądziłeś. - Podniosła na niego oczy i złowiła pełne niedowierzania spojrzenie. - Pożegnajmy się w zgodzie i zostawmy przeszłość za nami.

- Żałuję, że życie nie potoczyło się inaczej.

Ledwo przebrzmiały jego słowa, gdy drzwi garderoby otworzyły się i zajrzała przez nie Bonmarie.

- *Chere*, już czas.

Dora wstała i zerknęła w lustro.

- Czas na mnie, muszę iść.

Wziął głęboki oddech i kiwnął głową.

- Sam znajdę wyjście.

Dora wyciągnęła rękę w oficjalnym geście pożegnania, a on ujął jej dłoń. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Gdy ich ręce się rozdzieliły, nie mogła nawet na niego spojrzeć, ruszyła wprost do drzwi. Zanim wyszła, odwiązała szarfę przytrzymującą szlafrok i pozwoliła, by opadł na podłogę. Zdawało jej się, że usłyszała, jak Charles z impetem wciągnął powietrze na widok tego, co ukazało się jego oczom. Dora ubrana była w szeroką szafirową spódnicę i przylegającą do ciała bluzkę oraz aksamitną kamizelkę ze

złotą lamówką z frędzlami. Koraliiki i świecidełka zdobiły jej szyję, a na nadgarstkach pobrażkiwały bransoletki.

Opuściła pokój i zastała Hossama czekającego za kulisami. Ich spojrzenia natychmiast się spotkały i patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Poczwała nagle taką lekkość i wolność, że nawet wrażenie swobody, które pamiętała z dnia, kiedy jako dziewczynka tańczyła na placu Kongo, nie mogło się z nimi równać. Złożyła na ustach mężczyzny szybki pocałunek.

- Życz mi powodzenia, kochany mój - poprosiła. Chwycił ją w pasie.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Pocałowała go znów. Jego usta przywarły do jej warg

i Hossam przyciągnął ją mocno do siebie.

- Właśnie tego pragnę. Ciebie i tego wszystkiego. To moje miejsce na ziemi.

Ze sceny dobiegły dźwięki muzyki zapowiadające, że zbliża się jej występ, więc Hossam powoli wypuścił ją z objęć. Stała za kurtyną, czekając, aż mistrz ceremonii zapowie jej taniec.

- Panie i panowie, jednym spojrzeniem wzbudza płomienie, ruchem ręki wynosi śmiertelników wprost do raj. Szejkowie, królowie i maharadżowie już ulegli jej urokowi. Przybyła do was prosto z ulic Kairu! Przed wami gwiazda Midway Plaisance... Little Egypt!

Bębniarz jął wybijać powolny rytm, żeby wprawić zebranych w odpowiedni nastrój.

Właścicielowi teatru było wszystko jedno, czy Dora jest Egipcjanką czy nie, byle umiała poruszać się jak one. Kiedy naciskał, by podała mu imię do wpisania na afiszach, Dora Chambers brzmiała niedorzecznie, a nawet z Dorą Devereaux już nie do końca się utożsamiała. W pośpiechu stanął jej przed oczami wielbłąd, ta niezwykła istota,



która nie pochodzi z nad Nilu, ale którą Egipcjanie przyjęli jak własną. Róg począł pleść melodię wokół dudnienia bębna. Dora poprawiła przyczepione do palców blaszki i pozwoliła, by muzyka przesiąkła ją całą. Poruszyła mosiężnymi krążkami. Po sali potoczyło się szybkie dzwonięcie małej perkusji. Pewna siebie Dora wkroczyła na scenę. Nastął czas tancerki brzucha.

## PODZIĘKOWANIA

Pisanie to dziwne zajęcie. Ludzie mówią, że to praca samotników, bo autor przeważnie wykonuje ją w pojedynkę, zamknięty w odosobnieniu, mając za towarzystwo jedynie swoje myśli oraz klawiaturę lub zeszyt i pióro.

Jednak prawda jest inna. Pisarze nie działają sami. Miałam to szczęście, że w trakcie twórczej wędrówki mogłam liczyć na pomoc i wskazówki wielu osób, wobec których mam ogromny dług wdzięczności.

W pierwszej kolejności pragnę podziękować mojej fantastycznej agentce Ellen Pepus. To dzięki jej wizji i entuzjazmowi nieszczęsny stos stron złożony przeze mnie w wydawnictwie przeobraził się w książkę, którą trzymacie w rękach.

Niczego nie osiągnęłabym też bez mojej wyjątkowej redaktorki Jackie Cantor. Dzięki rozpierającej ją pozytywnej energii praca z nią była czystą przyjemnością i pozwoliła mi wiele się nauczyć. Na zawsze pozostanę jej dłużniczką.

Pragnę wyrazić również głęboką wdzięczność za niezwykłą szatę graficzną amerykańskiego wydania *Egipskiej tancerki*, której autorami są dyrektor artystyczna Judith Lagerman

i ilustrator Alan Ayers. Stworzyli obraz zdobiący okładkę w zadziwiający sposób, perfekcyjnie oddając na nim nastrój powieści i piękno tańca brzucha.

Chciałabym również zaznaczyć wkład moich rodziców -wszystkich czworga - oraz brata w tę książkę, gdyż zawsze powtarzali mi, że zdołam osiągnąć wszystko, co zechcę, a ja pragnęłam udowodnić, iż mają rację.

Wsparcie zapewniali mi również przyjaciele, w szczególności Alanę, Catherine, Dianę i Tina, którzy zagrzewali mnie do działania i zapewniali, że wszystko jest możliwe. Moje koleżanki z grupy pisarskiej, Claudia, Dianę i Kathy, dostarczyły bezcennych rad i ciepłych słów we wczesnych fazach powstawania tekstu.

Jako pisarka czerpię inspirację od wielu nauczycieli i mentorów, takich jak Lynette Brasfield, Phyllis Gebauer, Lisa Glatt, Caroline Leavitt i Lisa Teasley. Wielu innych instruktorów i mentorów, zwłaszcza Angelika Nemeth, zaszczerpiło we mnie miłość do sztuki i historii tańca brzucha.

Jestem również bardzo wdzięczna autorkom Wendy Buonoventura i Karin Nieuwkerk za analizę historii tańca brzucha, a szczególnie ciepłe wyrazy wdzięczności pragnę złożyć na ręce Donny Carlton za jej badania dotyczące tożsamości legendy tego tańca - Little Egypt.

Na koniec chciałabym serdecznie podziękować mojemu mężowi Austinowi za to, że wnosi w moje życie tyle radości. Sprawia, że jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

## NOTKA HISTORYCZNA

Powieść została zainspirowana legendą Little Egypt, tancerki z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, która stała się jedną z najślawniejszych i najlepiej zapamiętanych postaci w świecie tańca brzucha. Zawarte w powieści wydarzenia są fikcyjne, a główni bohaterowie są wytworem mojej wyobraźni. Pozostaje jednak prawdą to, że tożsamość Little Egypt nadal stanowi źródło dywagacji pomiędzy historykami.

Przez lata wiele kobiet przyznawało się do bycia oryginalną Little Egypt i istnieje szeroko przyjęta teoria, że Little Egypt była kobietą z Bliskiego Wschodu tańczącą na pokazach przy Ulicy Kairu na Midway Plaisance na Wystawie Światowej w Chicago w **1893** roku. Niektórzy, na przykład autor książek i profesor historii Robert Muccigrosso, podpowiadają, że była syryjską tancerką o prawdziwym nazwisku Fahreda Mahzar, często w skrócie zwaną Fatimą. Wedle tego, co profesor pisze w *Celebrating the New World. Chicago's Columbian Exposition 0/1893* (Hołd Nowemu Światu. Wystawa Kolumbijska w Chicago w roku **1893**), wykonywała ona „autentyczny plemienny taniec mięśni”  
znad

Nilu, a przyjęty przez nią przydomek Little Egypt był jej przewiskiem z za kulis.

Wnikliwe badania dokonane przez autorkę książek i tancerkę Donnę Carlton sugerują inne wyjaśnienie. Carlton spędziła lata, śledząc zapiski, fotografie i wszelkie dokumenty, i nie natrafiła na dowody potwierdzające, że artystka o pseudonimie Little Egypt kiedykolwiek pojawiła się na Midway Plaisance. W książce zatytułowanej *Looking for Little Egypt* (W poszukiwaniu Little Egypt) zaznacza, że imię to stało się znane dopiero kilka lat po zamknięciu Wystawy, kiedy niejaka Ashea Wabe, nowojorska tancerka występująca pod pseudonimem Little Egypt, wpadła w kłopoty i była poszukiwana przez policję. Sprawa była opisywana ze szczegółami w „New York Timesie” i innych pismach w całym kraju. Podczas śledztwa kapitan policji George S. Chapman został oskarżony o niewłaściwie przeprowadzony nalot na proszoną kolację zorganizowaną **19** grudnia **1896** roku przez Herberta Barnuma Seeleya dla jego brata Clintona Barnuma Seeleya i innych znaczących dżentelmenów. Wydarzenie zyskało miano „strasznej kolacji Seeleyów” i to tam właśnie Wabe wraz z innymi tancerkami zostały zatrudnione, by wykonywać gorszące tańce.

Teoria Carlton jest też zgodna z treścią wydanej w **1948** roku autobiografii Sola Blooma, przedsiębiorcy w znacznym stopniu odpowiedzialnego za kształt Midway Plaisance. Píše on: „Z naciskiem zaprzeczam, jakoby kiedykolwiek miał do czynienia z tancerką występującą pod pseudonimem Little Egypt. W czasie trwania Wystawy w Chicago postać taka nie pojawiła się ani razu na Midway”.

Jak już wspomniałam, przedstawiony przeze mnie obraz Little Egypt jest czysto fikcyjny, jednakże wielbłąd, którego spotyka bohaterka i który jest źródłem wybranego przez nią imienia, pojawił się w książce na skutek czegoś, co Sol

Bloom rzekomo powiedział wiele lat po zakończeniu targów, kiedy służył już w Kongresie Stanów Zjednoczonych. Wycinek prasowy znajdujący się obecnie w kolekcji biblioteki Towarzystwa Historycznego Chicago zawiera wypowiedź, w której przez swojego sekretarza Bloom mówi dziennikarzowi, że nie zna tancerki zwanej Little Egypt, ale że pamięta to imię jako należące do jednego z wielbłądów, na których organizowano przejażdżki po Ulicy Kairu. Bloom nigdy nie sugerował związków imienia i postaci, które ja przedstawiam w książce, ale jego komentarz przykuł moją uwagę i zafrapował mnie.

Poza Bloomem postaciami historycznymi odgrywającymi ważną rolę w książce są Potter Palmer i jego żona Bertha Honore Palmer, a także Eadweard Muybridge. Staralam się, by mimo wpisania w fikcyjny tekst ci bohaterowie byli autentyczni, więc zawarłam udokumentowane fakty z ich życia. Na przykład Potter Palmer był pionierem przeprowadzek na Złote Wybrzeże, a jego żona przewodziła Komisji Pań Zarządzających. Prawdziwy jest też entuzjazm Muybridgea w stosunku do wynalezionej przez niego zoopraksiskopu i jego fascynacja ruchomymi obrazami wystawianymi na targach.

Polecam ciekawe książki dotyczące Wystawy Światowej w Chicago w **1893** roku:

Stanley Appelbaum, *The Chicago Worlds Fair of 1893. A Photographic Record*, **1980**.

Sol Bloom, *The Autobiography of Sol Bloom*, **1948**.

Donna Carlton, *Looking for Little Egypt*, **1994**.

Erik Larson, *The Devil in the White City. Murder, Magic, and Madness at the Fair That Changed America*, **2003**.

Robert Muccigrosso, *Celebrating the New World. Chicago's Columbian Exposition of 1893*, **1993**.